

# Conran Shirley Dzikuski

*Walka kobiet o przetrwanie w skrajnie niebezpiecznych warunkach, jakie stwarza złowroga dżungla. Czy przeżyją rzucone na pastwę sił, z którymi przychodzi im zmierzyć się po raz pierwszy?*

## ZŁOTY TRÓJKĄT

*CZWARTEK, 25 PAŹDZIERNIKA 1984*

1

Drzwi otwierały się powoli i cicho. To dziwne — pomyślała Lorenza. Od tamtych idiotycznych pogrózek o porwaniu, ściśle przestrzegano zasad bezpieczeństwa w całym domu. Pchnęła drzwi. Były szerniałe i ciężkie. Dobrze znała ich pionowe krawędzie, zniszczone przez czas i pogodę. Jej .prapradziadek, przeprowiając się przez Atlantyck, przywiózł średniowieczne, drewniane wrota i całą resztę dworku z Cotswolds do Pensylwanii. Przez całe życie — od dwudziestu trzech lat, przyglądała się bajkowym obrazkom w zmurszałych wgłębieniach drzwi. Teraz czekała, aż się otworzą.

— Gdzie jesteście? — zawołała, stąpając po starym bruku kamiennego hallu. Jednym kopnięciem zrzuciła szkarłatne czółenka. Nikt nie odpowiadał. Odgłos dzwonka ucichł w oddali.

Boso wybiegła przed bramę i rozejrzała się wojcół. Jej czerwony Ferrari Mondial stał zaparkowany ukośnie do schodów. Wpatrywała się w spokojną zieleń okalającego dom parku, który ciągnął się aż po horyzont, gdzie widniał las i płynęła rzeka Ohio. Nie zobaczyła nikogo.

Zadzwońiła niecierpliwie po służbę. Podeszła do jednego ze starożytnych, kamiennych lwów, ustawionych na szczycie schodów. Pogłaskała nieruchomą głowę na znak, że znów jest w domu. Jak na koniec października było bardzo ciepło.

Wróciła powoli do hallu i spojrzwała na portret swojej praprababki malowany przez Sargenta.

— Obrabowali ich? Zgwałcili? Porwali? Jak myślisz babciu, gdzie są? Lorenza była podobna do damy na portrecie. Nie miała jednak równie

wąskiej talii. Była raczej pulchna, podobna do matki. Szczególnie teraz. Nareszcie zaszła w ciążę! Wyszła za mąż za Andrzeja szesnaście miesięcy temu, w czerwcu 1983 roku. Od powrotu z podróży poślubnej, jej matka patrzyła na nią z nadzieją.

Idąc na bosaka, Lorenza skręciła w prawo. Przeszła przez amfiladę pokoi

gościnnych połączonych podwójnymi drzwiami. W pokoju dziennym, w salonie, w bibliotece i w sali balowej nie było nikogo. Nie znalazła żadnych śladów w głębi domu ani w oranżerii.

Wracając przez bibliotekę zauważyła, leżące na srebrnoszarym dywanie obok porozrzucanych gazet, okulary do czytania. A więc była tu — pomyślała. Leniwie wzięła do ręki dwa zaproszenia, gazetę i broszurkę z biura podróży. Przyjrzała się z zainteresowaniem prospektowi. Na okładce widniała plaża tropikalna, palmy kołyszące się na tle akwamarynowego nieba. Na górze umieszczono wypisaną szkarłatnymi literami reklamę: „Na Paui raj otworzy się przed tobą”. A dalej: „Na północ od Australii i na południe od równika możecie zarezerwować sobie odrobinę raj na ziemi. Rezerwacja wolna od opłaty 1-800-545-Paui”.

Lorenza wróciła do hallu krzycząc głośno ze szczytu starożytnych schodów. Jej głos niósł się echem po galerii, odbijał o sufit wyłożony dębowymi kasetonami.

Skręciła w lewo mijając po drodze jadalnię i gabinet ojca, aż dotarła do pomieszczeń dla służby. Kuchnia była pusta... spiżarnia też... nikt nie siedział w pokoju dziennym dla służby... ani w kwaciarni. Gdzie byli wszyscy — szef służby, kucharz, trzy pokojówki filipińskie i osobista pokojówka matki?

Schówek na bieliznę był za pokojem dla personelu. Bezkształtna kobiecina w białym kitlu bujała się w fotelu na biegunach. Przed nią piętrzyła się sterta pomiętych prześcieradeł. Kobieta zawinęła wysoko rękawy. Jej ramiona były wysuszone, lecz ścięgni wystawały jak u mężczyzny. Grube niebieskie żyły pokrywały siatką wierzch obu dłoni.

Lorenza podkraśniała się na palcach, poślaskotała kobietę w ucho i wrzasnęła: — Ciao, Nella!

Służąca skoczyła na równe nogi z okrzykiem: — Och, bardzo zła z ciebie dziewczyna, panno Lorenzo! —Dodała stłumionym głosem: —Ty dać mi atak serca, wtedy nie byłoby komu gotować dla rodziny.

(Kiedy matka Lorenzy po raz pierwszy przybyła do Pittsburga jako młoda pani Arturowa Graham, zabrała ze sobą z Rzymu Nellę.)

Lorenza krzyczała: — Gdzie mama? Gdzie są wszyscy?

Nella była głucha i często wykorzystywała swą głuchotę jako wygodną wymówkę w sytuacjach, gdy nie chciała o czymś mówić.

— Twoja matka dać służbie wolne popołudnie, bo jutro wszyscy pracujemy do późna, żeby przygotować przyjęcie urodzinowe dla twojego papy. Twoja mama, ona wyjść na zakupy.

— Po co?

— Ubrania.

— Ale mama zawsze kupuje ubrania w Rzymie.

Nella wyglądała na zakłopotaną. — Cóż, może nie ubrania, ale to tajemnica. — Och, nie wygłupiaj się, Nello.

Nella zerknęła w bok ukradkiem, lecz — czy włoska kucharka potrafi być dyskretna? — Twoja mama pójsć po zakupy z dekoratorem wnetrz, żeby wybrać rzeczy do twojego pokoju na górze. Twoja mama kazać zmienić urządzenie twoich pokoi z powodu dziecka.

— Ale Andrzej i ja mieszkamy w Nowym Jorku i dziecko będzie z nami, nie tutaj.

— Twoja mama mówić, na wszelki wypadek.

— Na j a k i wszelki wypadek?

Uwagę Lorenzy odwrócił cichy szum silnika samochodowego dobiegający z oddali. Otworzyła na oścież okno z diamentowymi szybkami, wychyliła się i pomachała do białego van den plas jaguara, który zbliżał się-spokojnie po żwirowej ścieżce.

— Mama jest chyba jedynym człowiekiem na świecie, który jeździ takim samochodem dwadzieścia kilometrów na godzinę.

— Twoja mama mieć dużo wypadków. Twoja mama nie szybka, ale nieuważna. Zawsze myśleć o innych-rzeczach. Twój papa chcieć, żeby twoja mama kazać jakiemuś mężczyźnie kierować samochodem, ale twoja mama mówić za dużo kłopotu, bo trzeba jeszcze jedną osobą kierować.

Nella mówiła do siebie. Lorenza dawno już ruszyła na spotkanie matki. Sylvana Graham wbiegła po schodach i objęła mocno córkę.

— Załóż buty, kochanie! Nie wolno ci się przeziębić, to niezdrowo dla dziecka. — Mówiła niskim, melodyjnym głosem jak gołębica.

Głos ten był czymś naturalnym w Rzymie, lecz nie w Pensylwanii. Drażnił stale jej męża, gdyż brzmiał tak jakby próbowała go uspokoić, czym przypominała mu o jego nadciśnieniu.

Lorenza pocałowała matkę w usta. To one zaczarowały Artura Grahama, przywiązując go do niej od chwili, gdy ujrzał ją po raz

pierwszy. Był rok 1956. Siedziała w kawiarni nad brzegiem morza w Santa Margarita na Włoskiej Riwierze. Była roześmiana.

Wyrafinowany, obyty w świecie Artur czuł się zaskoczony własną reakcją na tę zmyslową, beztroską, wesołą siedemnastolatkę z dużym biustem. Dwadzieścia sześć lat potem tylko usta Sylvany pozostały te same. Duże czarne oczy straciły swój blask, ciężkie hebanowe włosy nie spływały już na ramiona, lecz zaczesywała je do tyłu w ciasny kok. Gdzieniedzie błyszcząły w nich srebrne nitki.

Obie kobiety skierowały się w stronę biblioteki. Bosa Lorenza szła, kołysząc się na boki, z dumą ciężarnej kobiety. Powolność i królewska postawa Sylvany równoważyły jej nadwagę, która groziła przemianiem się w tuszę. Nawet wysoko noszona głowa nie pomagała ulżyć podwójnego podbródka. Kobiety uważały, że Sylvana jest elegancka, lecz chłodna i niedostępna, mężczyźni wiedzieli, że ma już z górki. Zrażała ich ponad dziesięciokilogramowa nadwaga i twierdzili, że nie warto się o nią bić. Sylvana żyła jakby w letargu, popychana jedynie przez rozkład dnia. — Nie wolno kazać służbie czekać — brzmiała przestroga nieustannie powtarzana

w małym palazzo w Rzymie, niedaleko Ogrodów Borghese, gdzie się urodziła i gdzie dotąd mieszkali jej rodzice.

Lorenza wzięła do ręki broszurę reklamującą tropikalną wyspę. — Co to jest, mamó? Nareszcie masz zamiar uciec?

SyWanę rozśmieszył ich stary żart.

— Nie, to podróż w interesach. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Australii. Spółka „Nexusa” organizuje doroczną konferencję w Sidney. Po konferencji, jak zwykle, zrobimy sobie robocze wakacje na szczycie. Twój ojciec wybrał Paui, bo jeszcze nigdy tam nie łowił, a pewnie jest tam sporo rekinów. Jeszcze nigdy nie złapał rekina.

— Prezes korporacji ma głos decydujący.

Lorenza rzuciła się na sofę obitą srebrnym brokatem, wyprostowane nogi oparła o poduszki i zaczęła mówić o swojej ciąży, całkowicie pochłonięta tym stanem. Dziecko miało się urodzić dopiero w lutym, a świat Lorenzy już teraz skurczył się do wąskiego kręgu, do którego zaliczała jedynie męża i owo dziecko o nie określonych rysach i nie ustalonej płci. Sylvana przysłuchiwała się szczebiotowi swej pewnej siebie córki. — Andrzej czuje... Andrzej wie... Andrzej chce, żebym rzuciła pracę...

— Dlaczego masz rzucać pracę? Myślałam, że sprawia ci przyjemność. Lorenza wyglądała na zdziwioną.

— Mamó! Mówisz jak te sufrażystki z lat sześćdziesiątych! Roześmiała się z czułością. — Potrzebowałam aż dwudziestu lat, żeby je dogonić.

— Nie, żeby zauważyć.

— Co zauważyć?

SyWana pocierała naszyjnik z pereł o swój jedwabny kremowy kołnierzyk. Był to znak, że jest lekko zdenerwowana. Z wahaniem w głosie odrzekła: — Niewielekobiet doświadcza po ślubie takiego szczęścia, jakiego oczekiwały.

— O czym ty mówisz mamó? — Nie chce chyba powiedzieć, że zamierzają się rozwieść — pomyślała Lorenza. Spytała przestraszona:

— Nie jesteś szczęśliwa? Czy nie masz wszystkiego?

— Wszystko, z wyjątkiem tego, co najważniejsze — pomyślała Sylvana.

— Czego jeszcze mogłabyś chcieć, mamó?

— Chcę czuć, że istnieję.

A więc to tylko to. Lorenza wyciągnęła rękę ku matce i delikatnie przyłożyła jej dłońdo brzucha. — Oczywiście, że istniejesz, i ono też.

— Mam nadzieję, że to chłopiec — odrzekła Sylvana. Zawahała się znowu i dodała: — Nie chcę, żeby twoje życie upłynęło tak, że nawet tego nie zauważysz. Pewnego dnia zastanowisz się i pomyślisz: co się stało z moim życiem? Potrząsnęła głową. — Nie śmiej się Lorenzo. Jeżeli pozwolisz za dużo tym, którzy cię kochają, to pochłoną cię bez reszty.

— Mamó kochana, nie martw się — odparła pobłażliwym tonem Lorenza, usiłując ukryć zdenerwowanie. — Ufam Andrzejowi bezgranicznie.

Sylvana wzruszyła ramionami. Przypomniała sobie, jak kiedyś sama bezgra-

nicznie wierzyła Arturowi. Przywołała ową scenę pełną gniewu, gdy siedząc przy śniadaniu z rodzicami — pewnego ciepłego jesienno dnia, wiele lat temu w Rzymie — napomknęła ostrożnie ojcu, że chce, by poznali jakiegoś Amerykanina. Tak, mężczyznę. Nie, spotkałam go na plaży. (Krzepki, jasnowłosy Artur tam ją właśnie odnalazł.) Ojciec przewrócił stronę gazety i odrzekł ostrym tonem, że dobrze wychowane dziewczęta nie zadają się z nieznanymi chłopcami na plaży i o n, z całą pewnością, nie życzy sobie poznawać żadnego młodego bumelanta. Siedemnastoletnia Sylvana wygadała się, że Artur nie jest wcale taki młody — ma trzydzieści cztery lata i ona, Sylvana, ma zamiar go poślubić.

Gdyby wepchnąć płonąca płachtę do słoika z karosenem, nastąpiłby słabszy wybuch. Ojciec rzucił gazetę, zerwał się z krzesła i wrzasnął: — Kiedy się tego spodziewasz? — Zniź głos, Tulio, bb służba usłyszy — prosiła matka. Potem spojrzała z wyrzutem na córkę i powtórzyła: — Kiedy?

Artura rozbawiło, że został potraktowany jak parweniusz. Postarał się (gdy jego dziewczyna wróciła do Nowego Jorku zostawiając go samego na wakacjach), by Sylvana zaszła W ciążę, gdy wyznała mu, że jest — jakby to powiedzieć — zaręczona z synem sąsiadów, których pięknie utrzymana posiadłość w Toskanii graniczy z posiadłością jej rodziców. Artur bez słowa skręcił w najbliższą polną drogę, zatrzymał samochód i rzucił się na Sylvanę. A ona z radością legła pod nim, wtedy i jeszcze wiele razy — na tylnych siedzeniach wynajętych samochodów, pod żywopłotami, w winnicy, na dnie motorówki, a nawet raz za piekarnią we wsi. Podniecało ją to, że prawdziwy mężczyzna uczynił z niej prawdziwą kobietę — to nie tak jak z chłopcem. Uważała Artura za wcielenie amerykańskiego wyrafinowania, żywotności i blasku. Znała Amerykę tylko z filmów i reklam zamieszczanych w magazynie „Life”. Kraj ten wydawał jej się olśniewający i odległy jak planeta Mars, tak bardzo różny od zniszczonej wojną Italii, gdzie niezamężna dziewczyna musiała potulnie wypełniać wolę ojca.

Ojciec wypadł jak burza z jadalni. Dobiegł go głos matki: — Przynajmniej mówi, że on jest katolikiem, Tulio. Potem jakiś dziwny lekarz — wcale nie doktor rodziny — zbadał łkającą Sylvanę, a rodzice zamknęli ją w sypialni. Sami kłócili się zażarcie. Służąca z kuchni, Nella, która przynosiła jej posiłki, przekazała Wiadomość Arturowi. Ten, przeczytawszy smutny, pomięty list, uśmiechnął się szeroko i zatelefonował do Pittsburga do swojej matki. .

Nie była zdziwiona. Zdumiało ją tylko to, że tym razem Artur naprawdę zamierzał ożenić się z dziewczyną, której zrobił dziecko. Pani Graham westchnęła i zatelefonowała do „Nexusa”, by zarezerwowali jej miejsce w samolocie do Rzymu. Po osiemnastogodzinnym locie, podczas którego miała dużo czasu na rozważania, doszła do tego co zwykle wniosku, że nie potrafi odwieść swego jedynaka od robienia tego, na co ma ochotę. Pani Graham przesiadła się do kasztanowego Rolls-Roysa myśląc: — Cóż, dobrze, że jest przynajmniej katoliczką.

Gdy już dotarła do wynajmowanego zazwyczaj apartamentu w hotelu Grand, napisała krótkie zaproszenie dla rodziców Sylvany, które doręczono przez posłańca do rozsypującego się Palazzo Cariotto, niedaleko ogrodów Borghese.

Hrabia Cariotto wybrał się sam na spotkanie z tragicznie owdowiałą panią Graham. Miała na sobie granatową suknię od Mainbochera, długi sznur szesnastomilimetrowych pereł (podobalo jej się, że ludziom nigdy nie przyszło do głowy, że perły są prawdziwe) i pierścionek zaręczynowy z dużym diamentem, jakiego hrabia nigdy nie widział na oczy. Złapał się na tym, że podczas ich rozmowy kilkakrotnie zerkał na ów diament. Mówili o nieuchronnie zbliżającym się wydarzeniu z dyplomatycznym taktem. Na koniec zgodzili się, by ich prawnicy przygotowali umowę przedmażeńską — jak sugerowano, Sylvana miała wnieść w ów związek hojne wiano. Hrabia wróciwszy do domu oznajmił żonie, że mogło być gorzej, bo przynajmniej teściowa okazała się damą.

Przyjęcie zaręczynowe odbyło się pewnego wrześnieowego wieczoru pod ugwieżdżonym niebem, na wewnętrznym dziedzińcu Palazzo Cariotto.

Zaraz potem, z zachowaniem wymogów przyzwoitości, odbył się ślub. Hrabina tłumaczyła ów pośpiech swym przyjaciółkom tym, że pan młody ma jakieś interesy do załatwienia. Kobiety kiwały głowami ze zrozumieniem. Po wymyślnej, utrzymanej w rzymsko-katolickim obrządku, ceremonii Sytoana i Artur polecili do Indii, by spędzić tam miodowy miesiąc. Trzydzieści minut po postoju w Karaczi, Sylvana poroniła. Przeszkodziło to w serwowaniu posiłków i korzystaniu z toalety w pierwszej klasie, lecz puszczano muzykę, by zagłuszyć jej jęki. Na lotnisku w Delhi czekał ambulans. Zanim przerzucono ją etapami do Pittsburga, spędziła trzy przygnębiające tygodnie w szpitalu King George.

Przekonała się, że Artur jest nieoceniony w chwilach kryzysu i pokochała go jeszcze mocniej. Artur mówi... Artur myśli... Artur chce, żebym... Artur nalega... — powtarzała matce w coraz częstszych rozmowach telefonicznych. Matka Sylvany, domyślając się, że córkę dręczy nostalgia, wysłała do dworku rodzinnego Artura w Sewickey młodą Nellę, by pomogła Sylvanie zadomowić się w nowym miejscu. Dwa razy w roku Sylvana odwiedzała rodziców i za każdym razem wydawali się jej bardziej niepozorni. Ich włosy przyprószyła siwizna. Szukała więc oparcia i bezpieczeństwa w objęciach Artura, wkrótce okazało się jednak, że owe silne, muskularne ramiona pokryte włoskami jasnobłond, zamiast obejmować — krępują. Odkryła, że może robić tylko to, na co zgadza się Artur.

Teściowa Sylvany wyprowadziła się z angielskiego dworku w Sewickey zanim Artur i jego świeżo poślubiona żona powrócili z Indii. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Filip Johnson wybudował na jej zlecenie podłużny, niski szklany dworek na wzgórzu, i w ten sposób spełniło się jej odwieczne marzenie. Mogła opuścić ponurą, trzydziestopokojową rezydencję o oknach z diamento-

wymi szybkami, przez które słabo przenikało światło. Nie żałowała, że odchodzi od ciężkich rzeźbionych mebli, z których większość pochodziła przypuszczalnie z szesnastego wieku, od wypłowiałych gobelinów, brokatowych obić w brzydkich kolorach i ciemnych welwetowych zasłon.

Gdy Sylvana doszła do siebie po poronieniu, przygotowała plan przemeblowania przygnębiających wnętrz. Pewnego ranka wspomniała Arturowi o swych zamiarach. Przesłał się ubierać i spojrzał na nią ostro, trzymając w jednej ręce krawat, w drugiej spinkę. — To jeden z najlepszych domów w Pensylwanii — wycedził przez zęby — wychowałem się tutaj i nie chcę, żeby ktoś cokolwiek zmieniał. Wolno ci przestawiać meble, jeśli trzeba, ale nie pozwalam ci wprowadzać żadnych zmian.

Sylvana usiłowała zaprotestować, popełniła nawet niewybaczalny błąd, mówiąc, że większość owych drogich mebli to imitacja — a jeśli nie, to są z całą pewnością p o g r u n t o w e j renowacji. Słuchał jej w milczeniu, potem zwróciwszy ku niej niebieskie oczy o lodowatym spojrzeniu, zauważył: — Przynajmniej tego domu nie trzeba utrzymywać za cudze pieniądze.

Większa część pieniędzy Sylwany została „pożyczona” na odrestaurowanie Palazzo Cariotto. Przez tydzień Artur nie przemówił do niej ani słowa. W łóżku traktował ją jak obcą osobę. Pogodzili się, lecz nigdy potem nie było już tak jak dawniej.

I w romansach, które Sylvana uwielbiała czytać, umysł bohatera całkowicie pochłaniała osoba bohaterki. W życiu tymczasem, gdy wygasła namiętność, mężczyzna zawsze stawiał kobietę na drugim miejscu po swojej pracy. Sylvana nigdy nie pogodziła się z faktem, że jej romantyczne marzenia są nierealne. Nawet nie spostrzegła, jak stopniowo wpadała w depresję.

Gdy udało jej się wreszcie donosić ciążę, miała za sobą cztery lata małżeństwa i przez większość owego czasu była chora, dochodziła do siebie po kolejnych poronieniach i znów zachodziła w ciążę.

Artur nie zachwycał się już różowymi, wilgotnymi ustami Sylwany, jego użecie znikło jak poranna mgła, która unosiła się nad jeziorem rozciągającym się u stóp ich posiadłości. Dwanaście wieczorów po urodzeniu ich córki spędziła samotnie. (Artur poradził jej, by odpoczęła.) Trzynastego popołudnia zdała sobie nagle sprawę, że jej mąż na pewno ją zdradza. Swoją nieobecność tłumaczył zawsze pracą w „Nexus Mining International”, firmie, którą założył jego prapradziadek. Gdy dzwoniła do biura wieżowca „Nexus”, dowiadywała się, że Artur jest w fabryce, albo na odwrót. Często wyjeżdżał w delegacje do Nowego Jorku czy Toronto. Był nieosiągalny przez cały dzień, a wieczorem zostawiał w recepcji hotelu informację, by mu nie przeszkadzać.

Choć nie ukrywał braku zainteresowania Sylvaną, dbał o pozory w Pittsburgu. Nigdy nie widziano go z inną kobietą, pojawiał się regularnie z żoną w publicznych miejscach, nalegając przedtem, by ubrała się wytwornie. Zauważono jednak, że małżonkowie siadywali w milczeniu w wyłożonej kremowo-



purpurowym aksamitem łoży w Heinz Hall, w oczekiwaniu na koncert Pittsburskiej Orkiestry Symfonicznej, czy pokaz Pittsburskiego Baletu.

Sylvana spostrzegła, że nie potrafi już przemówić w swojej obronie — nie umiała znaleźć słów. Bała się zapytać Artura o prawdę i bała się, że powie jej to sam. Przerazała ją obawa, że któregoś dnia Artur zażąda rozwodu. I co wtedy? Wpadała w panikę na myśl o tym, że będzie musiała żyć bez męża, że wyślą ją do domu jak odrzut z eksportu i usłyszy od swojego ojca: „A nie mówiłem”. Po nieśmiałych próbach dyskusji z mężem, od których uchylał się notorycznie, Sylvana starała się nie dostrzegać kryzysu w swoim małżeństwie.

Przecież namiętność rfigdy nie trwa dłużej niż dwa lata, nieprawdaż?

W przypadku Artura jednak, namiętności nie zastąpiło przywiązanie. Po prostu lekceważył żonę. Sylvana czuła się coraz bardziej nieważna. Traciła wszelką nadzieję. Obcy uważali ją za osobę o nieokreślonym charakterze, roztargnioną i trzymającą się na uboczu. Przeczuwała, że prawdziwe życie toczy się po drugiej stronie szklanej szyby, nigdy jednak nie potrafiła określić, czy zagląda do akwarium, czy wygląda z niego. Nie zwierzała się nikomu ze swego poniżenia uważając, że stanie się ono nie do zniesienia, gdy wszyscy zaczną jej współczuć.

Zajęła się niemowlęciem, puciołowatą Lorenzą, która puszczała usteczkami bańki i ślinała delikatne ubranka, wyhaftowane dla niej przez włoskie zakonnice. Wszyscy w J«lexusie" wiedzieli, że Artur powrócił do nawyków z czasów kawalerskich i znów korzysta ze swego starego apartamentu w hotelowej nadbudówce. Jednak obudziła się w nim ojcowska duma, gdy tylko ujrzał czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę córki i usłyszał jej krzyk. — Jest podobna do ciebie — orzekła Sylvana i Artur rozpromienił się.

W ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od narodzin Lorenzy, w czteropo-kojowym apartamencie przeznaczonym na żłobek, tym samym w którym wychował się Artur, zmieniono wystrój na bladoróżowy i odtąd Sylvana zrozumiała, że może zażądać wszystkiego, jeśli wytłumaczy to dobrem Lorenzy. Wszystkiego — oprócz pieniędzy.

Artur nie dawał Sylvanie do ręki gotówki. Wszystko było opłacane za nią. Sekretarka płaciła rachunki za przeloty do Rzymu, za kreacje od Valentina, regulowała sumy u Elizabeth Arden w Piątej Alei, gdzie Sylvana kupowała bieliznę Christiana Diora. Nie żeby był skąpy, Jeśli chciała mieć nowy samochód, musiała powiedzieć o tym we wrześniu, kiedy zamawiał nowe modele dla siebie na następny rok. Dzięki szkole matki, Artur umiał świetnie wybrać biżuterię i uwielbiał ją kupować, więc Sylvana miała jej sporo — szmaragdy, perły, szafiry i diamenty (nie rubiny, które uważał za wulgarne). Nie miała tylko własnych pieniędzy.

Wiedział, że gotówka daje wolność. Nawet niewielka jej ilość pozwala na wiele, chociażby na ucieczkę. Artur nie chciał, żeby została, nie chciał również, żeby wyjechała. Jej obecność powstrzymywała jego kochanki od wysuwania

zbyt wygórowanych żądań, gdyż Artur zawsze stawiał sprawę jasno — jest katolikiem i, nie będzie żadnego rozwodu. Tak więc odmówiono jej jedynej rzeczy, dzięki której mogłaby uciec od poniżenia. Była zależna od kaprysów męża i od jego pieniędzy. Jakże mogła go opuścić? Wstydziła się żyć na przegranej pozycji i w końcu poradziła sobie z nieśmiałością i niepokojami, wycofując się zupełnie ze świata.

Grahamowie trzymali w Monte Carlo jacht z dziesięcioma kojami. Zazwyczaj przez cały czerwiec pływali po Morzu Śródziemnym z przyjaciółmi. Pewnej gwiazdzistej nocy wszyscy wyszli na brzeg, by zjeść kolację w restauracji Carlton. Było to w 1968 roku. Artur wypił za dużo whisky po obiedzie. Gdy w świetle księżycy wracali łodzią motorową, popełnił błąd mówiąc Sylvanie, że każdy już wie, że poślubiła go dla pieniędzy.

Sylvana skoczyła na równe nogi, łódź zakołysała się niebezpiecznie, i wykrzyknęła: — Mój ojciec niewiele się pomylił! Patrz, jak mi zależy na twoich pieniądzach!

Zerwała z uszu szmaragdowe kolczyki i wyrzuciła je za burtę.

Zapanowała martwa cisza. Sylvana błyskawicznie zdjęła szmaragdową bransoletkę i cisnęła ją w ciemną otchłań.

Gdy brzęcząca motorówka zbliżała się do jachtu, lizała palec — utyla i pierścionki stały się za ciasne — by ściągnąć zaręczynowy pierścionek z ogromnym szmaragdem. — A za t o ile zapłaciłeś, kochanie? Roześmiała się i wrzuciła klejnot do wody.

Jeden z gości pochwycił Artura, który rzucił się do Sylvany, a marynarz za sterem krzyknął: — Uwaga! Zderzyli się niemal z dziobem innej łodzi. Pierwsza wskoczyła na jacht. Nie zważając na gości, wgramoliła się do swojej kajuty i przekreśliła klucz w zamku.

Trzęsącymi się rękami otworzyła sejf. Musiała wystukać szyfr dwa razy. Ostrożnie wyjęła zieloną kasetkę z marokańskiej skóry i popędziła schodami na pokład.

Unosząc w górę kołnierz z pereł, który niegdyś należał do Katarzyny Wielkiej, wrzasnęła: — A ile to cię kosztowało, Arturze? Rzuciła bezcenną rzecz za burtę — tak daleko jak tylko mogła.

Tym razem dwóch mężczyzn przytrzymało Artura.

— Spokojnie, Arturze... uważaj... weź się w garść.

Do gwiazd poleciał diamentowy naszyjnik i wylądował w odbiciu nieba. — A t o, opłaciło ci się, c a r o? — trzymała w dłoni kilka diamentowych broszek z epoki króla Edwarda.

Z sąsiednich jachtów odezwały się zaspane głosy: Mniej lub bardziej dyplomatycznie proszono o ciszę, a Sylvana dalej, z zadziwiającą szybkością i upodobaniem, wrzucała całą swoją biżuterię do srebrnoczarnego Morza Śródziemnego. Po skończonym dziele ziewnęła, przeciągnęła się i spokojnie poszła do kajuty czując, że stała się lżejsza i pełna radości. Jej poniżenie zniknęło bez śladu jak poranna mgła.

W kajucie zawahała się, lecz zamknęła drzwi na dwa razy. Usiadła na brzegu

łóżka, wyparowała z niej cała wściekłość. Po raz pierwszy poważnie myślała o odejściu od męża, lecz jednocześnie zdała sobie sprawę, że oznacza to również opuszczenie córeczki. Wiedziała, że prawnicy Artura wszelkimi bezdusznymi sposobami — uznanymi przez prawo i słono opłaconymi, wywalczą opiekę nad dzieckiem dla niego.

W końcu zwinęła się w kłębek i bardzo nieszczęśliwa zasnęła. Jej puste życie będzie trwało nadal. Całkiem zapomniała o biżuterii, która leżała teraz w czarnym mule na dnie zatoki.

Do czwartej nad ranem Arturowi udało się zwerbować dwóch nurków. Wytrzeźwiał w oka mgnieniu. Najpierw zatelefonował do swojego maklera w Nowym Jorku (była tam dopiero dziesiąta wieczorem), by sprawdzić jak wygląda ubezpieczenie. Potem obudził szefa przystani i burmistrza Cannes. Przed brzaskiem wokół jachtu dryfował kordon z grubych lin (ciekawscy sądzili, że ktoś utonął). Dwa dni trwało odzyskiwanie klejnotów. Sylvana nigdy więcej nie nosiła owej biżuterii z wyjątkiem pierścionka zaręczynowego ze szmaragdem. Chyba, że na specjalną prośbę Artura. Odziedziczyła po swojej babci sznur wytwornych, choć lekko matowych pereł z szesnastego wieku

i właśnie obracała je teraz w palcach, oświetlona złotawym światłem jesiennego słońca, które wdarło się do biblioteki.

Leżąc na sofie obitej srebrnym brokatem Lorenza przyciągnęła poduszkę i podłożyła ją sobie pod krzyż. Trzymała przed sobą kartkę papieru — listę gości zaproszonych na przyjęcie urodzinowe ojca, na które i ona zjawiała się w domu.

Przeleciała wzrokiem po nazwiskach. — Co za kupa nudziarzy! Czy nie będzie nikogo, kto nie byłby związany z „Nexusem”? — przyjrzała się uważniej liście. — Hej, myślałam, że nigdy już nie zaprosisz Suzy Seksbomby po tym, jak się ostatnio zachowała.

— Twój ojciec nie lubi kiedy używasz takich słów. Każdemu może zdarzyć się wypadek, przecież można wpaść do basenu na przyjęciu.

— Akurat do tej płytszej części. I do tego w białej sukni, bez niczego pod spodem. Nie pamiętasz, jak stała niby Raquel Welch, ociekająca wodą — zupełnie jak w drugorzędnym filmie. Każdy facet rzucił się na pomoc biedactwu.

— Twój ojciec specjalnie prosił mnie, żeby zaprosić Suzy, bo inne żony są dla niej niemiłe.

Lorenza ziewnęła. — Nienawidzą jej za to, że ma charakter. Mają ku temu powód.

— Lorenzo, pamiętaj, ona jest naszą daleką krewną.

— Wyszła za mojego kuzyna. To faktycznie siódma woda po kisielu. — Nagle Lorenza podniosła się.

— Słyszę samochód papy. Wcześniej wraca, prawda?

— Wiedział, że przyjedziesz.

W jego lodowatych, niebieskich oczach było coś takiego co mówiło, że Artur Nimrod Graham sięga po najwyższe zaszczyty. „Nexus” nie należał już

w całości do rodziny, lecz Artur zasłużył sobie na funkcję prezesa gdyż był równie przebiegły, nieugięty i niezastąpiony jak jego przodkowie. Choć jego garnitury szły Huntsman, królewski krawiec z Saville Row w Londynie, to jednak sam Artur pozostał w głębi duszy staroświeckim jankeskim przedsiębiorcą, którego motto rodzinne brzmiało: *z a t r z y m u j e m y t o , c o p o s i a d a m y*. Uważał, że najlepszą formą obrony jest kopanie przeciwnika w czułe miejsce, zanim to zrobi ktoś inny. Wiedział o tym każdy liczący się mieszkaniec Pittsburga. Miał teraz szśćdziesiąt dwa lata, siwe włosy i potężną sylwetkę, choć dbał o linię i kondycję. Wszedł do biblioteki. Zatrzymał się i rozłożył szeroko ramiona na przywitanie Lorenzy.

— Jak się miewa moja mała dziewczynka? Mam nadzieję, że nie jeździsz za szybko. Musisz uważać na mojego wnuka — zaśmiał się cicho. — Jak Andrzej? Mam nadzieję, że dobrze się opiekuje moją małą.

Artur nie był świadomy, że jego jowialność obraca się przeciwko niemu. Trzymał przecież w ramionach jedyną osobę, którą kochał. Nie uważał, że była ideałem, przeciwnie — sądził, że jest zbyt roztrzepana. Lecz jego córka była pełna energii. Zgadzał się, że nie jest piękna, choć trzeba przyznać, miała nieodparty wdzięk — jasnoniebieskie oczy i małe śnieżnobiałe zęby, które pokazywała w zaraźliwym uśmiechu, jakby osoba z którą właśnie rozmawia była najważniejsza na świecie, jakby ufała jej całkowicie i wprowadzała w swoje tajemnice.

Kiedy stała obok niego, ubrana w suknię ślubną z koronek brukselskich, w oczekiwaniu na pierwsze dźwięki „Marsza weselnego”, ojciec odwrócił się i powiedział:

— Nie zapomnij kochanie, że jeśli kiedykolwiek będziesz miała jakieś problemy, o których nie będziesz chciała rozmawiać z Andrzejem, powiesz o nich swemu papie. Andrzejowi nigdy nie pokazuj, że jesteś od niego zależna.

— A dlaczego nie miałabym być od niego zależna?

— Dlatego, że przestaniesz wierzyć w siebie, moje kochanie. Czarującym gestem Lorenza podniosła welon z twarzy i pocałowała ojca w czubek nosa. — Kochany papcio, niepotrzebnie się martwisz.

Po ceremonii Artur wziął swego zięcia na bok i przyjaźnie poprosił: — Teraz ty będziesz się nią opiekował. Rób to dobrze. — Lecz jego oczy dodały zimno: — Bo inaczej skręcę ci kark.

— Ja też ją kocham, sir — Andrzej uśmiechnął się uprzejmie. — Może ją pan mieć co drugi weekend — szepnął do siebie, gdy Lorenza ciągnęła go przez deszcz płatków różanych na płytę domowego lotniska, gdzie czekał helikopter „Nexusa”, by przewieźć ich do portu lotniczego, skąd odlatywali na Beile Reve, wyspę „Nexusa” na Karaibach.

Sylvana machając za oddalającym się helikopterem, uśmiechała się po macierzyńsku, lecz czuła się opuszczona i zapomniana. I czuje się tak do dziś.

— Gdzie jestem? Kim jest ten mężczyzna w łóżku obok mnie? — serce jej swało. Była spocona, oddychała ciężko i czuła mdłości. Obok Anny, w perłowym świetle świtu, leżał jej własny mąż. Mamrotał coś przez sen. Anna dotknęła jego ciepłych pleców, by się pocieszyć. Oczywiście. Była we własnym łóżku, we własnym domu i przy niej leżał Duke.

Dlaczego obudziła się w popłochu?

Nagle przypomniała sobie, że dziś wieczorem odbędzie się przyjęcie urodzinowe Artura. W słabym świetle poranka ledwo dostrzegła zegar. Budzik zadzwoni dopiero za godzinę. Obok szklanki z wodą i „Time'a”, którego czytała od deski do deski, by być na czasie, stało kolorowe zdjęcie całej rodziny oprawione w srebrne ramki. Zrobiono je na ślubie Lorenzy. Gdyby fotograf przeznaczył na nie dwie godziny, a nie dwie minuty, to z pewnością nie uzyskałby lepszego portretu amerykańskiej rodziny w komplecie. Anna, w niebieskim jedwabiu, stała pośrodku, zasłaniając widoczek morski zawieszony na ścianie domu Sylvany, malowany ręką Corota. Jej lewa dłoń spoczęła na ramieniu czternastoletniego Roba, najinteligentniejszego i najbardziej krzykliwego spośród jej czterech synów. Po lewej stronie Roba — masywny, ogorzały i budzący zaufanie — stał mąż Anny, Duke. Uważała, że wygląda jak John Wayne w latach swej świetności, tylko nie był tak wysoki i oczywiście Duke więcej ważył. Anna zginęłaby bez męża, bo to on troszczył się o wszystko. Nie wiedziała nawet gdzie leżą świadectwa ubezpieczeniowe domu. I nie chciała wiedzieć, miała dosyć wypełniania dokumentów, gdy była sekretarką Duke'a. Ich dom był wdzięcznym, powojennym dworkiem, otoczonym podcieniami. Duke otrzymał go jako prezent ślubny od rodziców. Nie pasował zupełnie do hałaśliwego trybu życia, jaki prowadzili jego mieszkańcy.

Na fotografii, obok Duke'a, uśmiechał się Fred, najstarszy z czterech chłopców. Nigdy nie wyglądał porządnie w garniturze, niech mu Bóg wybaczy. Fred był matematykiem, kończył studia na Uniwersytecie w Pensylwanii i wciąż, dzięki Bogu, mieszkał w domu. Anna obawiała się dnia, kiedy wszyscy jej synowie odejdą, a jej nie pozostanie nic prócz opróżniania popielniczek w pustym salonie. W prawym rogu fotografii, przed jednym z pianin Sylvany, stał Bill, bez uśmiechu na twarzy, z rękami w kieszeniach. Bill, Romeo rodziny, chodził jeszcze do college'u. Dziewczyny szalały za nim — Anna i Duke musieli podłączyć mu własny telefon, gdy miał czternaście lat. Obok Billa ustawił się Dave, dziesięcioletni, najprzystojniejszy z całej czwórki, choć oczywiście wszyscy byli na swój sposób atrakcyjni. Patrząc na synów, Anna pomyślała, że przynajmniej to jej się udało. Duke nie pragnął niczego więcej niż czterech chłopców — tak naprawdę, często zachowywali się jak bracia. Przypomniało się jej, że trzeba znów naprawić poręcz...

Mieli tradycje futbolowe w rodzinie, o czym mógł zaświadczyć miejscowy szklarz. Na tyłach podwórka urządzili boisko do gry w baseballa, ich basen miał porządną zjeżdżalnię, a w sali balowej zainstalowano obręcz do koszykówki, choć wykorzystywano owo pomieszczenie głównie do gry w tenisa stołowego.

Jeśli synowie Anny nie byli zajęci jazdą konną, treningiem czy grą — kibicowali: „Piratom”, „Żelaznym Rękawicom”, „Pingwinom”. Rozmowa przy obiedzie toczyła się zazwyczaj wokół tego, co się nie zdarzyło, a powinno, podczas ostatniego meczu, albo wokół tego, co musi nastąpić w następnym.

Anna zamierzała nakarmić ich wcześniej niż zwykle, pokojówka miała wolny wieczór, a Anna nie chciała, by dziewczyna z kimś się zamieniała. Nie miało to żadnego znaczenia. Zdąży, zanim się ubierze do wyjścia, przygotować hot dogi i hamburgery. Chłopcom nie zrobi różnicy, że raz zamiast obiadu zjedzą przekąski.

Na myśl o przyjęciu wpadła w panikę. Czuła się tak, jakby ktoś ścisnął jej głowę. Brakowało jej tchu. Miała nadzieję, że tym razem niczego nie upuści na ziemię. Na ostatnim bankiecie u Sylvany, na tym, na którym biedna Suzy zniszczyła sobie białą suknię w basenie, kanapka po prostu w y ś l i z n ę ł a s i ę jej z dłoni i sos serowy pociekł na wieczorowy strój z białej satyny. Miała nadzieję, że dziś wieczorem nie zrobi z siebie głupiej. Lecz jeśli nic nie będzie mówiła, Duke rzuci jej znaczące spojrzenie, i jeśli potulnie wydusi z siebie kilka słów, to — pomimo „Time'a” — ludzie jak zawsze popatrzą na nią ze zdziwieniem. Więc zacznie się pocić pod pachami, fryzura straci kształt i Anna prędko zniknie w łazience. Lecz liczba takich zniknięć i długość ich trwania będą ograniczone. A i tak Duke będzie robić jej wyrzuty przez całą drogę do domu: — Na litość boską, znasz tych ludzi od lat. W y c h o w a ł a ś s i ę t u! Gadasz godzinami przez telefon, a potem nie potrafisz wykrztusić słowa na przyjęciu, i to przed moimi kolegami.

Wiedziała, że Duke pragnął, by była lepszą panią domu i czuła, że pomogłoby mu to w karierze, lecz nie śmiała nawet spróbować.

Zapominała albo myliła nazwiska gości. Nigdy nie umiała stać opanowana i pełna wdzięku na progu własnego salonu, mówiąc jednocześnie jedno czarujące (i-inne za każdym razem) zdanie po kolei do dwunastu osób, tak jak to potrafiła Sylvana.

Przy niej Anna czuła się zaniedbana i niezgrabna. Sylvana była zawsze taka elegancka i daleka, a jej dom wypełniony kwiatami wyglądał tak, jakby w każdej chwili spodziewała się wizyty fotografów z magazynu „House and Garden”. Oczywiście Sylvanie pomagało dużo osób, ale czy jej nie?

Rodzina pochłaniała Annie cały czas. Zupełnie nie wiedziała jak inne kobiety znajdowały całe godziny, by zajmować się rzeczami, które nie mają nic wspólnego ze zbiórką pieniędzy na cele charytatywne czy haftowaniem narzutek na krzesła do sali jadalnej.

Haftowane poduszki i kwiaty w kościele nie należały do kręgu zainteresowań współników Duke'a. Czasami, po jakimś przyjęciu, mąż Anny tylko wzdychał i w milczeniu odjeżdżali do Fox Chapel. Od czasu do czasu Anna nieśmiało wtrącała, że jest jej przykro, ale wtedy Duke ryczał na nią: — Na litość boską, przestań przeproszać! Po czym Anna siedząc obok niego, chciała skurczyć się tak jak tylko mogła i zastanawiała się, czy nie zapisać się na jakąś terapię. Duke sugerował jej to już wcześniej.

Nie potrafiła pozbyć się uczucia winy i przymusu przeproszenia Duke'a, bo to nie on ją wybrał, to los zdecydował za niego. Ojciec Anny był kierownikiem zarządu spółki „Nexus” i wysłał córkę, gdy skończyła średnią szkołę, na kurs sekretarek u pani Parker, potem wykorzystał swoje kontakty i załatwił jej pracę w „Nexusie”, by miała jakieś zajęcie zanim wyjdzie za ma/.

Została tymczasową sekretarką Duke'a, na jedno lato. Przez pierwsze kilka tygodni wzbudzał w niej nie malejący strach. Patrzyła na niego jego oczami, z taką samą pewnością siebie. Rzuciła się, by dyktować jej listy, napełniała wodą karafkę, sprawdzała biurową butelkę „Wild Turkey” i pragnąc za wszelką cenę zadowolić go, przewidywała naprzód jego potrzeby — do tego stopnia, że gdy pewnej nocy pracowali do późna, Duke nie zdziwił się, gdy znalazł się na dywanie w biurze, zginając plecy w pałąk nad ową śliczną rudowłosą małą. Nie miał pojęcia, że był to jej pierwszy raz. Kilka tygodni później, bledsza niż zwykle, powiedziała mu, że będą mieli kłopot. Cóż, jeśli miało się taki kłopot w 1952 roku w Pittsburgu, żeniło się, szczególnie gdy ojciec dziewczyny był szefem.

Ciepły kształt obok Anny mruczał przez sen i odwrócił się, zrzucając na podłogę pikowaną kołdrę. Anna ostrożnie wyśliznęła się z łóżka i na palcach obesła je, by podnieść przykrycie i zarzucić z powrotem na ramiona Duke'a. Była z niego dumna. Gdyby tylko miał o dziesięć lat mniej, przejąłby firmę po Arturze. Sprawa nie ulegała wątpliwości. Nawet gdyby nie starał się o tę posesję.

Musiała przyznać jedno. Duke n i e potrafił przegrywać — porażka doprowadzała go do szału, a jego irlandzki temperament wybuchał jak wulkan. Oczywiście nigdy nie dotknął Anny nawet palcem — cóż, prawie nigdy, jeśli nie liczyć owego razu, kiedy zapomniała nagrać na video meczu rewanżowego „Piratów”, lecz wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego co robi, dopóki nie zobaczył na drugi dzień siniaków na jej ramieniu. Chłopcy trzymali się z daleka, gdy ojciec wpadał w zły humor. Wiedzieli, jak to się zaczyna i prędko znikali, choć jemu zawsze potem było przykro. Cała rodzina wiedziała, że pewne tematy, od komun aż po wyzwolenie homoseksualistów, kończą na złych stopniach w szkole, wywoływały gniew ojca. Anna pilnowała więc, by nie pojawiały się w rozmowie, a jeśli już ktoś je poruszył, próbowała ułagodzić Duke'a tym, że całkowicie się z nim zgadzała.

Poznawali w jakim jest humorze po sposobie zamykania drzwi wejściowych, gdy wracał wieczorem z pracy. Siła uderzenia działała jak barometr. Przeżyła ciężkie czasy, kilka lat po ślubie, gdy Duke miał otrzymać promocję. Co wieczór, gdy wracał do domu, miała kłopot z oddychaniem, potem wpadała w panikę. Kładła dzieciaki wcześniej do łóżka, a sama sprawdzała, czy gdzieś nie leżą wrotki albo kije baseballowe, o które mógłby się potknąć — bo gdyby się potknął i upadł — wtedy czekałaby z bijącym sercem i skurczonym żołądkiem na huragan. Zawsze szła następnego dnia do kościoła, tam się uspokajała i przestawała obwiniać o to, że nie potrafiła powstrzymać jego gniewu.

Chłopcy nigdy nie rozmawiali z nią na temat temperamentu ojca. Wyrosli razem z nim, więc przyjmowali go jako część swego życia. Wszyscy czterej po cichu wstydziła się owych napadów i uciekali z domu, gdy drzwi frontowe trzaskały z hukiem. Anna również wstydziła się za męża. Nigdy z nikim nie rozmawiała o strasznym charakterze Duke'a, z wyjątkiem swej matki, która wzdychając mówiła, że większość mężczyzn nie zdaje sobie sprawy, że są tchórzami znęcającymi się nad słabszymi i że kobiety muszą z tym wytrzymać... Duke przynajmniej dobrze dbał o dom. Był teraz ważnym szefem, a stanowisko wiceprezesa zarządu spółki do spraw kontaktów z zagranicznymi filiami „Nexusa” to nie była jaka odpowiedzialność. Duke machnął przez sen ramieniem i jeszcze raz zrzucił kołdrę. Znow wyśliznęła się z łóżka i podniosła ją, owijając wokół jego ramion. Niechcący potrąciła nocny stolik. Jedna ze srebrnych ramek spadła na dywan. Podniosła ją i spojrzała na fotografię rudowłosej, uśmiechniętej narciarki w bładoniebieskim kostiumie, mknącej obok słupków slalomowych. Zdjęcie to wykonał Harry niedługo po tym, jak przyłączył się do „Nexusa”, na rok przed ślubem Anny i Duke'a. Zobaczy się z nim w przyszłym tygodniu. Nic nie mogła poradzić na to, że czuła się zdenerwowana. Mimo upływu lat Harry stawał się coraz większym problemem. Idąc na palcach do łóżka, Anna ujrzała swoje odbicie w dużym lustrze. W upiornym świetle wczesnego poranka wyglądała blado, lecz ładnie. Nie była ani bezbarwna ani wychudzona. Nie miała wystających obojczyków. Jej białe, pokryte piegami ramiona oprószał delikatny, złotawy puch, niegdyś rude włosy zmieniły kolor na złoty, nie miały już wypłowiałego odcienia imbiru. Lecz kiedy wstało słońce, nappełniając blaskiem sypialnię, Anna zobaczyła wyraźnie swe niezbyt pociągające odbicie w lustrze i po raz pierwszy poczuła się niepewnie, myśląc o tym, co zaplanowała na dzisiaj. Ponad trzy kilometry dalej, inna kobieta patrzyła na wskazówki zegara zbliżające się do godziny szóstej. Przez okno sączyło się miękkie światło. Myśląc o przyjęciu Artura, Patty bezwiednie obgryzała paznokcie aż do żywego ciała. Wyśliznęła się z łóżka uważając, by nie obudzić męża. Charley był wiceprezesem Departamentu Prawa i grupy doradców w „Nexusie”. Prędko włożyła granatowy dres i na palcach zeszła na dół, gdyż Stefan, ich syn, miał spać jeszcze przez godzinę. Otworzyła masywne, dębowe drzwi wejściowe, bogato zdobione różnymi kołatkami, gwoździami z szeroką ozdobną główką i fragmentami żelaznej konstrukcji, która wyglądała jakby wykonali ją pierwsi osadnicy. Stanowiła brzydki kontrast z trzema nowoczesnymi chromowanymi zamkami, założonymi w obawie przed włamaniem. Tylko początek dnia należał wyłącznie do Patty. Zmierzyła sobie puls i zaczęła rozgrzewkę.



Biegąc powoli pustymi ulicami, mijając jeden za drugim czysto utrzymany klomb obsiany trawą i klony, które zmieniały kolor liści na jesienny odcień szarej renety. Żałowała, że nie kupiła przynajmniej nowej sukni na przyjęcie. Potrzebowali teraz każdego pensa by spłacić kredyt, a z oszczędzaniem jest tak jak z dietą — nie wolno pozwolić sobie na cokolwiek „ostatni raz”. Niemniej jednak żona przyszedłszy szefa „Nexusa” ma do odegrania rolę podobną do roli żony ambasadora, a wytworny strój należy do jej obowiązków. Skręcając za pierwszym rogim, Patty zastanawiała się, czy Sylvana dostaje od firmy fundusze na zakup oficjalnych ubrań, szczególnie tych od Valentino.

Przyspieszyła. Najgorsze jest zwykle pierwsze pięć minut. Potem łapie się rytm i łatwiej biec. Lubiła fartlek, czyli ciągły bieg ze zmianą tempa — raz szybko, potem wolno i wreszcie normalnie. To niezła technika dla długodystansowców... A niech to, dlaczego nie kupiła nowej kreacji — powinna zrobić wszystko, by pomóc Charley'owi awansować. Wszyscy uważają jej męża za najlepszego doradcę jakiego kiedykolwiek miał „Nexus”. Po przekroczeniu czterdziestego piątego roku życia był odpowiednim kandydatem — będzie miał czterdzieści osiem lat, gdy Artur skończy wprowadzać go w tajniki posady, a sam odejdzie na emeryturę. Zostanie mu czternaście lat pracy zanim nadejdzie jego kolej, by wyznaczyć swego następcę.

Oczywiście Artur nie znosił nawet myśli o tym, żeby ktoś inny — jak mówił — przejął ster, ale wszyscy wiedzieli, że zarząd wywierał na niego presję, by zdecydował się do końca tego roku. Niewątpliwie podróż na Paui będzie decydująca, chyba że Artur chce wprowadzić kogoś z zewnątrz, ale to raczej nie wchodziło w grę.

Patty zerknęła na zegarek. Czas zwolnić.

Lepiej, żeby nie piła kawy na śniadanie, nie przy jej wrażliwym żołądku. Nie chciała źle się czuć na przyjęciu. Odwoła popołudniowe ćwiczenia w czytaniu ze Stefanem i zamiast tego pomedytuje trochę. Natychmiast poczuła się winna, lecz odsunęła od siebie tę myśl. Dziś wieczorem ważniejsze było to, by zachowywać się jak idealna żona prezesa. I na Boga, gdy nadejdzie jej kolej będzie się lepiej starała niż ta zasmarkana, napuszona Sylvana. Ta kobieta nie poniżała się do rozmów ze zwykłymi śmiertelnikami tylko dlatego, że wychowała się w pałacu. Dziwne, wydobywała z siebie dwa, trzy słowa i wdzięczny uśmiech, bo tego wymagała etykieta firmy, ale nigdy jej nie zależało na „Nexusie”. Patty zamierzała ujawnić swe z a i n-t e r e s o w a n i e spółką. Oczywiście nie będzie się wtrącać, ale postara się pomóc jak może. Charley musi przecież mieć kogoś z kim pomówi, gdy wróci do domu. Kogoś, kto go wesprze, kto zrozumie jak stresującą ma pracę, i jeszcze będzie się nią interesował, kogoś, kto pomoże mu i udźwignąć tak wielką odpowiedzialność, ale też zachować właściwe proporcje. Bo Charley nigdy nie może zapomnieć, że ma zobowiązania wobec syna. Oboje dzielili się tą odpowiedzialnością (doktor Beck ostrzegł ją, by nigdy nie nazywała tego w i n a).

Party sprawdziła rytm serca — biło nieco szybciej niż zawsze. Teraz pobiegnie już powoli.

Cóż, może nie będą pisali o jej kreacji, ale przynajmniej miała lepszą figurę niż Sylyana. Dobrze jej tak za to, że opycha się włoskimi makaronami. Chyba dlatego jest wierna temu starymu lubieżnikowi Arturowi, bo nie odważyłaby się pokazać kochankowi nago.

Patty biegła obok eleganckich kolumn w stylu korynckim wspierających kolejny dom. Minęło właśnie pół godziny po szóstej, a już dwaj potężni, rośli synowie Anny kopali wokół klombu przed frontem domu. Patty nie wstawiała szyb w oknach, gdyby miała takich czterech osiłków. Anna nie nauczyła ich dyscypliny, więc naśladowali hałaśliwy, ekstrawertyczny sposób bycia Duke'a. Znała Annę od ośmiu lat i widziała, że traktują ją jak kuchnię czy dziewczynę na posyłki. Była to także wina Anny. Zachowywała się jak słomianka, więc nic dziwnego, że deptali po niej. Miała problemy ze sobą. Wiecznie za coś przepraszała, martwiła się zawodowo. CZY WYŁĄCZYŁAM ŚWIATŁO? — wryją na jej grobie. Choć Patty zmuszona była przyznać, że praca „gospodyni domowej”, „jak to zwykle określała Anna, w t e j rodzinie była prawdopodobnie równoznaczna z pełnym etatem.

Patty dobiegła do wyznaczonego przez siebie punktu i zawróciła do domu. Biegając normalnym tempem mijala innych ludzi, uprawiających jogging i tylko nieliczni zwalczyli pokusę zerknięcia na nią. Była prawie idealnym przykładem istoty ludzkiej. Jej wysoka, szczupła i atletyczna sylwetka promieniała wdziękiem, którego nie mieli nawet wytrawni biegacze. Jej profil przypominał charta, czekającego w napięciu aż otworzą mu drzwiczki klatki, jej proste włosy były obcięte jak u chłopaka, z przedziałkiem, jasne brwi tworzyły prostą linię nad wąskim, eleganckim nosem. Krótsza górna warga i szerokie usta o rzeźbionym zarysie mogłyby wyjść spod dłuta Michała Anioła.

Patty urodziła się w Kalifornii, a wychowała na Tiburonie — małym półwyspie wchodzącym do zatoki San Francisco, z pięknym widokiem na Alkatraz. Zaczęła uprawiać jogging podczas studiów na Stanfordzie. Biegała dookoła brudnych różowo-brązowych budynków w stylu hiszpańskim codziennie rano przed zajęciami, gdy inni jeszcze spali albo ziewali zaspani; Żeby dostać się na Stanford nie trzeba było wcale być bogatym, wystarczyło być bystrym. Patty była dobrą studentką, gdyż miała fotograficzną pamięć. Brakowało jej jednak cierpliwości, nie umiała się skoncentrować, więc przechodziła na łatwiznę. Przyjęła w naturalny sposób medytację transcendentálną i inne panujące wówczas mody. Charley Odmówił uczestnictwa w jej eksperymentach filozoficznych i zanim przyjął stanowisko w „Nexusie” zmusił ją, by obiecała mu, że nie będzie opowiadała o swoich eksperymentach. Charley uwielbiał Patty i nic widział w niej żadnej skazy, z wyjątkiem owego niezdrowego entuzjazmu dla dziwactw.

Ironią losu, Patty, uosobienie ideału, ten opalony na brąz orzeszek, urodziła

niemowlę z rozszczepieniem kręgosłupa. Nie było na to lekarstwa, a dziecko wymagało niewyczerpanej cierpliwości: Mózg Stefana funkcjonował normalnie — okazało się nawet, że wyrósł na niezwykle inteligentnego chłopca, to z kolei jeszcze bardziej przynębiało go ze względu na stan fizyczny. Miał zdeformowane i niesprawne kończyny. Do końca życia musiał pozostać bezbronny. Doktor Beck powiedział im, iż nie ma powodu dla którego Stefan nie miałby wyrosnąć na mężczyznę i nie prowadzić pożytecznego życia, lecz nie istniały szanse na to, że kiedykolwiek będzie normalny.

Charley zachował się wspaniale. Przytulili się do siebie w małym szpitalnym pokoju, pachnącym kwiatem wiśni i prymulką, a Charley zapewnił Patty, że nie powinni czuć się winni, zwłaszcza że choroba występowała u półtora procenta noworodków.

Ściskając swoje niemowlę, Patty nie zgodziła się, by umieszczono je w domu specjalnej troski. Charley nawet nie zdążył przedstawić jej zalet tego wyjścia. Stefan był i c h dzieckiem. Jego śliczna twarzyczka i łagodne, niebieskie oczki zwróciły się do niej z ufnością. W jednej chwili zdecydowała, że jedynym domem jej dziecka będzie mieszkanie jego rodziców. Spłodzili go i wydali na świat, i jedyne co mogli teraz uczynić, to się nim opiekować.

Od ośmiu lat, od chwili jego urodzenia, Patty dbała o dziecko nieustannie, bez końca płacili rachunki za leki. Trudno im było, z powodu pokaźnych wydatków, założyć fundusz powierniczy, dzięki któremu Stefan miałby zapewnioną przyszłość. Było mało prawdopodobne, choć możliwe, że chłopiec przeżyje rodziców. Oczywiście oboje, Patty i Charley, ubezpieczyli się na życie, ale zdecydowali się wykorzystać składkę w wypadku, gdyby ich syn potrzebował dużej sumy pieniędzy wcześniej. Poza tym były też ulgi podatkowe.

Dysząc lekko, zakręciła za ostatnim rogiem. Zobaczyła swoją gospodynię Judy, która właśnie zatrzymywała samochód na parkingu.

Było chwilę po wyjściu nocnej pielęgniarki. Kilka minut potem Patty ujrzała swój dom w stylu Tudorów z diamentowymi szybkami i potężnymi drzwiami frontowymi. Zanim poda Stefanowi śniadanie, zdąży jeszcze wziąć prysznic.

Idąc po żwirze zwolniła, ściągnęła z włosów granatową opaskę i sprawdziła puls. Zrobiła dzisiaj postępy. Nie znosiła kobiet, które traciły linię, potem wpadały w panikę i gdy tylko przekroczyły trzydziestkę pędziły na operację plastyczną. Ona chciała zachować dobrą formę.

Patty nie musiała mieć nowej kreacji by ukryć swoje ciało — choć trzeba przyznać, że Suzy też miała niezłe kształty. Ta dziewczka nigdy nie robiła żadnych ćwiczeń! Na pewno ubierze się w coś nowego. Suzy zawsze ubierała się w coś nowego. Swoją czas i pieniądze wydawała wyłącznie na siebie. Patty nie straciłaby całego dnia u fryzjerki, manikiurzystki, masażysty, w salonie z solarium i tak dalej — ale cóż, Suzy robiła karierę na swoim wyglądzie.

Patty zatrzymała się nagle wstrząśnięta przykrą myślą. Nie, Charley nigdy więcej nie spojrzy na inną kobietę. Ale może jednak dziś wypije tylko jedną filiżankę kawy na śniadanie. Oczywiście bez cukru i bez śmietanki.

## **PIĄTEK, 26 PAŹDZIERNIKA 1984**

2

— Przykro mi, panie Douglas, ale pani Douglas jest teraz na konferencji — głos sekretarki w telefonie brzmiał jak głos małej dziewczynki.

— Czy może pani wejść na palcach do jej biura i zapytać, czy n a p r a w d ę muszę być na przyjęciu dziś wieczorem. Coś mi wypadło w biurze.

— Przykro mi, nie wolno przerywać spotkania. Ale to przyjęcie urodzinowe pana Grahama, panie Douglas. Nie sądzę, by...

Roddy westchnął. — Dobrze, już dobrze, odkurzę swoje buty do tańca. Ale może powinna pani przypomnieć pani Douglas, że chociaż to tylko trzy wieżowce stąd, spóźni się na przyjęcie, jeśli nie wyjedzie za chwilę. Zazwyczaj o tej porze jest już w domu.

— Pani Douglas nigdy się nie spóźnia, panie Douglas.

Sekretarka miała rację. Zegarek Izabeli spieszył się zawsze o dziesięć minut. Roddy odłożył czerwoną słuchawkę i wyjrzał przez okno nadbudówki na malowniczy widok — rzekę i rdzawe, zalesione wzgórza. Znów zerknął na zegarek — Rolex Oyster, ątalowego koloru, wodoodporny, automatyczny — na stalowej bransoletce. Dostał go na ósiemnaste urodziny od rodziców w 1965 roku i nigdy nie zgodził się nosić innego.

Nie zauważył powrotu Izabeli. Stała w progu pokoju, myśląc o tym, że Roddy prezentuje się wspaniale w smokingu. *G* z „Nexusa” wyglądają przy nim jak pingwiny. Mógłby być włoską gwiazdą filmową — wysoki i gibki, z kręconymi, ciemnymi włosami i piwnymi, patrzącymi przyjacielsko zza drucianych okularów oczami. Był również w świetnej formie. W zeszłym roku wygrał mistrzostwa w squashu zorganizowane przez „Estern Division”. Izabela była szczęśliwa, że ma takiego męża. Opiekował się nią i był z niej dumny, nie tak jak większość mężczyzn oburzonych tym, że kobieta odniosła sukces. Izabela stoczyła zażartą gorzką walkę o posadę Najważniejszego Doradcy do Spraw Rozwoju „Nexusa” — tak się to nazywało, choć w rzeczywistości przeczesywała rynek w poszukiwaniu akwizycji

i dodatkowych korzyści. Weszła do sekcji spółki zajmującej się marketingiem zaraz po skończeniu Harvard Business School i już po trzech latach przeniesiono ją do działu zarządzania funduszem firmy, potem pełniła rolę asystentki doradcy d/s rozwoju. Jej szef miał wkrótce poważną konkurentkę. Nie oszukiwała siebie, że awansowała dlatego, że zdobyła nad nim przewagę. Jej promocja wiązała się z tym, że „Nexus” potrzebował dynamicznej kobiety w zarządzie, choć nigdy się do tego nie przyznawano.

Po miesiącu jej pracy w firmie, Roddy zrozumiał, że Izabela pragnie zostać prezesem „Nexusa”. Nigdy się z niej nie śmiał, choć przekomarzał się z nią za jej notatki, listy bez końca i stertę raportów, leżących przy łóżku. Doceniała zachowanie Roddy'ego — on sam kochał swoją pracę, kierował łańcuchem lokalnych punktów sprzedaży książek.

Izabela podeszła do sofy, na której leżał Roddy i powiedziała z dumą: — Podpisaliśmy b a r d z o korzystną umowę dotyczącą projektu Kolumba. Teraz mogę ci już o tym powiedzieć.

Jej ciemnoniebieskie oczy płonęły. Była drobna. Nosiła krótką fryzurę. Cztery razy w roku fryzjerka przychodziła do domu, by obciąć jej gęste, ciemne włosy.

Roddy zerknął na nią i pocałował ją teatralnym gestem. — To cudownie. Nic dziwnego, że spóźniłaś się o siedem minut. Już miałem dzwonić do szpitala.

Wzięła prysznic i ubierając się, opowiadała mu o umowie, potem spytała, jak mu minął dzień.

— Na sprawdzaniu zamówień na jesień. Posłuchaj tego. Roddy oparł się o drzwi do sypialni i przeczytał na głos fragment z katalogu książek. „Od mężczyzny, tak bogatego, że nie jest w stanie zliczyć ile posiada, aż po złą lisicę, która przyrzekła, że zdobędzie głowę człowieka”. Zgadnij tytuł.

— Nowa książka Harolda Robinsona?

— Nie, to Biblia, wchodzimy w nową erę. Choć trzeba przyznać, że ten rynek rozwija się nieźle, w zeszłym roku zarobiliśmy na sprzedaży ponad sto dziesięć milionów dolarów.

Roześmiała się, wkładając kremową suknię z jedwabiu i dżerseju. Kreacja miała tylko jeden rękaw, drugie ramię było odkryte. Wybrała kremowy zamiast białego.

— Roddy, mógłbyś przynieść mi trochę wody Perrier, chcę sobie zrobić makijaż.

Szedł w kierunku kuchni, gdy zadzwonił telefon. Izabela jak automat podniosła słuchawkę w sypialni.

— J a k a Leonora?... Rozmowa o handlu?... Jak się czuję, dowiedziawszy się o c z y m...? Och, jestem zachwycona, oczywiście... Tak, oczywiście, że się cieszę... już go daję.

Roddy zdążył już podnieść słuchawkę w kuchni. Izabela w ułamku sekundy zrozumiała, dlaczego Roddy nie powiedział jej, że awansował. Oznaczało to, że będą musieli przenieść się do Minneapolis.

Wrócił do sypialni. — Przepraszam, nie chciałem ci o tym mówić zanim nie znajdziemy więcej czasu. Nie mam zielonego pojęcia skąd Leonora tak szybko się o tym dowiedziała.

— Kochanie, jestem zachwycona. Oczywiście, przykro mi, że nie rozmawialiśmy zanim podjąłeś decyzję, ale przynajmniej będziemy pracowali w tej samej strefie czasowej.

Roddy był przygotowany na taką reakcją, nie spodziewał się jednak ataku po pierwszych trzydziestu sekundach. Odezwał się jakby od niechcenia: — Będziemy w tym samym m i e ś c i e , Izabelo. Teraz moja kolej.

— Nie mogę w żadnym wypadku wyjechać z Pittsburga i ty o tym wiesz!

Jeśli chcesz mieszkać w Minneapolis, to weź pokój w hotelu i będziesz wracał na weekendy do domu.

\_Nigdy jeszcze nie spotkałem takiego samoluba!

— Nie krzycz na mnie. Czy jestem samolubna, bo nie chcę porzucić swojej pracy? — Wiedziała, co teraz nastąpi.

— Kopcuszk, masz trzydzieści siedem lat, a czas leci. Chcę dzieciaki zanim będę nosił podwójne szkła, by je zobaczyć.

— Kiedy zgodziłam się rzucić pracę po trzydziestce, nie wiedzieliśmy, że tak mi świetnie pójdzie. '

— Mnie też świetnie idzie. Patrzyli na siebie.

Wreszcie Izabela poddała się. — Może jedno. Wzięłabym wtedy tylko kilka miesięcy urlopu.

— Rozmawialiśmy już o tym. Chcę mieć co najmniej dwoje dzieci i chcę, żeby miały normalną matkę, a nie organizatorkę posiedzeń zarządu. Widziałem już, jak inne kobiety próbują uprawiać żonglerkę dziećmi, mężem i pracą, mówię ci, to niemożliwe. Tylko dwie rzeczy robisz dobrze. Większość kobiet...

— Większość kobiet nie zdaje sobie sprawy, że mogą wybierać, aż jest już za późno.

— Kiedy się pobraliśmy...

— Kiedy się pobraliśmy, nie było problemu z syndromem pustego gniazda. Nie zamierzam zrezygnować z ciekawej pracy, z możliwości wspaniałego rozwoju w przyszłości tylko po to, by wychować kilka bachorów, które w wieku szesnastu lat opuszczą dom, nie oglądając się za siebie.

— Mnóstwo kobiet wraca później do zawodu.

— Nie po pięćdziesiątce, i nie na moim stanowisku. Prosisz mnie, bym zrezygnowała z własnego życia.

Izabela wpatrywała się w męża uważnie i nagle wybuchnęła, mówiąc coś czego jeszcze od niej nie słyszał.

— Roddy, ja nie chcę mieć dzieci. Kiedyś myślałam, że chcę, ale teraz wiem, że nie.

— Ale ja chcę. A ty się zgodziłaś i nie mogę urodzić ich za ciebie. Wiedziała, że spóźnią się na przyjęcie.

Carey została dłużej w biurze, gdyż plany poprawek projektu domku nad jeziorem dla Silvermana musiały być gotowe na rano.

Najtrudniej było skończyć pracę dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach, nie tracąc cierpliwości. Dla Carey była to oznaka profesjonalizmu. Teraz mknęła swoim Volkswagenem GTI Upper St. Clair. Nic nie mogła poradzić na to, że się spóźniła, choć rzeczywiście było jej przykro, przecież Ed bardzo ją prosił, żeby zjawiła się na czas na to makabryczne przyjęcie Artura.

Była młodą architektką w małej spółce, która zajmowała się projektowaniem

nowoczesnych domów wtopionych w krajobraz. Wszyscy w biurze marzyli, *żi* pewnego dnia sami zrobią dla siebie taki dom jak „Wodospad” Franka Lloyda Wrighta w Laurowych Górach. Zbudowany z piaskowca, położony był nad szumiącym wodospadem. Otaczały go krzewy wawrzynu, rododendrony i kwiaty polne, poniżej znajdował się las. To musi być cudowne uczucie, gdy do snu kołyszysz plusk... Ojej! Wzięła ostry zakręt. Lepiej zwolnić. Ed nie będzie chciał zabrać zwłok na party Artura.

Ed zazwyczaj nie miał nic przeciwko temu, że żona spóźniała się kilka minut. Oboje mieli lekkie podejście do życia. Nie była typem superkobiety i nie chciała nim być. Była zwyczajna. Wykonywała swój zawód i starała się zachować osobowość. Jednocześnie troszczyła się o rodzinę — nie chciała stać się babochłopem, jak Izabela. Tego ranka Ed prosił ją, żeby się nie spóźniła i wyraźnie podkreślał, że to teraz dla niego ważne. Od czasu, gdy pojawiła się sprawa znalezienia następcy Artura Ed się zmienił. Carey przypuszczała, że, muszą poczekać, aż ktoś zostanie wreszcie mianowany na to stanowisko i dopiero wtedy Ed odzyska humor i erekcję. Według niego problem polegał na tym, że czuł się zagrożony przez Carey, przez coś, co nazywał — jej poszukiwaniem własnego „ja”. Jednak prawdziwym zagrożeniem dla Eda był Charley, doradca „Nexusa”. Ed nie znał uczucia rywalizacji i nie potrafił sobie z tym poradzić. Ta zabawa w kotka i myszkę ciągnęła się już od wielu miesięcy, a im bardziej był napięty tym gorzej układało się ich pożycie małżeńskie. Carey była wdzięczna temu, kto wynalazł pozycję misjonarską, gdyż Eda nie stać było na nic innego i to też raz, czy dwa razy w miesiącu. Tłumiony strach siał spustoszenie w ich życiu seksualnym.

Chciała, aby Ed mówił jej o swoich zmartwieniach zamiast udawać, że wszystko jest w porządku, lecz on uważał siebie za mocnego, milczącego faceta. Dlaczego mężczyźni nie potrafili przyznać się do swojej wrażliwości? Carey pragnęła, by choć raz wyznał jej o co naprawdę chodzi, by nie musiała już więcej zgadywać.

Skreśliła w bok, nie chciała przejechać wiewiórki, zerknęła w lusterko, by sprawdzić czy nie zrobiła jej krzywdy i uśmiechnęła się szeroko do swego odbicia. Była dużą blondynką o śniadej cerze. Często jej powtarzano/e wygląda jak księżna Diana, choć naprawdę podobna była do swej szwedzkiej babki.

Mało kto wiedział, że cierpiała na chorobliwy wprost brak pewności siebie. Nie mogła nigdy osiągnąć równowagi. Kłóciła się godzinami, gdy szło o jakiś architektoniczny detal, lecz stawiała się głupiutkim dzieckiem, gdy miała do czynienia ze sprzedawcami, fryzjerkami albo hydraulikami, którzy wystawiali jej rachunki dwa razy większe niż było wcześniej umówione. Zatem wbijała się w za małe buty („Ma pani tak dużą nogę”), w nietwarzowe sukienki („Poprzeczne pasy sprawiają, że wydaje się pani mniejsza”) i w ubrania, na które nie było jej stać („Cóż — westchnienie pogardy — jeśli szuka pani czegoś t a n i e g o . . . ”).

Wiedziała, że powinna pójść do fryzjera przed dzisiejszym wieczorem, lecz woląa raczej zrobić unik niż przejść przez kaźnię dawania napiwków. Teraz oczywiście żałowała — inne żony na pewno poświęciły całe godziny na poprawienie swojego wyglądu.

Westchnęła. Zjechała z głównej drogi i skręciła w aleję wysokich, brunatnych drzew. Kilka minut później rozchmurzyła się, gdy ujrzała z daleka swój dom. Kochała wszystko, co było związane z tym osiemdziesięcioletnim białym domem farmerskim z oszalowanymi ścianami. Podobały jej się wysokie sufity. Stopniowo gromadziła meble od Shakera. Czerpali wodę ze źródła na wzgórzu. Ziemia wokół domu należała do nich, więc nikt im nie przeszkadzał i panował tu spokój jak na wsi. A jeśli Ed powiedział: — Zobaczymy kto dziś wieczór gra u Stanley'a, to byli tam w pół godziny, więc rzadko opuszczali koncerty jazzowe.

Ed stał na werandzie i przypominał jej swoim wyglądem matkę, witającą Carey takim samym spojrzeniem, gdy dziewczyna wracała do domu po północy.

— Zrozum, jest mi przykro. Będę gotowa za dziesięć minut. Pocałowała go w nieruchomy policzek. Zupełnie, jakby całowała Indianina z kilkoma fajkami w ustach.

Pobiegła w kierunku schodów. Na górnej poręczy wisały Ingrid i Greta. Wyglądały jak dwie rudawe myszy w okularach. W oczach miały wyraz najwyższej nagany. Obie były podobne do siostry Eda. — S p ó ż n i ł a ś się. Tatuś jest wściekły — powiedziały jednocześnie.

Czasami Carey domyślała się, dlaczego Eda opuściła pierwsza żona. Sama też miała za sobą nieudane małżeństwo. Szaleństwo z czasów studiów. Po sześciu miesiącach jej mąż przeistoczył się w dziecko-kwiat i zostawił ją, by pojechać do Indii i uczyć się uprawiać jogę.

Uśmiechnęła się idąc po schodach. — Cześć, dzieciaki. Co słyhać w domu?

W zeszły weekend dała im zestaw czerwonych miniaturowych rusztowań firmy Tinker Toy i pokazała jak zbudować domek z marzeń.

— Nuuuuuuudno.

— To trwa taaak dłuuuuuugo.

— Zamiast tego wydałyśmy lalce przyjęcie herbaciane.

— Bawiłyście się znowu kosmetykami mamusi.

Widziała je z bliska. Miały niedokładnie zmyte ślady jasnego podkładu na policzkach.

— Nie, nie, to z naszego pudełka... zużyłyśmy p r a w i e całe. Bawiłyśmy się w damy Avon.

Kupiła im wszelkie rodzaje zabawek dla chłopców, przeróżne gry rozwijające intelekt, od zestawu narzędzi aż po kostkę Rubika, lecz one mogłyby posłużyć jako żywy przykład tego, że działalność Ruchu Kobiet nie przynosi rezultatu.

Chciałaby mieć jeszcze chłopca, ale nie zamierzała ryzykować sprowadzenia na świat kolejnej kopii siostry Eda, a mówiąc poważnie, nie



podolałaby wychowaniu trójki dzieci i pracy bez szkody na umyśle. Odkrycie, że dwoje dzieci wymaga podwójnego nakładu sił zaskoczyło ją. Cierpiała na depresję poporodową po urodzeniu dziewczynek. Stan ów w magiczny sposób polepszył się, gdy Greta skończyła 5 lat i Carey wróciła do pracy. (Zdecydowała się na ten krok, gdy zauważyła, że kroi jedzenie na swoim talerzu na małe kawałki, dziecięcęporcje.) Uwielbiała zając się dorosłymi, którzy znali więcej niż dwie sylaby, choć może jej córki nie bawiłyby się w damy Avon, gdyby Carey pilnowała na miejscu by wyrosły na dziewczyny, które nie boją się śrubokręta. Poczwała wyrzuty sumienia, gdy wygramoliła się spod natrysku. W tych czasach było się jednakowo winnym zajmując się domem i zostawiając go.

W drzwiach sypialni pojawił się Ed. Wciąż miał zboląłą minę. — Ile jeszcze czasu zamierzasz tu tkwić?

— Jestem prawie gotowa, tylko zapnij mi suwak.

Nie zauważył, że kupiła na dzisiejszą okazję nową kreację Billa Blassa. Prosta, w surowym stylu, czarna pika z ogromnymi rękawami. Miała niskie wycięcie z przodu i jeszcze niższe z tyłu. Carey uważała, że wygląda w niej jak hiszpańska infantka. Prędko zapięła perłowy naszyjnik, podczas gdy Ed szarpał ze złością suwak.

Rozerwał go niechcący.

— Ed, czy musiałeś ciągnąć tak cholernie mocno?

— Nie przeklinaj przy mnie. Gdybyś wróciła wcześniej, nie musiałbym.

— Posłuchaj, dlaczego ja mam iść na to przyjęcie? Wiesz, że nie znoszę białego wina i gazowanych napojów. Żaden mężczyzna nie słucha, gdy mówię do rzeczy, wszystkie żony uważają mnie za domorosłą dziwaczkę a ty mówisz do mnie tak, jakby zeszywniała ci górna szczęka. Ja nie ciągam cię po moich przyjęciach biurowych.

— Spodziewałem się od ciebie odrobiny oparcia — wydusił przez zaciśnięte zęby. — Czy proszę o zbyt wiele? — odwrócił się i wcisnął ręce w kieszenie.

— Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że wyglądasz wspaniale gdy się wściekasz? — droczyła się z nim, usiłując naprawić suwak. Ed naprawdę był przystojny — miał blisko metr osiemdziesiąt i mocną budowę. Jego włosy miały ten sam rudawy kolor co włosy dzieci, miał jasną karnację, szare oczy i podbródek z podłużną bruzdą. Wszczynianie walki nie leżało w jego stylu. Denerwował się tą cholerną promocją. Nigdy przedtem nie przeszkadzała mu praca Carey. Często, jako ekspert od kontaktów z obcymi przedstawicielstwami firmy wyjeżdżał za granicę, był więc zadowolony, że miała swoje sprawy.

Carey miała nadzieję, że Ed nie gdera w biurze, tak jak to robił w domu. Cieszył się nawet cichą popularnością, znano go jako błyskotliwego negocjatora i osobę, z którą się łatwo pracuje. Darzono go szacunkiem, gdyż był dobry w tym co robił i dbał o swoich ludzi. Skończył geologię i miał wyczucie tropiącego trufle ogara, gdy trzeba było odgadnąć czego potrzebuje „Nexus”.

Niesamowite, to on był autorem najbardziej mistrzowskich posunięć firmy. No, i z wyjątkiem ostatnich miesięcy był kochającym mężem i ojcem, szalejącym za swymi córeczkami. Carey przeczytała gdzieś, że przeciętny amerykański ojciec spędza tylko dwanaście minut dziennie ze swoimi dziećmi, tymczasem Ed angażował się cały w sprawy rodzinne, gdy tylko był w domu. Czy mogła żądać jeszcze czegoś więcej ?

Naprawdę byli szczęśliwi żyjąc pomału i spokojnie do czasu, gdy Artur oznajmił, że wybiera ^ię na emeryturę. Ed się zmienił. Mówił, że stres jest częścią sukcesu, lecz Carey wiedziała, że za duża dawka może zabić. Zastanawiała się, jak wyglądają statystyki dotyczące zgonów osób na stanowisku kierowniczym, które przebyły atak serca czy zawał. Miała nadzieję — złapała się na tym — że Ed n i e d o s t a n i e tej cholernej posady, skoro nawet tylko taka możliwość wprowadzała niepokój w rodzinie.

Co więcej, Carey zdawała sobie sprawę, że i dla niej byłoby to ryzykowne. Przy nieustannym napływie wiceprezesów „Nexusa” z całego świata, jako żona prezesa musiałaby ich zabawiać u boku męża w Pittsburgu. To dlatego Ed próbował ją podejść—choć jeszcze nie zaproponował jej by rzuciła pracę. Na pozór aprobował jej decyzję. Gdy dziewczynki poszły do szkoły miała prawo do własnego życia, ple ple ple... Jednak nikt w rodzinie nie traktował jej zawodu poważnie i czasami miała wrażenie, że Ed ma jej za złe, że nie poświęca mu całej uwagi. Potrafił być delikatnym domowym tyranem. Posiadał jeszcze niezwykle instynkt wyczuwania słabego punktu u innych i wykorzystywania go niezauważalnie. Dlaczegoż miałaby bronić swojej pracy, przecież on nie wspomniał nawet, by ją rzuciła?

Gdy biegła po schodach do czekającego w hallu Eda, burczało jej głośno w żołądku. Krzyknęła: — Zaczekaj, nia miałam czasu pójść na lunch. Wezmę tylko jakieś ciasteczka.

— Nie zjesz potem kolacji. Sylvana na pewno się postarała. Tylko nie zaczynaj od picia. Wiesz, co się potem z tobą dzieje.

— Dobrze, już dobrze.

Gdy jechali czarnym Lincolnem w kierunku Sewickley, Ed powiedział: — Chyba potrzebuję odpoczynku.

Nie mógł zdobyć się na „przepraszam”.

Carey poklepała go po kolanie. — Mam nadzieję, że to będą prawdziwe wakacje, a nie tygodniowa konferencja na szczycie?

— Oczywiście, poświęcimy trochę czasu na dyskusję.

Nagle Carey zdała sobie sprawę, że Ed wróci do Pittsburga jeszcze bardziej spięty niż jest teraz. Westchnęła i odparła: — Ed, czy na pewno chcesz, żebym pojechała w tę podróż? Chodzi mi o to, czy to nie głupio wykorzystać cały urlop w tym roku na to, by jechać na jakąś wyspę koralową, gdzie będę musiała znosić towarzystwo kupy bab z „Nexusa”, a ty utkniesz w rozmowach z facetami w hawajskich koszulkach i okularach przeciwsłonecznych, a zachowujących się tak, jakby wciąż tkwili w Złotym Trójkącie w Pittsburgu.

Odwróciła się i pogłaskała jego ramię, szepcząc: — Czy jest sens Ed, teraz, kiedy muszę codziennie jeździć do domku Sih/ermana nad jeziorem? Muszę zająć się przerabianiem krajobrazu wokół budynku, sadzimy właśnie rośliny i trzeba to zrobić do końca października. Tamte żony to co innego, nie pracują, a to jest najbardziej ekscytujący projekt, jaki kiedykolwiek miałam.

— Dla większości żon te wakacje będą przyjemnością. — Oswobodził ramię z jej dłoni.

— P r z y j e m n o ś c i a ? Masz na myśli patrzeć jak Artur zabawia się w spełnianie swych snów o macho? Przyglądanie się, jak walczy z rekinami, niby bohater Hemingwaya w jakimś niedorozwiniętym tropikalnym Disneylandzie dla steranych biznesmenów. Wygląda to groźnie, lecz naprawdę nie jest bardziej niebezpieczne niż zabawa gumową kaczką w wannie — parsknęła i oparła się o fotel w samochodzie.

— Zatoka Rajska nie jest niedorozwinięta, tylko rozwijająca się — odparł. Lecz miała rację co do reszty. Pierwszy luksusowy ośrodek na Paui został wybudowany z myślą o superbogaczach poszukujących ekscytującej przygody. Miał oferować dreszczyk emocji w bezpiecznych warunkach. Goście mogli tu łowić ryby z kajaków wydrażonych z pnia albo z najnowocześniejszych łodzi z napędem. Carey zapaliła papierosa i odparła atak, mówiąc:

— Skoro Artur chce łowić ryby, to dlaczego nie możemy wybrać się znów na Fidzi, czy do Kenii czy na Mauritius?

— Przestań mi utrudniać życie, Carey. Wiesz dobrze, że co roku organizujemy wyjazd do innej strefy wpływów handlowych. W tym roku wybór padł na Australię, a Paui leży na wybrzeżu północno-zachodnim. Poza tym ludzie z „Nexusa” lubią odwiedzać nowe miejsca.

— Masz na myśli, że Artur lubi odwiedzać nowe miejsca. Dzięki Bogu, że na biegunie północnym nie łowi się ryb, bo inaczej zaciągnąłby nas tam wszystkich na wakacje. Wciągnęła głęboko powietrze i dodała: — Nigdy nie słyszałam, by Paui było miejscem wypoczynkowym. Słyszałam tylko o kopalni miedzi i o tej rewolucji w zeszłym roku.

— To były tylko zamieszki i tylko w Queenstown. To żadna nowość. Nawet w Anglii zdarzają się rozruchy.

Ed starał się mówić cicho i rozsądnie. Carey znów paliła jak komin i nie chciał, by wpadła w ten swój apodyktyczny nastrój, niech się wyszumi przed przyjęciem.

Dodał miękko: — Potrzebuję cię tam, Carey, bo wiem, że jesteś niezłym materiałem na żonę prezesa, nawet jeśli nie chcesz tego dostrzec. Poradzisz sobie ze wszystkim. Chcę, by Artur to zauważył, a ta podróż to taka możliwość. Jesteś o wiele lepsza niż ta neurotyczna charcica Patty, żona Charleya.

Zerknął w jej stronę i dodał miękko, lecz stanowczo: — Ta podróż będzie ważna dla naszej przyszłości. A w tym roku ważniejsza niż twoje wakacje.

Carey milczała jak grób.

— Mam szansę przyćmić Charleya — ciągnął Ed. Wiem więcej o ludziach i o możliwościach wydobywania miedzi na Paui niż ktokolwiek inny w „Nexusie”. Tej rundy ze mną nie wygra.

— Nie musisz wykorzystywać przewagi sytuacyjnej, by pokazać, że jesteś od niego lepszy.

Ed odparł z wahaniem w głosie: — Dobrze, powiem ci prawdę, ale zachowaj ją dla siebie. Nasza koncesja na wydobycie miedzi na Paui wygasa w 1985 roku, w czerwcu. Nowy rząd utrudnia negocjacje. Chcą rozmawiać z głównym szefem spółki i nie dadzą się nabić w butelkę Harry'emu Scottowi, bo wiedzą, że jest tylko szefem a u s t r a l i j s k i e j filii „Nexusa”. Prezydent Paui chce spotkać się z Arturem. Osobiście. Ale gdyby Artur sam poleciał na Paui, „Nexus” straciłby twarz.

— A więc to coś w rodzaju nieoficjalnej wizyty?

Ed skinął głową. — Pierwsza runda rozmów na temat nowej koncesji.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu Carey wybuchnęła śmiechem: — Nie mogę przestać myśleć o tych zdjęciach, które przywiozłeś z pierwszego pobytu na Paui. Te pomalowane twarze nagich tubylców i pióropusze. Czy Artur też musi się tak ubrać?

— Nie, nosi się tam zachodnie ubrania, szczególnie w Queenstown. Nareszcie Ed zaczął się śmiać i klepnął ją w kolano. Zdecydowała więc nie mówić mu nic o tym, co mówił przez sen.

Okrzyk radości wstrząsnął całym stadionem.

W zaciemnionym pokoju gościnnym rozszedł się pomruk aprobaty. Żaden z czterech synów Anny nie oderwał wzroku od telewizora, gdy podawała im kolację złożoną z hot dogów i hamburgerów. Leżeli rozłożeni na sofach albo rozwaleni na podłodze. W tle słychać było grzechotanie: „... Przy trójce zawodników leżących na ziemi, czwórce gotującej się do ataku na dziesiątkę «Jeźdźców», «Stalowe Rękawice» mają marne szanse...”

Anna podwiązała włosy chustką, na kreację założyła fartuszek. Chłopcy nie zauważyli makijażu, gdyż w pokoju panował półmrok. Po południu spędziła aż dwie godziny, leżąc płasko na plecach na czymś w rodzaju stołu operacyjnego. Stan, specjalista od oblicza (jak sam mówił o sobie), polecony jej przez Suzy, przyglądał się w milczeniu przez pięć minut jej twarzy, potem, pochylając się nisko nad nią, czym wprowadził Annę w zakłopotanie, lekko dotykał małych kółeczek kolorów, umieszczonych na palcu. Mieszał cienie na zewnętrznej części dłoni i malował jej twarz delikatnymi pociągnięciami szesnastu różnych pędzli. Potem powiedział, że Anna może już wstać, czuła się tak jakby była u dentysty. Wyglądał na zadowolonego gdy podawał jej lusterko, a kiedy spojrzała w nie, zrozumiała dlaczego. Znowu wyglądała na siedemnastolatkę.

— Ojej! Wyglądasz jak Rita Hayworth na starych filmach — wykrzyknęła Suzy, wręczając Annie parę kolczyków, do których przymocowała po jednej świeżej, różowej kamelii.

— To nie moja twarz. Czuję się jak ktoś inny — powiedziała niepewnym głosem Anna.

— I o ta chodzi, nie? W każdym razie wyglądasz wspaniale! Chodź; wsadzimy cię w to cudo, chcę sprawdzić, jak będą wyglądały kwiaty przy ubraniu.

Były w pokoju Anny. Suzy podniosła do góry różowy jedwab w makowe mazaje. Wyjęła go z pudełka i białej bibułki, która ześliznęła się na podłogę. Anna spytała z powątpiewaniem w głosie: — Myślisz, że wypada ubrać się w spodnie? Suzy?

— To nie są spodnie, to wieczorowa piżama—wyjaśniała Suzy, pomagając Annie założyć kreację. — To Saint Laurent, kotku. Wiesz że nie można się pomylić, gdy kupuje się ubranie u samego producenta.

Potem Suzy odsunęła się do tyłu i zwięzła oczy, przyglądając się badawczo Annie. — Czegoś tu jeszcze trzeba... jeśli naprawdę chcesz ich powalić z nóg.

Pstryknęła palcami: — Nie, chyba straciłam swoje wyczucie, tutaj trzeba coś z a b r a ć . Zdejmij te majtki, chodzi mi o ten dół.

— Zdjąć spodnie? — Anna w geście samoobrony ścisnęła pas od spodni.

— Tak, ten strój nie jest wcale seksy. Jest żywy, ale to zapięcie pod szyją i te cygańskie rękawy, jak do gry na skrzypcach... chodzi o to, że musisz coś pokazać — nalegała Suzy. — Chodź, spróbuj. Ta tunika Sięga ci prawie za kolana.

— Ale po bokach są rozcięcia od pach aż do samego dołu — protestowała Anna.

— Przecież paski przytrzymują obie poły, nie mogą się rozchylić. Wszystko będzie w porządku.

Z wielkim wahaniem Anna zdjęła dół od piżamy.

— Teraz rajstopy i majtki, bo widać je w talii — Suzy była nieugięta.

— Suzy, ja nie mogę pokazać się na przyjęciu u Artura naga.

— E tam, pokażesz mniej niż reszta pokaże z przodu, poza tym lepiej będą ci się trzymały sandały na gołych stopach — Suzy zerknęła na srebrne paski, które krzyżowały się w kostkach Anny.

— Suzy, nie mogę.

— Aniu, wstań, zapomnij, że jesteś starą mężatką i spójrz w lustro! Anna patrzyła na swoje odbicie i uśmiechnęła się z wolna. Lecz zaraz na jej

twarzy pojawiło się z wątpienie: — Nie wiem, co na to powie Duke.

— Nie mów mu, tylko mu to pokaż! Zaprze mu dech w piersiach! Teraz, podając chłopcom jedzenie, zawinięta w fartuch Anna czuła się bezpiecznie.

— Podanie, wygląda na to, że zaatakowali z właściwej strony, ale nie, nie udało im się...

Ogólny jęk tłumy na „Stadionie Trzech Rzek” odbił się echem w telewizorze Anny. Jej synowie szukali hamburgerów po omacku jak lunatycy, nie odrywając oczu od ekranu.

— Hej, chłopaki czy wystarczy? Chcecie jeszcze coś?

— Mamo, jak mamy słyszeć co mówi spiker, skoro cały czas nawijasz — upomniał ją łagodnie Bill.

Dave zbadał swojego hamburgera

— Hej, wiesz, że nie znoszę musztardy.

Pozostali dwaj mruknęli tylko coś niewyraźnie, byli jak w transie. Anna wymknęła się na górę, żeby przymocować kamei ie.

Usłyszała stuk w przedpokoju, potem trzasnęły drzwiczki do barku, niezbyt głośno. Wygląda na to, że miał udany dzień, dzięki Bogu.

Zostawiła na blacie barku martini. Poczwała nagle żal, że jej szczęście tego wieczoru ma zależeć od tego, czy ktoś nie zdenerwował Duke'a w biurze. Odsunęła od siebie tę myśl, uważając ją za nielojalną. Poczeka aż mąż naleje sobie drugie martini i wtedy dopiero zejdzie na dół, stanie w drzwiach do pokoju gościnnego, uśmiechnie się i powie: — Jestem gotowa.

Tak też uczyniła.

Duke patrzył w ekran i nie usłyszał jej. Powtórzyła to samo głośniej, piskliwie. Duke odwrócił się. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

— Mój Boże, Aniu, co zrobiłaś z włosami?

— Byłam u fryzjera. Przed przyjęciem.

— Nie możesz tak pójść do domu mojego szefa. Wyglądasz jak strach ría wróble! — przekrzykiwał głos komentatora. — Idź, uczesz się normalnie!

Anna zawahała się, podeszła bliżej do jego krzesła, żeby nie krzyczeć. Duke powoli przesunął wzrokiem od dołu tuniki w górę. Skoczył na równe nogi i wyłączył telewizor. Chłopcy podnieśli żywy protest.

— Co do cholery masz zamiar zrobić? Idź i załóż na siebie jakieś przyzwoite ubranie!

— Ale to Yves Saint Laurent.

— Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdybyś kupiła u świętego Piotra. Zdejmuj te szmaty.

— Zdejmij to, zdejmij to — Dave parsknął rubasznym śmiechem, lecz zamilkł natychmiast pod gromiącym wzrokiem ojca.

Chłopcy zniknęli z pokoju, gdy Anna zaczęła płakać. Zniszczyła makijaż oczu. Stan pracował nad nim z godzinę, przyklejając pojedyncze rzęsy. Bez słowa wybiegła z pokoju.

Na szczycie schodów zobaczyła stertę brudnych, cuchnących ubrań, w których grali w piłkę. D l a c z e g o nie mogli zostawić ich na dole w pralni, przecież to tylko na końcu korytarza? Kopnęła swym pięknym, srebrnym sandałem niechlujną kupę.

Zatrzymała się, by podnieść brudne skarpetki i koszule. Usłyszała za plecami głos czternastoletniego Roba: —Mamo, ja uważam, że wyglądasz w s p a n i a l e. Tylko chodzi o to, że nie przypominasz...

— Mamy — dodała z goryczą Anna.

— Tata jest trochę staroświecki.

Annie przyszło na myśl, że przecież Suzy nie mogła zrobić tego celowo... a może?

Tego samego wieczoru Patty zadzwoniła do swojej matki na Florydę.

— Jak się czujesz? — spytała jak zwykle, choć od operacji upłynęły już lata.

— Świetnie, świetnie — głos matki brzmiał wątpo, lecz w miarę krzepko. Wszyscy mieszkańcy „Srebrnego Miasta” mówili w ten sposób. — Właśnie ubieram się w nowy kostium w stylu zachodnim, czerwony z białymi frędzlami, zakładam Stetsona i buty kowbojskie. Uwielbiam to. Założę się, że nigdy nie myślałaś, że mogę być wodzirejem, Patty. Jutro „Srebrne Miasto” gra z „Klubem po Sześćdziesiątce”.

Patty rozpląkała się.

Niepewny głos spytał ponuro: — Co znowu zrobił? Patty jedną ręką strzepnęła z włosów płatki kukurydziane. Łkała do telefonu. — Już ledwie wytrzymuję.

— W i e d z i a ł a m , że tak będzie. Śniło mi się wczoraj w nocy, że wessało cię w czarną dziurę. Doktor Manheim mówi...

Patty krzyknęła: — Nie chcę słuchać tych jungowskich bzdur!

— Tak się nie mówi do matki. I to wcale nie jest Jung tylko Freud. Naprawdę chciałabym, żebyś poszła do psychoanalityka, kochanie.

— Nie potrzebuję p s y c h i a t r y . Stefan jest dla mnie ciężarem f i z y c z n y m .

— Nie oburzaj się tak, rozmawiasz przecież z własną matką. Może wpadłaś w obsesję odpowiedzialności za niego. To może przejść w przymus i skończyć się depresją.

— Jak śmiesz dyskutować o mnie z doktorem Manheimem!

— Obawiam się, że stajesz się podobna do cioci Elli ze strony twojego ojca.

— Mamusiu, ona jest s t a r u s z k ą . Ja mam dopiero trzydzieści trzy lata. Patty wytarła plamę z mleka na swoim rękawie z zielonej wełny. — Mój

problem polega na tym, że mam ułomne dziecko, więc to mnie przygnębia i potrzebuję kilku słów pokrzepienia.

W wątlym głosie matki dał się słyszeć cień znużenia. — Łatwo jest ofiarować komuś współczucie, lecz to niewiele zmienia. Stefan jest na tyle normalnym dzieckiem, by, wodzić cię za nos.

— Jak możesz tak mówić o kimś, kto całe życie spędzi na wózku inwalidzkim.

— Jakkolwiek by je spędzał, nie jest idiotą. Wiesz dobrze, jaki wysoki iloraz inteligencji mieści się pod tymi złotymi lokami. Wie, co robi gdy urządzi te sceny. Gdyby był z innymi kalekami dziećmi, na pewno by się nad sobą nie rozczulił i nie wpadał w złość.

— Stefan nie l u b i być z innymi dziećmi. Pamiętasz, co się działo podczas grupowej fizjoterapii?

— Patty, robisz z niego kalekę uczuciową. Musi nauczyć się polegać na sobie, jeśli nie, z a w s z e będzie niedobrym chłopcem.

— Nie, nie będzie.

— Tak, będzie. Będzie niesamodzielny, zawzięty i mściwy. On po prostu lituje się nad sobą i albo jest złośliwy, albo zebrze o współczucie.

Patty zaczęła szlochać.

— Chcesz, żebym przyjechała do ciebie, Patty?

— Nie!

— Kochanie, mówię tak dlatego, że jestem twoją matką. Nie chcę patrzeć, jak ciągle nie masz czasu i prawie nie wychodzisz. Poświęcasz się bez sensu i nie jesteś w porządku wobec nikogo.

— Sama to wybrałam.

— Co on zrobi, gdy coś się z wami stanie?'Chodzi mi o to, że nikt nigdy nie myśli o tym, że może przydarzyć mu się wypadek samochodowy... Wiem, że oboje jesteście ubezpieczeni, kochana, ale myślę też o jego potrzebach" uczuciowych. M u s i nauczyć się radzić sobie ze sobą.

— Nie zamierzam umieścić Stefana w domu dla dzieci specjalnej troski.

Matka Patty westchnęła. — Zawsze byłaś uparta. To znaczy zbzikowana na jakimś punkcie. To tak, jakbyś była podwójnie uparta.

Patty usłyszała za plecami brzęk tłuczonej porcelany i skończyła szybko rozmowę: — Mamo, muszę już iść. Zadzwoń jutro, o tej samej porze, opowiesz mi jak się spisało „Srebrne Miasto”.

Biegąc na osłep do pokoju Stefana, słyszała ostre krzyki. Kiedyś był to ich pokój gościnny, teraz urządzili go jak salę zabaw w szpitalu dla dzieci. Ustawili tam także specjalne łóżko dla Stefana.

Judy stała w kałuży wody na środku żółtego linoleum. Wokół niej leżały purpurowe i białe chryzantemy.

Stefan siedział w fotelu na kółkach i wrzeszczał: — Uderzyła mnie! Judy mnie uderzyła!

Patty wiedziała, że to nieprawda. Nigdy tego nie zrobiła. Judy była jedyną osobą, która potrafiła poradzić sobie z nim od chwili, gdy przyszedł na świat.

— Proszę się nie przejmować, pani Silver—Judy otarła z czoła ślady krwi. — Ma dzisiaj zły humor i tyle.

Patty pobiegła po apteczkę z lekarstwami. Dobiegł ją krzyk: — Nie prosiłem się na świat!

Opatrzyła czoło Judy i zadzwoniła po taksówkę, która miała zawieźć kobietę do szpitala. Draśnięcie nie wyglądało poważnie, ale Patty nie chciała ryzykować. Potem wykręciła numer agencji pielęgniarek, by zamówić kogoś na wieczór, zanim przyjdzie nocna zmiana.

Od chwili, gdy pożegnała się z matką aż do momentu, gdy usłyszała jak Charley parkuje swojego Mercedesa przed domem, Stefan nie przestawał krzyczeć.

Gdy Charley wszedł do pokoju, jego syn spojrzał na niego dużymi,



niebieskimi oczami spod mokrej grzywki i powiedział miękko: — Mamusia jest smutna.

Charley zerknął na Patty, która opadła bez sił na fotel. Była trupioblada. Zauważył ciemne plamy na jej kostiumie.

— Tak źle dziś było? — postawił teczkę na podłodze, przysiadł na poręczy fotela i pocałował czubek jej głowy. Patty szlochała w jego rękaw. Charley jeszcze raz pocałował jej włosy i szepnął: — Trzy małe słówka.

Patty wykrztusiła: — Spóźnimy się.

Charley zaprzeczył ruchem głowy, jego oczy mówiły: — Kocham cię. Stefan zauważył to i przybrał zgryźliwy wyraz twarzy. Dodała przeproszająco: — Ale na pewno się spóźnimy. Pielęgniarka będzie tu dopiero za godzinę.

— Bez znaczenia. Wcale nie musimy iść, jeśli nie masz ochoty. Położę Stefana do łóżka. Nalej sobie drinka, idź do łazienki i weź gorącą kąpiel.

— Tatusiu, tatusiu, nie dała mi kolacji..

Patty nie zdążyła jeszcze wejść do wanny, gdy wróciła Judy z obandażowanym czołem.

— Nie poszłabym, ale pani Silver tak nalegała. Charley spojrział na nią i powiedział: — Dziękuję.

Oboje wiedzieli, że dziękuje jej nie tylko za ten wieczór, ale za całe osiem lat.

Poszedł na górę do łazienki. Patty leżała w beżowej wannie jacuzzi z włókna szklanego i patrzyła przez okitowane ołowiem diamentowe szybki w oknie. Nie tknęła kieliszka z białym winem.

— Charley, uważam, że nie powinnam jechać w tę podróż. Judy nie poradzi sobie z nim sama przez całe trzy tygodnie.

Charley usiadł na brzegu wanny. — Dobrze ci zrobi ten wyjazd. Nie możesz tak żyć. To nie jest dobre ani dla niego ani dla ciebie.

— To samo powtarza mi matka.

— Nie wiem, dlaczego rozmawiasz z nią o Stefanie, skoro wiesz, że cię to drażni.

— Powiedziała, że jest mi potrzebna medytacja.

— Mówi tak, bo ta terapia jej pomogła. Ja uważam, że powinnaś mieć swoje życie, Patty.

Odstawił kieliszek na toaletkę. — Zastanawiam się, czy nie chciałabyś wrócić do pracy? Może na pół etatu? Moglibyśmy sobie wtedy pozwolić na dzienną pielęgniarkę do Stefana.

Patty spojrziała ostro, pełna obaw. Strach malował się na jej twarzy.

— Nie! Zupełnie wypadłam z obiegu.

Zanim się pobrali, Patty pracowała jako koordynatorka produkcji ubiorów sportowych w „I. Magnin”. Zdawała sobie sprawę, że będzie jej ciężko wejść do świata konkurencji. Nie miała wcale ochoty współzawodniczyć z młodszymi od siebie o dziesięć lat kobietami. Nie chciała zajmować eksponowanego

stanowiska i narażać się na krytykę. I nie w głowie jej było ryzykowanie utratą posady.

— Nie — dodała stanowczo. — To dobra rada kochającej osoby, Charley, ale nie.

— Jak sobie życzysz.

— Podaj mi ręcznik, Charley. Czuję się świetnie. Przygotujmy się do wyjścia. Cieszę się, że będziemy na tym przyjęciu.

Suzy ziewnęła jak kot, przeciągając się powoli i zmysłowo. Gdy tylko sprawdziła, czy Anna-Wycieraczka nie stchórzyła, zdrzemnęła się.

Usiadła na okrągłym, ogromnych rozmiarów łóżku naga wśród beżowych prześcieradeł z satyny. Anna naprawdę wyglądała wspaniale — pomyślała — inne zzielenieją z zazdrości. Kasztanowe włosy Anny fryzjer szesał na bok, pofalował z jednej strony i przesunął do przodu. Stan skupił się na jej brwiach, na co większość kobiet nie zwraca uwagi. Lecz wystarczy tylko spojrzeć na zdjęcie Marylin Monroe zanim stała się sławna i te późniejsze, żeby przekonać się jak ważne są brwi. Anna była jeszcze trochę blada, ale już nie ziemisto. Wyglądała raczej jak kwiat magnolii (Stan nigdy niczego nie poprawiał, jedynie uwypuklał naturę). Jej oczy wydawały się bardzo duże, gdyż okalały je gęste rzęsy. Gdy zdjęła dół od pizamy, wyglądała na szczupłą, ale nie na kościstą kobietę. Tak, z pewnością spędzi im dzisiaj sen z powiek.

Suzy zerknęła na mały podróżny zegarek pokryty złoto-bordową emalią, który stał przy łóżku. Na tarczy widniał napis Cartier-Paris.

Takie same, oczywiście każdy w innym kolorze, ustawiła we wszystkich sypialniach.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze zawieszonym na ścianie naprzeciwko łóżka. Była zadowolona. Nieźle jej się powiodło jak na wyrzuconą ze średniej szkoły dziewczynę, która wyrosła (jeśli tak to można nazwać) w rozwalającym się domu, zamieszkałym przez trzy rodziny. Było to na North Side, przy Alei Shermana. Teraz zadomowili się tam Juppies i zmienili wygląd dzielnicy nie do poznania. Upadające domy przemalowano na piernikowe i wzmocniono podpórkami. Podstrzyżono dokładnie drzewa. Suzy nigdy nie zgodziła się przejść przez North Side, bez względu na to jak bardzo ją odnowili. Domyśliła się, że jej ojca wysiedlono, na szczęście nie widziała go od dnia, w którym pochowali matkę.

Wyśliznęła się z łóżka i jeszcze raz przeciągnęła się uwodzicielsko przed lustrem. Gdy kupili dom w Shadyside powiedziała architektowi wewnątrz, że lubi gdy w pomieszczeniach jest dużo luster, kremowych marmurów i malutkich antycznych krzeseł w stylu Ludwika. Nie rozumiała dlaczego matka Bretta nie zauważała owych innowacji. Biedna kobieta, starała się jak mogła, by zachowywać się tak, jakby lubiła swoją synową. Dla Suzy było jasne, że teśdowa jej nie znosi.

Znowu się przeciągnęła. Widok własnego ciała sprawiał jej przyjemność. Miała trochę za duże piersi, ale to nigdy nie szkodzi kobiecie. Zakręciła się i obejrzała przez ramię, by sprawdzić, jak wygląda z tyłu. Miała cudowny

tyłeczek, który poruszał się wdzięcznie gdy biegła w wyuczony sposób — jakby była bezbronna i miała związane nogi w kolanach. Odwróciła się przodem i zastanawiała się, czy nie ufarbować na jasno włosów łonowych, by pasowały do koloru jej włosów. Zapyta o to Stana.

Przezesła ostrożnie dłońmi po starannie ułożonych pasmach jasno-blond włosów i przyjrzała się krytycznie swojej twarzy.

Bladozielone tęczęwki przykrywały opadające powieki, co nadawało jej twarzy senny wyraz. Wyglądała wtedy na siedemnastolatkę i chciała tak wyglądać. Poszła powolnym krokiem do łazienki i zaczęła golić nogi. Robiła to zawsze, każdego wieczoru.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

— W porządku Noro, postaw kawę przy łóżku. I powiedz Alfowi, żeby założył maskę na mojego Mercedesa, dobrze! — krzyknęła z łazienki swoim szorstkim, naturalnie brzmiącym głosem. Gdy próbowała zostać aktorką w Nowym Jorku, chodziła na lekcje dykcji do Village. Instruktor nauczył ją mówić miękko i powolnie, głosem przypominającym mruczenie perskiego kota. Warto było wydać na to ostatniego pensa, jakiego zarobiła na posadzie kelnerki w barze koktajlowym. Nie udało jej się zostać aktorką, ale skłamała gdy pytano o wiek i została stewardesą Wschodnich' Linii Lotniczych — w ten sposób poznała Bretta.

Wypatrzyła go w samolocie, szesnaście kilometrów na południe od Bostonu, ponad dziewięć tysięcy metrów nad poziomem morza.

Pamiętała tę chwilę. Zauważyła płową czuprynę pochyloną nad drogą wiśniową aktówką z cielecej skórki, złoty sygnet na piegowatej ręce i cienki jak opłatek złoty zegarek na pasku z czarnej, krokodylej skóry. Gdy pochyliła się nad nim by spytać, czy chce się napić, mogłaby przysiąc, że poczuła zapach „starych pieniędzy”. Była to mieszanka krochmalu, wody kolońskiej, dużych kudłatych psów, siana w stodole, brązowych nakrapianych jajek, zniszczonej skóry, grubego tweedu, płótna na wietrze i piany na morzu. Później okazało się, że Brett pożyczył talk od jakiegoś faceta w klubie squashowym. Suzy nigdy nie odkryła nazwy tego kosmetyku.

Brett spojrział wtedy w jasnozielone błyszczące oczy Suzy. Zobaczyła proste, jasne brwi nad dużymi brązowymi oczami, mocną kwadratową szczękę i szerokie usta. Coś w rodzaju Braci Brooks, przypomina trochę Brytyjczyka, wygląda na miłego gościa. Odkryła na pierwszej randce, że Brett również pochodzi z Pittsburga, ale o tym, że kwadratowa szczęka była mylącym sygnałem i że Brett nie jest ani silny ani zdecydowany-dowiedziała się znacznie później.

Wtarła dokładnie krem nawilżający w skórę nóg. Potem wdrapała się znowu pomiędzy satynowe prześcieradła by wypić kawę. Nora wyłożyła już jej kreację przygotowaną na ten wieczór. Sukienka pochodziła z kolekcji Saint Laurenta i była wyjątkowo szokująca. Suzy zauważyła ją, gdy robiła zakupy z Anną. Nigdy nie nosiła czegoś, co nie wyszło z pracowni znanego projektanta. W ten sposób mogła połączyć wygląd seksy z klasyką.

Brett przemknął przez próg sypialni. — Jeszcze w łóżku, kochanie? Nie powinniśmy się spóźnić.

— Mam zamiar się spóźnić, Brett. Nie ubiorę się przez następne pół godziny — ziewnęła.

— W takim razie... — skierował się w stronę łóżka pełen zapału. Nie. Potargasz mi włosy.

W końcu korytarza grał kwartet smyczkowy. Sylvana zmieniła na dzisiejszy wieczór hall w altanę białych kwiatów. Idąc przez bibliotekę w kierunku sali balowej, słyszała fragmenty rozmów w małych męskich grupach.

W sali balowej sprawdziła po raz ostatni szesnaście ósmioosobowych stołów. Srebro i szkło błyszcząły wśród kwiatów na jasnoniebieskich adamaszkowych obrusach. Marmurowe kolumny stojące w głębi oświetlonego świecami pokoju opleciono liśćmi wawrzynu.

Sylvana mogła stąd dostrzec zaokrąglone okna balkonowe w wypełnionej drzewami oranżerii. Tam będą tańczyć po obiedzie. Na zewnątrz, na końcu jasno oświetlonego tarasu, był podgrzewany basen olimpijskich rozmiarów. Wyłożono go ciemnozieloną szklaną mozaiką — inni mieli baseny z dnem koloru akwamaryny.

Wieczór był chłodniejszy niż się spodziewała, więc poleciła, żeby zamknąć drzwi do oranżerii. Nie urządzi przecież wielkiego balu, podczas którego trzeba uważać, by temperatura w salach nie była zbyt wysoka.

Skręciła z powrotem do hallu głównego, mijając w pośpiechu pięknie ubranych gości, rzucając gdzieś uśmiechy i słówka.

Przyjmowała od godziny, gdy zjawiała się Carey.

— Cześć Sylvana. C u d o w n i e to Wygląda. Jak Artur?

— Artur nie może się doczekać aż zostanie dziadkiem, ale nie jest chyba bardzo szczęśliwy, że jest żonaty z przyszłą babcią.

Powtórzyła to już dzisiaj siódmy raz. Nerwowo poprawiła srebrną suknię z delikatnego materiału. Zwisiała dostojnie z jej ramion.

Zwracając się do Lorenzy, powiedziała: — Popatrz kto przyszedł, kochanie — Carey!

Obie kobiety zmierzyły się wzrokiem. Lorenza miała na sobie strój od Zandry Rhodes, bladoniebieski szyfon z wzorkami w kolorze zieleni. Nikt by nie zauważył, gdyby urodziła w nim bliźniaki. W przeciwieństwie do niej Carey wyglądała jak wysoka i gibka tancerka amazońska — w prostej, dopasowanej w talii czarnej sukience i brązowych butach na płaskim obcasie.

— Tak się ubierała pani Ricketts. Uczyła cię historii sztuki? — spytała Carey. Obie z Lorenzą chodziły do tego samego Estern College, choć w odstępach kilku lat.

Nowoprzybyły mężczyzna podszedł do Carey, mówiąc: — Słyszałem, że jest pani żoną Eda Hope. To stary podróżnik, czyż nie? A co p a n i robi, gdy go nie ma?

Jeden z tych, co się nudzą, gdy się do nich mówi na tematy rodzinne,

przybierają pobłażliwą minę, gdy wspomina się o swojej pracy i wpadają w zakłopotanie, gdy rozmawia się o interesach. Carey uciekła więc czym prędzej. Chciała porozmawiać z matką Artura, którą naprawdę lubiła.

Pani Graham była dziedziczką o stalowych nerwach. Wszyscy, nawet Sylvana mówili doniej per „pani Graham”. Była wysoka, elegancka i nieprzenikniona. Zawsze mówiła to, co myślała i robiła to, co chciała. W okolicy cieszyła się opinią ekscentryczki. Gdy bogaci czynią coś niekonwencjonalnego, mówi się o nich „ekscentrycy”, lecz jeśli inni robią to samo, nazywa się ich szaleńcami — pomyślała Carey.

Pani Graham przerobiła swój szklany dom na wzgórzu na prawdziwe muzeum: starożytne rzeźby z całego świata stały obok supernowoczesnych jasnoszarych sof obitych zamszem. Była w radzie doradczej Fricka, lecz sercem należała do Muzeum Sztuki w Instytucie Carnegie w Oakland. Instytut miał odziedziczyć wszystkie jej cenne zbiory, pod warunkiem, że będzie pochowana w morzu. Nie chciała skończyć na cmentarzu gnijąc w ziemi, nie życzyła też sobie, by ją przenosili z miejsca na miejsce w urnie wystawionej na widok publiczny.

— Chichotki, chichotki, o czym wy tak rozmawiacie?

Jej proste, srebrne włosy były obcięte jak hełm. Ubrana była w najzwyczajszą czarną suknię. Do jednego ramienia, spinką z diamentem wielkości meduzy, przypięła prawdziwy liść bluszczu.

— Najświeższe plotki głoszą, że w przyszłym roku Rand McNally ogłosi Pittsburg najlepszym miastem Ameryki.

— Oczywiście tak będzie, inaczej Grahamowie nie osiedliliby się tutaj. Pierwszy w rodzinie Artur Nimrod Graham służył jako major w regimencie

Czternastu Dragonów Króla. W 1758 roku zatrzymali się w Fort Pitt, największym i najlepiej rozwiniętym forcie granicznym w Północnej Ameryce. Major Graham interesował się działaniami placówki handlowej w porcie. Indianie przywozili futra i dziczyznę w zamian za koce, czajniki i proch. Środkiem płatniczym była skóra z jelenia albo kozła, jeden kozioł wart był dwie łanie, cztery lisy i sześć szopów. Koc kosztował cztery kozły, blaszany czajnik — trzy, a za jednego można było kupić aż cztery ostre noże.

Wyłączony ze służby czynnej po utracie nogi, którą trzeba było amputować, gdy zraniła go indiańska strzała, major Graham zdecydował się osiąść w uroczej pionierskiej wiosce, którą po jego śmierci młoda, rudowłosa wdowa, uczyniła jeszcze piękniejszą. Jej zmarły mąż zostawił całą połąć ziemi pomiędzy przyszłą ulicą Czereśniową a Smithfield. Otrzymała również czterysta akrów na południowym brzegu rzeki Monogahela.

Ci, którzy osiedlili się we wsi Pittsburg mieli szczęście. Bogata żyzna ziemia rodziła więcej żywności niż byli w stanie sami zjeść. Od 1802 roku drogą wodną aż do Nowego Orleanu eksportowali szynkę, suszoną wieprzowinę, kukurydzę i masło. Uprawiali własny len i bawełnę na bieliznę pościelową i ubrania. Gęste lasy w okolicy dostarczały drewna na budowę domów i węgla

drzewnego, który wykorzystywano przy kuciu żelaza. Miejscowe zapasy wapnia i piasku zapewniały produkcję własnego szkła — sprowadzanie go ze wschodu kosztowałoby bająnskie sumy. Była też ruda żelaza, którą przetapiano na gwoździe i inne narzędzia farmerskie. Rodzący się przemysł w Pittsburgu czerpał węgiel w nieograniczonych ilościach z okolicznych wzgórz. Sto lat później, ów róg obfitości zaowocował U. S. Steel, Westinghouse i H. J. Hein-zem.

W tym bogatym mieście pojawił się jednak poważny problem: dym. W 1804 roku, Artur Nimrod Graham Drugi, jeden z radców miejskich, próbował bez powodzenia wprowadzić ograniczenia związane z kontrolowaniem wyziewów z kopalń i fabryk. Większość jego kolegów z rady miejskiej była przeciw, ze względu na koszty.

Gdy minęła straszna zima 1940, Artur Nimrod Graham Czwarty należał do niewielkiej grupy radnych, którzy przeforsowali program zwalczania zanieczyszczeń, kontroli wód i oczyszczania slumsów, by ratować miasto. Niewiele to jednak pomogło. W roku 1945, gdy skończyła się Druga Wojna Światowa, Pittsburg był tak brudny od sadzy i smogu, że w środku dnia trzeba było zapalać latarnie uliczne, a okoliczne rzeki pełne były odpadków wyrzucanych przez miejscowe fabryki.

Czterdzieści lat później Pittsburg nie przestał być miastem przemysłowym, ale dawne Miasto Dymów zostało przekształcone w czystą metropolię otoczoną zielonymi wzgórzami. Trójkąt ziemi, na której stał kiedyś Fort Pitt, okolony z dwóch stron przez rzekę, z jednej przez strome wzgórze nazywano Złotym Trójkątem. „Nexus” był jednym z najwyższych srebrnoniebieskich drapaczy chmur, stojących w Złotym Trójkącie. Z nadbudówki owej wieży obecny Artur Nimrod Graham rządził firmą.

Trudno uwierzyć, że Artur kiedyś p o t r z e b o w a ł matki — pomyślała Carey. Powiedziała jednak: — Bardzo mi się podobał obraz, który dałaś Arturowi na urodziny.

— Ta mała scena bitewna w stylu Breughela? Podałam się i nie zastanawiam się już, co on chciałby dostać. Teraz dostaje ode mnie to, co ja sama chciałabym mieć. Jeśli mu się to nie podoba, oddaje mi na m o j e urodziny. To bardzo dobry układ. Oczywiście, byłoby logiczniej gdyby na urodziny dziecka m a t k i dostawały prezenty.

Poziom decybeli rósł. Najważniejszym tematem wieczoru okazał się niezwykle przypadek zabójstwa. W sierpniu turecki student został zastrzelony, a jego kolega zadźgany nożem. Sprawcami zbrodni były przypuszczalnie dwie dziewczyny, które poderwały mężczyzn na Three Rivers Regatta. Prawdopodobnie zaatakowały Turków następnego dnia w cichym zakątku lotniska. Dwa dni później otoczone na plaży Virginia poddały się i czekają teraz na proces. Różnica między zwykłym, banalnym zabójstwem a tym przypadkiem polegała na tym, że to k o b i e t y występowały w roli napastnika. A może działały w obronie własnej? Każdy miał na ten temat inne zdanie, ale wszyscy zgodzili

się, że to nie jest normalne i że coś było nie w porządku z kobietami. Prawdopodobnie były lesbijkami.

Nagle gwar przycichł. Carey obejrzała się przez ramię w kierunku drzwi wejściowych. Na progu stała Suzy ubrana w koronkową suknię koloru opalizującego błęki tu — z długimi rękawami, zapiętą wysoko pod szyją. Musiała dać się w niej zaszyć, bo kreacja była tak obcisła. Na biodrze przymocowała ogromną niebieską kokardę z tafty, od krocza aż po kolana spowijała ją jaskra woni ebieska tafta, poniżej kolan błyszcząca koronka pieniała się nad satynowymi pumpami w pawim kolorze.

— Wygląda jak rusałka w sobotnią noc — wyszeptała pani Graham. Trzymając wysoko głowę, Suzy rozejrzała się wokół. Zauważyła sylwetkę

charcicy Patty, ubraną w tę co zwykle białą-czarną taftę. Nic dziwnego, że Charley zabawiał się w Instytucie Badań z tą rudowłosą. Sylvana ubrała się w srebro, które wyglądało jak kolczuga. Kobiety o obfitych kształtach powinny zawsze wybierać ciemne kolory.

Stojąca przy oknie Izabela, choć miała na sobie seksowny strój: obcisłą suknię z obnażonym jednym ramieniem, wyglądała jak kierowniczką firmy. Suzy oczywiście powie Izabeli, że przedstawia się wspaniale. Zwsze uważała, by jej nie rozzłościć.

Gdy lustrowała wzrokiem pokój, zauważyła tę zepsutą dziecinę, wyglądającą niby abażur w tej sukience ciężowej. Jednak wypadało podziwiać ludzi w jej wieku, którzy podnosząc słuchawkę zamawiali odrzutowiec Lear. Rozmawiała z Carey — nic dziwnego, że Suzy nie zauważyła jej wcześniej. Ta czarna suknia była naprawdę nieciekawa, Carey powinna ją ozdobić mnóstwem biżuterii — i mogła coś zrobić z włosami, po nich rozpoznawano ją w tłumie. Wysokie dziewczęta muszą dbać o fryzurę. Powinna powiedzieć jej o Stanie — m a l a r z u o b l i c z a . A z drugiej strony, czy Carey kiedykolwiek coś dla niej zrobiła? A Anna?... Och, Anna stchórzyła! Miała na sobie tę okropną niebieską rzecz, którą kupiła na ślub Lorenzy, więc prezentowała się równie nieciekawie jak zwykle. Doprawdy, po co pomagać ludziom?

Rozglądając się wokół, Suzy najpierw policzyła do dziesięciu, potem dopiero ruszyła do przodu. Nie można nie poruszać się seksownie, gdy ma się związane nogi w kolanach i idzie się powoli.

— Nic dziwnego, że wszystkie jesteście o nią zazdrosne — westchnęła Carey.

— Zawistne — poprawiła ją pani Graham. — Zazdrość to chcieć tego, co ma inny człowiek, zawiść to pragnienie, by tego nie miał.

Sylvana podeszła do drzwi. — Suzy, t a k się cieszę, że przyszliście. Brett, nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć co

przygotowaliście dla nas na tę wyprawę. Artur nie ma zielonego pojęcia, ale przypuszczam, że zorganizowaliście jakiś program.

— Pewnie — odparł Brett, który pełnił funkcję szefa do spraw socjalnych.

— Najpierw Sydney, tam pokażemy wam co najlepsze w tym mieście — pokazy mody, nocne kluby, koncerty. Gdy znajdziemy się na Paui wszystko

będzie mniej oficjalne. Będziecie mogły popływać jachtem, nurkować, grać w tenisa i w golfa. Albo możecie po prostu leżeć przy basenie i się opalać.

W bibliotece grupa pracowników „Nexusa” skupiła się wokół gospodarza przyjęcia, który zwrócony plecami do kominka powiedział: — przypuszczam, że na Paui jest bezpiecznie?

Ed, wiceprezes od planowania i rozwoju odparł: — Oczywiście. W zeszłym tygodniu Harry Scott przyleciał z Sydney, a ja byłem tam dwa razy od czasu przewrotu. To o wiele bezpieczniejsze miejsce niż Manhattan. Gdybyśmy nie uważali, że na Paui jest bezpiecznie, nie pertraktowalibyśmy z ich rządem.

Doradca finansowy, chudy Jeny Pearce odparł beznamiętnie: — My z nimi n i e pertraktujemy.

— Tylko dlatego, że nie chcą negocjować z Harrym — powiedział niecierpliwym tonem Ed. — Nie chodzili do Ilarwardzkiej Szkoły Biznesu i nie znają się na strukturze firm, nie wiedzą po co jest doradca. Dla nich Harry nie jest żadnym szefem — jest tylko prezesem „Nexusa” w Australii. Prezydent Paui może rozmawiać tylko z Arturem, inaczej straci twarz. Dla nas to nie ma znaczenia.

— Ważne jest, by zrozumieli, że układ został już zawarty. Muszą pojąć, że ostateczna propozycja Artura to nasza propozycja i że nasza granica czasowa to powrót Artura — zaczął Jeny Pearce.

— Według mnie — dodał Ed — rozstrzygniemy to w ostatniej chwili, może nawet na lotnisku.

— Nie potrzeba wcale robić przedstawienia na końcu — odezwał się zdenerwowany Artur. — Odnowienie naszej umowy miało nastąpić cztery miesiące temu, w czerwcu 1984 roku. Byli więcej niż zadowoleni ze współpracy z nami i to od początku, od 1970 roku.

— Mieli powody — zgodził się Jerry. — Nasze obroty na Paui w zeszłym roku wyniosły około 474 miliony dolarów. Stanowiliśmy 43 procent ich eksportu, przyłączyliśmy się dając 73 procent wewnątrznie wytwarzanego dochodu narodowego, a 80 procent naszej siły roboczej to obywatele Paui.

— Ed popijał Chivas Rega. — Zdają sobie z tego sprawę, lecz umowa z 1970 roku dotyczy jedynie kopalni North Queenstown i praw na wydobycie miedzi. Jeśli chcemy zgarnąć prawo na wydobyciu wszystkich kruszców na całej wyspie, nie możemy ograniczyć się tylko do przystemplowania nowej daty na starym dokumencie.

Brett, który właśnie przyłączył się do grupy, odezwał się niezobowiązująco: — Czy umowa na wszystkie kruszce nie jest czymś, czego się nie praktykuje?

— Pewnie — odpowiedział Ed — ale zawsze musi być pierwszy raz. Z poprzednim rządem poszło gładko.

— Jeśli cena jest dostatecznie wysoka — wyjaśniał Jerry Pearce — wtedy taka umowa może skusić prezydenta, który zdaje sobie sprawę, że jego kadencja nie potrwa długo. Będzie chciał wziąć dla siebie ile się da, tak prędko



jak może i umieścić to w w banku szwajcarskim, a potem — w odpowiedniej chwili — ustąpić.

Ed westchnął: — Ta ostatnia zgraja była lepsza do negocjacji niż ci nowi mętni liberałowie.

— Czy zajmują się problemami ochrony środowiska? — spytał Brett. — O to chodzi?

Wszyscy popatrzyli na niego dziwnie. Woleli, **by** w ogóle nic nie mówić.

— Ludzie wyskakują z takimi sprawami tylko wtedy, gdy chcą podbić cenę. Zawsze trują nam o tym, gdy już podpiszemy kontrakt, inaczej proponowalibyśmy im mniej forsę — wyjaśnił Jeny.

— W każdym razie, zawsze trzymamy rękę na pulsie, jeśli o to chodzi. Zaniżamy skutki zniszczenia do minimum i muszą je zrównoważyć z korzyściami. To, co wydobywamy jest konieczne dla nowoczesnego przemysłu. Korzyści przynosi im infrastruktura — dodał Ed.

— Ale mnie wciąż się nie podoba pomysł, żeby Artur tam pojechał. To oznaka słabości — powiedział Jerry.

— Dlatego trzeba, żeby ta podróż wyglądała jak wakacje — przemawiał Ed. — Wtedy nie stracimy twarzy.

Gdy Jerry wzruszył ramionami, Ed powiedział: — Widzisz, muszę znieść wszelkiego rodzaju gówno w tak zwanych „krajach rozwijających się”, z którymi mamy do czynienia. Jeśli c h c e m y mieć to, co o n i mają, musimy poznać ich zasady i trzymać się ich. Po raz ostatni Brett próbował włączyć się do dyskusji w inteligentny sposób. — Nie sądzicie, że mogą nie dotrzymać umowy? Jesteście pewni, że gwarantujemy im dostatecznie dużą opłatę zabezpieczającą koncesję?

Gdy tylko zaczął mówić zrozumiał, że powiedział c o ś n i e t a k .

Przez chwilę bezsilnej złości Artur żałował, że jego matka nie słyszy swego protegowanego. — Nigdy nie gwarantujemy opłat zabezpieczających — grzmiał Artur. — Chociaż pewne ustalenia są czasami konieczne. Pamiętaj także, że nazwa „koncesja” brzmi obraźliwie w krajach rozwijających się. Zamiast tego mówimy „główny punkt umowy”, albo „podstawowa umowa”, albo „przedmiot pertraktacji”, co może brzmi dziwnie, ale tych określeń Ed lubi używać. Jeśli znajdziesz wolną godzinę, to kiedyś wyjaśnimy ci dłaczego.

Brett oblał się rumieńcem.

Żeby przerwać niezręczną ciszę Jerry prędko dodał: — Brett, ta sytuacja nie jest ani niezwykła ani nienormalna. Po prostu oni nie chcą, żeby obca, zagraniczna firma wydobywała ich metale i minerały. Nawet jeśli nie mają pieniędzy, maszyn i siły fachowej. Ieby to zrobić samodzielnie.

Ed skinął głową. — Pięćdziesiąt lat temu tubylcy byli dzikusami z epoki kamienia łupanego, nigdy nie widzieli koła, nie mówiąc już o jeepie. Ci, co niedawno przejęli rządy są pierwszymi wykształconymi obywatelami Paui. Musimy więc **być** cierpliwi.

Artur chrząknął z zadowolenia. — Po prostu jest dla nas niekorzystne, że nie przyszli dwa lata później. Wtedy podpisywaliśmy tę umowę z Rakim. Dużo można powiedzieć o tym rozsądnym oszuście, którego każdy krok da się przewidzieć. Ale nie mówmy już o pracy. Pora coś zjeść.

Gdy Carey sięgnęła po kolejny kieliszek szampana, za jej plecami stanął Ed.

— Carey, myślałem, że nie zamierzasz pić przed obiadem. Wiesz, jakie będą skutki.

Carey odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Nie, kochanie, to ty powiedziałeś, że mam nie pić przed obiadem — mówiąc to, straciła równowagę. Zatoczyła się i upadła na Annę, rozlewając szampana na jej niebieską suknię. Ed zgromił ją wzrokiem.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Anna.

— Gorąco tutaj. Nie czuję się najlepiej.

— Obłąd w oczach — stwierdził ponuro Ed.

' Anna odstawiła na stół swój kieliszek. — Może pójdziesz ze mną na górę i pomożesz mi to wyczyścić, Carey?

Carey mamrotała: — Myślę, że będę... Och, Boże.

Anna wzięła ją pod rękę. Prędko przeszły przez hall do pustego pokoju Lorenzy.

Anna wprowadziła Carey do łazienki i pochyliła jej głowę nad umywalką. Wzięła ręcznik i wklepywała dłońmi zimną wodę w kark.

Carey chwyciła mocno powietrze: — Dobrze, dobrze, pozwolisz mi już wstać, Aniu?

— Jesteśmy razem od czasu, gdy przyszłaś na przyjęcie. Wcale tak dużo nie piłaś. Kiedy ostatnio jadłaś?

— Wczoraj wieczorem. Nie miałam czasu na śniadanie.

— W takim razie czego się spodziewasz? — Anna wprowadziła Carey do sypialni. — Połóż się na łóżku. Przyniosę ci coś do jedzenia. O, tu stoi talerz z ciasteczkami.

— Granola. Fe!

— Zjedz trochę.

Anna suszyła gąbką swoją suknię, potem usiadła koło Carey, którą teraz dręczyły wyrzuty sumienia.

Usiadła wyprostowana na łóżku i jęczała: — Zrobiłam z siebie idiotkę przed kolegami Eda.

Czuła się jeszcze oszołomiona i dużo mówiła. — Wcale nie jesteśmy przyjaciółkami, jesteśmy żonami szefów firmy. Po prostu jesteśmy grzeczne i zgadzamy się ze sobą... właśnie, nigdy nie było tak, żebyśmy się nie zgodziły. Zachichotała. — Ojejku, jakże ja czekam na tę wyprawę na Paui.

Suzy, stojąc naprzeciw drzwi do łazienki, wychylała się przez barierkę i obserwowała gości idących w stronę sali balowej, gdzie podano kolację. Postanowiła poczekać aż wszyscy zajmą miejsca za stołem i dopiero wtedy zejść na dół.

Bawiła się na swój prywatny sposób dzieląc obecnych na „stare pieniądze” i „nowe pieniądze”. Przyglądała się ludziom. Zawsze uczyła się czegoś, składając wizytę w tym domu. Brett nigdy nie zrobi takich pieniędzy, niech to licho. Nie należał do klanu Grahamów, był bratankiem męża bezdzietnej siostry matki Artura. „Stare pieniądze” opowiadając o swoich kuzynach zawsze spodziewały się, że natychmiast połapiesz się w ich drzewie genealogicznym.

Nagle, ku swemu zdziwieniu i złości, Suzy ujrzała swojego męża biegnącego w kierunku schodów.

Jak śmie przychodzić po nią?

Potem jednak zauważyła, że Brett trzyma się kurczowo poręczy, gdy powoli wchodzi na stopnie. Jezu, co za pora na atak. Szczególnie, że nie znosił, by ludzie patrzyli wtedy na niego. W domu musieli mieć poduszki z latexu i syntetyczne kołdry, gdyż Brett był uczulony na pierze i płótno. Nie mogli trzymać zwierząt, nawet drobinka kurzu była niebezpieczna, nie mówiąc już

o sierści. Materac trzeba było czyścić raz w tygodniu, żeby uniknąć meszku. Gdy czuł, że zbliża się atak astmy, nagle miał wrażenie, że mu coś ściska klatkę piersiową i zaczynał sapać. Oddychanie przychodziło mu z trudem. Suzy musiała zapewniać go, że nie ma krwotoku, choć czuł się tak, jakby krwawił. Ulgę przynosił spray Ventolin, pod warunkiem, że użył go gdy tylko zauważył pierwsze objawy.

Suzy popędziła ku niemu.

— Brett, gdzie twój spray?

— Zostawiłem w kieszeni płaszcz — wydusił podając jej niebieski bilet. Pochwyliła papierek. — Siedź tutaj. Zaraz przyniosę.

Brett zatoczył się na delikatny, rzeźbiony fotel dębowy. Suzy zrzuciła buty

i popędziła do męskiej szatni. Porwała płaszcz Bretta z rąk pokojówki i odszukała potrzebny przedmiot przypominający w kształcie dużą zapalniczkę. Pobiegnęła z powrotem do męża tak szybko, jak było to możliwe w krępującej ruchy sukni.

Brett wydychał powietrze, przykładał spray do ust, wdychał i zatrzymywał lekarstwo przez dziesięć sekund.

Podszedł do nich Służący. Suzy dała mu znać ruchem dłoni, że nie jest potrzebny. —W porządku. To mu się zdarza. Spray zawsze pomaga... Hej, czy może mi pan przynieść drinka? To zawsze trwa jakieś dwadzieścia minut zanim dojdzie do siebie. Chciałabym napić się szampana.

## **RAJ**

**PIĄTEK, 9 LISTOPADA**

**3**

— Cóż, czy to nie miło z ich strony, że pomyśleli o mnie? O — Roddy badawczo przyjrzał się niewielkim bukietom orchidei, zdobiących tacę ze śniadaniem. Na bileciku przeczytał pozdrowienia od kierownictwa Hotelu Regent w Sydney. Wziął do ręki sporą kopertę. — Uprawia mnie do wizyty u kosmetyczki i fryzjerki. Mogę również skorzystać z hotelowego salonu piękności i zafundować sobie maseczkę na twarz oraz masaż.

Izabela Wedziała na łóżku, oparta plecami o poduszki. Przeglądała dokumenty. Zerknęła na niego znad okularów w rogowych oprawkach i roześmiała się.

— Ja też dostałam krawat w prezencie, gdy leciałam ostatnio Concordem. Przysurtał się do niej delikatnie i ugryzł ją w nagie ramię.

— Co fnasz na dzisiaj w planie?

\_Wykład na temat mass mediów, który wygłosi redaktor naczelny „Sydney Daily Telegraph”. To oszałamiająca blondynka nazwiskiem Ita Buttrose.

— Czy! to nie Brett miał dziś mówić?

— Tak] o tym jak to „Nexus” dba o ludzi i środowisko naturalne. Potem Ed opowie o wyczerpywaniu się zasobów, bo się nie odnawiają. Ucieszy cię, że światu nie zabraknie żadnego z bogactw przed 2050 rokiem. Popołudnie jest wolne dla wszystkich delegatów.

Roddy pieścił uparcie jej ramię, przesuując dłoń coraz wyżej. Oboje odczytali to jako zaproszenie do kochania.

— A cd powiesz na wyczerpanie nie odnawiającego się męża, zanim dobiegniemy na to przedstawienie? — całował zagłębienie jej szyi.

— Kocłjanie, nie założyłam krążka. Dzisiaj nie można.

— Dobrze, dobrze. Zrobię sobie w takim razie maseczkę z błota.

Nagi Roddy wyśliznął się z pościeli i powoli ruszył w kierunku luksusowej łazienki. Prawie natychmiast zjawił się z powrotem w sypialni i otworzył drzwi balkonowe. Widać stąd było zatokę Sydney z wysokości dwudziestego piętra.

— Izabelo, kochanie — Roddy trzymał coś w powietrzu. Spojrzała na jego palce.

— Hej, czy to nie jest mój krążek?

— To był twój krążek — zamachnął się i wyrzucił go przez balkon.

— Jak śmiesz!

— Och, to proste. Będiesz miała dziecko bez względu na to, czy chcesz tego czy nie, Izabelo. Zaczniemy już dziś.

Leżąc w łóżku Brett przyglądał się Suzy ubranej w biustonosz z czerwonej koronki i wycięte figi. Znów obudziła się w nim żądza, gdy patrzył jak tańczyła w takt płynącej z radia muzyki. Wiedziała, że podnieca go jej widok nawet wtedy, gdy czyści zęby.

— Hej, Brett, myślisz, że pieprzę się z Arturem?

Nie potrafił oprzeć się właśnie temu.— Suzy była nieokrzesana, nieobliczalna i mówiła prosto z mostu co myśli.

— Muszę przyznać, że zastanawiałem się nad tym.

Nie mógł ciągle zrozumieć, dlaczego tak młody pracownik jak on znalazł się na tej wycieczce, zastrzeżonej przecież wyłącznie dla nielicznych.

— Cóż, nie robię tego.

Gdy zerwał się z łóżka, by podbiec do niej, Suzy właśnie myślała, że jeszcze zaczeka. Nie miała ochoty pieprzyć się z kimś, kto nie był jej mężem. Ten ostatni ruch trzymała jak asa w rękawie. Ugodziła Bretta odwieczną bronią kobiet, ale jej następne małżeństwo, jeśli nie z Arturem, to z kimś innym, da jej pieniądze i władzę Grahamów.

ChoćSylvana przywykła do luksusu, podobał jej się spokojny Apartament Królewski w jednym z najelegantszych hoteli świata. Stonowany odcień błękitu, dyskretne oświetlenie i osobisty kamerdyner sprawiły, że z dala od świata otaczał ją uporządkowany komfort.

— Myślę, że zostanę tu i poczytam w sypialni — odezwała się cicho.

— Za dużo czytasz — odparł Artur. — To niezdrowo zamykać się tak ciągle z książką. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz?

Potrzebujesz czegoś?

Żeby wreszcie zdobyła się, by powiedzieć otwarcie: — Nie, źle się czuję. Od lat jestem samotna uczuciowo i potrzebuję p a r t n e r a .

Wiedziała, że Artur popatrzyłby na nią ze zdziwieniem i kazał zaraz po powrocie do Pittsburga iść do lekarza na badania.

Ed czytał swoją kwestię przed lustrem. Carey ubrana w pomarańczową koszulkę nocną siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i słuchała go uważnie.

Po dziesięciu minutach podsumował: — Mój główny temat dzisiejszego ranka dotyczy tego, co stanie się z zasobami bogactw naturalnych na świecie, które z nich wyczerpią się prawdopodobnie i jaką strategię należy przyjąć,

biorąc pod uwagę przewidywane zmiany popytu i wzrost podaży poprzez zwieńczone sukcesem poszukiwania nowych złóż, -udane badania naukowe i rozwój technologii.

— Ed, moim zdaniem ta końcówka brzmi zbyt patetycznie.

— ZAMKNIJ... SIĘ!

— Przepraszam.

Artur leżał wyciągnięty na leżaku na brzegu krytego basenu. Żywił błędne przekonanie, że można tu mówić bez obawy podsłuchu. Rozmawiał z dwóch telefonów z Pittsburgiem.

— W porządku Joe. Biorę dwa tysiące... akcji po dwadzieścia i dziesięć. Do zobaczenia... Delia, jesteś tam? ... Dobrze, daj go. Popijając sok pomarańczowy, rozmawiał o kupnie gruntu i krótkoterminowym kredycie na wybudowanie wieżowca przy ulicy Czereśniowej. Później pokłócił się z agentem ubezpieczeniowym.

— Nie żartuj sobie ze mnie, Syd. Chcę mieć dane na poniedziałek. Rzucił ze złością słuchawkę, otarł pot z okularów przeciwsłonecznych

i skinął na chłopca, który podał mu na srebrnej tacy zebrane z hotelowego teleksu informacje z godziny 8 rano.

Gdy skończył jeść jajecznicę, wykonał krótki telefon do Nowego Jorku, żeby poinformować Municipal Allied, że się zgadza, pod warunkiem, że zaakceptują go, jako kandydata do zarządu. Potem zatelefonował do swojej wtyki przy telefonie miejskim „New York Timesa”. Chciał, żeby historia z Municipal Allied przeciekła do prasy.

Gdy potwierdził u sekretarki, że nagrały się wszystkie rozmowy, wypił ostatnią filiżankę kawy i wykręcił numer bezpośredni, by sprawdzić, czy ktoś otrzymał jego róże. Uśmiechnął się przelotnie słysząc okrzyki radości z oddalonego o tysiące kilometrów Pittsburga.

Zerknął na swój osiemnastokaratowy złoty zegarek kwarcowy Brequeta, z którego mógł odczytywać fazy księżyca i nurkować na głębokość ponad sześćset metrów, a który kosztował jego matkę 25000 dolarów i został mu ofiarowany jako prezent na sześćdziesiąte urodziny. Zmarszczył czoło na wspomnienie swych ostatnich urodzin. Lekarze mówią, że jest się młodym tak długo, jak długo czuje się młodym. Mając sześćdziesiąt dwa lata, Artur zachował sprawność mężczyzny o dziesięć lat młodszego. Cały ten interes z szukaniem następcy nie przypadł mu wcale do gustu, ale Zarząd już od dwóch lat wywierał na niego presję, więc w końcu zgodził się, by do końca tego roku poznali jego decyzję. W ten sposób następny prezes będzie pochodził z jego wyboru.

Spojrzał na zegarek. Przyjdą tu najwcześniej za dwie minuty. Miał więc czas na jeszcze jeden telefon.

Z windy wyszedł Harry Scott. Słońce świeciło delikatnie, jak zawsze rankiem. W oddali widział Artura leżącego przy basenie, ale pomyślał, że szef

może poczekać jeszcze kilka minut. Chciał popatrzeć" na swój ulubiony widok. Podniósł w górę okulary przeciwsłoneczne i przesunął je wyżej ma czoło. Zmrużył szare oczy. Gdy był mały, koledzy dokuczali mu w szkole z powodu jego kręconych czarnych włosów i długich podwiniętych rzęs. Przestali, gdy zmienił się w wysokiego chłopca o aksamitnym głosie. Nos złamany w czasie gry w krykieta nadawał jego twarzy surowy wygląd osoby agresywnej, choć w rzeczywistości był raczej łagodny. Miał wystające kości policzkowe i lekko zapadnięte policzki. Był za chudy, bo nie znajdował przyjemności w jedzeniu i często zapominał o posiłkach.

Po lewej stronie widział Most nad Zatoką, po prawej wznoszące się strzeliście ku górze muszle Opery, okolone ze wszystkich stron kołyszącymi się na błękitnej wodzie zatoki jachtami i łodziami. Tutaj zaczyna się Australia

— pomyślał.

Z windy wyszli Ed i Charley, ubrani jak na wakacjach, tyle że z teczkami w dłoniach. Podeszli do szefa. Harry zastanawiał się, któremu z tych facetów będzie w przyszłości składać raporty. Obaj znali swoją wartość, choć każdy był inny. Nic złego nie mogło się przydarzyć, gdy był tu prawnik Charley, któremu zawsze wszystko szło jak z płatka, a i Ed z wykształcenia geolog, radził sobie równie dobrze i to on właśnie miał rzadką cechę elektryzowania ludzi: każdy, kto pracował nad jego projektem zawsze angażował się i poświęcał całkowicie — projektowi i autorowi.

Artur włożył przez głowę hawajską koszulkę i przywitał się z Harrym. — Wszystko ustalone, Harry?

— Dokładnie tak jak zamierzaliśmy. W sobotę lecimy z Sydney na Paui. To jakieś trzy i pół tysiąca kilometrów, więc będziemy tam na trzecią po południu. Zawiozą nas helikopterem do hotelu. W niedzielę rano wszyscy idziemy popływać — jakbyśmy zaczęli leniwe wakacje. Po południu lecimy helikopterem na przejażdżkę nad wyspą, by podziwiać krajobrazy, oczywiście. Artur, usiądziesz za pilotem. Obok ciebie — Ed i będzie ci pokazywał wszystkie miejsca szczególnej urody. Gdy do nich dolecimy, Ed potrze nos raz, gdy będzie to kobalt, dwa — gdy uran.

Ed pomyślał: — A kiedy zdejmę okulary przeciwsłoneczne to będzie oznaczało chrom.

— Czy ta maskarada jest faktycznie potrzebna? — spytał Charley.

— Piloci podsłuchują — wyjaśnił Harry. Pomyślał, że proponowana cena jest i tak wygórowana, a kiedy dowiedzą się co tutaj mają, podniosą ją tak, że podpisanie umowy potrwa całymi latami. Ludzie na Paui uwielbiają się targować.

— Trzeba to wszystko podsumować, ustalmy termin odprawy — powiedział Artur.

Nie było to wcale konieczne. W jego teczce spoczywał pisemny raport liczący dziewięćdziesiąt dwie strony, a wszystkie ceny i płatności zostały już wcześniej w tajemnicy ustalone. Umówili się jednak na spotkanie, gdyby nagle wyniknęły jakieś zmiany w planie.

— W poniedziałek wypływamy w morze na ryby — nadal na luzie, kontynuował Harry. — We wtorek rano przyleci po nas helikopter, żeby nas zabrać do Queenstown. Lecimy na pokazową inspekcję kopalni. Na lotnisku będzie czekał samochód, ale zanim pojedziemy do kopalni, oczywiście złożymy wizytę w Pałacu Prezydenckim w południowej części Queenstown. Gdy dotrzemy na miejsce tylko Artur wysiądzie z samochodu. Przed audiencją z pewnością go przetrzymają, jak długo nie wiadomo, wystarczy dziesięć minut, by zachować naszą pozycję — ale jeśli potrwa to dłużej niż pół godziny, wtedy Artur wyjdzie. Jednak pewnie się to nie zdarzy. Prezydent proponuje kawę i Artur przyjmie tę propozycję. Nie będzie rozmowy o interesach. Artur wyjdzie, gdy prezydent wstanie.

— Jak długo potrwa ta wizyta? — zapytał Charley.

— Jakies dwadzieścia minut. Gdy Artur zjawi się z powrotem, grupa z „Nexusa” pojedzie do kopalni, oddalonej o jakieś czterdzieści trzy kilometry na północ od Queenstown.

— A co potem? — dopytywał się Charley.

— W środę rano prezydent wyśle swój prywatny helikopter po Artura.

Polecę z nim razem. Spotkamy się z prezydentem i ministrem finansów. Artur złoży wtedy naszą pierwszą propozycję, która spotka się z odmową, potem Artur i ja wrócimy do hotelu i pojedziemy na ryby.

— W czwartek jeszcze raz odwiedzimy z Arturem pałac i znów nas przetrzymają, zanim zobaczymy się z prezydentem. Tym razem spotkamy się bez świadków, a on będzie gotowy, by zrzec się na korzyść „Nexusa” wszelkich praw na wydobycie minerałów i metali na Paui, ale zażąda wyższej ceny niż proponowaliśmy dzień wcześniej. Wtedy Artur złoży kolejną ofertę, której prezydent nie przyjmie. Wyjdziemy, by zjeść lunch w Hotelu Queenstown.

— Po lunchu przybędzie po nas urzędnik z Ministerstwa Finansów i pojedziemy do gabinetu ministra. Zgodzi się na cenę niewiele wyższą od naszej i podpiszemy umowę wstępną. Zanim podpiszemy umowę będziemy musieli dokonać przelewu na ich prywatne konta w Szwajcarii, ale to już należy do Charleya i jego departamentu.

— Ułożyłeś jakąś szaradę — powiedział Charley.

— Ale przynajmniej łatwo przez nią przebrniemy. — Gdy się pertraktuje z jednym z plemion na Papua w Nowej Gwinei, trzeba polizać pachę wodza na znak dobrej woli — odezwał się Ed. Wzruszył ramionami. — Byłoby jeszcze łatwiej, gdyby nie wykopano nacjonalistów w chwili, gdy zamierzaliśmy właśnie z nimi rozmawiać. Z Rakim byłaby to jedynie kwestia gdzie, kiedy i za ile. Ale ci demokraci mają idealistyczne odchyły lewackie. Faceci, którzy teraz są przy władzy, uważają się tu za chłopców Kennedy'ego.

— Co się stanie, jeśli nie przyjmą drugiej oferty? — zapytał Charley.

— Wtedy Artur wyjdzie, udając, że nic go to nie obchodzi i pojedzie na ryby. Równie dobrze mogą czekać z podjęciem decyzji do ostatniej chwili — mówiąc szczerze, spodziewam się takiego obrotu sprawy. Być może będziemy



negocjować z nimi na lotnisku, tuż przed odlotem. Ale Arturowi nie wolno ustąpić ani na jotę, w przeciwnym razie „Nexus” straci twarz.  
— Jesteście pewni, że prezydent nie wie o tym, o czym my wiemy — spytał Charley.

— Nigdy nie jest się pewnym tak do końca, Charley. Ale oprócz nas czterech, w „Nexusie” nikt o tym nie wie — mówił Harry. — A gdyby coś przeciekło, wtedy pojawi się Brett, gotowy do złożenia wyjaśnień. Tak to zamąci, że nikt się nie zorientuje, albo zajmie uwagę prasy czym innym.

— Czy są jeszcze jakieś kłopoty z generałem Raki? — zapytał Charley.

— Są—odpowiedział Harry. — Ma swoją siedzibę w Port Moresby Travel Lodge na Hunter Street i stara się jak może, by mnie przekonać, że jest jeszcze wpływowym facetem na Paui. Jęczy, że wstrzymaliśmy płatności dla niego. Wszyscy ministrowie nacjonalistów albo zginęli albo są uwięzieni, albo też uciekli z Paui osiemnaście miesięcy temu, gdy władzę przejęli demokraci.

— Więc „Nexus” nie odpowiada na telefony Rakiego? I Raki nie otrzymał od nas żadnych pieniędzy, od czasu gdy przegrał? Harry skinął głową.

Tego popołudnia, Anna i Duke, Ed i Carey żeglowali po zatoce jednoma-sztowym jachtem wyścigowym Harry'ego. „Czarownica Morska” płynęła pod wiatr, mijając Fort Denison, gdzie kiedyś przetrzymywano przestępców. Zmierzali w kierunku „Głów” przy wejściu do zatoki.

— Masz ochotę? — Harry zaproponował Duke'owi przejęcie steru. Wiedział, że Duke będzie chciał kierować jachtem i wolał pozwolić mu na to w zatoce, gdzie nie mógł wyrządzić większej szkody.

— Musisz tylko uważać na „Maciorę i Prosięta”, wiesz na tę skałę na środku zatoki — ostrzegwał Duke'a, gdy ten wziął w dłonie ster. Ludzie zapominali o niej, choć była wyraźnie oznakowana. Harry dodał jeszcze: — I uważaj na skałę po południowo-wschodniej stronie rafy.

Anna wiedziała, dlaczego Harry tak ochoczo oddał ster swojej ukochanej łodzi w ręce Duke'a.

Poszedł do przodu, by zająć jego miejsce przy Annie. Wyszeptał: — Unikasz mnie.

Słońce ślizgało się po włosach Anny, wydobywając z nich rudaWe iskiereki, gdy potrząsnęła głową. Nie wiem, co ze sobą zrobiła, ale wygląda tak jak wtedy — pomyślał.

- Oczywiście, że cię unikam — przebiegło jej przez głowę. Przy każdym spotkaniu dawał jej do zrozumienia, że coś ich łączy. Dzięki Bogu, Duke nie miał o tym pojęcia. Takie zachowanie nie było fair ze strony Harry'ego. Przecież dawno temu pocałował ją tylko raz.

Większość mężczyzn zapomina o takich rzeczach.

Stał się to wtedy, gdy Harry pracował w Pittsburgu i spędzał Święta Bożego Narodzenia z jej rodziną w ich domku, w narciarskiej miejscowości w Alleghenach.

Anna do dziś pamięta ów pierwszy dzień, kiedy krzyczała na niego, żeby bardziej zginał kolana i pochylał się, gdy zjeżdża ze wzgórza, a on spytał: — Pod jakim kątem? Gdy mu powiedzieli, że jest świetny, Harry wzruszył ramionami i odparł, że jeśli chodzi o siłę przyciągania to działa ona podobnie, jak podczas jazdy na motocyklu. Już pierwszego dnia zdobył czerwony pas, a na czarny pracował niecały tydzień. Nagle, wszystkie dziewczyny w okolicy zauważyły owego błyskotliwego narciarza, choć Harry jakby ich nie dostrzegał.

Jeździli z Anną na nartach przez cały dzień. Przy ostatnim zjeździe zaczął padać śnieg. Anna przewróciła się jak długa i usłyszała szcęk nart Harry'ego, który zatrzymał się przy niej. Wyciągnął do niej kijek i pomógł wstać z zasy. Potem schylił się do przodu i delikatnie scałował płatek śniegu z jej nosa. Popatrzyli na siebie bez słów i Harry wziął ją w ramiona. Jej dłonie w rękawiczkach ścisnęły kijki od nart i tył jego kurtki-parki. Kolana ugięły się pod nią, straciła równowagę i oboje upadli w śnieg. Leżeli przytuleni do siebie.

Do dziś Anna nie zrozumiała jak mogła wtedy poczuć tak silne pożądanie, skoro miała na sobie ze trzy warstwy bielizny, wełnianą czapkę i, szalik zawiązany aż po nos.

Ocknęli się z ekstazy, gdy odpięła się narta Harry'ego. Na szczęście utrzymał ją skórzany pasek wokół kostki. Oboje zdali sobie sprawę, że zrobiło się ciemno i muszą wracać. Anna nigdy nie zjeżdżała tak źle, ani nie czuła się tak podniecona, jak podczas owego biegu o zmroku.

Nie mogła usnąć tamtego wieczoru. Następnego ranka miała czterdzieści stopni i resztę wakacji zimowych spędziła w łóżku. Chorowała na grypę i gorączkowo zastanawiała się, czy można kochać dwóch mężczyzn jednocześnie. Jej matka została przy niej aż do wyzdrowienia, a kiedy wróciła do Pittsburga, nie miała krwawienia przez dwa miesiące i nie miała też wyboru co do mężczyzny, którego kocha. Jej najstarszy syn był w drodze.

Kadłub „Czarownicy Morskiej” delikatnie oblewały fale. Wiatr rozwiewał Annie włosy, gdy zerkała ukradkiem na Harry'ego. Nie był mężczyzną, którego zauważa się w tłumie, nie wyglądał wcale na atrakcyjnego, ale był człowiekiem myślącym, uprzejmym i opiekuńczym. Prawdopodobnie dawno by już zapomniała o nim, gdyby jej na to pozwolił. Przynajmniej tak twierdziła Anna. Nie chciała pamiętać, jak czuła się kilka lat temu w czasie Świąt Wielkanocnych, gdy Duke niespodziewanie zaprosił do ich domu Harry'ego. Serce zamarło jej w piersi. Drżała na całym ciele, tak jak wtedy na górze obsypanej śniegiem. Przeraziła ją fizyczna zdrada. Nic nie może popsuć jej małżeństwa — powtarzała sobie. Wzięła więc Harry'ego na bok i spacerowała z nim po ogrodzie, ostentacyjnie pokazując mu świeżo zasadzone przez siebie krzewy, białe cunninghamy. Kazała mu przestać bawić się w tę nonsensowną grę. Jako energiczny biznesman powinien zapomnieć owo nastoletnie zadurzenie. Harry takiwał głową.

— Masz rację, Aniu — odparł. — Od lat powtarzam sobie to samo. Uwierz

mi, próbowałem na różne sposoby, ale nie mogę się tego pozbyć. Widocznie już muszę czuć do ciebie to, co czuję. Bez względu na to, czy cię widzę czy nie, jesteś częścią mnie samego.

— Ale to jest śmieszne!

— Mnie to mówisz.

— Tracisz czas, Harry. Nic z tego nigdy nie wyjdzie. Harry popatrzył na nią dziwnie i powiedział:

— Powtarzam to sobie od lat. Nigdy nie powiedziałem złego słowa o Duku. Ale ja zaopiekowałbym się tobą, Aniu. I twoi chłopcy są już prawie dorośli. Zrobił krok w jej stronę, a ona uciekła w popłochu do domu.

Fale uderzały o kadłub „Czarownicy Morskiej”. Zatoka była tak duża, że nie można było dostrzec jej końca, ani odróżnić kształtu. Harry siedział na tyle blisko Anny, by dotykać jej barkiem, ramieniem i szczupłym udem. Była świadoma jego bliskości. Odsunęła się trochę w bok, lecz on przysunął się natychmiast. Anna szybko zerknęła w kierunku dziobu jachtu. Nikt nic nie zauważył. Carey i Ed wpatrywali się w faliste podnóża pagórków i maleńkie rzeczulki północnego Sydney.

— Unikasz mnie — powtórzył miękko Harry.

— Jeśli nie przestaniesz — szeptała ze złością — to powiem wszystko Duke'owi.

— Nic nie powiesz — wyszeptał. — Ja się tylko skarżę. „Czarownica Morska” płynęła w stronę wejścia do zatoki.

— Myślisz, że chciałabyś tutaj zamieszkać, Aniu? — zapytał Harry. Aż podskoczyła. Pomyślała: —proszę, Harry, nie zaczynaj od nowa.

— Czy mogę spotkać się z tobą sam na sam, Aniu?

— Nie. Wiesz, że zawsze mówię „nie” i zawsze będę mówiła! Słuchaj, jeśli teraz nie przestaniesz, wstanę i usiądę obok Eda i Careya. Psujesz mi wspaniałe wspomnienia z całego tygodnia.

— A co było takiego wspaniałego? — zdjął kurtkę, pod którą nie nosił koszuli. Nie mogła nie zauważyć, że wciąż był tak szczupły jak wtedy.

— Nie spodziewałam się, że Australia jest tak olśniewająca — odparła Anna. — Zupełnie jak Kalifornia, tyle że żywsza i bardziej przyjazna. Ludzie, których tu poznaliśmy, mają w sobie taką wolę życia.

— Gdzie już byłaś? — dotykał ją kolanem, więc znów przesunęła się nieco w bok.

— Poniedziałkowy poranek spędziliśmy na plażach na południe od Sydney, a potem pojechaliśmy nad rzekę Hawkesbury. I przypomniała sobie przepiękny widok spokojnych odnóg morskich i gęsty busz, w którym słychać było tylko śpiew ptaków.

— Byliśmy w mieście, które wyglądało jak przed stu laty. Widać było, jak toczyło się życie nad rzeką, gdy powstawał nowy kraj. Czowała na swoim ramieniu nagie ramię Harry'ego i przesunęła się bliżej brzegu jachtu. Jeśli dalej tak pójdzie, wkrótce znajdzie się za burtą.

Zobaczyła, że stojący za sterem Duke śmieje się do niej radośnie. Nie powinna odczuwać winy, skoro nic nie zrobiła.  
— Przystań mnie dotykać, Harry — wyszeptała. Czy nie widział, że była zakłopotana i nie wiedziała co robić. Ledwie słyszał jej stanowczy szept: — Jeśli mnie nie zostawisz w spokoju, Harry, to wyskoczę z łodzi i będziesz się tłumaczył przed Dukiem.  
Harry uśmiechnął się szeroko: — W zatoce są rekiny. Nie potrafił pojąć, dlaczego tak podniecała go ta mała gra i reakcje Anny na najmniejszy ruch z jego strony. Żeby sprawdzić, czy jest tak jak myśli, wyciągnął za jej plecami swoje szczupłe palone ramię i oparł je o breg łodzi.

Anna podskoczyła w miejscu.

Harry uśmiechnął się.

A Duke zawołał: — O czym tak szepczecie we dwoje? — uśmiechnął się do nich. Wyglądał jak kapitan przy sterze — zadowolony z siebie facet, od którego wiele zależy.

— Anna opowiadała mi właśnie co robiła w tym tygodniu — odkrzyknął Harry.

Siedział tak blisko, że czuła zapach jego ciała. Nagle spojrzała na niego zmieszana. Coś jej przed chwilą przyszło do głowy. Jacht, zatoka, niebo, wszystko to stało się częścią nowej, przerażającej rzeczywistości — przerażającej, bo Anna jej nie chciała i nie potrafiła nad nią panować. To nowe uczucie, choć głupie i nieuzasadnione, było prawdziwe i wszechogarniające. W głębi jej ciała nastąpiła jakaś eksplozja. Widać ją było gołym okiem. Czuła, że jest jej gorąco i drży. Była zdziwiona i zaszokowana, gdy rozpoznała w sobie namiętność.

Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnęła dotknąć delikatnych, złotych włosków na opalonym przedramieniu Harry'ego.

To straszne! Szumiało jej w głowie. Próbowwała się wyzwolić z tego nieoczekiwanego zagrożenia.

— Harry, musisz z tym skończyć — wyszeptała. Carey odwróciła głowę w kierunku Anny i powiedziała:

— Podobały ci się Błękitne Góry, Aniu? To była moja ulubiona wycieczka w tym tygodniu.

W piątek żony szefów „Nexusa” poleciały helikopterem do ogromnego parku narodowego na zachód od Sydney. Na widok malowniczych błękitnawych pasm górskich pokrytych lasem tropikalnym Carey poczuła ten sam przestach i podziw co wtedy, gdy schodziła w dół Wielkiego Kanionu. Tego samego uroczystego spokoju doświadcza się w strzelistych gotyckich katedrach — tak jakby się znalazło w obecności Boga.

Harry po raz ostatni przysunął się bokiem do Anny. Tym razem nie poruszyła się, czując ciepło jego Uda. Pragnęła skryć się w jego ramionach. Od lat nie było jej tak gorąco i dziwnie. Zupełnie jakby przypomniała sobie coś cudownego,«)ś co zdarzyło się dawno temu. Albo jakby wdychała zapomniany zapach perfum.

Ku swemu przerażeniu nagle złapała się na tym, że wyobraża sobie ze szczegółami, jakby to było w łóżku z Harrym. Odrzuciła głowę do tyłu, by popaprzeć na Duke'a, potem odwróciła ją prędko z powrotem jakby się bała, że odczyta jej myśli. Dzięki Bogu za to, że nikt nie wie, co dzieje się w naszych głowach— pomyślała.

— Ale nie podobały mi się jaskinie Jenolan — ciągnęła Carey — były naprawdę straszne.

Czarne wnętrza jaskiń oświetlono reflektorami. Były jednak zbyt ogromne, by można było dostrzec ciemne ściany i wierzchołki wymyślnych, podobnych do koronki formacji z wapienia. Ukrywali się w nich kiedyś rozbójnicy. Carey, po wejściu do jaskini natychmiast cierpiała na klaustrofobię, nie mogła zrozumieć, jak można wytrzymać długo w takim miejscu. Gdy zdała sobie sprawę z przytłaczającego ciężaru tysięcy ton ziemi i skał nad głową, zaczęła się pocić i drzeć ze strachu. Nie znosiła zwiedzania jaskiń.

Anna nie zwracała uwagi na Carey. Zajęta była "rozkoszowaniem się dotykiem smukłego ciała Harry'ego, delikatnie przyciśniętego do jej boku.

Odkrycie, że zakochała się w nim nappełniło ją radością, zdziwieniem i przerażeniem.

Nie! To nie miłość, to żądza. Nie wolno tego upiększać, Ta nagła, nieprzyzwoita obsesja, która nią zawładnęła to przecież tylko zwykłe pożądanie.

W ciągu kilku sekund wyobrażała sobie, że Harry ją uwodzi, ona wyznaje wszystko Duke'owi. Rani jego męską dumę i niszczy zaufanie, Odtąd już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Zrujnowała rodzinę i małżeństwo, a sama jest na granicy samobójstwa, a to kolejny grzech śmiertelny.

— Masz ochotę na drinka? — zapytał Harry.

— Nie!

Zaskoczyła go jej gwałtowna reakcja.

Nie mogła narażać się na ryzyko spędzenia z Harrym jeszcze jednego tygodnia. Duke na pewno coś zauważy. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego zawsze po takich zdarzeniach czuła, że ma nad nim władzę i że to sprawia jej przyjemność.

Odwróciła się, by spojrzeć w szare oczy Harry'ego. Wyglądał na rozbawionego.

— Harry, zrobiłbyś coś dla mnie? — spytała.

— Oczywiście. Wszystko. Co?

— Czy musisz jechać na Paui?

— Muszę.

Przez ostatnie sześć miesięcy czekał na to, że będzie z Anną przez całe sześć dni.

— Jestem przecież odpowiedzialny za tę wycieczkę, to moje terytorium. Proszę, nie prosz mnie, żebym nie jechał.

— Harry, jeśli naprawdę czujesz... do mnie to, co mówisz... proszę nie jedź! Na pewno wymyślisz jakąś wymówkę. Proszę.  
Harry, człowiek, który zawodowo trudnił się targowaniem z innymi, prędko policzył przez ile godzin zobaczy Annę w przyszłym tygodniu.

— Jeśli nie pojedę na Paui — powiedział w końcu — to czy pojedziesz ze mną na narty, sama, na cały dzień, gdy przyjadę następnym razem do Pittsburga? Gdyby się zgodziła, miałby najlepszą szansę na to, by ją przekonać. Ta góra słoniny pasiona kukurydzą, której była żoną, nie jeździła na nartach.

Anna zawahała się, lecz wreszcie odrzekła:

— Dobrze, umowa stoi.

Carey odwróciła się do nich jeszcze raz.

— Jak gorąco. Harry, masz coś do picia?

— Fosters czy Coke?

Każdy zamówił coś bez alkoholu. Harry poszedł pod pokład, by przynieść drinki.

Duke w nastroju hemingwayowskiego bohatera żeglował w stronę South Head, gdy nagle zauważył Lady Lane, słynną plażę nudystów. Jako marynarz macho, zmienił kurs i płynął przez środek zatoki, by lepiej przyjrzeć się dziewczętom. Grupa nagich, opalonych na brąz ciał grała w siatkówkę, zupełnie jakby ożyło zdjęcie z „Playboya”.

Nagle usłyszeli hałas przypominający rozdieranie materiału czy też heblowanie drewna, jakby odpadało dno łodzi. Wszyscy upadli na pokład.

Harry cisnął tacę z drinkami i wdrapał się na bom wystający na zewnątrz jachtu.

Krzyczał:

— Duke, opuść żagiel. Chodźcie tu wszyscy i siadźcie z tej strony. Obciążycie jacht od zewnątrz...

Udało mu się przechylić jacht i wyciągnąć kil z rafy.

Łódź zakołysała się.

Bardzo powoli prąd znosił ich ze skał.

— Może teraz ja przejmę ster — zaproponował Harry.

Artur przekreślił klucz w drzwiach swojego apartamentu. Minał udany tydzień i teraz czekał z niecierpliwością na... Zatrzymał się i stanął jak wryty.

Na jednej z beżowych, obitych skórą sof leżał wygodnie jakiś człowiek — niewielkiego wzrostu, czarny i bardzo chudy. Założył nogę na nogę i oparł ją o marmurowy stolik. Miał buty z jasnej skórki strusia ze sznurówkami zrobionymi ze złotej przędzy, w którą wpleciono dwukaratowe białoniebieskie diamenty.

— Co pan tu do cholery robi? Kto pana wpuścił? — warknął Artur. Chwycił słuchawkę, by zadzwonić po policję, lecz mężczyzna nie wydawał się zmieszany.

Wstał i wyciągnął do Artura chudą, czarną dłoń.

— Przyleciałem z Port Moresby, żeby zobaczyć się z panem, panie Graham! — odezwał się przybysz. — Generał Raki, z Armii Nacjonalistów z Paui.

Mówił po angielsku z amerykańskim luzem Filipińczyków, a nie z gardło] wym akcentem ludzi z Paui.

— Ach — Artur nie zwrócił uwagi na wyciągniętą dłoń gościa, choć odłożył słuchawkę. — Dzień dobry, generale. Może byłby pan uprzejmy! zadzwonić do biura „Nexusa” w poniedziałek rano. Jak mi wiadomo to Harryl Scott rozmawia z panem.

— Właśnie o tym chciałem mówić, panie Graham. — Białka jego oczu miały lekko żółtawy odcień. — Chcę panu powiedzieć, całkiem prywatnie, że nie otrzymałem żadnych pieniędzy od pana Scotta od lipca ubiegłego roku. Niej zgadza się to z naszą umową.

— „Nexus” pertraktuje tylko z rządem, który jest u władzy, generale] Raki.

— Tego nie było w naszej umowie, panie Graham. Układ z „Nexusem” przewidywał, że przelewy na moje konto będą dokonywane regularnie, dopóki j kopalnia pracuje.

— Generale, przykro mi, nie mogę z panem rozmawiać na ten temat. Były wprawdzie przerwy w pracy kopalni, lecz gdyby Artur wspomniał:

o nich, Raki miał przygotowane inne argumenty.

— Pokażę panu drogę do windy, generale.

— A więc pan wie, że wstrzymano mi wypłatę moich pieniędzy.

Ten mały sukinsyn chciał dać mu do zrozumienia, że może to Harry zatrzymał dla siebie jego forszę. Z ponurą miną Artur otworzył drzwi na korytarz.

— Spodziewałem się bardziej przyjaznego przyjęcia, panie Graham.

— Nie rozumiem, jak się pan tu dostał.

— Powinien pan wiedzieć panie Graham, że pieniądze otwierają wszystkie bramy. Przyszedłem, ponieważ chciałem się dowiedzieć, czy pan osobiście wie, że wstrzymano mi płatności.

Artur skinął głową.

Chciał się go jak najprędzej pozbyć. Nie życzył sobie, by to przypadkowe spotkanie zostało odnotowane przez prasę jako sekretne konszachty zagrażające umowie między „Nexusem” a nowym rządem Paui.

Generał wyprostował się i zacisnął pięści.

— W takim razie nie mam dla pana żadnych wiadomości. Słyszałem, że w przyszłym tygodniu rozpoczyna pan rozmowy z prezydentem Paui. Jestem pewien, że spotka się pan z ciepłym przyjęciem.

Wyraz jego oczu — zimny i brutalny — przeczył przyjaznym słowom. Skłonił się grzecznie. Gdy szedł powoli korytarzem, jego ciało wyglądało jakby było pozbawione kości.

Artur zatrzasnął drzwi.

## ***NIEDZIELA, 11 LISTOPADA 1984***

### **4**

Hałas!

Suzy zerwała się gwałtownie i usiadła na łóżku.

— Brett? — Było jeszcze ciemno.

— W porządku, kochanie — zawołał Brett z łazienki. — Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Szukałem zapasowego sprayu na astmę i straciłem z półki w łazience jakąś buteleczkę.

Brett rzucił opakowanie po lekarstwie w stronę kosza na śmieci, ale nie trafił i potoczyło się po dywanie. Później pokojówka odnalazła je i postawiła obok innych przyborów toaletowych na półce nad umywalką.

Suzy zwinęła się w kłębek, lecz nie mogła zasnąć. Brett miał kręćka na punkcie tego sprayu. Nie znosił przyznawać się do słabości -i nie wspominał nikomu, że ma astmę. Nie pasowało to do obrazu „Nexus”-macho.

Skradał się na palcach do drzwi, gdy Suzy odezwała się zaspanym głosem:

\_ Musisz być szalony, żeby wstawać tak wcześnie na wakacjach. Nie rozumiem, co ty widzisz w tym łowieniu ryb.

— To jest podniecające — odparł przeproszająco, ale Suzy zdążyła już usnąć ponownie.

Ubrany w wiatrówkę, trząśnięty z zimna, gdy biegł ku morzu. Mężczyzna o muskularnych ramionach przytrzymał go, gdy wskakiwał na pokład jedenastometrowego Commander Sport Ledan.

— Cieszę się, że się pan nie spóźnił. Kamizelki ratunkowe leżą w kabinie. Jest tam też kawa. Nie wiem, czy zostawili jeszcze dla pana kilka łyków — szyper mówił z australijskim nosowym akcentem

W ciasnej kabinie był zaduch z ryb i oleju silnikowego, z ustępów naprzeciw wąskiego korytarza zalatywało uryną.

Carey naląła do plastikowego kubka ostatnią porcję gorącej kawy z termosu i podała Brettowi:

— Brett, mam nadzieję, że to nie smakuje tak jak pachnie. Cukru?

Brett zaprzeczył ruchem głowy i usiadł na niebieskiej koi, witając się z Arturem, Edem i CharleyW. Silnik zaczął pracować, wprawiając w drżenie cały kadłub.

Powoli łódź odpływała od mola, zostawiając przystań w oddali. Kierowali się na otwarte morze.

Artur zajął środkowe miejsce i skinął na Eda i Charleya, by usiedli po bokach. Brett i Carey spoczęli na ławkach. Uśmiechali się do siebie szeroko. Łowili ryby.

Carey sprawdziła wytrzymałość wędki, której uchwyt pokryty był korkiem, żeby nie mógł wysliznąć się z wilgotnej czy spoconej dłoni. Prawie natychmiast Ed poczuł, że ryba bierze. Przez moment zaskrzypiał kołowrotek, aż zaczepił linkę o hamulec. Gdy łódź się zatrzymała, pozostali wciągnęli swoje linki, by nie splątały się ze zdobyczą Eda. Wszyscy patrzyli w



napięciu, jak Ed ostrożnie przyciągał rybę bliżej burty. Walczyła zżarcie, ale dała się prędko wyciągnąć. Nie była zbyt potężna. Kilka minut później majtek wydobyl harpunem średniego tuńczyka i cisnąc go na pokład za ich plecami. Niebieskozielona ryba rzucała się jak szalona.

— Prawie sześć i pół kilograma. Może będzie miał pan więcej szczęścia następnym razem — mamrotał szyper. — Coś większego. Prawdziwą rybę. — Miał na myśli rekina.

Ed wstał i ustąpił miejsca Carey. Było w zwyczaj, że ten komu się udało oddawał swoje stanowisko następnemu. Tylko Artur złamał ten punkt rybackiej etykiety, siedział przez cały czas na środku, gdzie ryby dobrze brały.

Przez następne pół godziny nic się nie wydarzyło. Potem natrafili na ławicę tuńczyków. Dwie godziny później, gdy wszyscy odpoczywali, miało się za nimi już czternaście złowionych ryb.

Przez następne dwie godziny siedzieli beczynnie, mając nadzieję, że jeszcze coś się trafi. Panował niemiłosierny upał.

— Jeśli ryba nagle przestaje brać, a księżyc jest w pierwszej fazie i zbliża się przypływ, to może oznaczać tylko jedno — rekiny — powiedział szyper.

Zwolnił obroty silnika, aż prawie przestał się obracać. — Rekin i tuńczyk pływa tuż pod powierzchnią, bo tam jest więcej pożywienia niż na głębościach.

Nagle Carey o mały włos nie wypuściła z rąk wędki, która drgnęła gwałtownie. Nytychmiast ocknęła się. Linka rozwiązywała się w zawrotnym tempie.

Szyper zszedł po drabinie na dół i stanął przy Carey, zezując na smugę ciągnącą się za statkiem. Sterem zajął się Winston, dwunastoletni majtek.

— Płyń w kierunku łodzi. Kręć prędko, nic trzymaj go na luźnej lince, bo zgubisz haczyk.

Carey ostrożnie ciągnęła wędkę do góry, wciągając linkę prawą ręką najszybciej jak potrafiła.

Nagle poczuła mocne szarpnięcie i prawie zgubiła cienką żyłkę.

Mężczyźni w łodzi schylili się podświadomie w jej stronę, gdy ustawiała wędkę na sztywno w obsadę i zwalniała kołowrotek, który tym razem obracał się bardzo prędko.

Linka znów pływała luźno, więc Carey zaczęła ją szybko wciągać, mając nadzieję, że nie zawiodą jej silne ramiona.

Znów szarpnięcie. Tak nagle, że okulary przeciwsłoneczne spadły jej na pokład, lecz Carey nie zważała na nic, pochłonięta rybą, z którą walczyła.

— Jest za duża dla ciebie, Carey. Może ja spróbuję? — zaczął Artur.

— W porządku Arturze. Poradzę sobie świetnie — odparła stanowczym głosem.

Po chwili milczenia odezwał się Ed:

— Carey, może lepiej będzie, jeśli Artur weźmie od ciebie wędkę.

— Ed, to moja ryba, bez względu na to, czy ją wyciągnę, czy stracę.

— Carey...

— Ed, to moja ryba.

Zdobycz szarpnęła po raz kolejny i Carey popuściła linkę.

— Niech się tym pobawi, Ed — powiedział beztrząsco Artur.

— Kurwa mać — zaklął Ed pod nosem.

Siedemdziesiąt trzy minuty później, Carey wyciągnęła z wody osiemdzie-sięciosześciokilogramowego, szarego rekina.

Gdy wracali do zatoki, Carey leżała w kabinie drżąc z wyczerpania.

Nikt nie zszedł, by jej pogratulować, tylko szyper zajął w dół, uśmiechnął się szeroko i szepnął: — Moje uznanie.

W zaciszu ich plażowego domku, Ed wrzeszczał na zmęczoną żonę.

— Dlaczego musisz zwracać na siebie uwagę? Nie rozumiesz, że twoje agresywne zachowanie szkodzi mojemu awansowi. Porwał miniaturową butelkę brandy z nocnego stolika i przelał jej zawartość do kieliszka z dmuchanego szkła.

— Dlaczego nie możesz, tak jak inne żony, rozmawiać o ciuchach i o dzieciach? Dlaczego ńa litość boską chcesz łowić ryby?

— Z tego samego powodu co Artur. Carey zapaliła papierosa, gdy Ed wypił jednym haustem brandy.

— Gdybyś to ty złowił tego rekina, oddałbyś wędkę Arturowi?

Ed tak naprawdę nie wiedział, jak postąpiłby w takiej sytuacji. Podszedł do stolika przy łóżku Carey i nalał jej brandy. — Chryste Panie — powiedział.

— Ed, co jest dla ciebie ważniejsze, żona i rodzina, czy firma? — Nie tragizuj.

— Nie tragizuję. Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy do jakiego stopnia „Nexus” pochłania twoją uwagę. Jeśli zostaniesz prezesem, przypuszczam, że w ogóle nie zobaczę cię w domu.

— Przesadzasz, jak zwykle.

— Mam nadzieję, że te święta Bożego Narodzenia nie będą takie jak ostatnie. Z wyjątkiem Wigilii i Nowego Roku, przez cały czas pracowałeś aż do rana przez bite sześć tygodni. Byłeś zbyt zmęczony, by...

Ed odwrócił się do niej plecami.

— Gdybym nie wiedziała o chromie, to pomyślałabym, że masz kochankę. — Co ty powiedziałaś?

Carey spojrzała na niego. Przerwała wcieranie kremu w startą skórę na dłoniach.

— Powiedziałam, że gdybym nie wiedziała, że znaleźliście chrom na Pauli to...

— Skąd wiesz o chromie — wyszeptał Ed.

— Kiedy jesteś zmęczony, mówisz przez sen.

— Cholera, to wygląda jak sala, w której odbywają się pogrzeby. — Artur rozglądał się po obszernym domku plażowym. Wszędzie stały wazonach lilie.

— I pachnie jak w zakładzie pogrzebowym — z niesmakiem wdycha powietrze przesycone słodkim zapachem kwiatów. Sylvana leniwie leżała na sofie. Podniosła wzrok znad książki. Artur nic nie mówił o swojej zdobyczy, więc zrozumiała, że nie należy pytać.

— Taki mają protokół dyplomatyczny. Każę je stąd zabrać. Pół godziny później lilie zniknęły i Artur położył się na wiklinowym szezlongu w ogrodzie, sącząc już drugą, ogromną porcję szkockiej. Gdy odstawił pusty kieliszek zaczął mówić:

— Zdecydowałem się wybrać Charleya na swojego następcę. Ma w sobie wolę walki do końca, coś czego wymagamy od szefa międzynarodowej firmy.

Ale bezlitosny — pomyślała Sylvana.

— Dlaczego nie Ed? — spytała.

— Mężczyzna, który nie potrafi panować nad swoją żoną nie może dobrze kierować firmą. Miał nadzieję, że tym co powiedział odkrył bolesną prawdę — i że dotrze ona do Eda — przez żony.

**WTOREK, 13 LISTOPADA 1984**

5

Kobiety niezgrabnie wdrapywały się na łódź. Gdy szyper pomagał Carey zauważył, że ma na dłoniach rękawiczki. — Boli? Cóż, udał się wczorajszy połów. Tam na dole leży pudełko ze sprzętem, jeśli chce pani i dzisiaj spróbować szczęścia.

Wyciągnął opalone na brąz ramię, by podtrzymać Suzy, która skoczyła z mola i źle wylądowała w łodzi. Ubrana była w różową górę, obcisłe różowe szorty, białe okulary przeciwsłoneczne i białe sandały na wysokim obcasie.

— W pudełku w kajucie znajdzie pani tenisówki. Zniszczy mi pani pokład tymi obcasami — odezwał się szyper.

— Czy mogę chodzić na bosaka? — spytała Suzy.

Szyper skina/ głową, pomagając w tym czasie Sylvanie. Potknęła się, zeszła z trudem na pokład i obciągnęła, przezornie zakrywający siedzenie, czarny dres od Valentino.

Łódź powoli odpływała od nabrzeża. Roddy, ubrany w obcisłe żółte, kąpielówki pomachał im z daleka. Uparł się, by spędzić cały dzień na basenie. Patty zeszła na dół by sprawdzić czy jest sprzęt do nurkowania.

— Ma pan harpuny. Wspaniale.

Szyper popatrzył na jej granatową koszulkę z krótkimi rękawami i białe szorty.

— W ostatnim schowku leży stos bawełnianych koszul z długimi rękawami. W rogu są też bawełniane kapelusiki albo słomkowe kapelusze. Słońce

panią popafzy, jeśli cały dzień będzie pani chodziła z krótkim rękawem. Proszę powiedzieć o tym innym paniom.

Z wyjątkiem Carey, wszystkie były tak samo ubrane — pomyślał — bez nakrycia głowy, z krótkimi rękawami i w szortach.

Spodziewały się, że para modnych okularów i spray do opalania ochroni je przed słońcem tropikalnej dżunglii. Gdyby się nimi nie zaopiekował, wszystkie dostałyby udaru i poparzenia.

Carey wysunęła głowę z kajuty i zawołała: — Nie mogę znaleźć sprzętu rybackiego, tyle tu różności.

Goście hotelowi potrzebują dużo rzeczy. Nie ma już miejsca w schowkach. Carey schyliła się, by otworzyć jedną z szafek, ale była zamknięta na klucz.

— Broń w schowku — odezwał się chłopiec.

— B r o Ń ?

Do kajuty zajrzał szyper.

— Trzymam strzelbę na wypadek, gdyby ktoś próbował ukraść mi łódź, albo gdybym znalazł się w obcym miejscu i musiał iść brzegiem morza. Winston trzyma tam też kord. Zamknęliśmy to na klucz, bo nie chcę, by moi pasażerowie przez przypadek poodrąbywali sobie dłonie albo poodstrzelali sobie głowy — odwrócił się do chłopca. — Idź do steru, Winstonie, kieruj się na otwarte morze, aż do zrównania z lądem. Potem mnie zawołasz.

— Żadnego z tych schowków nie da się otworzyć.

— Muszą być zamknięte na klucz, żeby ludzie nie mogli się do nich dostać. W pierwszym mam sztuczne ognie i rakiety na wypadek niebezpieczeństwa. W tym ostatnim trzymam farby potrzebne na statku.

Carey popatrzyła na stertę rupieci w kajucie i spytała:

— A dlaczego pan zabiera ze sobą na ryby siatki na komary i latarkę?

— Ta latarka działa pod wodą i nie służy do oświetlenia przy łowieniu ryb. Czasem muszę zejść na dół pod łódź i sprawdzić, co się dzieje z kilem. A gdyby musiała pani spać na pokładzie statku, przekonałaby się pani, po co tu trzymam siatki przeciw komarom. — Grzebał pod siatkami.

— Proszę, oto sprzęt rybacki. Zobaczmy, co pani będzie dzisiaj potrzebne. Na pokładzie panowała cisza. Okrążali południowy brzeg. Carey łowiła

ryby, Suzy opalała się, a trzy pozostałe patrzyły jak zahipnotyzowane na jaskrawozielony pas wybrzeża, który powoli przesunął się przed ich oczami. Prawie nie rozmawiały ze sobą. Choć odnosiły się do siebie przyjaźnie, nie miały ze sobą nic wspólnego. Anna pokrywała swoją nieśmiałość pozorną uprzejmością, Patty w ten sam sposób kryła swoje obawy, Carey chronił jej cynizm, Suzy — niezbyt przyjazna postawa obronna, a SyWanę — bezwolna obojętność. Ponieważ Sylwana była żoną Artura, pozostałe kobiety nie czuły się przy niej zbyt dobrze.

— Będą wam wszystkim potrzebne — powiedział stanowczym tonem szyper, rozdając koszule z długimi rękawami.

Na drzwiach żółtego mikrobusa toyoty czarnymi literami wypisano nazw<sup>^</sup> firmy — NEXUS. Jechali wolno przedzierając się przez zatłoczoną główną ulicę w kierunku pałacu prezydenckiego.

Artur wyglądał przez okno. Wydało mu się, że wokół aż roi się policjantów. Na nogach mieli czarne wysokie buty, ubrani byli w panterki, a klatkę piersiową przecinał biały kawałek taśmy z napisem POLICE, nabazgrany zwykłym długopisem.

— Tutaj zawsze kręci się sporo gliniarzy — wyjaśnił kierownik kopalni. Gdy tylko wyjechali stąd w 1975 roku Australijczycy, kolonialna policja przekształciła się natychmiast w siły paramilitarne, a potem w Siły Obronne Paui.SOP.

— Wygląda na to, że dziś całe miasto wyległo na ulicę — żartował Artur. Cały autobus śmiał się razem z nim.

— To centrum, biedna dzielnica — objaśniał dalej kierownik, gdy żółty autobus torował sobie drogę przez tętniącą życiem dzielnicę kramów, barów i klubów.

Po obu stronach dziurawej, zniszczonej nawierzchni ulicy płynął rynsztok pełen śmieci. Stojące rzędem małe sklepiki zamykano na noc zardzewiałymi żelaznymi kratami. Ściany budynków pomalowano (dawno temu zrobili to ich chińscy właściciele) na jaskrawe kolory. Tłoczyli się przed nimi mężczyźni odziani w coś, co przypominało bajecznie kolorowe koszule nocne. Co parę kroków, pomiędzy sklepami, stał betonowy budynek z odpadającym tynkiem i okratowanymi oknami.

Gdy elegancki żółty pojazd wyjechał powoli na zardzewiałą konstrukcję mostu św. Marii, jego pasażerowie zerkali w dół na leniwie płynącą wodę koloru khaki. To rzeka św. Marii. Kierowca autobusu skręcił, by ominąć rowerzystę i omal nie wjechał w chałupę pomalowaną na turkusowo odpadającą płatami farbą, z napisem WIELKI SUPERSAM OGÓLNOSPOŻYWCZY. Do ściany przytwierdzono inny napis: UWAGA. BARDZO ZŁY PIES.

Mikrobus jechał teraz przez mniej zagęszczone uliczki. Minęli bazar, gdzie nad zakurzonymi piramidami żółtych i rdzawych warzyw ułożonych na liściach wprost na ziemi, pochylały się w zamyśleniu czarne kobiety.

Gdy przedzierał się dalej, szef kopalni przeproszał ich, mówiąc: — To jedyna droga do pałacu. Obawiam się, że zawsze mamy ten sam problem.

Artur popatrzył na niego i powiedział:

— Zbudujcie inną drogę.

— Oczywiście. Dziś po południu zajmę się tym, sir.

Ulica, do której dojechali, była szersza i mniej zatłoczona, wreszcie po obu jej stronach ujrzeli ciemnozieloną dżunglę, ścielącą się na kocie łby drogi.

Gdy skręcili po raz kolejny, kierowca ostro zahamował.

Grupa nagich murzynów walczyła ze sobą na dzidy. Wokół stały grupki tubylców, trzymając wycelowane w siebie napięte łuki.

— Schowajcie głowy, wszyscy — rozkazał ostro szef kopalni. Kierowca pochylił się płasko nad kierownicą, powoli podjechał do walczących, zmuszając ich do zejścia z drogi i ruszył do przodu.

Ku zdziwieniu pasażerów mikrobusu, tłum rozstał się i przeniósł na drugą stronę ulicy, tylko jeden mężczyzna leżał bez ruchu.

Kierowca ze złością nacisnął klakson. Na środek wystąpiło dwóch tubylców trzymając w dłoniach swoje włócznie. Jeden wziął leżącego za ramię, drugi za nogę i zabrali go z szosy.

— To zwykła utarczka plemienna — wyjaśnił szef.

— Dobrze, że kazał nam pan się pochylić — odezwał się Xharley.

— Ten człowiek na drodze wyglądał na martwego — dodał Brett.

— Pewnie nie żył — zgodził się szef. — To plemię żądne krwi. Mają tu jakieś dziwne zwyczaje.

— Na przykład? — spytał Brett wciąż wstrząśnięty widokiem ciała na szosie. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy jego poruszenia, jeśli będzie coś mówił.

-- Dla większości przyjezdnych „Kult Materii” wydaje się trudny do pojęcia — objaśnił kierownik kopalni. — Wyspiarze wierzą, że wszystkie dobra wyprodukowane na Zachodzie zsyła im Bóg i dlatego trzeba się nimi równo podzielić. Ich zdaniem biali zatrzymują dla siebie zbyt dużą część. Dlatego powstała grupa pod nazwą „Cargo Party”, której członkowie głoszą, iż biali powinni zostać zabici, za co mordercy otrzymają prędkie zbawienie i nagrodę.

— Czy oni się tu liczą? — spytał nerwowo Brett.

— Podczas wyborów są tacy, którzy się ich boją. Ale w gruncie rzeczy są słabo zorganizowani. Żaden z ich polityków nie ma cech urodzonego przywódcy. Nie mają człowieka z charyzmą.

— Co by się stało, gdyby pojawił się ktoś taki? — zapytał Brett. Kierownik kopalni zaśmiał się:

— Charyzma nie wystarczy. Musiałby być również bogaty, zorganizowany, zdyscyplinowany i stać na czele dobrze zaopatrzonego wojska. Lecz jeśli rzeczywiście zjawi się tu taki facet, to trafi do serc i przekonań każdego wieśniaka w całym kraju i wtedy mogą być kłopoty. Jednak na Paui nie ma nikogo takiego — wskazał palcem przed siebie — patrzcie, oto pałac.

Zniszczony pałac prezydencki znajdował się trzy kilometry na południe od Queenstown.

Żółty mikrobus zbliżał się do wysokiego muru zwieńczonego betonowym łukiem, który kiedyś mógł wyglądać okazale. Poniżej rozciągało się kilka dwupiętrowych budynków, pomalowanych na czerwono-brązowo. Wszystkie okna były zakratowane.

Zatrzymali się przy łuku. Szef wyskoczył z wozu, by pokazać przepustki uzbrojonym wartownikom. Gdy wrócił, poprosił Artura.

— To najładniejsza plaża jaką widziałam — powiedziała Anna. Szyper skinął głową.

— Często przywożę tu turystów. To najlepsza plaża w tej części wyspy. Tubylcy nigdy tu nie przychodzą.

„Luiza” płynęła w kierunku niewielkiej laguny.

— Trzymajcie się mocno — zawołał szyper, stojąc na ruchomym moście powietrznym. — Płyniemy między skałami.

— Czy można tu pływać? — spytała Patty, patrząc na spokojną ciemnoniebieską wodę zatoki.

Szyper skinął głową.

— Pewnie, rafy stanowią jakby podwodny płot, do którego nie podpływają drapieżne ryby.

— Dlaczego nie? — dopytywała się Patty.

— Nie wiem. Może dla rekinów skały wyglądają jak pułapka. Lepiej zostańcie w południowej części laguny, na północ jest niebezpiecznie, tam gdzie wodospad wpada do morza płynie prąd, a niżej są ruchome piaski i rosną liany, które wypuszczają nowe korzenie do wody. Nie schodźcie więc w dół.

Szyper poczekał na większą falę, by wpłynąć do laguny.

Zarzucili kotwicę na odległość około dziewięciu kilometrów od plaży. Winston zajął się ładowaniem małego pontonu, z którego dało się wypompować powietrze. Chłopiec pakował impregnowane torby, parasole i bawełniane maty do siedzenia. Był równie dumny z pontonu, co szyper z „Luizy”. Kochał każdy centymetr szarego gumowanego materiału, który choć miał zaledwie trzy metry długości, to jednak posiadał silnik o mocy 20 koni mechanicznych, co pozwalało używać szalupy dojazdy na nartach wodnych. Winstona ogromnie intrygowało to, że po wypuszczeniu powietrza i zapakowaniu do pokrowca ponton mieścił się w bagażniku małego samochodu. Silnik zapalił się natychmiast, mieli szczęście, stary gruchot miewał humory.

Kobiety chwając się zeszły na ponton. Winston zabrał je na brzeg w dwóch rzutach. Zaniósł zapasy jedzenia do cienia pod palmami na końcu plaży. Na ziemi leżały różne odpadki: kłujące martwe liście, połamane palmy i kokosy spadające z drzew. Na plaży panował spory upał, więc zdecydowali, że pójdą do wodospadu, by wziąć prysznic przed lunchem.

— Patrzcie, tam z boku jest ścieżka, która prowadzi na górę — zawołała Patty.

Wąska, zarośnięta dróżka skręcała poszarpanym zygzakiem pomiędzy czarnymi skałami aż do szczytu skarpy.

— Nie wchodźcie na górę, ani do dżungli i — ostrzegł szyper. — Nigdy nie wyruszajcie do dżungli bez kompasu, bo wszędzie wygląda tak samo. Po pięciu minutach straciecie orientację i nigdy nie znajdziecie drogi powrotnej.

— Czy ma pan ze sobą kompas?

— Pewnie — wyjął zza koszuli wiszący na skórzanym rzemyku ręczny kompas.



— W takim razie może pan nas zabrać do dżungli. Chociaż na trochę. Tylko na tyle, byśmy mogły powiedzieć, że byliśmy w dżungli.

— Może po lunchu. Teraz popływamy.

— Dlaczego „może”? — nalegała Patty.

— Tubylcy nie lubią, gdy ktoś tam wchodzi. To okolica tabu.

— Dlaczego tabu?

— Podejrzewam, że gdzieś tam na górze jest jakaś opuszczona wioska. Gdy w jednym miejscu ziemia nie rodzi już plonów, jej mieszkańcy przenoszą się i budują osadę gdzie indziej, ale kości ich przodków pogrzebanych wokół wioski, pozostają. Tubylcy nie wierzą, że umarli opuszczają ziemię, uważają, że porzucili tylko swoje ciała, lecz ciągle są wśród nas. Jako niewidzialne istoty żyją tam, gdzie dotąd mieszkali.

— Fę, ale to okropne. — Suzy otrząsnęła się z niesmakiem.

— Wydaje mi się, że jakieś cztery i pół metra wyżej jest jezioro w skałach. Czy możemy pójść chociaż tam? — nalegała Patty.

— Oczywiście — odparł szyper. — To bardzo piękne jezioro. Zawsze zabieram tam turystów.

Wspięli się ścieżką dó jeziora. Cztery kobiety ześliznęły się w dół i pluskały w pianie przy wodospadzie. Uważały, żeby nie dostać się pod wodospad, bo ciężar wody mógłby je zgnieść.

Suzy, ubrana w różowe bikini, usiadła na skale machając nogami nad wodą. W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie szypra potrząsnęła przecząco głową.

— Nie umiem pływać.

Szyper kucnął obok. — W takim razie będzie pani oglądała sztuczkę Winstona z łoży. Dałem mu kiedyś nóż do rozcinania kopert i jakiś miesiąc temu zgubił go w tym basenie. Chłopcy na tej wyspie zrobiliby wszystko, by mieć taki nożyk. Tutaj to prawdziwy skarb, więc Winston nie miał zamiaru pożegnać się z nim na zawsze. Niezły z niego nurek — kiedyś znalazł na dnie jeziora szkła kontaktowe — i kiedy zanurkował w poszukiwaniu swojej zguby, odnalazł podwodną jaskinię, do której wejście zagradzała wystająca skała.

Suzy słuchała z zaciekawieniem. — Był pan w środku? Czy jest duża? Jak on oddychał?

— Nie, nigdy tam nie byłem, marynarze nie lubią moczyć sobie stóp. Winston mówi, że jest tam podwodny tunel i na końcu znajduje się pieczara. Musi tak być, bo inaczej nie mogłby pokazać swojej sztuczki.

— Zdziwiający — odparła Suzy. ,

— Wcale nie. Podziemne jaskinie z wapienia to tu zwyczajna rzecz. Zanurzony w wodzie Winston wywrócił oczy, krzyknął i zniknął pod

powierzchnią. Spodziewał się reakcji widzów.

— Na pomoc!

— Pewnie złapał go skurcz!

— Może wciągnęło go pod wodę jakieś stworzenie?

— Czy możemy zanurkować, by go odnaleźć? Carey gwałtownie machała do szypra i krzyczała:

— Dlaczego się śmiejecie? Coś się stało z Winstonem. Nie ma go już od dwóch minut.

— Idę po niego — rzuciła Patty.

Już miała skoczyć do wody, gdy odezwał się szyper.

— Winstonowi nic nie jest. To jego sztuczka. Zwykle się zakłada jak długo pozostanie pod wodą. Nie będzie go co najmniej przez pięć minut. Opowiedział im o jaskini.

I rzeczywiście pięć minut potem Winston wypłynął na powierzchnię. Wszystkie rzuciły się do niego.

Śmiały się, strofując go, że tak je przestraszył. Szyper potargał czarne, kudłate włosy chłopca i powiedział: — Odważny z ciebie chłopaczek.

Winston wykorzystał to, że się nim zajmują. Skakał na swoich szerokich, płaskich stopach i kręcił powykrzywianymi palcami nóg.

— Winston nie wierzyć w duchy wodospadu. Winston nie być złym dzikusiem — machał wychudzonymi ramionami. — Winston jest dobry chrześcijanin. Jezus jest silna magia. Nie ma innych Bogów oprócz Niego.

Szyper objął go przyjaźnie ramieniem.

— Widać, że chodził do szkoły misyjnej w Queenstown.

Chłopiec zaprowadził ich z powrotem do miejsca, które wybrali na piknik. Szedł na zgiętych nogach równym krokiem jak wytrawny znawca dżungli. Gdy rozkładał bawełniane chodniki i rozpakowywał prowiant, kobiety poszły popływać w ciepłej błękitnej wodzie laguny.

Sylvana płynęła z głową uniesioną wysoko ponad powierzchnią, by nie zamoczyć włosów. Została w basenie tylko kilka minut. Hi zmieniła czarny jednoczęściowy kostium na czarny dres, który zgrabnie maskował jej obfite kształty.

Anna, w jednoczęściowym jasnoniebieskim kostiumie, biegła ociekając wodą aż do miejsca, gdzie siedzieli Winston i Sylvana. Rzuciła się na matę w cieniu.

— Jejku, jak mi się chce pić! Och, nie ma nic oprócz piwa? Nie ma już Perriera?

Nie było ani kropli wody mineralnej, więc Winston zszedł, by przynieść kubek wody z wodospadu.

Carey, która w kwiecistym bikini wyglądała jak Wspaniała Amazonka, biegła po plaży od strony laguny, wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy, spływające na plecy. Patty nie wracała długo, więc szyper poszedł po nią, obawiając się, by nie dostała udaru. Z głową pod wodą opływała prawie całą lagunę kraulem i nic nie słyszała.

— Wychodź z wody, bo sam cię wyciągnę!

Patty niechętnie podpłynęła do brzegu. Wyszła z wody i rzuciła się na matę w cieniu, wzięła do ręki kanapkę.

— Myślałam, że dadzą nam coś lepszego niż kanapki z kurczakiem — narzekała Suzy.

— I tak jest za ciepło, by cokolwiek jeść — stwierdziła Patty i zajęła się odganianiem much, które siadały jej na nogach.

— Przypuszczam, że Winston uczył się angielskiego w szkole. Jego rozumiem bez przeszkód, ale nie wiem co mówią tubylcy, choć oni uważają, że powinnam.

— Bo oni mówią językiem pidgin — wyjaśnił szyper.

Nauczył Patty kilku słów pidginu, ale wkrótce przestała się tym interesować. Było za gorąco.

Wiatr ucichł i po południu zrobiło się jeszcze cieplej.

W cieniu palm powietrze było wilgotne i lepkie. Sylvana — jedyna, która zabrała książkę — rozciągnęła się wygodnie i zajęła lekturą. Były zmęczone i milczące.

Wreszcie Suzy, nie mogąc dłużej znieść ciszy i uważała, że piknik przypomina raczej pogrzeb, zajrzała Sylvanie przez ramię i spytała:

— Hej, co to za książka?

— „Jane Eyre”.

— Ta sama, według której nakręcono film? Oglądałam kiedyś w telewizji. Złoty „staruszek” filmowy z Joan Fontaine o jakiejś sierocie, która została żoną swego szefa. Sentymentalna szmira.

— Nie powiedziałałabym — odparła Sylvana. — To raczej opowiadanie o agresywnym Kopciuszku. Jane zaczyna jako biedna guwernantka, która zakochuje się w swym bogatym pracodawcy, ale na końcu on traci wzrok i jest całkowicie od niej zależny. Kobiety go nie podrywają, bo ich nie widzi, więc Jane całkowicie panuje nad sytuacją.

Władza bez odpowiedzialności — pomyślała Sylvana. Artur powiedziałby, że marzy o tym każda kobieta.

Suzy przyglądała się Carey, która ubrana w niebieską koszulkę i spodnie, z maską do nurkowania na twarzy zanurzyła się w wodzie.

Anna drzemała. Jak okropnie wygląda w tej jadownicy zielonej koszuli i workowatych ciemnozielonych spodniach. Patty trzymała głowę w dłoniach. Jezu, co za kupa dziwolągów — pomyślała Suzy i zdecydowała, że pójdzie poszukać muszelek.

Próbowała uwolnić stopę, lecz tenisówka ugrzęzła w piasku. Pod prawym butem czuła błoto, a lewa stopa całkiem zniknęła pod powierzchnią. Tutaj jest bagno, nie piasek — pomyślała. Pod stopami miała miękkie błoto, gdzieś tam rosły kępki ostrej trawy.

Po raz kolejny spróbowała wyjąć lewą stopę — usłyszała tylko mlaśnięcie, jakby ją coś wsysało jeszcze głębiej.

Usłyszała krzyki za plecami. Odwróciła głowę. Po plaży, w jej kierunku, biegł szyper, a za nim Winston.

— Proszę pani, weszła pani na ruchome piaski. Proszę się nie ruszać! — wołał.

Suzy nawet nie przyszło do głowy, by się bać. A więc weszła na ruchome piaski. Szli, by ją stąd wydostać. Po prostu zapomniała o tym. Pewnie, brodziła w tej rzeczulce i spacerowała po piasku między wodospadem a morzem, choć szyper mówił... Nic się przecież nie stało, to nie zbrodnia. Mieli się nią opiekować, to jasne. Dlaczego nikt nie krzyknął wcześniej?

Szyper dysząc dobiegł do linii ostrych traw. Stał w odległości około czterech i pół metra od Suzy i cały czas kręcił się w kółko, bo bagno wciągało powoli podeszwy jego butów. Winston pobiegł na koniec plaży, by poszukać jakichś gałęzi. Przeciągnął je do szypra, który zdjął koszulę i podarł ją na strzępy. Związał ze sobą dwa paski materiału i przymocował do siebie dwie gałęzie, by utworzyć jedną dłuższą. Winston, który był lżejszy od niego, położył się na brzuchu na brzegu ruchomych piasków. Powoli przesunął przedłużoną gałąź w kierunku Suzy, stojącej już po kostki w bagnie.

Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że jest w niebezpieczeństwie. Zesztywniała i zaczęła się trząść ze strachu.

Gałąź nie dosięgała Suzy, była za krótka o jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów.

Cała ta scena, choć dramatyczna, wydawała się jej nierealna, niby jakiś surrealistyczny obraz. Wokół było dokładnie tak samo jak przed lunchem — niewysokie fale opływały brzeg plaży, słońce świeciło bez przerwy nad lazurowym morzem. Lecz gdy się zorientowała, że zanurza się coraz głębiej w bagno, wpadła w rozpacz. Wkrótce okolica też będzie wyglądała tak samo, tylko że ona zniknie.

— Kucnij, Suzy — zawołał szyper. — Teraz, bardzo wolno, spróbuj czołgać się w moją stronę. Nie poruszaj stopami, bo utoniesz jeszcze głębiej. Rzuć się do przodu z rozpostartymi ramionami, musisz leżeć płasko.

Suzy, blada jak ściana, zrobiła to co jej kazał, ale wciąż jeszcze nie mogła dosięgnąć gałęzi.

Szyper chwycił za kostki rozciągniętego na ziemi Winstona — nie mógł popychać chłopca dalej — i klnąc cicho pod nosem sam się położył. Zaczął przesuwając się do przodu, wijąc się w biodrach jak wąż i popychając przed sobą gałąź. Przesunął ją tak daleko, że już tylko Suzy mogła po nią sięgnąć.

— Trzymaj, Suzy.

Pomyślał, że skoro sam dotarł tak daleko, to Winston mógłby zejść jeszcze dalej. Kazał chłopcu podczołgać się z powrotem na bagna Tschwycić drugi koniec gałęzi. Winston wiedział, że to niebezpieczne, lecz położył się bez słowa i powoli przesunął się bokiem do przodu.

— W porządku Winston, kiedy powiem raz, dwa, trzy—ciągnij. Obydwoje chwycicie gałąź, a ja was wyciągnę. Przestań beczeć dziewczyno i skup się!

— Raz, dwa... trzy!

— Jeszcze raz. — Raz, dwa, trzy... ciągnij! — Wydostał się z ruchomych piasków i przyciągnął do siebie Winstona, który mocno trzymał w dłoniach gałąź.

— Moje ramiona! Och, moje ramiona — Suzy z trudem chwyciła powietrze, czując piasek w ustach.— Nie wytrzymam dłużej!

— Suzy, ruszasz się! Wydostajesz się! Trzymaj się, dziewczyno! — Szyprowi drżały z wysiłku ścięgnię na rękach, wreszcie stopy Suzy, całe w błocie, ukazały się na powierzchni. Tenisówki zniknęły bez śladu.

Centymetr po centymetrze mężczyzna wyciągał Winstona, który dźwigał gałąź palmową.

W końcu uwolnił z bagna Suzy.

— Możesz już wstać, teraz jesteś bezpieczna.

Lecz Suzy nie była w stanie stanąć na nogach. Trzęsła się i jęczała ze strachu. Szyper pomógł jej się podnieść. Nie można było już dostrzec, że miała na sobie różową bluzkę i szorty. Cała, z wyjątkiem czubka blond włosów, była pokryta błotem koloru khaki.

Gdy zataczając się dobrnęli do morza, by się oczyścić, dostrzegli w oddali na plaży pozostałe kobiety. Carey wciąż nurkowała, Sylvana zajęta była czytaniem książki, Anna drzemała, a Patty siedząc po turecku z pochyloną głową, medytowała.

Biel była kolorem odświętnym. Gdy goście z Pittsburga przybyli do Mount Ida rozdano im białe kaski i kombinezony. Przy ponurym szybie, który przypominał reklamy proszku do prania, przywitał ich entuzjastyczny okrzyk tłumu roześmianych górników.

Na dole było dobre oświetlenie, zupełnie jak w metrze i nawiew powietrza tworzył przeciąg. Wokół szybu zgrupowano taczki i inne pojazdy. Wszystko, co mogli dostrzec zostało wyczyszczone i wypolerowane, całą brudną maszynę usunięto z drogi ważnych gości. Grupa szefów „Nexusa” weszła do jeepa napędzanego akumulatorem i odjechała, szerokim na sześć metrów tunelem, w stronę czoła kopalni.

Charley czuł się tak jak zawsze, gdy przebywał w kopalni. Był przerażony. Przez cały czas, na dole, miał świadomość, że nad jego głową wisi kawał ziemi i nic nie może poradzić na to, że wciąż myśli co zrobić, by cała ta masa nie spadła na niego. Odwracał głowę, gdy przejeżdżali obok starej części kopalni, gdzie zapadała się ziemia i ruszała się podłoga.

Gdy zbliżyli się do czoła kopalni, kurz był już wszędzie i hałas stał się nie do zniesienia.

Młoty na sprężone powietrze pracowały głośniejsze niż pneumatyczne, jakich używa się do naprawy dróg. Ogłuszający łomot odbijał się echem w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu.

Na końcu tunelu czekała na nich ekipa, która miała pokazać gościom fedrowanie przodka kopalni.

Grupa pittsburczyków przyglądała się im z udawanym podziwem. Ponieważ Artur widział to już po raz dziesiąty, wrócił myślami do rannego spotkania z prezydentem Paui. Wszystko odbyło się mniej więcej tak jak zaplanował Ed — do chwili, gdy wręczył prezydentowi raport (w którym Ed zamieścił informację o uranie, lecz nie wspomniał o kobalcie i chromie), a on, patrząc mu prosto w oczy, spytał: — Czy są jakieś nadzieje na znalezienie kobaltu?

Trzeba to utrzymać w tajemnicy. Muszę zająć go czym innym— pomyślał Artur, gdy nie dając nic poznać po sobie, odparł: — Nie, sir. A po chwili dodał: — Pan Prezydent oczywiście wie, że w 1980 roku cena kobaltu drastycznie spadła z powodu nadmiernej podaży na świecie. Teraz popyt rośnie i spodziewamy się, że do 1985 roku ceny zatrzymają się na poziomie około dwudziestu dolarów za kilogram, nie mamy jednak nadziei na znalezienie kobaltu na Paui, Panie Prezydencie.

Prezydent chrząknął: — Och, ale któż z nas zna przyszłość, sir?

— Cokolwiek znajdziemy, Panie prezydencie, Paui będzie miała w tym znaczny udział.

Nagła zmiana hałasu w kopalni sprawiła, że Artur ocknął się z marzeń. Ubrana na biało grupa mężczyzn stojących w przodku kopalni znalazła się nagle w tumanach kurzu. Usłyszeli syk sprężonego powietrza. Jaskrawo pomarańczowa smuga przetoczyła się niebezpiecznie blisko ich głów tak szybko, że wyglądała jak wachlarz z pomarańczy na zdjęciu zrobionym w ruchu.

Wysiadł zawór spustowy — natychmiast zorientował się Artur. Nie było czasu by uciekać. Prąd powietrza skręcił i zerwał dach szybu, rozbijając wiszącą u góry latarnię odporną na płomienie ognia. Pograżyli się w klaustrofobicznych ciemnościach. W tym momencie wszyscy usłyszeli nie tylko przeraźliwy hałas, odczuwali także ciśnienie tysięcy ton czarnej ziemi nad swoimi głowami.

Sprężynowy sensor natychmiast się zamknął i odciął ciśnieniowy zawór, który prowadził pod prąd do kanału powietrznego. Gdy tylko spadło ciśnienie, wijący się w górze, metalowy wąż spadł na podłogę. Leżał nieruchomo w ciemności, wydawszy ostatni syk. Ale ogarnięci paniką mężczyźni nie wiedzieli

o tym.

Charley usłyszał, że ktoś krzyczy w pobliżu. Stał przy telefonie i chciał się połączyć z załogą wartowniczą. Kaszląc i dusząc się od dymu po omacku dotykał ściany, ale nie mógł znaleźć aparatu.

Światła na ich białych kaskach rzucały słabe promienie. Próbowali złapać oddech, lecz wdychali tylko kurz. Zatykał im nozdrza i szczypał w oczy. Dusili się, lecz nie mogli uciekać.

Szli, potykając się, w kierunku słabego kręgu świetl nego, coraz dalej od pyłu i tego, co może się jeszcze zdarzyć.

Lecz brakowało jednego z nich.

— Tutaj leży ranny człowiek! Zawołajcie ratowników, niech przyniosą

nosze! — krzyczał Ed. Nikt go nie słyszał, po omacku zbliżył się do jęczącego górnika.

Duszący pył był gęstszy niż nowofunlandzka mgła, a gdy opadł, Ed ujrzał w świetle latarni bladego, brodatego mężczyznę — wił się na ziemi i krzyczał. Zgubił gdzieś kask i okulary ochronne, jego prawa noga leżała w kałuży krwi, wciąż brocząc. Rozluźniony zawór spustowy na końcu węża zdruzgotał mu staw kolanowy.

Gdy zadzwonił alarm trzyosobowa ekipa ratownicza -zajęta była grą w pokera. Bez słowa rzucili karty i wtoczyli się na wózek akumulatorowy, który stał na zewnątrz ich budki, zaopatrzone w pomoce medyczne.

Alarm zadzwonił także w biurze nadzorcy kopalni. Mężczyzna natychmiast wskoczył do swojego jeepa i ruszył za pojazdem medycznym, mając nadzieję, że złamał się tylko zawór spustowy. O mały włos nie zderzył się z ratownikami, którzy zahamowali ostro blisko przodka.

Reflektory i światła jeepa oświetliły tłum brudnych, duszących się mężczyzn, próbujących dojść do siebie pod pierwszą latarnią stropową, do której udało się dojść. Poniżej nich ktoś jęczał, ktoś inny wołał o pomoc.

Kierowca, który okazał się znachorem, zeskoczył z siedzenia i przepchał się przez tłum. Szedł tunelem aż do miejsca, gdzie słabe światło na kasku Eda rzucało promienie na krzyczącego wciąż górnika.

Medyk ukląkł i oświetlił okaleczoną nogę.

— Amputacja, biedny facet — wymamrotał i krzyknął, na resztę swojej ekipy.

Podbiegli. Jeden z nich przytrzymał maskę tlenową na twarzy rannego, podczas gdy inny wstrzykiwał mu w ramię morfinę.

Załadowali go na nosze i zabrali pospiesznie do jeepa. Medycy zostali sami, nadzorca zaprowadził gości i górników do windy. Na dole był tylko Ed.

Gdy ratownicy opatrywali rany mężczyzny, Ed wskoczył na jeepa i manewrował reflektorami wzdłuż ścian, by sprawdzić, czy nie zostawili jeszcze kogoś rannego.

W słabym świetle zauważył ubranego na biało człowieka, leżącego w cieniu wielkiej pogłębiarki.

— Tam, po lewej stronie, potrzebne są nosze — krzyknął Ed. Zszedł z jeepa i rzucił się do rannego, który leżał przy ścianie. Odwrócił go na bok.

— Och, mój Boże. To Brett — wyszeptał.

— Nosze! Tlen! Prędko! — krzyknął.

Dwóch medyków rzuciło się na pomoc. Pierwszy z nich ukląkł i wcisnął do gardła Brettowi tubę, którą połączył ze zbiornikiem z tlenem. Lecz nie było żadnej odpowiedzi. Trudno było przepchać powietrze do płuc przez zablokowaną tchawicę.

Gdy drugi paramedyk podniósł dłoń Brettowi, z jego zwiótczałych palców wypadło niebieskie opakowanie sprayu w aerozolu. Ratownik podniósł spray i potrząsnął nim.

— To jest puste! — powiedział.

W przyciemnionym świetle kopalni, zrobił Brettowi dożylny zastrzyk ze sterydów. Pacjent nawet nie drgnął.

W ciągu dwudziestu pięciu sekund grupa ratownicza wsiadła do jeepa, sześć minut jechali tunelem, następne trzy minuty upewniali się, czy gościom nie grozi już żadne niebezpieczeństwo a przez kolejne dwie minuty zajmowali się rannym.

Od alarmu minęło około dwunastu minut. Medycy spojrzeli na siebie. Jeden z nich wzruszył ramionami. Brett nie żył.

Nikt nie wiedział, że gdyby pokojówka w hotelu nie podniosła z podłogi w łazience opakowania po sprayu i nie postawiła go ostrożnie obok nowego aeorozolu na półce, Brett by się nie pomylił i być może uratowałby się sam, zamiast deperacko naciskać przycisk i dusić się na śmierć...

— Usiądźcie sobie wygodnie w łodzi, miłe panie. Szyper przeprowadzał „Luizę” przez przesmyk W rafie koralowej.

„Luiza”, biorąc kurs na zachód, wracała do Rajskiej Zatoki. Słońce nie piekło—już z taką siłą, zerwał się nawet lekki wiatr.

Szyper miał nadzieję, że kobiety wkrótce się ożywią. Przygnębiona Suzy siedziała w dusznej kajucie, wciąż jeszcze chlipała. Ania, ta spokojna, nalewała kolejną porcję wódki z toni ki em.

Kiedy umazani błotem Suzy, Winston i szyper, dobrnęli do miejsca, w którym urządzili piknik, wszystkie kobiety patrzyły na nich z przerażeniem. Ania i ta duża, Carey, pomogły trzęsącej się ze strachu Suzy dojść do brzegu morza, umyły ją i przebrały. Ta przy kości, Sylvana, chciała wracać do hotelu, ale blondwłosa chłopczyca nie zgodziła się. Dlaczego do cholery mają popsuć sobie dzień — mówiła Patty — skoro ostrzegano Suzy, by nie zbliżała się do ruchomych piasków.

Szyper podniósł głowę do góry i nasłuchiwał. Teraz był pewny, że silnik traci moc. Powoli przestawał się obracać, aż zatrzymał się tykając miarowo.

Mężczyzna wspiął się na mostek i sprawdził, czy jest paliwo. Było trochę za mało, ale nie na tyle, by się tym przejmować. Może to woda dostała się do środka. Nappełnił przecież zbiornik po brzegi.

Odetchnął z ulgą, gdy silnik nagle zaskoczył i łódź poruszyła się znów do przodu. Śmieszne, nigdy przedtem nie miał takiego problemu, ale przecież nie dokonywał regularnie przeglądu technicznego „Luizy”. By to zrobić musiałby płynąć do Queenstown, a w pełni sezonu nie chciał tracić klientów.

Znów usłyszał jakiś chrobot. Do diabła, to nie może być paliwo, ale silnik z pewnością przestawał pracować.



Zwalniał, wreszcie zamilkł. Łódź zatrzymała się w miejscu.

— Przepraszam panie. Czy mogą się panie przenieść do kajuty? Silnik jest pod pokładem. Tylko rzucę na niego okiem.

Lecz nie zauważył żadnej widocznej usterki. Silniki diesla mogły pracować bez przerwy, lecz jeśli się już zatrzymywały, to na pewno było to coś poważnego.

Nad linią horyzontu widać było już tylko purpurowy łuk. Czerwone i pomarańczowe fale uderzały o pokład „Luizy”.

Pięć minut później szyper wykrzyknął:

— Spróbuj teraz, Winstonie!

Winston nacisnął przycisk, silnik wydał kilka dźwięków.

— W porządku, zatrzymaj. Chyba wiem, na czym polega nasz kłopot — szyper manipulował zręcznie palcami, lecz nadal nie mógł doszukać się żadnej wady.

— Spróbuj jeszcze raz, Winston. Nic z tego.

Trzy minuty po szóstej słońce schowało się za horyzontem i prawie natychmiast woda zmieniła kolor z krwistoczerwonego na złotawy.

W tropikach nigdy nie ma zmierzchu, dziesięć minut po zachodzie słońca jest ciemno jak w nocy.

Sypocony szyper z wypiekami na twarzy zdecydował: — Skontaktuję się przez radio z hotelem i powiem im, co się stało.

— Każ im przysłać po nas łódź — powiedziała Sylvana.

— Nie ma innej łodzi z silnikiem. Ta mała, którą biorą do jazdy na nartach wodnych poszła do naprawy. Mają tylko żaglówki i pontony.

Szyper złapał hotel i wyjaśnił sytuację.

— Tak, jesteśmy po drugiej stronie półwyspu... Co chcę zrobić? Zostawię chłopca w łodzi i przewiozę kobiety pontonem na brzeg.

Przyprawdzą je do hotelu ścieżką, na przełaj przez półwysep, dlatego wyślijcie nam na spotkanie kilku chłopców z pochodniami.

... Nie mam wyboru, to tylko kilka kilometrów. Będą musiały iść, jeśli chcą być na barbeeue. Jeśli nie, muszą nocować na pokładzie łodzi...

Zszedł z drabiny i wyjaśnił co się stało.

— Nie spodziewałam się, że nie mają tu innej łodzi — Sylvana była zła.

— Potrzebujemy łodzi tylko do jazdy na nartach wodnych i do łowienia ryb, proszę pani. Wynajęcie łodzi na cały dzień kosztuje pięćset dolarów, a czasami nie ma chętnych na wypożyczenie. Więcej łodzi to strata pieniędzy.

Silnik zakrztusił się i stanął bez ruchu. Winston uśmiechnął się szeroko:

— Ona ruszać, szefie. Winston nacisnąć guzik. Ona iść! Silnik jeszcze raz chrząknął i zatrzymał się.

— Kur... Przepraszam. Zabierzemy panie na brzeg zanim się ściemni. Ty, Winstonie, zostaniesz w łodzi. Nie pozwól nikomu wejść na pokład, rozumiesz? Wrócę za kilka godzin.

Zszedł na dół i wrócił ze strzelbą.

— Hej — wykrzyknęła Suzy. — Skoro ma to być krótki spacer, po co nam strzelba?

— Nam nie jest potrzebna. Przyniosłem ją dla Winstona. Ta łódź, to niemałe „dobro”.

— Ależ Winston ma dopiero dwanaście lat!

— Miał tylko jedenaście, gdy go przyjąłem do siebie i najpierw nauczyłem go strzelać w samo serce każdego, kto spróbuje ukraść moją łódź. Dobrze, niech panie wezmą tenisówki ze skrzyni na dziobie. Wasze buty nic nadają się do chodzenia w dżungli.

Ściemniało się prędko. Kobiety podążały za szyprem. Szli przez piaszczyste, pokryte krzewami wzgórze wznoszące się z tyłu plaży.

Suzy ześliznęła się w dół o kilka metrów.

— Moje paznokcie — piszczała.

Anna cofnęła się i pomogła jej wspiąć się do miejsca, gdzie czekała reszta grupy.

— Pospieszcie się! — ponaglała Patty. Wiedziała, że posuwały się naprzód zbyt wolno. Sylvana wtoczyła się pod górę jak młody słońnik.

— Coś mnie ugryzło! Och! Och! — Suzy krzycząc, strzepnęła z nóg i ramion gryzące ją muchy. — Mam mrówki w butach —

przeskakiwała z nogi na nogę. — Jezu, co za piknik!

Dobrze jej tak — pomyślała Sylvana — za to, że się tak ubrała. Sama cieszyła się, że ma na sobie dres.

— Zostańcie tutaj. Znajdę ścieżkę — oznajmił szypier. Zniknął, zostawiając je w wysokiej po kolana ostrej trawie. Podskoczyły nagle przerażone dzikim okrzykiem, który przeszył powietrze.

— To tylko papuga. Ścieżka jest o jakieś trzysta metrów stąd. To bardziej szlak niż ścieżka. Tubylcy omijają ją — wyjaśnił szypier.

Oświetlał drogę.

Weszli głębiej w dżunglę, było tam o wiele ciemniej.

— Pani pójdzie pierwsza — polecił Carey. — Nikt nie zgubi drogi, jeśli nie straci z oczu osoby prowadzącej.

— Zupełnie jakbyśmy zostały zamknięte w cholernym zoo — narzekała Suzy.

— Te rośliny są takie gęste i drapią — mruzczała Sylvana. — Nic nie widzę i to wszystko przyczepia się do mnie gdy idę.

Szły przed siebie, potykając się o śliskie kamienie, wystające korzenie drzew i splątane liany. Powłóczyły nogami w śmiesznych i za dużych tenisówkach. Ramionami zasłaniały twarze, by uchronić oczy przed skręconymi zwisającymi pnączami.

I znowu rozdzierający krzyk. Kobiety stanęły nagle w miejscu.

— Nie mówcie, że to papuga — warknęła Suzy.

— Zostańcie tutaj — kazał im zmieszany szypier. — Zobaczmy, co to za hałas. Nie ruszajcie się.

Wyczuł, że rośnie napięcie.

— Wrócę za pięć minut. Skoczył w dżungłę i w chwilę później mały, kołyszący się krąg światła zniknął im z oczu. Kobiety pozostały w ciemnościach.

Pięć minut później Sylvana usłyszała szelest. Skoczyła i potknęła się o Annę, która upadła do tyłu na Patty. Usłyszały szept szypra.

— Tp tylko ja. Przed nami tam na lewo, jest wioska tubylców. Właśnie są zajęci wymierzaniem kary złodziejowi. Chodźmy prędko do przodu.

— Nie. Idę do tej wioski i zapłacę im za to, żeby zabrali mnie do hotelu. Pierwsza rzecz, którą jutro zrobię, to każę Brettowi zabrać mnie z tego pieprzonego miejsca.

— Żadna z was nie pójdzie do tej wioski — powiedział stanowczym głosem.

— Dlaczego?

Doszedł wtedy do osady rybackiej. W świetle ogniska ujrzał mężczyznę, którego siłą unieruchomiono. Starsi wioski wbijali mu w prawą dłoń ciężką, drewnianą maczugę. Łamali mu kości, by go okaleczyć i w ten sposób na zawsze naznaczyć jako złodzieja.

— Przykro mi, nie wolno paniom iść do tej wioski. Suzy nie nalegała. Dostrzegła, że był zmartwiony.

— Ale oni nas nie usłyszą? — spytała Patty.

— To bez znaczenia. Po zachodzie słońca nie ruszą się z wioski. Wszyscy boją się nocy — to czas dla duchów zmarłych. Żyjący powinni trzymać się od nich z daleka.

Ruszyli przed siebie. Podnosili wysoko nogi, lecz mimo to przez cały czas stąpali po cuchnącej płataninie roślin na ścieżce.

Suzy znów się zatrzymała. Mówiła dziecinnym, upartym głosem.

— Nie mogę jiiż. Zostaję tutaj!

— Nie wiem gdzie się podzieli chłopcy z pochodniami. Ale stąd do hotelu nie może być dalej niż dziesięć minut drogi. Jesteśmy blisko płotu granicznego. Może pójdę do przodu i sprawdzę? .

— Nie — łkała Suzy. — Nie zostawiaj nas znowu.

Patty zerknęła na podświetloną tarczę swojego zegarka. Wyruszył i brzegiem plaży o szóstej dwadzieścia. Teraz była siódma dwadzieścia. Minęła najdłuższa godzina jej życia. Tak przynajmniej .sądziła.

Milczący szefowie „Nexusa” ubrani w pastelowe lekkie garnitury siedzieli w fotelach w ogrodzie na zewnątrz hotelowego baru.

Artur zerknął na zegarek. Siódma dwadzieścia. Och, Boże, wkrótce wrócą kobiety. Powiedziano mu, że łódź miała awarię i żony idą do hotelu brzegiem ładu. Gdy zjawią się z powrotem, to on będzie musiał powiedzieć Suzy o śmierci Bretta.

Natychmiast odwołano barbecue na plaży. Zabrano stoły, uginające się pod ciężarem jedzenia. Wielkie ognisko powoli gasło. Przyjechali tu pod koniec sezonu, więc w hotelu nie było dużo gości: grupa z „Nexusa”, dwóch japońskich biznesmanów, Angielka w średnim wieku, która rzadko odzywała się do kogokolwiek i jej kanciasty, przygarbiony mąż z wąsami w kolorze piaskowym, większość czasu spędzający w barze.

Artur wypił do końca swoją whisky. Będzie musiał zawiadomić o wypadku nie tylko żonę Bretta, ale także jego matkę. Może lepiej zleci to swojej matce, zadzwoni do niej jutro rano i pozwoli jej samej zdecydować jak to załatwić. Kobiety najlepiej znają się na takich rzeczach.

Miał nadzieję, że do jutra naprawią telefon. Gdy tylko wrócili do Rajskiej Zatoki, próbował dzwonić do biura w Sydney, lecz nie dostał połączenia. Byli na Paui od czterech dni i w tym czasie aż dwa razy linia była uszkodzona. Mimo to udało mu się załatwić to, po co przyjechał. Ed mylił się. Tego ranka prezydent nie odkładał sprawy na później.

— Nie będziemy rozmawiać o rzeczach mało ważnych, panie Graham. Przeprowadzimy nasze interesy w zachodni sposób, prędko — jeśli pan sobie życzy — z przyspieszeniem.

Ku zdziwieniu Artura, sumy jakich żądał prezydent tylko nieznacznie przewyższały ich wstępne propozycje.

Bez słowa wyjął przygotowany wcześniej czek wystawiony przez spółkę kapitałową „Nexus” w Szwajcarii.

— Miło mi z panem robić interesy — prezydent pochylił lekko głowę w ukłonie. Artur bardzo zadowolony wrócił do firmowego mikrobusu, który chwilę

potem ruszył przez Queeestown w stronę kopalni...

— Myślisz, że mógłbyś przynieść mi jeszcze jedną szkocką? Nie wiem gdzie się do cholery podzieli kelnerzy? — zwrócił się do Charleya.

Zazwyczaj na podium grał trzyosobowy zespół calypso, lecz dziś wieczorem nie było muzyki. Zaciemniony basen również świecił pustkami. Charley wrócił z barku.

— Nie mogłem znaleźć żadnego kelnera, ale dziewczyna z recepcji powiedziała, że przyniesie nam drinki.

Usiadł. Nikt się nie odzywał. Wypadki w kopalniach nie należały do rzadkości, ale mimo to czuli się przygnębieni, zwłaszcza że rano wszyscy byli w nastroju wakacyjnym. Wiedzieli, że wkrótce pojawi się wesoła i uśmiechnięta, śliczna, mała żona Bretta.

Luiza, która w brązowym hotelowym uniformie wyglądała jak egzotyczna stewardesa, postawiła przed nimi tacę z kieliszkami i butelkami.

— Pomyślałam, że lepiej sama przyniosę butelki, sir, barmana chwilowo nie ma.

— Wszyscy chwilowo są nieobecni.

Charley z ponurą miną nalewał alkohol do kieliszków. Artur podniósł głowę i patrzył w morze marszcząc brwi.

— Co to za hałas?

— Silnik motorówki. Nareszcie wrócili — Ed odetchnął z ulgą.

— Dziwne, że nie mają żadnych świateł — odezwał się Artur.

— Słyszę jeszcze jeden silnik — dodał Charley.

— Wyjdźmy im na spotkanie — Artur wstał z krzesła. Wszyscy inni również podnieśli się z miejsc.

Wpatrując się w ciemność przed sobą szli powoli plażą w kierunku morza. W mroku pojawiły się ciemne postacie.

— Coś jest nie tak — krzyknął/ Ed. — Trzy łodzie. Żadnych świateł. Wracaj do hotelu! — chwycił za ramię Izabelę i pobiegli plażą.

O mały włos nie wpadli na Luizę.

— Nikogo nie mogę znaleźć! Była przerażona.

— Wszyscy gdzieś zniknęli. Przed hotelem wysiadają żołnierze. Co się dzieje?

Trzy motorówki zatrzymały się i trzy czarne łodzie zbliżały się do brzegu. Uzbrojeni Murzyni w kaskach i czarnych wojskowych mundurach zeszli na ląd. Prędko otoczyli plażę kordonem.

— Terrorysty! Uciekajmy — wykrzyknął/ Ed, chwytając Luizę. Ciągnąc za sobą obie potykające się kobiety, biegł na oślep do hotelu, gdy nagle zatrzymał się.

— Och mój Boże! — krzyknęła Izabela.

Z hotelu kierowała się w ich stronę grupa jednakowo ubranych żołnierzy. Zbliżali się powoli z wycelowaną w nich bronią.

Patty gwałtownie uniosła głowę.

— Co to za hałas?

— Pewnie sztuczne ognie — wyjaśnił szyper. — Luiza kazała je przygotować z okazji barbecue na plaży. Hej! Spójrzcie moje panie! Płot!

Zmaltretowane kobiety ożywiły się i kuśtykając podeszły do siatki z drutu, na której wisiały lampy elektryczne. Tutaj zaczynał się teren hotelu.

— Muszę coś zrobić z twarzą, zanim pójdziemy dalej — odezwała się Suzy. Podeszła do najbliższego światła i przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu grzebienia.

Carey jeszcze nie widziała Suzy w takim stanie.

— Moja twarz może poczekać, ale na pewno muszę zapalić papierosa — próbowała znaleźć go w białej torbie plażowej.

Anna od niechcenia szukała przyborów do makijażu w swojej zielonej torebce z rafii, choć wiedziała, że nic jej teraz nie pomoże.

Powinna zanurzyć się w ciepłej kąpieli z całą butlą szamponu, zanim znów będzie choć w połowie czuła się jak człowiek.

— Nie zatrzymujmy się. Nasi mężowie pewnie się już o nas niepokoją — powiedziała niecierpliwie Sylvana.

Suzy jęknęła patrząc w małe lusterko, w którym ujrzała odbicie swojej podrapanej, brudnej i zasmarowanej tuszem do rzęs twarzy.  
— Czy nie możemy wśliznąć się tak, by nikt nas nie widział? Nie mogę pozwolić, by ktoś mnie taką zobaczył.

— W porządku — szyper odetchnął z ulgą. Za kilka minut zejdzie mu z głowy obowiązek opiekania się rozpieszczonymi, zepsutymi kobietami. — Zabiorę was do domków plażowych. Pójdziemy od tyłu, drogą tylko dla personelu.

— Pospieszmy się — Patty zasunęła suwak swojej granatowej płóciennej torby, na której widniał napis, że właścicielka kocha San Francisco.

Cała grupa dotarła wzdłuż drucianego ogrodzenia do bramy.

— Hej, tutaj powinien stać wartownik — odezwał się szyper. — Lepiej zgłoszę, że go nie ma.

— Widzę pochodnie na plaży — wykrzyknęła radośnie Suzy. Szli po strzyżonych trawnikach otaczających hotel.

Szyper zatrzymał się.

— Wydaje mi się, że dzieje się coś dziwnego. Siedźcie cicho.

W oddali zabrzmiała ostra komenda, po której nastąpiły dwa strzały. Ktoś krzyknął, potem zapanowała cisza i znów jakieś krzyki.

— Nie ruszajcie się. Idę zobaczyć co się stało — szepnął szyper i kucając przesunął się do przodu.

Przestraszone kobiety patrzyły jak niknie w mroku jego biała koszula. Suzy rozejrzała się nerwowo wokół.

— Nie zostanę tutaj sama — szepnęła — idę za nim. Wszystkie skinęły głowami, zgadzając się z nią.

Oślaniając się gałęziami i krzewami przemykały za szyprem, który czołgał się w kierunku plaży.

Carey dogoniła go, gdy skrył się w cieniu oleandra poniżej rzędu pochodni. Odurzył ją waniliowy zapach krzewu.

— Nic powinna pani iść ze mną. Poszę wrócić.

Carey nie słyszała go. Nie wierzyła własnym oczom. Na plaży stało ponad osiemdziesięciu żołnierzy. Wszyscy mieli na sobie czarne wojskowe mundury robocze. Byli uzbrojeni. Przed wirydarzem hotelowym z rękami związanymi na plecach stali Artur, Duke, Ed, Charley i Roddy. Ed miał krew na twarzy. Izabela i dziewczyna z recepcji stały w odległości około dwóch metrów, również związane. Japończyków skrepowali stojący przy nich żołnierze, a angielska para leżała nieruchomo na piasku.

Carey podskoczyła w miejscu, gdy poczuła czyjaś dłoń na ramieniu, lecz była to tylko Patty. Jęczała: — Charley, Charley...

— Zamknij się — syknęła Carey. Recepcjonistka krzyczała na cały głos.

— Nie wolno wam tego robić! To są amerykańscy i japońscy obywatele! Są gośćmi. Mają paszporty.

Jakiś żołnierz wystąpił z szeregu i uderzył ją kolbą w twarz. Upadła na piasek i leżała bez ruchu.

— To Luiza, moja żona. Muszę ją stamtąd wydostać — szyper z trudem chwycił oddech. Odwrócił się do Carey.

— Niech pani zabierze kobiety natychmiast z powrotem do dżungli! Bez gadania! <sup>1</sup>

Carey, sztywna z przerażenia, nie mogła uwierzyć w to co zobaczyła. Serce biło jej ze zgrozy i ze strachu. Nie mogła zastosować się do poleceń szypra, nie była zdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Patrzyła jak zahipnotyzowana na Eda, który krzyczał do oficera, trzymającego w ręku karabin maszynowy.

— Co zrobiliście z naszymi żonami? Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

— Nic. Jeszcze nic. Ale chcę, żebyście zobaczyli, co zrobimy.

— Gdzie one są?

— Spokojnie Ed — odezwał się Charley.

Carey nie słyszała co mówią, gdyż wszyscy krzyczeli jednocześnie.

— Nie mamy nic wspólnego z tymi Amerykanami, proszę, uwolnijcie nas — zawołał jeden z Japończyków.

— Kobiety wypłynęły łodzią dziś rano. Widziałem je — dodał drugi. Oficer odwrócił się do niego.

— Gdzie popłynęła łódź, przyjacielu?

— Nie wiem.

— Zapłacimy wam tylko ile tylko chcecie, damy wam helikoptery, statki, złoto — wszystko — jeśli nas wypuścicie — wołał Artur.

Oficer zbliżył się powoli i stanął przed nim.

— Poprosisz o darowanie żyda na kolanach.'

Gdy Artur niezgrabnie klękał na ziemi, Carey dostrzegła, że ma związane z tyłu ręce. Oficer z kamienną twarzą wyjął pistolet i strzelił mu w pachwinę. Artur krzyknął z bólu. Oficer wystrzelił jeszcze raz, tym razem w żołądek. Artur upadł głową na piasek, związał się przez moment i zastygł bez ruchu. Nie żył.

Sylvana, stojąca z tyłu za Carey, straciła oddech ze straszego zdziwienia. Całe jej ciało było ciężkie jak ołów i nieruchome, jak w koszmarnym śnie. Carey słyszała, że Charley coś krzyczy.

\_ Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że zastrzelił pan właśnie obywatela amerykańskiego? Nigdy pan tego nie ukryje!

— Ukryję, mój przyjacielu. Zabierzemy was w morze poza siatkę na rekiny. CIA nie będzie was przecież tam szukać.

— Czego pan chce? — pytał desperacko Charley.—Damy panu wszystko, czego pan zażąda. \_

Krzyk, szamotanina. Dwóch Japończyków wyrwało się żołnierzom i rzuciło w kierunku drzew. Na piasku wyli z bólu dwaj terroryści.

Po ostrej komendzie nastąpił huk karabinu maszynowego. Jeden z Japończyków upadł na ziemię i leżał jęcząc, podczas gdy drugi, zataczając się szedł dalej.

Kolejna seria z karabinu. Powoli padał na kolana i wreszcie osunął się na twarz. Leżał zawodząc.

Gdy zabili Charleya strzałem w żołądek, Ed modlił się na głos. Potem zastrzelili i jego. Następny był Duke. Potem jeszcze żona szypra, która leżała nieprzytomna na ziemi.

Nie zastrzelili Izabeli. Gdy Carey patrzyła na to co z nią robią, zwymiotowała koło krzewu oleandru. Patty drżała na całym ciele. Obie kobiety chwyciły się za ręce i popędziły z powrotem przez trawniki hotelowe tą samą drogą, którą przyszły. Anna biegła za nimi, ciągnąc za sobą Suzy.

Sylvana dysząc szła z tyłu, po twarzy ciekły jej łzy. Zagryzła wargę, która bolała ją od wysiłku milczenia.

Łkając i z trudem łapiąc powietrze, kobiety przedostały się przez bramę w ogrodzeniu z drutu i rzuciły się z powrotem w dżungłę.



## PANIKA

7

Szły wąskim szlakiem najszybciej jak mogły. Nie zwracały już uwagi na to, że drżą im nogi, że mrówki wchodzą do butów, że pnąca chłoscza twarze, a nogi i ręce kaleczą ciernie.

Carey, zasłaniając twarz ramieniem, prowadziła całą grupę. W dłoni trzymała latarkę. Torowała drogę przez splątane krzewy. Nagle usłyszała ponaglający szept.

— Zatrzymaj się — prosiła Anna. — Nie widzę Sylwany.

— Nie wolno nam przystawać — syknęła Patty. — Skoro nie może nadążyć, to jej kłopot. Złapią nas, jeśli będziemy się zatrzymywać. Potykając się szły dalej — nagle stanęły jak wryte. Carey skrzyła w złą stronę. Przed nimi wyrosła zagrządzająca drogę ściana splątanej roślinności.

Zawróciły szukając ścieżki, a gdy znalazły ją wreszcie, poruszały się z większą ostrożnością.

Nagle Carey zeszywniała i zgasiła latarkę. Z bliska dobiegał odgłos przypominający sapanie ogromnego zwierzęcia. W przewodniku czytała, że na wyspie nie ma dużych kotów, nie ma też drapieżników, lecz to chrapliwe fukanie musiało...

— Dio mio — usłyszały przeraźliwe szlochanie. Przed nimi stała Sylvana, która wybrała złą ścieżkę.

Carey zapaliła latarkę, oświetliła drogę i Sylvanę ubraną w mocno zabrudzony dres od Valentino i zabłocone tenisówki.

— Och, dzięki Bogu, myślałam, że was zgubiłam.

— Jeśli któraś zostanie z tyłu i znajda ją żołnierze, dowiedzą się gdzie jest reszta — odezwała się Carey. — Musimy trzymać się razem.

Lepiej będzie jak Patty pójdzie pierwsza z latarką, a Sylvana za nią. Ja pójdę na końcu.

Na nieszczęście Patty szła szybko. Było jej łatwiej, bo to ona oświetlała drogę. Carey, osłaniając grupę nie widziała zupełnie nic. Jedną ręką uczepliła się ramienia Anny. Przed nimi Suzy — ciągle potykając się i padając — przeszkadzała tym, które szły za nią. Za każdym razem, gdy się przewracały natychmiast obsiadała je chmara gryzących owadów. Nagle Patty zniknęła ze światłem bez śladu.

— To dziwka! Samolubna dziwka! — krzyczała Suzy. — Zostawiła nas bez latarki!

Po omacku brnęły dalej. Teraz prowadziła Anna, osłaniając jednym ramieniem twarz, drugą ręką rozgarniając rośliny przed sobą. Rozorała sobie policzek cierniem i zatrzymała się.

— Nic nie widzę. Może zejdziemy z tej ścieżki i po prostu gdzieś się schowamy.

Przed nimi coś zaszeleściło. Wróciła Patty z latarką.

— Na litość boską, nie zostawajcie znów z tyłu. Wyciągnijcie ze spodni koszule i trzymajcie się jedna drugiej. Po raz ostatni wróciłam po was.

— Oddaj mi latarkę — zażądała Carey.

— Nie, musicie, do cholery, nadażać za mną.

— Patty, nie możemy zatrzymać się na chwilę? Okropnie kłuje mnie w boku — jęczała Suzy.

— My... się nie... zatrzymujemy! — wyszeptała z naciskiem Patty. — Klucie w boku to pestka w porównaniu z tym, co zrobili Izabeli. Usłyszała ostre szczekanie psa po prawej stronie i zrozumiała, że muszą być blisko owej wioski rybackiej, skąd wcześniej dobiegł jej krzyk.

Lepiej ominąć to miejsce z daleka. Patty zwolniła, przez następne kilkaset metrów stąpała najciszej jak mogła. Suzy przeszła kolka. Gdy potykała się o czarne, cierniste jeżyny i liście, trzymając się kurczowo koszuli Anny, nagle doznała olśnienia. Nie widziała Bretta na plaży wśród mężczyzn zastrzelonych przez terrorystów.

Nie, z całą pewnością, nie widziała tam Bretta.

Jeśli uciekł tym czarnym mordercom, to może żyje. Być może jest jakaś nadzieja. Gdyby tylko mógł im pomóc. Wiedział, że pojechali na piknik na wybrzeże, więc domyślał się mniej więcej gdzie Ich szukać. Gdy tylko dotrze do jakiegoś telefonu to zadzwoni do najbliższej ambasady amerykańskiej i każe wysłać żołnierzy Marines.

Patty zatrzymała się. Szeptała do kobiet stojących w kręgu światła latarki.

— Słyszycie morze? Wydaje się, że jest już blisko. Jesteśmy prawie na plaży. Idę się rozejrzeć. Zostańcie tutaj.

Wróciła w oka mgnieniu.

- Nie przejdziemy tędy dalej. To gęsta dżungla. Chodźmy inną drogą. Wdychały zapach morza i słyszały jak fale uderzają o brzeg, złudnie obiecując wybawienie.

— Uważaj Paty. Nie chcesz chyba spaść z tych skał — szepnęła Sylvana.

— Boję się, że poszliśmy za daleko. Minełyśmy łódź. Pójdę zobaczyć. — Patty ostrożnie szła przed siebie.

Pięć minut później wróciła podekscytowana.

— Widziałam światło na morzu. To nasza łajba.

Odetchnęły z ulgą. Nareszcie znalazły coś bezpiecznego w tym przerażającym miejscu.

Poszły za Patty do brzegu skarpy. Po prawej stronie zobaczyły światło łodzi. Były jakieś dwieście metrów od celu.

Z nadzieją w sercu schodziły powoli po wzgórzu porośniętym krzewami. Znów stały na kamiennej plaży. Ku własnemu zdziwieniu odnalazły ponton bez trudu.

— Czy nie powinnyśmy poczekać na szypra?

— Oszalałaś? — syknęła Patty. — Jego też pewnie zastrzelili. Zepchnęły ponton na wodę i ostatkiem sił wyprowadziły go w morze.

Patty,

stojąc po kolana w wodzie, trzymała latarkę, podczas gdy Carey ustawiała łódź na wodzie. Trzy pozostałe kobiety wskoczyły na pokład.

— Skąd mamy wiedzieć, że w łodzi nie ma żołnierzy? Skąd wiemy, że Winston żyje? — szeptała Carey do Patty wchodząc na ponton.

— Warto zaryzykować.

— Może jedna z nas popłynie do łodzi?

— Nie słycać żadnego hałasu. Gdyby terroryści tam byli, przecież byśmy ich słyszały.

Patty ustawiła ponton i sama wskoczyła do środka. Wiedziała jak uruchomić silnik i gdy zaczął się obracać, sterowała w kierunku „Luizy”.

Mój Boże, może Winston będzie do nas strzelał — pomyślała. Wyłączyła silnik i szeptała nagłaco — Winstonie... Winstonie...

— Szyper?

— Nie, to amerykańskie kobiety.

— Białe panie? — był przestraszony.

Gdy ponton uderzył o brzeg „Luizy”, Carey niezdarnie uchwyciła cumę i rzuciła ją Winstonowi. Jedna za drugą przeszły na pokład łodzi.

Przynajmniej na jakiś czas były bezpieczne. Suzy poszła prosto do lodówki, by wyciągnąć butelkę wódki. Schwyciła papierowy kubek i napełniła go. Podała butelkę Carey, która pociągnęła jeden łyk.

— Będzie jeszcze bardziej chciało wam się pić i w dodatku się upijecie. Winstonie, jest coś innego?

— Innego?

— Lemoniada. Coca-cola?

— Nie, tylko woda.

Na kilka minut pragnienie zwyciężyło strach i kobiety piły łapczywie.

— Gdyby ta łódź się nie zepsuła...

— Gdyby tak było, to leżałybyśmy teraz martwe na plaży — odparła Carey.

— Łódź jest dobra. Winston naprawić silnik.

— Mówisz, że działa?

Winston uśmiechnął się i skinął głową w półmroku.

Popędził na mostek i nacisnął wyłącznik. Silnik zaczął się obracać.

— Wyruszajmy natychmiast. Płynijmy tak daleko jak tylko można —

przynaglęła Carey . Wspięła się po drabinie i stanęła przy Winstonie.— Zabierz nas daleko w morze! Natychmiast Winstonie. Chłopak był najpierw zdziwiony, potem przestraszony. Może chcą ukraść łódź? Gdzie jego pan?

— Winston nie... mój... nie.

— Ale naprawiłeś silnik — odezwała się Suzy. — Na pewno potrafisz uruchomić łódź.

Winston był mocno zakłopotany. Nagle od strony silnika dobiegł głos:

— Winstonie!

Skoczył na równe nogi śmiertelnie przerażony. Może to duchy wodne, silniejsze niż Jezus Chrystus. Głos z wody nalegał:

— Winstonie, na litość boską, podaj mi drabinę zanim złapie mnie jakiś rekin.

Chłopiec rzucił się do nadburcia i obniżył drabinę. Ociekający wodą szyper wdrapał się na pokład.

— To dobrze, że udało się wam uciec.

Suzy bez słowa podała mu butelkę wódki, lecz on oddychając z trudem, potrząsnął przecząco głową.

— Zostało jeszcze piwo? Co do cholery zrobiłeś z silnikiem, że działa bez zarzutu, Winstonie?

— Sprawdziłem go na wolnych obrotach, szefie. Od zbiornika paliwa aż po wtryskiwacze. Szef naciśnie guzik, nie ma problemu.

— Dobra robota, synu — pochwalił go.

Trzymając w dłoni puszkę piwa, przyglądał się pasażerom. Wszystkie miały potargane włosy i brudne, zakrwawione twarze.

— Naliczyłem z osiemdziesięciu tych sukinsynów na plaży.

— Co się z panem działo?

— Podczołgałem się od strony plaży, chciałem zaskoczyć jednego z nich od tyłu i zabrać mu broń. Lecz kiedy zastrzelili moją żonę i resztę gości nie było już sensu tego robić. Wycofałem się i zobaczyłem, że zeszyście ze skarpy. Poszedłem za wami z powrotem do łodzi, nie było łatwo bez latarki.

— Dzięki Bogu, że pan tu jest. Niech pan nas zabierze w morze. Proszę zatelegrafować o pomoc. Zadzwoń na policję w Queenstown

— nalegała Sylvana.

Szyper zaprzeczył ruchem głowy.

— Przed hotelem przycumowały trzy statki wojenne. To znaczy, że na morzu pływa jakiś spory okręt, prawdopodobnie wyposażony w działa. Nie mogę użyć radia, wtedy dowiedzą się, że tu jesteśmy i będą nas szukać. Jeśli damy im dokładne wskazówki złapią nas w ciągu dwudziestu minut.

— Dobrze, na miłość boską, ruszmy się.

— Dokąd?

— Do Queenstown. Trzeba dać znać policji.

— Nie wiemy, co się u licha dzieje w mieście. Może właśnie w tej chwili walczą z tymi sukinsynami, a może te bękarty już przejęły władzę nad miastem — wypił do końca piwo. — Myślałem co zrobić, gdy tu płynąłem. Wydaje mi się, że najbezpieczniej jest zostać tutaj.

— Ale mówił pan, że przyjdą nas szukać. Sylvana szalala ze strachu.

— Nie będzie im się chciało, myślą, że zginęliśmy. Chyba zabiorę was na brzeg z taką ilością sprzętu, by dało się przeżyć. Razem z Winstonem popłyniemy dalej w morze i rozrzucimy wasze kostiumy kąpielowe wokół łodzi, potem wysadzimy ją w powietrze.

— A co się stanie z panem i Winstonem?

— Zanim nastąpi wybuch i „Luiza” rozsypie się na kawałki, popłyniemy do brzegu na pontonie. Jeśli będziemy mieli szczęście, to nas nie zauważą. Jeśli zobaczą, pewnie pomyślą, że tylko myśmy się uratowali. Nikt z nich chyba nie widział, że wróciliśmy na plażę. Byli zajęci czym innym.

Przez dłuższą chwilę przypominały sobie jak brutalnie zastrzelono ich mężczyzn. Uciekło z nich życie i oczy napełniły się łzami. Szyper też płakał. Straciły wszelką nadzieję. Martwiły ze strachu przed tym, co teraz będzie.

Tylko Suzy nie opłakiwała męża. Głęboko w sercu była p r z e k o n a n a , że Brett żyje. N i e w i d z i a ł a go na plaży.

— Nie wolno. Przyjdzie czas na smutek, kiedy się stąd wydostaniemy. Przygotuję ponton.

— Ale mówił pan, że nie można polegać na silniku przy pontonie — odezwała się Patty. -

Szyper wzruszył ramionami.

— Jeśli się zepsuje, to będziemy wiosłować.

— Nie ma pan szczęścia do silników.

— W tej chwili nie mam szczęścia do niczego. — Najpierw stracił żonę, teraz miał stracić łódź i do tego opiekować się grupą tych kobiet, które do niczego się nie przydadzą.

— Ale co potem? Jak wydostaniemy się z wyspy?

— Przeczekamy w dżungli kilka dni, potem wyślę Winstona na zwiady. Gdy wszystko ucichnie zabiorę dwie z was i uciekniemy nocą pontonem. Więcej się nie zmieści. Winston zostanie, żeby opiekować się pozostałymi. Carey też zostanie, bo umie łowić ryby, a Suzy nie potrafi pływać. Pozostałe panie mogą losować miejsca w pontonie.

— Uważam za swój obowiązek zostać. Tego chciałby Artur.

— To tylko sto dwanaście kilometrów morzem z południowego zakątka Paui do Irian Jaya.

— Gdzie to jest?

— To stały ład. Kiedyś nazywało się to Duńska Nowa Gwinea. Teraz nazywa się Irian Jaya i pozostaje pod rządami Indonezji.

— Skoro to tylko sto dwanaście kilometrów do wolności, to czy nie warto zaryzykować i popłynąć tam jeszcze dzisiaj wieczorem?

— Myślałem o tym, ale przecież nie wiemy, co się dzieje, nie wiemy skąd przybyli ci mordercy i ile statków pływa po zatoce. A propos, czy słyszałyście jak nazywali tego faceta, który wydawał komendy na plaży?

— Ed mówił Rocky — zduszonym głosem powiedziała Suzy. Carey zaczęła płakać.

— Nie Rocky. Chyba Raki. Za nacjonalistów był szefem sił zbrojnych, wykopano go jakieś osiemnaście miesięcy temu i był na wygnaniu. Więc gdyby on wylądował ze swoimi wojskami, byłby to przewrót. Jeśli mam rację, to pewnie dławią powstanie w mieście i osłaniają miejsca przygotowane do lądowania z morza. Założę się, że w tych ciemnościach pływają jeszcze inne statki. Patty i Sylvana rozpląkały się.

— Wiem, co czujecie. Chryste, ja przecież przed chwilą straciłem żonę. Nie możemy teraz o tym myśleć. Musimy wynieść na brzeg tyle rzeczy, ile potrzeba do przeżycia.

— Gdyby popłynął pan sam, pewnie miałby pan więcej miejsca na wodę pitną— powiedziała niezobowiązująco Anna.

— Potrzebny mi będzie wartownik, gdy będę spał. No i muszę mieć ze sobą choć jednego świadka. W przeciwnym razie Departament Stanu może nalegać na wszczęcie dochodzenia. Jeszcze jedno, gdyby coś się stało ze mną, życie reszty z was zależeć będzie od tych, które popłyną pontonem.

— Na litość boską, przestańmy mówić i z r ó b m y coś.

— Trzeba najpierw wszystko ustalić. Winston pomoże wam wynieść rzeczy z łodzi. Odkręcę drabinkę przy mostku. Gdy dostaniemy się na brzeg, zakryjemy ją zasłoną i położymy tam zapasy. Będziemy ją nieść jak nosze, aż znajdziemy bezpieczne miejsce, gdzie się ukryjemy.

— Dokąd pójdziemy?

— Na południe, najdalej dokąd uda nam się dojść przed świtem. Suzy przyglądała się stercie sprzętu, który ułożyli na pokładzie.

— Po co nam to wszystko do cholery? Co z tym zrobimy na brzegu?

— Zamknij się Suzy. Nie mam pojęcia kiedy i jak szybko się stąd wydostaniemy, ale na pewno nie jutro. Wolałbym wziąć za dużo niż za mało. Kiedy wysadzimy „Luizę” będzie za późno, by wrócić po cokolwiek.

Patty płynęła pierwsza pontonem. Zabrała Suzy i Sylvanę. Zapakowały płócienne zasłony, sprzęt rybacki, skrzynkę z narzędziami, trzy siatki przeciw komarom i dwa wiklinowe koszyki wypchane tenisówkami, koszulami i czterema parami rękawic rybackich. Gdy wróciła, usłyszała szept Carey przy nadburciu.

— On mówi, że nie wolno ci włączać silnika, robisz za dużo hałasu. Będziesz musiała wiosłować. Następnym razem, płynąc do brzegu już wiosłowała. Teraz zabrała wędki,

skrzynkę z przyborami rybackimi, oszczep i dwie sieci. W plastikowym, nieprzemakalnym kubku na śmieci schowały zapalki, dwie metalowe puszkę używane jako przynęta na ryby, poobijany metalowy czerpak i dwa plastikowe naczynia, osiem noży do sprawiania ryb, maczetę Winstona, cztery rakiety, kłębek sztucznych ogni i sześć kamizelek ratunkowych.

— On mówi, żebyście natychmiast założyły kamizelki na siebie, żeby ich nie nieść—szeptła Patty do kobiet, które pozostały na tonącej w mroku plaży.

Za trzecim razem wzięły dwie strzelby, dzidy, sześć harpunów, dwie pary czarnych płetw i maski do nurkowania, puste naczynie o pojemności dwudziestu litrów i siekiere. Patty trzymała przenośną stacyjkę radiową ICOM-u, używaną przez marynarzy. Czekala aż Carey wdrapie się na ponton.

— Uważaj, łap to. Prawie zapomniałam. — Carey rzuciła apteczkę pierwszej pomocy.

Ciężkie pudełko uderzyło Patty w głowę. O mały włos nie wypadła za burtę. Machając dziko rękami, próbowała odzyskać równowagę, lecz upuściła radio. Plusnęło w wodę i utonęło w czarnej otchłani.

— Przepraszam, wypadło mi radio. Powiedz mu.

— Kur... — Carey wiedziała co to oznacza. Gdy „Luiza” wyruszy w morze, szyper nie będzie mógł już w żaden sposób zawiadomić ich, co się z nim dzieje.

— Dobrze, ale nie wypuść tego, to strzelba.

Potem obie z Anną wśliznęły się na ponton. Patty odbiła od brzegu łodzi. Gdy szara gumowa tratwa zbliżała się do plaży, wokół panowała cisza, tylko fale miękko opływały kadłub i słychać było skrzywienie wiosła.

Patty wyszła na brzeg.

Szyper wiosłował szybko z powrotem do „Luizy”. By oświecić mu drogę Winston zapalił światło w iluminatorze i na prawej burcie. Zgasił, gdy mężczyzna wspiął się na pokład.

Wylał na deski cztery puszkę białej farby, spirytusu i parafiny, a potem oblał wszystko benzyną i ropą. Powinno wystarczyć, by podpalić lotniskowiec

Włączył silnik. „Luiza” posłusznie płynęła na północ w kierunku niewidocznego czubka półwyspu w Rajskiej Zatoce. Przypuszczał, że tam właśnie stoją warty.

— Winstonie, wejdź do kabiny i połącz się na podłódze, nie wstawaj póki cię nie zawołam.

Zapalił jedno ze świateł nawigacyjnych. Nic się nie działo. Łódź kołysała się spokojnie na boki w kojącym rytmie kołysanki, wreszcie usłyszał gwizdek, po którym natychmiast nastąpiła pierwsza eksplozja. Nareszcie ich zauważyli.

— Winston, wskakuj na ponton. Przygotuj się do odwiązania cumy, szybko.

Po drugim wybuchu, szyper i Winston znaleźli się w wodzie, próbując uchwycić się przewróconego pontonu.

Ustawienie go z powrotem na wzburzonej fali nie było łatwe. Wreszcie się

udało i szyper dostał się do środka. Prędko chwycił wiosła i zaczął nimi pracować wołając cicho: — Winstonie.

Było ciemno. Tylko po głosie mogli się zorientować gdzie są. Szyper martwił się, że jeszcze nie odpłynęli. Wiosłował już chyba od trzech minut.

— Winstonie?

— Tutaj, szefie — głos dochodził prawdopodobnie z tyłu pontonu, chyba zza lewej burty.

Dziękując opatrności szyper odstawił wiosła. Klęcząc dotykał ostrożnie brzegu pontonu. Tak, z całą pewnością kurczył się, więc gdzieś musiał przeciekać. Co za pech — pomyślał.

Pod palcami poczuł zimne, wilgotne ciało i chwycił głowę Winstona.

— Nareszcie, dobry chłopiec, Winstonie, daj mi drugą rękę, wciągnę cię na ponton.

Nagle usłyszał rozdzierający krzyk pod wodą i mała wilgotna rączka wyrwała się z jego uścisku. Kolejny, przeraźliwy krzyk zakończył się bulgotaniem.

Fale delikatnie obmywały gładki, gumowy kadłub.

8

Nie było sensu dalej wiosłować. Woda wdzierała się na ponton. Starając się nie robić hałasu, ześliznął się w czarną wodę. Miał nadzieję, że płynie we właściwym kierunku.

Gdy wreszcie wydostał się na powierzchnię, wciąż trzymając się wiosła, które mogło go zdradzić, nie widział nic. Czy to ta plaża? Może popłynął za daleko? Nie, to niemożliwe. Może te idiotki wpadły na jakiś genialny pomysł? Albo już pojмали je terroryści...

Czołgając się wzdłuż brzegu wpadł na coś dużego i ciepłego. W pierwszej chwili myślał, że to zwierzę, ale owo stworzenie głośno zakłęło.

— Dlaczego do cholery nie oświetliłaś mi drogi?

— Przepraszam, zasnęłam.

— M ó w c i s z e j ! Gdzie reszta?

— Ukryły się na szczycie skarpy. Będziemy ładować rzeczy na ponton. Gdzie Winston?

— Winston nie wróci. Ponton zatonał.

— Ale jak uciekniemy bez pontonu? Jak przeniesiemy sprzęt? Jak... Co p a n m a n a m y ś l i , m ó w i a c , ż e W i n s t o n n i e w r ó c i ?

— B ą d ź c i c h o ! Może teraz wy coś wymyślicie. Jestem wykończony — upadł na piasek i natychmiast poczuł na sobie muchy. Ta kobieta ma chyba skórę jak nosorożec, skoro mogła spać na plaży.

— Cd się stało z Winstonem?



— Rekin.

— Patty zaczęła płakać.

— Ja też czuję to samo.

Oboje milczeli. Szyper odezwał się zmęczonym głosem:

— Teraz się ukryjemy i rano pomyślimy co robić dalej. Ukradnę łódź z wioski rybackiej albo coś takiego.

— Gdzie się schowamy?

— Nie wiem, do cholery. Jeśli ci żołnierze nie byli najemnikami filipińskimi, to na pewno pochodzą z Paui — miejscowi chłopcy. Jeśli znajdą jutro nasze ślady, wytropią nas w pięć minut.

— Może ukryjemy się w jaskini? W tej, którą znalazł Winston pod wodospadem? Widzieliśmy takie jaskinie w Australii, rozbójnicy ukrywali się tam całymi miesiącami.

— Wodospad jest jakieś dwadzieścia cztery kilometry stąd. Właśnie minęła północ. Musielibyśmy iść co najmniej trzy kilometry na godzinę, by dotrzeć tam przed świtem. To niemożliwe.

— Idąc po płaskim terenie można przejść w godzinę koło pięciu kilometrów. Nic tak nie zmusza człowieka do wysiłku jak strach.

— Dlaczego nie? — zgodził się w końcu.

— Czy nie możemy zostawić sprzętu tutaj?

— Nie. Nawet gdyby terroryści go nie zauważyli, zauważą tubylcy. Jeśli nie weźmiemy ze sobą, nigdy go nie odzyskamy.

Wstał chwiejąc się ze zmęczenia na nogach.

— Im wcześniej wyruszymy tym lepiej. Chodźmy odszukać resztę.

— Idziemy. Kto nie zdoła nadążyć za nami — zostanie. Zrozumiano? Nie ma innego wyjścia.

Prowadził całą grupę. Kobiety wymieniały się noszami ze sprzętem. Pierwsza część drogi wiodła ścieżką, która biegła na południe od hotelu. Idąc tym szlakiem przez dżunglę będą mogli ominąć półwysep.

Gdy szli wąską ścieżką pokrytą liśćmi, próbował ocenić ich siłę i słabości. Wszystkie były delikatne i rozpieszczone, przyzwyczajone, jak dzieci, że ktoś zawsze o nie dba. Szyper sądził, że najbardziej można polegać na Carey. Była dużą, silną kobietą. Pamiętał jak walczyła z rekinem — całymi godzinami, opanowana i spokojna. Na pewno odznaczała się samozaparciem i zdecydowaniem, posiadała cechy, dzięki którym być może wydostaną się z tego piekła.

Patty wydawała się również osobą zdyscyplinowaną i silną fizycznie. Świetnie pływała, lecz miała w sobie coś dziwnego — wprowadzała nerwową atmosferę, neurotyczny niepokój — coś, co sprawiało, że czuł się niepewnie. Można było na niej polegać, choć równie dobrze mogła się załamać w najmniej spodziewanym momencie, wtedy gdy nie będzie można sobie na to pozwolić.

Nie dotyczyło to Suzy. Była kłótniwa, stroiła fochy, lubiła robić sporo szumu wokół siebie i z całą pewnością jest zdolna do agresywnych zachowań. Lecz bez wątpienia była silna. Inne kobiety wpadłyby w o wiele większą histerię niż

ona na ruchomych piaskach. Suzy po prostu popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała: — Pan i Winston uratowaliście mi życie. Dziękuję, To niewiele, ale powaga, z jaką to mówiła wystarczyła za wszystko. Miał przeczucie, że Suzy jest bardziej wytrzymała niż na to wygląda i jeśli ktoś z nich miał przeżyć, z pewnością będzie to ona.

To samo myślał o Annie — cichej i nieśmiałej dziewczynie, która zawsze dążyła do zgody i rzadko się odzywała. To ona zerwała się na równe nogi i natychmiast zajęła się Suzy. Miał wrażenie, że Anna jest osobą praktyczną i w razie niebezpieczeństwa można na niej polegać.

Nie miał pewności co do tej grubaski w czarnym dresie — Sylvany. Poruszała się najwolniej, przez cały dzień była ospała, jakby zupełnie wyłączyła się z tego, co się wokół niej dzieje.

Gdy weszli w dżunglę, słabe światło księżyca i gwiazd nie oświetlało już drogi. Ciężko było odnaleźć twardy grunt pod nogami. Suzy spytała słabym głosem:

— Czy nie możemy wyrzucić trochę rzeczy z noszy?

— Pewnie. Czego chcesz się pozbyć? Przemyśl to, bo od twojego wyboru może zależeć wasze życie.

— Zasłony płócienne są najcięższe.

— Jeśli nie uda nam się ukraść łodzi, będziemy musieli zbudować tratwę, a do tego będzie potrzebne płótno.

Włokąc się po ciemku noga za nogą, pamiętały o tym, że jeśli któraś wypadnie z trasy, będzie musiała zostać w dżungli. Szły jak zahipnotyzowane, popadły w stan apatii, były zmęczone i zobojętniałe na wszystko.

Okolo godziny czwartej nad ranem znaleźli się przed przylądkiem o stromych, opadających brzegach. Szyper przypuszczał, że będą musieli zmienić trasę albo przepłynąć obok skał. Gdy jednak wszedł do wody, zorientował się, że można się tu poruszać brodząc po pas w wodzie. Pod stopami czuł śliskie kamienie.

Ruszyli dalej. Miał nadzieję, że idąc w kierunku wskazywanym przez kompas wyjdą prosto na rzekę — początek wodospadu.

Niebo się rozjaśniło: Wyglądało teraz jak pasek jasnoszarego materiału zawieszony nad skrawkiem koloru ciemnoszarego.

Dziesięć minut później Patty uniosła głowę.

— Słuchajcie.

Z oddali dochodził jakiś hałas zagłuszany przez szum płynącej poniżej rzeki.

— Wodospad — wykrzyknęła Patty.

— Nie traćcie głowy — ostrzegał szyper. — Nie ruszajcie się z miejsca, tutaj zasłaniają nas drzewa. Może jest ktoś na górze.

Poczekajcie. Ja pójde się rozejrzeć. Głupio dać się złapać po takiej ciężkiej drodze.

Wrócił po kilku minutach.

— Wygląda na to, że jesteśmy bezpieczni. Będę nurkował, by odnaleźć tę jaskinię. Nie pływam tak świetnie jak Winston, więc gdyby coś się stało, to Carey będzie wami kierować.

Spojrzał na Patty.

— Wyjmij z torby latarkę i chodźmy popływać. Poszli, choć nogi ugięły się pod nimi ze zmęczenia.

Spuścili się w dół po czarnych skałach do basenu, w którym jeszcze wczoraj wesoło pluskali się z Winstonem.

Dwadzieścia minut potem, plując i kaszląc szyper po raz siódmy wypłynął na powierzchnię. Był zbyt wyczerpany, by wspiąć się na brzeg. Trzymał się kurczowo skały, podczas gdy jego ciało pływało bezwolnie w wodzie.

— Nie mogę jej znaleźć. Nie mogę długo wytrzymać pod wodą.

— Ćwiczę jogę. Może mnie się uda.

Za czternastym razem myślała, że pękną jej płuca. Płynąc w górę złapała za wcześniej powietrze i nałykała się wody. Kaszłała i pluła, zupełnie jak szyper parę minut temu. Nie chciała — n i e b y ł a w s t a n i e , by zmusić się do kolejnego zejścia pod wodę.

Wiedziała jednak, że g d z i e ś tam w dole jest owa jaskinia.

### ***ŚRODA, 14 LISTOPADA 1984***

#### **9**

Upłynęło dziewięć minut odkąd zniknęła w falach i pojawiła się znowu na powierzchni.

— Jest p r z e j ś c i e . Ma jakieś siedem i pół metra długości i jest całe pod wodą. Bardzo wąskie, niewiele szersze niż moje ramiona. Skreca ostro w górę. Przez cały czas uderzałam głową o skałę. Tam w środku jest strasznie. Szłam do przodu tylko dlatego, że przecież Winston musiał się jakoś stamtąd wydostać, a korytarz jest zbyt wąski, żeby się w nim obrócić o sto osiemdziesiąt stopni.

Byłam przerażona, ale nagle znalazłam się w grocie — skrzywiła się. — Tam cuchnie. Tunel biegnie pod wodą. Wygląda na to, że jaskinia jest raczej szeroka i bardzo wysoka. Nie wspinałam się wyżej, bo chciałam jak najszybciej wrócić, żeby panu to powiedzieć.

— No to chodźmy ją obejrzyć — szyper ześliznął się ze skały do wody. — Pani zna drogę, więc będę się trzymał pani paska i płyną/ z tyłu.

— W porządku... a jak pan ma na imię, tak przy okazji?

— Jonathan Blackwood.

— W porządku Jonathanie, chodźmy. Zmierzymy razem czas.

Także i teraz nurkowanie napełniało ich obawą. Chwyając w płuca powietrze, Patty wypłynęła na powierzchnię już w jaskini. Patrzyła na świecąca tarczę swojego czarnego zegarka firmy Swatch.

— Pięćdziesiąt sekund. Jonathanie, spójrz — dno jaskini wznosi się nad wodę. Możemy się tam dostać.

Ociekając wodą wczłgali się do groty. Szli ostrożnie czarnym tunelem, który zakręcał do tyłu. Z wapiennego sufitu zwieszały się błyszczące w świetle latarki stalaktyty, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy.

— Zupełnie jak grot z bajki — szepnęła Patty.

— Co to za hałas?

Oprócz odgłosu kapiących z sufitu kropel wody usłyszeli gdzieś daleko jakiś dźwięk — przeszywający pisk.

— Nietoperze — Jonathan patrzył w górę. Nic nie widział, ale domyślał się, że muszą tam gdzieś być.

— Hej, tu jest chłodno jakby "działała klimatyzacja.

— Musi tu gdzieś być otwór, przez który wpływa powietrze, bo w jaskini można oddychać. No i nietoperze muszą jakoś wylatywać, gdy polują w nocy. Później to zbadamy. Teraz trzeba wrócić i jak najszybciej zabrać tu resztę.

— Rób wszystko powoli. Patty i ja schwycimy cię za przeguby rąk. Rzuć się pod wodę, my będziemy cię ciągnąć. Nabierz dużo powietrza w płuca i zamknij oczy gdy ci powiem. Popatrzył na przerażoną twarz Suzy — odpręż się. To będzie krótsze niż wizyta u dentysty.

Suzy wyciągnęła rękę.

— W porządku. Rzuć się.

Upadła w wodę z zaciśniętymi pięściami, sztywna ze strachu. Patty i Jonathan podtrzymywali ją ramionami kierując się w stronę miejsca, gdzie chcieli nurkować.

— Dobrze, Suzy, kiedy powiem „trzy”, weźmiesz głęboki wdech i wstrzymasz go. Wolno licz do stu dwudziestu. No, idziemy. Raz... dwa... trzy...

Wciągnęli Suzy pod wodę.

Paliły ją płuca, bolały oczy. Nie znała dotąd takiego bólu. Ponieważ napięła silnie mięśnie i zacisnęła mocno zęby, jej pęcherzyki płucne skurczyły się i zaczęły pulsować. Gdy ogarnęło ją przerażenie, otworzyła usta by krzyknąć i zachłysnęła się wodą.

— Pomóżcie jej — zawołała Patty. Musiała płynąć odpychając się tylko nogami, gdyż w prawej dłpni trzymała latarkę, a lewą pomagała szamoczącej się Suzy. Nie starczyło jej sił, by wypchnąć dziewczynę nad wodę.

Oświetliła latarką trzy pozostałe kobiety, które jak cienie rzuciły się by wydobyć spod wody krztuszącą się Suzy.

Patty przepłynęła już po raz szósty przez podwodny tunel i była zbyt znużona by myśleć logicznie. Walczyła z mdłościami.

Ostatni wy dostał się Jonathan.

— Dobrze, udało się. Tutaj nas nie znajdują. Uważajcie panic, by żadna z was nie stąpnęła na nóż.

Na śniadanie wypity zapiaszczoną wodę, którą nabrały dłońmi, potem każda wzięła po jednej pastylce cytrynowej i ssała powoli, przedłużając tę chwilę.

— Powietrze nie wpada do jaskini podwodnym wejściem, więc musi

napływać z miejsca, które jest gdzieś dalej z tyłu. Carey, chodź ze mną, zobaczymy. Weźmiemy ze sobą światło. Patty, dopilnuj, by nikt się nie ruszał dopóki nie wrócimy. Nie połamiecie nóg w tych ciemnościach, jeśli nie będziecie wstawać.

— Dlaczego ja? — Carey zaczęła się trząść ze strachu.

— Jesteś chyba najmniej zmęczona. Poza tym musisz przezwyciężyć swój lęk. Być może zostaniemy tu przez jakiś czas.

— Nie czuję się najlepiej.

— Żadne z nas nie czuje się najlepiej. Rusz się.

Szli z powrotem tunelem, poruszali się ostrożnie oświetleni nikłym światłem latarki.

Nagle Jonathan stanął jak wryty.

— Widzę światło.

Zgasił latarkę. Patrzyli przed siebie. Ich oczy wolno przyzwyczajały się do ciemności.

Przed nimi widniało pasmo słabego światła.

Jonathan znów włączył latarkę i ruszyli do przodu. Gdy zbliżali się do źródła światła powiedział:

— To komin uformowany przez naturę. Oświetlił sufit.

W skałach ujrzeli dziurę w kształcie cylindrycznym, która mogła mieć nieco ponad sześćdziesiąt centymetrów średnicy.

— Pewnie na górze zakrywają ją rośliny.

Carey przeraźliwie krzyknęła i chwyciła go za ramię.

— Co to dziewczyno, znów jakiś nietoperz?

— Nie. Patrz tam!

Jonathan odwrócił się i oświetlił miejsce, które wskazywała.

— A więc nie jesteśmy jedynymi gośćmi.

W odległości metra, pomiędzy odchodami nietoperzy, pajakami, karaluchami, stonogami i wszystkim innym co chrzęściło im pod stopami, leżał zakurzony, zszarzały szkielet ludzki.

Jonathan pochylił się do przodu i oświetlił czworokątny przedmiot porzucony obok.

— To aparat fotograficzny — powiedział.

Był to stary, zniszczony aparat K2 „Pentax” z milimetrową soczewką. Na bokach, gdzie odpadła emalia widać było mosiądz.

— Patrz! — pokazała palcem Carey. Z obojczyka szkieletu zwisała jakaś drobna rzecz.

Jonathan przykucnął i skierował światło latarki na pokryty kurzem krążek, który wisiał na cienkim łańcuszku. Wyczyścił go pocierając palcem.

— Jest złoty. To medalik ze świętym Krzysztofem — odrócił go na drugą stronę. — Dla Nancy od kochającego Michaela.

— Więc to była kobieta — odezwała się Carey. — Jakie to okropne.

**ŚRODA, 14 LISTOPADA 1984**

**10**

Harry Scott dowiedział się o wszystkim przez radio. Natychmiast przestał się golić i nastawił głośniejszy odbiornik. Ż podbródkiem skierowanym do lustra w łazience, słuchał szybkiego, beznamietnego głosu spikera, mówiącego z australijskim akcentem.

— Ubiegłej nocy na wyspie Paui dokonano zbrojnego ataku z morza. Wybuchły walki. Wszelkie połączenia zostały przerwane. Z dobrze poinformowanych źródeł, na których można polegać, uzyskaliśmy wiadomość, że obalono lidera Partii Demokratycznej, prezydenta Obe. A teraz krykiet...

Harry wyłączył radio. A więc dlatego nie mógł się dodzwonić dziś rano do Artura.

Lotnisko imienia Jacksona o tej porze dnia było zatłoczone.

Harry siedział w dusznym pokoju-poczekalni dla ważnych osobistości i czekał na serwis wiadomości. Zastanawiał się, czy nie zareagował zbyt impulsywnie.

Jego myśli rozproszył sygnał zapowiadający wiadomości prasowe. W krótkim przemówieniu do ludności generał Raki oświadczył „że siły zbrojne w imieniu Partii Nacjonalistów przejęły kontrolę nad wyspą i tymczasowo będą sprawować rządy pod kierunkiem rady wojskowej (na jej czele stoi on sam), aż do wolnych, demokratycznych wyborów. Pan Obe, skorumpowany i zdeprawowany marksista — lider Partii Demokratycznej, nie żyje. Na Paui powraca normalne życie". Przez radio popłynęła muzyka wojskowa.

Harry zaklął. To rzeczywiście skomplikuje negocjacje w sprawie wydobycia bogactw naturalnych. Raki zmusi J^exusa" do zapłacenia bajońskich sum jako rekompensaty za owe osiemnaście miesięcy specjalnych opłat, których nie otrzymał.

Po pięciu godzinach monotonnego lotu nad pustą przestrzenią oceanu, po której z rzadka przepłynął czarny statek, Johno krzyknął przez ramię do Harry'ego: — Jest!

Wskazał palcem, daleko przed siebie, na ciemną plamkę, gdzie błękit morza stykał się z jaśniejszym błękitem nieba.

Pilot bez słów pokazał Harry'emu małą osadę górniczą, niecały kilometr na wschód od Mount Ida. Poniżej naziemnych budynków rozciągał się pas startowy, a w odległości około jednego kilometra biegł rząd dobrze utrzymanych bungalowów, w których mieszkali inżynierowie i biała załoga kopalni.

Samolot okrążył jeszcze raz. Pilot wypuścił koła i wylądował gładko, zatrzymując się na końcu pasa startowego.

Obaj mężczyźni wydostali się z Ducka. Zabrali sprzęt i poszli w kierunku terminalu, który mieścił się w niewielkiej chatce.

Przypominająca jeepa żółta toyota zbliżyła się do nich, przedzierając się

przez szorstką, suchą trawę. Harry przypatrywał się uważnie kierowcy. Był to Kerry MacDonald, kierownik kopalni.

Gdy weszli do chłodnego wnętrza pojazdu, Harry spytał:

— Jak sprawy, Kerry?

— Wszystko pod kontrolą, Harry.

— Czy miałeś jakieś wieści od Artura Grahama?

— Nie. Oczywiście zadzwoniłem do niego natychmiast, ale telefon był zepsuty. Zamierzam polecieć helikopterem do Zatoki Rajskiej, może polecimy razem?

Toyota kołysała się na boki na pokrytej kurzem drodze. Zbliżali się do biura kopalni.

— Przykro mi z powodu Bretta Adamsa — rzekł Kerry.

— Co się z nim stało? — spytał Harry obojętnym głosem.

— Nie żyje.

— Co?

— Przepraszam, stary przyjacielu, myślałem, że wiesz. To się stało zanim zaczęły się walki. Gdy wróciłem ze szpitala, gdzie załatwiałem formalności związane ze śmiercią Bretta, nie działał ani telex ani telefon. Przypuszczałem, że Artur jednak dzwonił do ciebie.

— Cóż, nie dzwonił. Opowiedz mi, co się stało. Kerry opisał wypadek w kopalni.

— Czy załatwiłeś już transport ciała do Pittsburga?

— Jeszcze nie. Nie było czasu. Wypadek miał miejsce późnym popołudniem we wtorek. Miałem zamiar zająć się tym w środę, ale wtedy wybuchła ta mała wojna, więc Brett wciąż leży w szpitalnej kostnicy.

Pilot helikoptera należącego do kopalni nacisnął guzik i uruchomił Bella. Silnik zaczął pracować głośno, śmigło obracało się coraz szybciej.

Z Queenstown polecili wzdłuż nowej Plains Road, biegnącej między dwoma pasmami gór.

Po godzinie Harry zauważył błękitne morze błyszczące nieopodal zielonej dżungli w Zatoce Rajskiej.

Kilka minut później Bell dotknął pasa startowego za hotelem.

— Wydaje mi się, że jest dość spokojnie — powiedział Kerry. — Nie ma żywego ducha. Chodźmy Harry.

Obaj mężczyźni zostawili pilota w helikopterze na wypadek, gdyby konieczny był szybki odwrót. Był lepki upał. Zeszli z pasa startowego na krętą ścieżkę, która prowadziła do wejścia do hotelu. Szli powoli, zwykłym krokiem, lecz Kerry miał przy sobie pistolet.

Gdy minęli zakręt ujrzeni niski, kremowy budynek.

Zastygli w bezruchu.

Stali dostatecznie blisko, by dostrzec widoczne oznaki walki. Szyby były wybite, ściany podziurawione nierówną linią śladów po pociskach z karabinu

maszynowego. Na dziedzińcu leżały zniszczone, pięknie rzeźbione drzwi wejściowe z drzewa wschodnioindyjskiego. Słychać było tylko śpiew ptaków i odległy, rytmiczny odgłos fal uderzających o rafy. W głównym wejściu pojawiło się pięciu mężczyzn ubranych w mundury koloru khaki i buty przystosowane do chodzenia po dżungli. Żołnierze trzymali lufy wycelowane prosto w nich.

## ***CZWARTEK, 15 LISTOPADA***

### ***II***

— Czy pływałeś na zewnątrz jaskini, Jonathanie? — szepnęła

Patty

— Tak, nie ma tam nikogo — brodził w wodzie, trzymając w lewej dłoni mokrą koszulę. — Przyniosłem śniadanie.

Kokosy.

— Nigdy jeszcze nie byłem taka głodna mówiła cicho Patty, by nie obudzić śpiących kobiet.

Lecz już zbudziły się wszystkie i z wdzięcznością żuły kawałki mięsistego orzecha.

— Jak dotąd udało nam się nieźle. Wygląda na to, że uciekliśmy tym sukinsynom. Mamy świeżą wodę i dużo kokosów do jedzenia.

Wzięliśmy dość sprzętu, by przetrwać. No i znaleźliśmy naprawdę dobrą kryjówkę.

— Pewnie — odezwała się Suzy. — Ale jak nas znajdą ludzie z „Nexusa”? „Nexus” nie będzie nas tutaj szukał — odparł ostrożnie. —

Wszyscy

wylecieliśmy w powietrze na „Luizie”, pamiętacie? Musimy liczyć na własne siły i dlatego trzeba zbudować tratwę.

— Tratwę? — wykrzyknęła Suzy.

— Tak. Pewnego wieczoru po zachodzie słońca wyruszymy w kierunku Irian Jaya. Mam sprzęt do nawigacji, ale i bez tego poradziłbym sobie patrząc na gwiazdy i słońce.

— Dlaczego nie możemy po prostu zostać tutaj i przeczekać? — spytała Carey.

— Lepiej nie ryzykować. Patty przerwała ciszę.

— Ale jak mamy płynąć bez motoru?

— Od października wiatry północno-zachodnie wieją na południe wzdłuż wybrzeża. Prąd nam również sprzyja—wyjaśniał szyper. —

Oplywa południowy brzeg Paui, kierując się w stronę Torres Strait z prędkością około jednego węzła. Może uda nam się dopłynąć do Irian Jaya w trzy dni.

— W trzy dni — oburzyła się Sylvana. — Na tratwie.

— To jest możliwe. Inne wyjście — to zostać tutaj.



— Ale to nie jest zawrotna prędkość—sierała się Patty. — Potrafię płynąć szybciej niż półtora kilometra na godzinę.

— Nie przez sto dwanaście kilometrów bez przerwy — odezwała się Carey.

— Czy nie możecie przestać być takimi pesymistkami — strofowała je Anna. — Na litość boską, posłuchajmy Jonathana.

— Musimy szybko zbudować tratwę, bo inaczej znajdziemy się w potrzasku z powodu złej pogody. Dzisiaj mamy 15 listopada, sezon cyklonów zaczyna się 1 grudnia, punktualnie jak z zegarkiem w rękę, i trwa aż do końca lutego. Jeśli nie wyruszymy zanim przybędzie Long Wet, bądzie-my tu tkwili do marca. Więc startujemy do wyścigu z czasem, jak to się mówi.

— Tak — potwierdziła Carey. — W broszurze, którą dostałam w biurze podróży napisali, że sezon turystyczny na Paui trwa od kwietnia do listopada.

— Ile czasu będziemy budować? — spytała Suzy.

—Może dwanaście dni, jeśli nie wpakujemy się w kłopoty. Wtedy zostaną nam trzy dni w zapasie. Ale jak się przekonałem, w życiu zawsze są jakieś problemy.

— Czy budowałeś już kiedyś tratwę? — spytała Suzy.

— Nie.

Wybuchnęła płaczem.

— My nie potrafimy zbudować niczego. Nigdy nie byłam na obozie. Nie potrafię obchodzić się z siekierą ani z nożem. I założę się, że nie umiesz rozpalić ogniska, złapać ryby czy ptaka. Te kobiety z długimi, pomalowanymi na czerwono paznokdami, to rozpieszczone suki — myślał znużony Jonathan.

— Potrafię zrobić więcej niż wam się zdaje. Pokażę wam jak zbudować szałas, znaleźć jedzenie i zrobić tratwę. Musicie zapamiętać kilka podstawowych rzeczy. Potrzebny jest nam strażnik obozu. Aż do chwili, gdy wyruszymy na morze, każda na zmianę będzie trzymać dwugodzinną wartę. Będzie miała strzelbę M-16, choćby po to, by ostrzec inne. Zostało mi tylko siedemnaście naboji, więc nie będę używał ich do polowania. Gdy usłyszymy strzał, to wszystkie biegną do jaskini. Trzymamy się blisko obozu. Żadna nie może iść do dżungli sama, bez kompasu i zapalek. Po pięćdziesięciu krokach można się zgubić.

— Dlaczego bez zapalek?

— Bo jeśli zabłądzicie albo się zranicie to potrzebny wam będzie ogień dla ochrony przed zwierzętami. Na wyspie nie ma drapieźników, z wyjątkiem dziwnego gatunku dzikiej świni, ale jest mało prawdopodobne byście ją spotkały, bo tubylcy jedzą wszystko, co tylko się rusza. Chodzą nigdy nic nie wiadomo.

— A czy ognisko nie zdradzi miejsca, gdzie jesteśmy? Na pewno nie zauważą dymu? — dopytywała się Sylvana.

— Nie, dym się rozproszy zanim dotrze do wierzchołków tych wysokich

drzew. Terroryci nie wiedzą, że tu jesteśmy. Nie ma powodu, by przetrząsali dżunglę.

— Ale...

— Skończcie z tym „ale”. Wejdzimy na skaty i założymy obóz na samym szczycie. Po jedzeniu zbudujemy szałas. Potem poszukamy komina jaskini i spuścimy linę w dół. Tak wygląda z grubsza nasz plan i będziemy się go trzymali:

— Kto ma się czym zająć, gdy wyjdziemy z tej nory?

— Ja poluję i łowię ryby, Patty jest odpowiedzialna za szałas i jaskinię. Carey kieruje budową tratwy. Sylvana gotuje. Ania będzie obozową pielęgniarzką i higienistką, będzie sprawdzała czystość w latrynie. Suzy będzie dostarczać wodę, bo musi się z nią oswoić. Patty może nauczyć ją dryfować po powierzchni — to nie zajmie więcej niż pół godziny. Potem Suzy musi nauczyć się pływać.

Wszystkie te zadania spotkały się ze zgodnym chórem protestów.

— Wiem, że nigdy przedtem nie robiłyście tego. Przyszedł więc czas na naukę.

— Ale jeśli nas znajdą albo zaatakują, to co wtedy mamy robić? — nalegała przestraszona Patty.

— Nauczę was zabijać — odparł miękko Jonathan.

Po wyjściu z jaskini mrużyły oczy oślepięte ostrym słońcem. Ich wilgotne ubrania zaczęły szybko parować, gdy wdrapywały się ścieżką na szczyt. Trudno było zmusić Suzy, by wypłynęła, lecz perspektywa pozostania w jaskini była gorsza niż nurkowanie z Jonathanem i Patty.

— Co to? — Patty złapała oddech.

Na szczycie, na brzegu kryjówek jaką tworzyły drzewa, zobaczyli kawałek zardzewiałego metalu przybity do pnia drzewa eukaliptusowego — było to prawdopodobnie dno puszek karoseniowych z odciskiem dużej, czarnej dłoni. Poniżej widniał napis ITAMBU niezdarnie namazany czerwoną farbą.

Kobiety zdrętwiały ze strachu.

— To — wyjaśnił Jonathan — nas chroni. ITAMBU oznacza tabu. Żaden z tubylców nie odważy się stąpać po ziemi zakazanej.

## ***PIĄTEK, 16 LISTOPADA 1984***

### ***12***

Posunęła się do przodu i oparła szczupłymi plecami o szorstką ścianę szachtu. Podnosiła za każdym razem tylko jedną nogę zapierając się jednocześnie stopami o przeciwległą ścianę. Lepiej nie przystawać. Ubrana w granatową koszulę i pobrudzone białe szorty, Patty owinęła głowę białą koszulą Jonathana dla ochrony przedmiotoperzami. Centymetr po centy-

metrze wspinała się w górę kominem, podnosząc się o kilkanaście centymetrów za każdym razem, gdy dłońmi opierała się o ścianę z ziemi. Wkrótce zaczęły jej drzeć nogi, gdyż cały czas musiała się nimi zapierać. Zaczęła głośno liczyć, by się skupić i poskromić wyobraźnię. Trzydzieści cztery... trzydzieści pięć... trzydzieści sześć...

Drżały jej ramiona, miała dreszcze i ociekała potem. Coraz trudniej było jej panować nad oddechem. Pięćset jeden., pięćset dwa... Być może dostanie się na szczyt gdy doliczy do tysiąca. Jeśli nie, to będzie musiała liczyć do dwóch tysięcy. Ale zrobi to, by dotrzeć do zabójców Charley'a...

Pot spływał jej z oczu, drżała na całym ciele. Nagle z wolna zaczęła dostrzegać coraz więcej światła. Widziała już teraz wyraźnie brudne sznurówki swoich tenisówek. Łkając odliczała coraz głośniejsze. Siedemset siedem...

Dotarcie do drzewa i przywiązanie liny do srebrzystego pnia zajęło jej prawie godzinę. Ostrożnie zbliżyła się do wylotu komina by rzucić w dół kamienie, które przed chwilą wygrzebała z ziemi krwawiącymi dłońmi. Rzuciła trzy, co oznaczało Jestem na górze, wszystko w porządku, lina jest przywiązana do drzewa".

Usłyszała go zanim zobaczyła. Dobiegł ją odgłos cięcia nożem — Jonathan torował sobie drogę przez liany. Dotarł wreszcie. Patty przywarła do jego nagiej, spoczonej piersi.

— Dobra dziewczyna — mówił, trzymając przy sobie drżącą Patty i głaszcząc jej krótkie, jasne włosy. — Już niedługo znów poczujesz się dobrze.

Pół niosąc, pół ciągnąc zabrał ją wąskim, niskim tunelem, który wcześniej wyciął w lianach. Gdy opuścili gęste zarośla, wziął ją na ręce i ostrożnie zaniósł aż do basenu przy wodospadzie.

Anna delikatnie zdjęła z Patty resztki granatowej koszuli. Sylvana z czułością przemyła zadrapania i osuszyła je własną bluzą, potem znowu Anna z najwyższą ostrożnością wmasowała we wszystkie rany na ciele Patty maść przeciw zakażeniom.

Patrząc na to wszystko, Suzy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że wkrótce i ona jak teraz Patty, będzie zależna od tych kobiet, którym i tak nigdy nie ufała. Bała się i jak dzikie zwierzątko lękające się pułapki miała się na baczności.

— Muszę natychmiast coś połknąć. Boli mnie głowa od czasu, gdy wygrzebałam się z tego komina. Macie może aspirynę w apteczce? Znalazły wprawdzie zniszczone opakowanie aspiryny, ale rozczarowała je zawartość apteczki. Puszka była zardzewiała i brudna, a lekarstwa stare i roz-pieczętowane. Udało im się znaleźć kilka bandaży, małe nożyczki, tubkę błyszczyka do ust, puszkę talku, złamany termometr, butelkę soli trzeźwiących i mały zakurzony słoik maści niewiadomego pochodzenia.

Jonathan wziął do ręki ów słoiczek i potarł czoło Patty brązową mazią.

— To balsam tygrysi na opium. Łagodzi bóle głowy i kaca.

— Sprawdźmy co mamy w torebkach — zaproponowała Anna, może coś się przyda.

— Oczywiście. Zawsze się zastanawiałem, co kobiety noszą przy sobie. Zaczęły rozpakowywać — roztapiające się szminki i prasowany puder,

lusterka, pieniądze, klucze, krem do opalania, chusteczki higieniczne i długopisy. Anna miała paczkę tamponów, Carey papierosy, zapalniczkę i notes, Patty maleńki zestaw przyborów do szycia, Suzy dwa tysiące dolarów w czekach American Express.

— Która ma zegarek nic wodoszczelny? Może się przydać na wymianę.

Suzy wręczyła Jonathanowi platynowy zegarek z tarczą okoloną diamentami. Anna zdjęła z przegubu staromodny, okrągły zegarek na czarnym jedwabnym pasku, własność babci. Sylvana nie miała przy sobie zegarka, podobnie Carey. Tylko chromowy Seiko Jonathana i czarny plastikowy Swatch watch Patty były wodoodporne.

— Każda, która będzie opuszczać obóz założy Swatcha.

— A co z naszymi pierścionkami? — spytała tęsknie Sylvana.

— Czy możemy jeszcze nosić pierścionki, które dostałyśmy od naszych mężów?

Ogarnęło ją wzruszenie. Jonathan skinął głową.

— Pewnie. Nie chcę niczym handlować, bo poznają to w sekundę. Patty spytała jak daleko sięga obszar tabu.

— Nie dalej niż do mostu Birma, widać, że tubylcy korzystają z tego szlaku. Trzymajcie się blisko obozu, będzie mniejsze ryzyko, że wyjdziemy poza teren tabu — pod żadnym pozorem nie zbliżajcie się do pobliskiej wioski.

— Dlaczego nie? — nalegała uparcie Suzy.

— Bo to nie jest bezpieczne — odparł Jonathan.

— Ale dlaczego nie?

— Tubylcy to kanibale. Zamilkły przerażone.

— Większość plemion na tej wyspie żyje prymitywnie— szczególnie na południu, gdzie są dzikie, jałowe tereny. Mieszkają tam głównie rybacy. Tutaj na przykład można kupić sobie bardzo pracowitą pannę za kilka siekier i świnie.

— Co to ma wspólnego z kanibalizmem? — dopytywała się Patty.

— Jest tutaj mało zwierząt i świeże mięso należy do rzadkości. Tubylcy hodują świnie, ale ich nie zabijają, bo świnia jest oznaką bogactwa. Handlują nimi albo płacą długi. Zabijają, gdy mają jakiś szczególny powód i wtedy mięso zjadają wyłącznie mężczyźni. Nie wolno go marnować dając kobietom i dzieciom. Dla nich kanibalizm to ludzka rzecz. Uważają, że szkoda ludzi grzebać albo palić zwłoki. Gdy umierają współplemieńcy, wszyscy w wiosce jedzą ich mięso.

— Ale my nie jesteśmy ich pieprzonymi krewnymi?

— Każdy obcy naraża się na ryzyko, że potraktują go jak świnie zdobytą tanim kosztem.

Patty mówiła teraz szybko i zdecydowanie.

— Musisz nauczyć nas wszystkie strzelać z tej strzelby. Natychmiast! Następnego dnia, w sobotę 17 listopada, zbudowali szałas. Nie rekiny czy węże stanowiły dla nich najpoważniejsze zagrożenie. Takim problemem okazał się klimat. Noce wydawały się jeszcze bardziej upalne niż dnie, z wyjątkiem jednej godziny tuż przed świtem, kiedy było bardzo zimno. Nie mogły uciec przed wilgocią, której poziom w powietrzu przekraczał zazwyczaj 90%. Włosy miały zawsze proste i mokre od potu, ubrania można było wyżymać. Przez większą część dnia było im gorąco, lepiły się z brudu i chodziły jak w letargu.

Późnym popołudniem, widząc jak mają się sprawy, Jonathan zdecydował się wprowadzić trochę luksusu i zbudował łóżko.

— Teraz nie musimy obawiać się skorpionów. Świetna izolacja przeciw wilgoci i zimnu, które ciągnie od ziemi o świcie.

Przez cały dzień, gdy kąpały się w basenie, gdy budowały dom, łowiły ryby na plaży i bawiły się w domek dla lalek w dżungli — z rosnącego na przeciwległym brzegu wodospadu drzewa, ukryty wśród liści i gałęzi, obserwował je jakiś człowiek.

Po południu pierzaste liście palmy rozchyliły się na chwilę pod wpływem delikatnego wiatru. Pomiedzy nimi ukazał się tubylec, który siedział bez ruchu, starając się nawet nie mrugać oczami. Przy kolejnym podmuchu wiatru liście zasłoniły go z powrotem i nic nie było widać. Nieruchomy szpieg na wierzchołku drzewa dalej obserwował kobiety. Jego twarz miała zimny, wyrachowany wyraz — przebiegły jak u węża.

## ***CZWARTEK, 13 LISTOPADA 1984***

### ***13***

Gdy żołnierze zbliżali się do nich, Harry i Kerry powoli unieśli ręce do góry. Jeden wystąpił z szeregu, pociągnął za bransoletę od zegarka na przegubie podniesionej dłoni Kerry'ego i zerwał ją. Żołdacy kłócili się o ten drogi, złoty przedmiot, który wyraźnie bardziej im się podobał niż zegarek Harry'ego. Obaj biali mężczyźni poczuli, że obce dłonie grzebią im w kieszeniach marynarek i spodni. Zabrano im pistolety, portfele, drobne pieniądze i papierosy Harry'ego. Z lufami strzelb na plecach wspięli się na schody prowadzące do hotelu i skręcili ostro w prawo, do małego biura szefa.

Kapral przysunął twarz bardzo blisko twarzy Kerry'ego.

— Dlaczego tu przylecieliście? — burczał po angielsku.

— Szukamy ważnych osobistości amerykańskich. Gości hotelowych. Przyjaciół generała Raki.

Kapral gwałtownie pokazał lewym wskazującym palcem plażę, widoczną ponad ramieniem Kerry'ego.

— Wszyscy Amerykanie zginęli. Popłynęli łowić ryby. Łódź wyleciała w powietrze.

Schylił się za biurko i wyciągnął z szuflady kawałek kolorowego materiału w kwiaty.

Trzymał go przed oczami Harry'ego. Była to dolna część bikini. Nagle kapral wstał, wyprężył się i zasalutował Harry'emu z szacunkiem. Jakiś władczy głos podał komendę. Żołnierze Szurając butami wyszli z biura.

W drzwiach stał szczupły mężczyzna ubrany w starannie wyprasowane spodnie khaki i koszulę z baretkami kapitana na ramieniu.

Mówił ze słabym akcentem amerykańskim, co było rzadkością na Filipinach.

— Rozumieją panowie po angielsku? Obaj mężczyźni skinęli głowami.

— Więc co tu robicie? Ten hotel został zajęty przez wojsko. Teraz mieszczą się tu nasze koszary.

— Czy możemy opuścić ręce?

— Tak. Jak się tu dostaliście?

— Helikopterem. Jesteśmy przyjaciółmi generała Raki. Prowadzimy z nim wspólne interesy. On może za nas poręczyć. Szukamy grupy Amerykanów, ważnych osobistości, którzy zatrzymali się w tym hotelu.

— Ach — nastąpiła krótka przerwa w rozmowie.

— To miejsce było puste, gdy wylądowaliśmy. Palily się światła, lecz nie było personelu. Prawdopodobnie uciekli. Zawsze tak robią, gdy wyczują niebezpieczeństwo, to wyspiarze. Lepiej spytajcie w mieście. Idźcie do szefa policji. Chcę, żebyście odeszli stąd natychmiast. Moi ludzie są rozczarowani tym, że nie było walki. Ciężko trzymać ich w karchach po bitwie, a co dopiero gdy jej nie było. Lepiej wróć z wami na pas startowy.

Powiedział coś bardzo szybko po hiszpańsku do kaprala i odwrócił głowę w stronę wejścia do hotelu.

— Chodźmy.

Gdy doszli do brzegu pasa, oficer powiedział:

— Przyjemnej podróży. Nie wracajcie. — Zawahał się, lecz spytał: — Czy naprawdę jesteście przyjaciółmi generała Raki?

— Tak, jesteśmy partnerami w biznesie. Od wielu lat. Oficer wyglądał na lekko przygnębionego.

— Generał nie może narzekać. Wszystko poszło zgodnie z planem.

— Tak zrozumiałem — odparł Harry. — Dziękujemy. Zabierajmy się stąd, Kerry.

Pilot wystartował, gdy tylko zobaczył, że nadchodzą. Helikopter znalazł się w powietrzu parę sekund po wejściu mężczyzn na pokład.

— Ostatni raz mówię: nie — powiedział Harry do Kerry'ego, gdy stali przed posterunkiem. Musimy się rozdzielić. Ty napiszesz sprawozdanie i dostarczysz je do Departamentu Stanu.

Kerry działał przez Konsulat Stanów Zjednoczonych w Port Moresby, któremu podlegała wyspa Paui.

Zajmiesz się tym też na szczeblu lokalnym, Kerry. Wyraźnie widzę, że niczego się nie dowiem, jeśli będę siedział za drutem kolczastym w Mount Ida. Więc zostanę w Queensland. Sam. Może będę musiał zrobić coś, co nie spodoba się władzom. Chcę pójść do Rakiego i porozmawiać z nim w cztery oczy. Kiedy mi się to uda, będę bezpieczny. Raki wie, że interesy musi załatwiać ze mną, jeśli chce odnowić albo przedłużyć koncesję dla „Nexusa”. Jeśli nie — to wtedy niewiele będę mógł zdziałać. Lecz gdyby chciał podpisać umowę błyskawicznie i otrzymać szybko gotówkę, będzie chodził koło mnie. Wtedy nic mi nie robi i będę miał jakieś zabezpieczenie.

Jeep zwolnił i zatrzymał się w odległości czterdziestu pięciu metrów od bramy. Harry powoli wysiadł z samochodu, uniósł ręce do góry i ostrożnie zbliżał się do strażników.

Na wezwanie żołnierza, jpokazał oficjalnie potwierdzoną przepustkę na spotkanie z prezydentem oraz paszport, który strażnicy oglądali strona po stronie, od końca do początku, z góry na dół i do góry nogami. Widać było, że nie umieją czytać i rozpoznali tylko jego zdjęcie.

Przeszukali go szybko i sprawnie.

Jeden mruknął:

— Papierosy?

Harry wręczył im cztery paczki, raczej jako napiwek niż łapówkę. Wyjaśnił, że w samochodzie ma także prezenty dla generała. Jeden ze strażników przyniósł bełę jedwabiu. Rozwijali jedną po drugiej, by sprawdzić, czy czegoś w nich nie ma.

Pod eskortą dwóch żołnierzy i trzeciego, który idąc za nimi niósł jedwabie, Harry szedł żwirową ścieżką prosto do pałacu. Po obu stronach rozciągały się nieskazitelnie czysto utrzymane zielone trawniki z kępkami pomarańczowych lili i szkarłatnymi poinsetiami.

Prawie natychmiast otworzyły się drzwi z drzewa sandałowego i eskortujący żołnierz zaprosił Harry'ego skinięciem dłoni do środka.

Gdy wszedł i poczuł lodowaty podmuch klimatyzacji.

Nagle stanął jak wryty.

W pierwszej, chwili z powodu głośniejszej wrzawy przypuszczał, że właśnie przerwał zabawę dziecięcą. Wymyślnie rzeźbione meble z drzewa sandałowego zdobiące pokój, zsunięto pod ściany. Na środku pozostał jedynie perski dywan w zawile wzorki. Po owym dywanie, pomiędzy grupą młodych, roześmianych kobiet, zataczał się z rozłożonymi na boki ramionami mężczyzna w wojskowym uniformie. Na oczach miał czarną przepaskę. Niewielkie Melanezyjki

o kawowym kolorze skóry przeciskały się obok ciemniejszych Polinezyjek i czarnych jak smoła mieszkank okolicznych wysp. Większość była obnażona do pasa, biodra przewiązały strzępkami materiału w jaskrawych barwach. Jedna z kobiet miała na sobie wyszukaną złotą suknię bez ramion w stylu zachodnim, inna ubrała się w przybrudzoną, niegdyś białą, satynową suknię ślubną. Wyjątkowo piękna, bardzo młoda i bardzo czarna dziewczyna ubrana była w białą koronkową koszulę nocną i szkarłatne sandały na koturnie od Carmen Mirandy.

Zwycięzca bitwy pod Queenstown zabawiał się w ciuciubabkę. Kobiety rzuciły się w stronę Harry'ego, piszcząc z radości. Generał Raki ściągnął z oczu czarną przepaskę, ani przez chwilę nie czując zażenowania, że go ktoś przyłapał.

— Witam, panie Scott.

Gdy otworzył szeroko oczy błysnęły żółtawe białka i odsłonięte w uśmiechu żółte zęby.

Poruszał się szybko i zwinnie jak człowiek będący ciągle w ruchu. Jego uścisk był szybki i nerwowy.

— Jak się panu podoba nasza nowa flaga Paui?

Generał Raki wskazał dłonią jaskrawo pomarańczowy prostokąt z purpurowym paskiem na środku.

— Znakomita, sir — odparł Harry.

— Przyszedł pan, by ze mną porozmawiać, panie Scott?

— Tak, sir. Zniknęła grupa moich współpracowników, którzy zatrzymali się w Hotelu nad Zatoką Rajską.

Generał Raki podniósł w górę ręce jak kapłan, uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Słyszałem tę smutną historię. Płynęli motorówką, która zaczęła się palić czy wybuchła, czy coś takiego. Przy sterze był pewnie jeden z turystów. Ktoś zrobił coś nie tak. Kto wie? Bardzo przykre.

Ktoś musi wiedzieć, co się naprawdę stało. Chciałbym widzieć się z kierownikiem hotelu i z jego personelem.

— Powiedziano mi, że znaleziono sporo gruzów. Nie było na nieszczęście żadnych rozbitków. Oczywiście, poza granicą raf koralowych pływają rekiny. To fatalny początek dla naszego raczkującego biznesu turystycznego. Dopilnuję, by nie zdarzyło się to już nigdy więcej.

— Proszę o pozwolenie na dalsze poszukiwania. Chcę wiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło.

— Wycieczka o zmroku to przyjemność po całym dniu pracy. Nie mam pojęcia, co się stało. Oczywiście, prześlemy nasze kondolencje jak zwykle drogą dyplomatyczną. Jednakże z całą pewnością nie ja jestem odpowiedzialny za ten nieszczęśliwy wypadek. Słyszałem, że stało się to zaraz po zachodzie słońca we wtorek, zanim wróciłem na wyspę. Ale miał pan szczęście, że nie było pana z nimi, panie Scott.



Sposób w jaki wycodził ostatnie słowa przypomniał Harry'emu, że powinien być z grupą „Nexüsa”.

— Sir, niepokoi mnie zupełny brak wiadomości o naszych ludziach. Jestem pewien, że pan rozumie, że obywatele amerykańscy nie mogą zaginać bez śladu.

— Wygląda jednak na to, że tak się stało, panie Scott.

— Sir, skoro pan nie jest odpowiedzialny za ich zniknięcie, to kto jest odpowiedzialny?

— Obawiam się, że poprzedni rząd.

— Rząd Stanów Zjednoczonych będzie domagał się pełnego wyjaśnienia, generale Raki.

— Oczywiście, panie Scott. I dopilnuję, by je otrzymał. Przykro mi, że ma pan wrażenie, jakoby nikt nie chciał z panem współpracować, tak jak pan sobie życzy. Co pan chce, żebym uczynił?

— Proszę mi dać urzędowe zapewnienie, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin rozpocznie się oficjalne dochodzenie i natychmiastowe poszukiwania samolotem.

— Oczywiście, ale nie mogę zrobić wszystkiego naraz. Sytuacja wciąż jeszcze nie jest ustabilizowana i mam wiele innych zmartwień.

— Czy jest jakiś dowód na to, że nie żyją, sir? Generał Raki uniósł podbródek i wykrzyknął:

— Tego za wiele! Nie biorę odpowiedzialności za to, że ludzie z „Nexusa” znaleźli się na wyspie. Pańska firma nie posiada obecnie mojej gwarancji bezpieczeństwa. Nie jestem odpowiedzialny za ten wypadek. Tego dnia przejąłem władzę, ale byłem jeszcze na morzu.

— Sir, przypomnę panu o międzynarodowej konwencji, według której kraj, w którym zdarzył się wypadek czy rozbił samolot zawsze poszukuje ofiar i wraku przez co najmniej dziesięć dni po nieszczęściu.

— Naturalnie, rozpoczniemy poszukiwania z powietrza i na morzu — generał Raki patrzył lodowato prosto w oczy Harry'ego. — W tym czasie

panie Scott, będzie pan mógł bez wątpienia załatwić natychmiastową wypłatę pieniędzy, które jest mi pan winien. Powiedzmy z dwustuprocento-wymi odsetkami za zwłokę i za wszelkie niedogodności, jakie z niej wyniknęły.

— Jestem pewien, sir, iż wie pan, że decyzja nie zależy tylko ode mnie.

— Ten, kto podejmuje u was decyzje jest także odpowiedzialny za to, że poprzedni prezydent Pauli nie mógł dojść do porozumienia z „Nexusem” po osiemnastu miesiącach negocjacji.

Harry milczał.

— Zna mnie pan i wie, jaki ze mnie luźny facet.

— Podejrzewam, że „Nexus” wolałby rozmawiać o tych sprawach dopiero wtedy, gdy ustalimy miejsce pobytu naszych zaginionych szefów i ich żon. Także wtedy, gdy odnajdą się ich rzeczy osobiste.

— Ach, rzeczy osobiste. Pan rozumie, że komandosi to nie pokojówki, ale postaramy się jak możemy, by zwrócono ich walizki i tak dalej. Rozumiem pański niepokój. Na Paui również martwimy się o to, co posiadamy — bez względu na to, czy chodzi o ziarna kawy czy o uran, o kokosy czy o kobalt.

Harry nie spodziewał się, że zaatakuje go w ten sposób w ciągu pierwszych pięciu minut spotkania, ale przynajmniej z Rakim człowiek wiedział na czym stoi, a to już coś po osiemnastu miesiącach irytującej bezczynności. Teraz sytuacja była jasna. Raki co prawda nie wziął na siebie odpowiedzialności za grupę „Nexusa”, ale zgodził się jednak na poszukiwania na morzu i z powietrza pod warunkiem, że Harry wyjedzie z wyspy, a on dostanie pieniądze.

Generał zwrócił się do Harry'ego:

— Przejdźmy teraz do mojego gabinetu, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał, mój przyjacielu.

14

Harry był przekonany, że ktoś idzie za nim, gdy opuszczał pałac. Należało się tego spodziewać. Raki, zgodnie ze swoim zwyczajem, polecił komuś by śledził każdy krok gościa, zanim ten nie opuści wyspy. Chciał sprawdzić, czy Harry nie zawiera innych kontraktów i nie płaci komu innemu.

Był znużony, gdy z ciemnej ulicy wchodził po drewnianych schodach na hotelową werandę.

— Czy pani mogłaby zdobyć dla mnie wodoszczelny zegarek, pani Chang?

— spytał właścicielkę hotelu. — Nie udało mi się kupić w żadnym sklepie, wszystkie sąspłądrowane albo zamknięte. Nie chcę ryzykować kupując zegarek od ulicznego handlarza.

Gdy wrócił do swojej sypialni i wkładał koszulę, nocny stróż wetknął głowę przez drzwi.

— To co przyszło, należy do pana, szefie.

Harry wziął do ręki już otwartą kopertę. Wyjął cienką kartkę papieru z napisem MINISTERSTWO POLICJI, QUEENSTOWN. Szybko przeczytał dokument niewprawnie napisany na maszynie.

Data: 13 listopada 1984

Godzina: 19.30 w przybliżeniu

Wydarzenie: 1 (jedna) eksplozja turystycznego kutra „Luiza”, zarejestrowanego w Queenstown Przyczyny: nie znana

- Świadkowie: nie ma Lista zaginionych:

Tutaj następował spis dwunastu nazwisk — cała grupa z „Nexusa” przebywająca w Hotelu nad Zatoką Rajską. Harry wpatrywał się w jedno imię, które wyczerało ku niemu jakby było napisane na czerwono: PATRICK, PANI ANNA. Następnego dnia poszedł do kostnicy szpitala świętej Marii. Chciał na własne oczy zobaczyć, co się stało przynajmniej z jednym z jego zaginionych kolegów. Patrzył na zimny, namacalny dowód na to, że Raki chciał go zmylić podając mu błędne informacje i najprawdopodobniej kłamiąc. Brett nie mógł zginąć dwa razy tego samego dnia w różnych miejscach odległych od siebie o siedemdziesiąt kilometrów. Ale Raki nie wiedział, że w czasie gdy płynął przez ocean pod wojenną banderą, w kopalni był śmiertelny wypadek. Harry wyjął z kieszeni oficjalny raport o wybuchu na łodzi w Zatoce. Proszę, napisane na maszynie: BRETT ADAMS. Podniósł szpitalną plakietkę przywiązaną do kostki Breta. Przeczytał: BRETT ADAMS... Raki dotrzymał słowa. Rząd Paui rozkazał wojsku z pośpiechem, który zaniepokoił Harry'ego, rozpoczęcie poszukiwań zaginionych osób na morzu i z powietrza. Było to 17 listopada w sobotę, cztery dni po wypadku łodzi. Oficjalna lista osób uległa zmianie. Teraz widniały tam nazwiska szefa programu kulturalnego hotelu — szypra jachtu, dwóch innych gości z Wielkiej Brytanii i dwóch japońskich turystów. Władze brytyjskie i japońskie nie wiedziały nic o tym, że zginęli ich obywatele dopóki Raki nie opublikował raportu. Tym sposobem generał zdobył sobie uznanie i przedstawił się jako osoba zaniepokojona sprawą i skuteczna w działaniu. Nazwisko Breta Adamsa zniknęło z listy. A więc miał rację, Raki wysłał za nim szpiega, który zameldował o wizycie w kostnicy.

## ***WTOREK, 20 LISTOPADA 1984***

### ***15***

Pod koniec pierwszego tygodnia życia w dżungli kobiety były coraz mniej bezbronne i coraz mniej się bały. W ciągu dnia tylko jedna godzina po wschodzie słońca była dla nich chwilą wytchnienia. Wtedy wiał lekki wiatr od morza, wilgotność była mniejsza, a słońce nie operowało jeszcze tak silnie. Starły się zatem wykorzystać ten czas jak najlepiej. Szybko ustaliły rozkład dnia — śniadanie, potem mycie, przegląd stóp, bandażowanie dłoni Carey. Później przez godzinę ćwiczyły chwyt z szkoły przetrwania. Pracowały do południa. Po posiłku, dysząc, leżały na ziemi aż minęła fala silnego upału i można było pracować bez obawy, że się zemdleje.

## **SOBOTA, 24 LISTOPADA 1984**

### **16**

Budowę tratwy skończyli o czwartej po południu w sobotę. Jonathan sprawdził konstrukcję po raz ostatni, choć wszystkie wiedziały, że nie znajdzie żadnej usterki. Gdy stapał po tratwie, kobiety spoglądały po sobie i uśmiechały się szeroko. Wycieńczone, przyglądały się swojemu dziełu ze zdziwieniem i podziwem. W tak krótkim czasie zdobyły się na niespodziewany wysiłek i wytrzymałość, nie wiedziały, że są do tego zdolne. Pracowały ciężko.

Im więcej od siebie wymagały, tym większą wykazywały samokontrolę. Jonathan zauważył, że zrodziła się wśród nich nieznana dotąd tolerancja i współczucie, były coraz bardziej zahartowane i ufne we własne siły. Przez jedenaście dni, ponaglone przez upływający czas, nauczyły się pracować razem z niezwykłą pomysłowością i przedsiębiorczością.

— Dobra robota — dzieciaki — pochwalił je Jonathan.

Suzy krzyknęła z radości. Sylvana klasnęła w ręce. Wszystkie uśmiechnęły się zadowolone z tej skromnej pochwały Jonathana.

— Wkrótce wyruszamy — szczebiotała Suzy.

— Wcale nie wydaje mi się, że spędziłyśmy tutaj aż jedenaście dni — dodała Carey.

— To dlatego, że nie miałyśmy ani chwili wytchnienia — odezwała się cierpko Patty.

Zawsze było coś do zrobienia, coś czym wypełniały każdą minutę, więc prawie nie starczało czasu na myślenie. Tylko nocami każda liczyła dni, godziny i minuty — i tęskniła do chwili, kiedy być może opuszczą wyspę.

Jonathan popatrzył na grupę podekscytowanych kobiet.

— Mamy dwie godziny do zachodu słońca. Przyptyw będzie o północy, więc jeśli nie jesteście zmęczone to może zamiast jutro, wyruszmy już dziś wieczorem. Co wyjia to?

— Tak! — wykrzyknęły jednocześnie.

Przez szum wodospadu i fali, na której delikatnie kołysała się tratwa usłyszeli wyraźnie podniecony szept Suzy.

— Jonathan, mam cały tyłek mokry i stopy pod wodą.

— Nie martw się — odszepnął Jonathan. — Może to przez nasz ciężar tratwa zanurzyła się głębiej na przodzie, ale zaraz opadnie trochę z tyłu.

Nikt nic nie mówił.

Powoli wszyscy odkryli, że siedzą w wodzie.

— Może powinniśmy, odpłynąć, by sprawdzić czy będzie dryfować — Jonathan był wyraźnie zmartwiony.

Wstali z tratwy, woda sięgała im do łydek, a tenisówki zapadały się w piaszczyste dno.

— Może zaczęła się o coś. Popchnijmy ostrożnie.

Wszyscy próbowali zepchnąć tratwę dalej w morze, ale się nie udało. Zupełnie jakby zakotwiczyli ją w cemencie.  
Z zapartym tchem patrzyli jak w srebrnym świetle księżycy tratwa powoli znika pod wodą.  
— Ta cholerna tratwa nie chce płynąć po wodzie — krzyczała Suzy.

### **PONIEDZIAŁEK, 26 LISTOPADA 1984**

17

Jeszcze raz obliczył wszystkie dane. Jeśli skończą pracę na czas i zdołają wyruszyć jutro w nocy, to zostaną im dwa dni i trzy noce na przepłynięcie ponad stu kilometrów morzem zanim pierwszego grudnia rozpocznie się cyklon. Long Wet przychodził zwykle po południu i nigdy się nie spóźniał. Jonathan wiedział, że dużo ryzykują wypływając w morze prawie na styk z nadejściem cyklonu, ale nie mogą tu przecież tkwić aż do marca. Oprócz terrorystów i tubylców groziło im to, że owe trzy wilgotne miesiące w dżungli mogą rzeczywiście nadszarpnąć ich zdrowie. Wstał powoli, zamrugał oczami ze zdziwienia. Wydawało mu się, że traci władzę w nogach, które nagle zaczęły drżeć.

Usiadł. Poczł, że zbliża się silna migrena. Nie ma szczepionki przeciw malarii, a od 13 listopada żadne z nich nie brało dziennej porcji tabletek przeciw tej chorobie.

Zdawało mu się, że słyszy z oddali głos Anny.

— Wszystko w porządku, Jonathanie?

Nagle głowa zaczęła mu ciążyć tak bardzo, że nie mógł jej podnieść.

— Nie.

Trudno mu było mówić.

— Zabierzcie sprzęt z szałas i połóżcie mnie tam. Przyprowadź Carey. Chcę z nią porozmawiać.

Patty i Carey przełożywszy ramiona Jonathana przez swoje barki pomogły mu dojść do szałas. Położyły go na łóżku z liści przykrytym koszulami. **Anna** przyłożyła mu dłoń do rozpalonego czoła i próbowała zgadnąć jaką **ma** temperaturę, bo termometr od dawna był rozbity. Wydawało jej się, że Jonathan ma około czterdziestu stopni gorączki.

Dużo płynów i soli, trzeba gotować gęstą zupę rybną i karmić go po trochu. Tylko tyle przychodziło jej do głowy. To chyba przy malarii żółknie skóra i pojawiają się dreszcze? Czy przypomina świnkę, czy odrę? Czy można się nią zarazić od innych ludzi? Nie, przenosi ją rodzaj samicy komara. Dlaczego, do licha, nikt nie włożył do apteczki jakiegoś podręcznika o chorobach? Otarła z potu twarz i tors Jonathana i podała mu do ust kubek wody.

Carey przykucnęła przy głowie chorego. Mówił powoli, niewyraźnie, jakby był pijany.

— Ktoś musi wami kierować, podejmować decyzje... Sprawdź, czy ktoś trzyma wartość... żadnej nieostrożności., ty nimi dowodzisz, Carey... idź...

Zamilkł, potem z ogromny wysiłkiem wykrztusił:

— Skończcie tratwę!

Jego skóra była żółta jak wosk i błyszczała ód potu. Miał silne dreszcze i majaczył.

Ania nie zgodziła się odejść od niego, więc przejęła na siebie wszystkie obozowe obowiązki, podczas gdy pozostałe pocily się przy budowie tratwy. Obliczyły, że potrzebują jeszcze jednego dnia, by ją skończyć. Nowa miała być

o wiele lżejsza i łatwiejsza do skonstruowania niż poprzednia.

Późnym popołudniem, gdy Anna kucnęła przy ognisku, stając ostrożnie podeszła do niej Sylvana.

— Jonathan musi jeść coś bardziej pożywnego niż wędzona ryba namoczona w wodzie. Skoro Patty nie może nic złapać, niech lepiej spróbuje zastrzelić szczura. Nie patrz tak na mnie, Anno. Często dostawałyście gulasz ze szczurów

1 było dobrze. Jonathan jest naszym nawigatorem i tratwa bez niego jest nic nie warta, więc musimy utrzymać go przy życiu. To nasz najważniejszy cel.

Po raz pierwszy od czasu, gdy ją poznały, Sylvana mówiła szorstkim, władczym głosem. Nie odważyły się narzekać, że karmiła je gulaszem ze szczurów.

Carey miała trzymać wartość, więc Suzy i Patty, uzbrojone w noże i proce, niechętnie wyruszyły na polowanie. Przyzwyczyły się do widoku szczurów i strzelały do nich z procy kamieniami, gdy zwierzęta wchodziły za daleko do obozu.

Teraz w zasięgu ich wzroku nie było widać żadnego.

Szły w głąb łądu, wzdłuż rzeki wpadającej do wodospadu. Szum wody wskazywał im drogę powrotną.

Posuwały się powoli przez nieruchomą i cichą dżunglę, odgłos ich kroków tłumila gnijąca roślinność.

— Szkoda, że nie wiemy na pewno jakie granice ma ten obszar tabu — odezwała się nerwowo Patty.

— Jesteśmy bezpieczne przy rzece aż dojdziemy do Williama Penna — upewniała ją Suzy. — Nie możemy iść na południe, bo tam nie znamy granicy tabu.

Kobiety ochrzciły znaki orientacyjne w okolicy tabu nazwami z Pittsburga. Cały obszar przypominał trójkąt, którego jednym wierzchołkiem była rzeka a pozostałymi ścieżka i plaża. Rzeka dająca początek wodospadu otrzymała nazwę Alleghany, ścieżka, która wiodła z mostu Burma nosiła imię Williama Penna. Lubiły myśleć, że tu, w tym trójkącie, czują się bezpieczne.

Suzy przeczesywała prawą stronę, podczas gdy Patty penetrowała dżunglę po lewej.

— W nocy urządzają konferencje w naszym obozie, a jak są potrzebne, to żaden pieprzony szczur nie wyściubi nosa - szeptała z wściekłością Suzy.

Nagle zastygła w bezruchu i położyła dłoń na ramieniu Patty, by ją zatrzymać.

Przed nimi w lesie pasło się małe, szare brudne zwierzę.

— Mamy szczęście. To koziołek z hotelu. Widzę czerwoną obrozę. Jak u licha przedostał się na brzeg przez rzekę?

Patty stanęła jak wryta.

— Nie mogę — wykrztusiła.

— Łowisz co wieczór ryby - szeptała Suzy. - Co to za różnica czy zabijasz rybę, czy to? Może uda nam się zrobić aż trzydzieści posiłków z tego kozła - będziemy miały jedzenia na trzy dni. No i łatwiej go zabić niż szczura, bo jest oswojony... Patty, to należy do ciebie, ty jesteś pieprzonym myśliwym.

Pomyśl o Jonathanie.

Koziołek powoli zaczął się przesuwać.

Suzy wyciągnęła nóż zza paska.

— Dobrze, ty dziwko. Ja to zrobię. Patty przełknęła ślinę.

\_ Nie wolno nam stracić tej okazji. Okrąż go i zajdź od tyłu. Kiedy zagwiżdżę, obie ruszymy do przodu. Schwycimy za obrozę i jedna go przytrzyma, a druga zarżnie.

Suzy krążyła jak szalona z tyłu zwierzęcia, które wciąż spokojnie się pasło, przesuając się powoli z miejsca, w którym zauważyły je po raz pierwszy.

Koziołek przestał skubać liście i podniósł łebek. Zobaczył Patty, odskoczył do tyłu i powoli cofał się przed nią, lecz Suzy zdążyła już stanąć za mm w odległości jakichś sześćdziesięciu centymetrów. Rzuciła się do przodu z oczami utkwionymi w czerwoną obrozę i dłońmi wyciągniętymi by ją pochwycić.

Zwierze zabczało, zadzwonił dzwonek przy obroży a Suzy zakłęła, gdy wylądowała na ziemi, szamocząc się z przerażonym koziołkiem.

— Pospiesz się Patty! — wrzeszczała.

Patty podniosła z ziemi kamień i cisnęła w czoło kozła. Bez rezultatu. Nadal się szamotał.

— Jeszcze raz! — krzyknęła Suzy. . Czując, że zbiera jej się na mdłości, Patty uderzyła zwierzę, usłyszała jak kamień zgruchotał kość. Koziołek zatoczył się, lecz znowu próbował stanąć na nogach.

— Szybko — dyszała Suzy — poderznij mu gardło. Odciągnęła do tyłu łeb zwierzęcia za małe, miękkie jak jedwab uszy. Patty dźgała go nożem z lewej strony klatki piersiowej, prosto w serce.

Przerażone zwierzę, walcząc z nią wydawało żalosne dźwięki. Powoli ryk stawał się coraz słabszy, wreszcie ucichł. Patty zwymiotowała.

— Nie na kozła — krzyczała Suzy.  
— Czy ono naprawdę nie żyje? Jesteś pewna, było takie bezbronne' — pytała, drżąc na całym ciele Patty.  
Obie kobiety spojrzały na siebie nad padłym zwierzęciem. Patty była blada jak śmierć, miała dreszcze i nie mogła nic mówić.  
— Dzięki- Bogu, mamy jedzenie. Będziemy targały go do obozu na zmianę.

## ***WTOREK, 27 LISTOPADA 1984***

***18***

Harry miał dosyć patrzenia ciągle na ten sam widok. Przez ostatnie jedenaście dni bezowocnie przeszukiwał wyspę. Pułkownik Borda, rosły, milczący wyspiarz, którego mianowano szefem operacji ratunkowej okazał się bystrym fachowcem. Poszukiwania wzdłuż wybrzeża, zarówno na północy jak i na południu, były prowadzone przez oddziały stacjonujące w hotelu nad Zatoką Rajską. Wody przybrzeżne patrolował kuter i policyjne odzie motorowe. Tam, gdzie wydarzył się wypadek, posłano nurków. Wyłowił, zadziwiającą ilość dryfujących po powierzchni resztek, które bez trudu zidentyfikowano jako kawałki „Luizy”. Nie znaleźli jednak śladu ciała.<sup>1</sup>

Harry wiedział, że kiedy zacznie się cyklon będzie musiał przerwać poszukiwania, ale do 1 grudnia pozostały jeszcze trzy dni. Prędzej czy później znajdzie jakąś wskazówkę, która pomoże mu wyjaśnić los ludzi z „Nexusa» Chodziło tylko o to, by nie zaprzestać działania do czasu owej wskazówki Mokry od potu Harry szedł znużony po drewnianych schodach werandy w hotelu „Wolność”. Oganiał się od komarów, które krążyły chmarą w żółtawym świetle zapalonym na zewnątrz przeszklonych drzwi wejściowych Słyszał przenikliwy głos pani Chang rozmawiającej właśnie przez telefon.

— Dobry wieczór — przywitał się i skierował prosto do swojego pokoju lecz pani Chang wyciągnęła w jego stronę ramię odziane w satynę koloni zjadliwej zieleni i pociągnęła za rękaw.

— Proszę chwilę poczekać, panie Scott. Odłożyła słuchawkę na kremowe widelki.

Harry wpatrywał się w złoty zegarek, który spoczywał w jej pulchnej dłoni. Pochwycił go i odwrócił. Z tyłu nie było żadnego napisu, ale widział już przedtem, i to bardzo często, ów cienki, złoty, obły przedmiot. Kiedy zamyślał się na spotkaniach, od niechcienia patrzył na owo małe błękitne okienko w którym co miesiąc pojawiał się miniaturowy „człowiek na księżycu”. Z całą pewnością był to złoty zegarek od Bregueta, który należał do Artura Grahama

— Gdzie go pani dostała, pani Chang?



— Przyniósł go do sklepu jakiś uliczny sprzedawca. Mój Roland dał za niego tylko dwa rowery po naprawie, ale całkiem jak nowe—nieduża cena jak na taki zegarek. .

— Zapłacę pani 100 dolarów australijskich za znalezienie człowieka, który sprzedał ten zegarek. Chcę z nim porozmawiać.

— Wyłączając z tego cenę zegarka? To przecież rzecz rzadkiej jakości.

— Niech pani tu zawoła szybko Rona, pani Chang.

Roland Chang, oderwany od wieczornego posiłku, wbiegł pospiesznie do pokoju. Z rozpiętego kołnierzyka jasnozielonej koszuli z poliestru wystawała serwetka. Powiedział Harry'emu, że uliczny sprzedawca, od którego nabył zegarek, kupił ową rzecz od żołnierza — jednego z tych nowych, od Filipińczyka. Wziął dziewięćdziesiąt kina.

### ***ŚRODA, 28 LISTOPADA 1984***

#### ***19***

Patty nie mogła w żaden sposób zmusić się, by zjeść choć kawałek koźlęcia.

Nie mogłabym jeść czegoś, co widziałam jak było żywe — powiedziała. Zastanowiła się przez chwilę.

— Z rybami to jest inaczej. Nie widzi się ich w agonii, bo dzieje się to pod wodą. A kiedy już się złapie i wyciągnie, ogarnia człowieka taka radość, że nie myśli się o rybie, że zdycha łapiąc powietrze i że ma rozdarte wnętrzności.

— Pracowałam nad tym dwie godziny. Musisz jeść, żeby dobrze pracować — odpowiedziała wściekła Sylvana.

— Robota prawie skończona. Powinniśmy dać sobie radę z tratwą do lunchu.

Po raz kolejny zaczęły się kłócić.

— Musimy wypłynąć w morze jak najprędzej. Dziś wieczorem! — nalegała Suzy.

— Jonathan powiedział, że do dwudziestego ósmego... — zgodziła się Carey. — A to już dzisiaj. . .

— On ma temperaturę powyżej czterdziestu stopni i nie wolno go nigdzie przenosić — odezwała się stanowczo Anna. — To chyba nie malaria, ale ma gorączkę i polepsza mu się powoli. Czy nie możemy jeszcze trochę poczekać?

— Jonathan kazał mi trzymać się planu — nalegała Carey. — I będę się trzymała. Możemy go zabrać ze sobą. Przywiążemy go do pokładu. Możę za kilka dni będziemy mogły go zabrać do szpitala — jeśli wyruszymy.

— Nic powinno się go przenosić — Ania obstawała przy swoim. — Możę umrzeć na udar słoneczny.

— Okryjemy go płótnem— zaproponowała Carey. Popatrzyła na przykucnięte przy ognisku kobiety.  
— Zabieram go w bezpieczne miejsce razem z tymi, które chcą płynąć. Kto chce zostać może sobie zgnić na tej wyspie. Wszystkie wiedziały, że jeśli tego wieczoru nie wyruszą, to w żaden sposób nie dopłyną do Iria n Jaya przed cyklonem.  
— Przypuśćmy, że Long Wet się spóźni? — spytała Patty.  
— Przypuśćmy, że nie—i wtedy tratwa utonie w morzu?—odpowiedziała jej pytaniem Carey.  
— To szaleństwo myśleć, że uda nam się przeżyć na tej tratwie bez Jonathana. Nie mamy pojęcia o nawigacji i w ogóle o morzu — mówiła Sylva na.  
Bez końca podawały argumenty za i przeciw opuszczeniu wyspy aż w końcu zgodziły się, że powinny ukończyć budowę tratwy a potem ciągnąć losy.  
Wyprzedziły plan. Tuż przed południem skończyły pracę.  
— Udało nam się — Patty wybuchnęła płaczem.  
— Chodźmy! — zawołała Carey i pociągnęła za sobą Suzy, obie śmiały się z zachwytu.  
Sylvana pobiegła, by powiedzieć o tym Annie, która pełniła wartę na drzewie. Ania, jak zawsze uparta, odkrzyknęła z góry:  
— Zostają tutaj z Jonathanem. Możecie wysłać po nas samolot, kiedy już znajdziecie się na lądzie.  
Obie wiedziały, że myślała Jeśli znajdziecie się na lądzie".  
— Ja nie płynę zanim Jonathan nie wydobrzeje na tyle, by sterować tratwa — powiedziała Sylvana.  
Kłóciły się przez cały obiad i później, kiedy odpoczywały w cieniu Carey i Suzy spierały się z Patty, która nie mogła się zdecydować czy zostać z Sylvaną i Anną, czy płynąć z nimi. Niebo było zachmurzone, panował lepki upał i od wielu dni nie poczuły żadnego podmuchu wiatru. Drzewa także przestały szumieć.  
Patty wpatrywała się w dżunglę.  
— Coś się tam dzieje dziwnego.  
— Nareszcie jest chłodniej. I to wszystko. Lepiej wracaj na drzewo — rozkazała jej Sylvana.  
— Wy sobie odpocznijcie. Skoro macie płynąć, potrzebujecie odpoczynku. Obie kobiety zauważyły, że nie powiedziała „potrzebujemy”.  
O trzeciej trzydzieści po południu wiatr był już porywisty. Zmęczone kobiety, z wyjątkiem Patty, spały smacznie.  
Wszystkie wiedziały, że po zachodzie słońca będzie już za późno, by opuścić wyspę i utkną tutaj na następne trzy miesiące.  
Anna obudziła się i przetarła oczy. Podreptała na małą polankę, gdzie lubiła się modhc. Sylvana i Suzy też się obudziły i zdecydowały wykapać się w

basenie przy wodospadzie. Patty ziewnęła i wczółgała się do szałas, by umyć chłodną wodą pierś i twarz Jonathana. Żałowała, że nie wie, jaka jest różnica między odwagą a popędlivością.

Niebo zmieniło kolor na szary, a potem na złowieszczą sebrną purpurę. Woda w zatoce kołysała się, drzewa szumiały, zerwał się silny wiatr.

Sylvana, która wyszła z wody i siedziała na mokrych skałach, zerknęła w niebo.

— Nie sądzicie, że to może być...?

Kropła wody spadła na jej twarz. Starła ją. Trzy kolejne krople kapnęły na dłoń Spojrzała na zachmurzone niebo a potem na lagunę.

Woda miała lekki, mlecznozielony odcień. Nagle, na jej oczach, na powierzchni pojawiły się małe, zwarte fale. Cała zatoka zdawała się drżeć i zaraz wszystko ucichło.

SyWana usłyszała syk, który stawał się coraz głośniejszy. Z morza zdawała się unosić mgła. Całkiem niespodziewanie zaczęło lać jak z cebra.

— Wychodź z wody, Suzy. To Long Wet. Nadszedł wcześniej.

Suzy próbowała krzyczeć do Sylvany z basenu, ale szum deszczu zagłuszył ją Osłaniając twarz ramieniem, SyWana wyciągnęła Suzy z wody. Porwały ubrania i tenisówki. Deszcz uderzał z taką siłą, że nie mogły się zatrzymać i ubrać.

Wspinały się ścieżką między skałami, zmienioną nagle w błotnisty potok. Sylvana odwróciła głowę w stronę\*morza. Nie widziała oceanu, ani plaży. Nic nie było widać.

Przemoczone do suchej nitki i ubrudzone błotem, walcząc z wiatrem, obie kobiety zataczając się dotarły do szałas.

Patty, która o mały włos nie została zdmuchnięta z drzewa, przywitała je piskiem.

— Chyba o jedną decyzję mniej.

## PRZETRWANIE

*ŚRODA, 5 GRUDNIA 1984*

20

Minęło siedem dni od chwili, gdy przybył Long Wet. — Teraz wyglądasz jak Grace Jones jako dziecko. Trzeba naostrzyć te nożyczki. W chacie, w której spały, Anna właśnie skończyła strzyc Suzy na chłopaka.

Gwarancja przeciw wszom i pchlom — powiedziała.

Party przyglądała się im w milczeniu. Nagle poczuła, że przeszły ją ciarki po krzyżu. Była pewna, że ktoś je obserwuje. Czowała na plecach obce oczy, które śledziły je z ukrycia. Przeszedł ją dreszcz w okolicy karku. Nagle odkryła, że trudno jej oddychać, bo strach ścisnął jej klatkę piersiową... Nie, musiała je os t r z e c!

— Carey, jestem naprawdę p r z e k o n a n a, że ktoś nas śledzi. Carey ze złością usiadła na łóżku.

— Dlaczego nie odpędzisz od siebie tych paranoicznych myśli? Jesteśmy tu od trzech tygodni i gdyby ktoś miał nas zaatakować, to zrobiliby to już dawno.

Wyjęła z włosów kawałek paproci.

— Przypuśćmy, że n a p r a w d ę coś słyszałaś. Suzy po prostu ziewnęłyby i powiedziała: „To znów te cholerne nerwy, Patty”. Nikt by nie zwracał na .to uwagi.

— Mamy dosyć prawdziwych problemów i nie potrzebne są nam te twoje wymysły — dodała Suzy.

Wszystkie były przemoknięte, apatyczne i pozbawione nadziei. Anna strzygąc Patty na chłopaka, zastanawiała się głośno.

— Jak sobie radzą z depresją i poczuciem klęski żołnierze, którzy walczą w dżungli?

— Czasami w ogóle sobie nie radzą — odparła Carey. — Czytałam, że niektórzy faceci w Wietnamie siadali przy drodze — i, pozbawieni wszelkiej nadziei, po prostu umierali.

## **PONIEDZIAŁEK, 10 GRUDNIA 1984**

### **21**

W oczach Suzy okolonych czarnymi rzesami odbijała się laguna z wodą koloru zielonych winogron. - Och — Suzy upuściła wypełniony do połowy kubek z rybami, który na szczęście nie przewrócił się i nie rozlał.

— To znów twoje ramię? — spytała Patty. Suzy, krzywiąc się z bólu, skinęła głową.

— Pewnie nadwreżyłaś mięsień, gdy wczoraj dźgnęłaś tę jazęgę i przewróciłaś się. Pomasować ci ramię? Pomogło, prawda? Chodźmy do cienia.

Obie kobiety szły po gorącym piasku na koniec plaży, gdzie ostrożnie złożyły przybory rybackie pod jedną z palm.

Patty stanęła za Suzy i delikatnie badała jej ramię aż ta krzyknęła z bólu.

Zaczęła lekko pocierać bolące miejsce lecz za każdym razem, gdy dotykała wrażliwej okolicy, Suzy odskakiwała na bok...

— Połóż się w cieniu. Zrobię ci masaż pleców. Spróbuj się odprężyć.

Leżąc nago na piasku, Suzy powoli rozluźniała się pod dotykiem wrażliwych dłoni Patty, która miękkimi ruchami próbowała rozładować napięcie wokół kręgosłupa. Słyszała kojący szum morza, czuła lekką, ciepłą bryzę i patrzyła w lazurowe niebo. Pierwszy raz, od czasu gdy schroniły się w dżungli, przestała się bać.

Patty spojrzała na gładkie, brązowe plecy Suzy. Wygląda jak mała dziewczynka — pomyślała. Przypomniała sobie jak wiele razy masowała plecy Stefanowi. Gdy głaskała skórę Suzy, czuła że jest gładka i wrażliwa jak u dziecka. Nigdy jeszcze nie dotykała skóry innej osoby z wyjątkiem owłosionego męża i wtedy wyczuwała pod dłonią twarde mięśnie. Lekko wodząc palcem wskazującym wzdłuż kręgow Suzy aż do podstawy kręgosłupa, nagle zrozumiała dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią miękką, jedwabistą kruchość kobiecego ciała.

Rozciągnięta na ciepłym piasku Suzy drżała bezwiednie. Zawahała się przez chwilę, lecz w końcu przekreśliła się na plecy. Opalona na brąz skóra lśniła. Duże, zielone oczy iskrzyły się w dziwny sposób.

Kłęcząc nago obok Suzy, Patty nagle poczuła jakieś zagrożenie. Wiedziała, że jeśli jeszcze raz dotknie tej satynowej skóry, to stanie się coś złego. Wpatrywała się w błyszczące, zielone tęczówki Suzy. Świadomość tego, co za chwilę nastąpi wywoływała odrętwienie.

Zbliżyły się do siebie jednocześnie.

Suzy objęła szczupłe plecy Patty, próbując schronić się na chwilę przed światem, który ją otaczał.

Drżącym palcem Patty wodziła po miękkiej jak jedwab brwi Suzy. Wtem dziewczyna objęła ją mocno ramionami i pociągnęła na ziemię. Serce waliło jej w piersi, drżała na całym ciele, gdy świadoma każdego swojego oddechu, pochylała się nad leżącą pod nią na piasku dziecinną figurką Suzy. W jednej

chwili przytuliły się do siebie. Suzy dotykała wystających łopatek Patty. Przesuwała dłoń w kierunku miękkich, jedwabistych włosów koloru pszenicy.

Patty podnieciła się natychmiast i gwałtownie przeraziła własnych uczuć. Drżącą dłoń zbliżyła do piersi Suzy, która wygięła plecy w łuk, przeżywając szok pierwszego pobudzenia.

Pierwsze, pełne miłości pieszczoty, przerodziły się w podniecenie, które zmieniło się w namiętność. Poruszały się coraz bardziej niecierpliwie, coraz bardziej siebie spragnione. Czułość mieszała się ze zmysłowością, namiętność splatała z żądzą. Pieściły się nawzajem w milczeniu.

Patty powoli opuszczała dłoń, pod poduszkami palców czuła zebra i płaski brzuch Suzy. Wodziła lekko palcem po swoim brzuchu, sprawdzając i próbując, czy będzie reagowała tak samo. Odkryła, że przeżywają to identycznie.

Widząc i rozumiejąc każdą reakcję Suzy, Patty pozbyła się niepewności i nagle stała się zmysłowa jak brzoskwinia i szczęśliwa aż do głębi. Pierwszy raz wiedziała dokładnie co sama potrafi podczas aktu miłosnego i co czuje jej partnerka. Znała jej ciało jak swoje.

Świadomość, że może dać Suzy rozkosz utwierdzała jej wiarę we własne siły i powodzenie.

Niepotrzebne było pytanie: dobrze ci było? Wiedziała, że było im dobrze. Ich delikatny akt miłosny różnił się całkowicie od zespolenia z mężczyzną.

Suzy wpadła w ekstazę, jej ciało oblewały fale ciepła. Była syta i bezpieczna. Nie zniosłaby chwili, w której Patty przestałaby ją pieścić.

Nie była też pewna, czy zniesie dalsze pieszczoty. Nagle jej ciało ogarnął wspaniały żar i błyskawica przeszła ją od stóp do głów. Już nie — pomyślała. Odczucie to jednak nie znikło i stawało się coraz przyjemniejsze.

Gdy Suzy wiła się i drżała pod jej dotykiem i jęczała z rozkoszy, Patty doznawała niezwykłego zadowolenia. Suzy łkała ze szczęścia.

Upadła plecami na piasek i miała wrażenie, że błękitne niebo zniża się do niej. **Jej** ciało zwiotczało. Patty, upojona władzą, nie dała jej chwili wytchnienia.

Nękały ją wyrzuty sumienia. Minęły tylko cztery tygodnie od czasu, gdy brutalnie zamordowano jej męża. Kochała go przecież? Kim jest skoro już teraz go zdradziła?

— Muszę sprawić, żebyś poczuła się... tak jak ja poczułam się dzięki tobie — Suzy dysząc, szukała ręką Patty.

Miała wrażenie jakby .była pierwszą kobietą na ziemi, jakby ją przed chwilą stworzono. Patty pieściła ją delikatnie, coraz bardziej pewna siebie i sprawniejsza. Suzy poczuła, że upał wdarł się do jej wnętrza i zespoliło się ono w jedno ze słońcem i gorącym powietrzem. Nigdy dotąd nic czuła się tak z żadnym mężczyzną. Ich kochanie się było pełniejsze i nie wymagało słów. Nie musiały nic mówić.

Kłęcząc, Patty pochylała się nad leżącą na plecach Suzy, która delikatnie wodziła palcami po jej kręgosłupie. Wdychały nawzajem swój zapach, gdy Patty powoli kładła się na Suzy. Zetknęły się ciałami.

Dysząc tuliły się mocno do siebie. Zatraciły się w ekstazie, dotykając

i pieszcząc swoje twarze, ramiona uda i piersi — lekko jakby pieścił je motyl. Wyglądały czarująco i romantycznie niby postacie z obrazów Marie Laurencin. Ich uścisk był delikatny choć natarczywy. Pozbyły się wszelkich zahamowań. Wiły się wokół siebie jak dwa rozgrzane węże. Tym bardziej, że owa ciepła zmysłowość była owocem zakazanym, a to przyprawiało je o dreszcz emocji. Suzy miała wrażenie, że tworzą jedność.

Senna Patty dziwiła się, że stało się to tak naturalnie. Zastanawiała się, czy kobiety są heteroseksualne, czy po prostu boją się złamać tabu.

— Nigdy przedtem tego nie robiłam.

— Ani ja — szeptała Suzy. — Czy to nie... proste? Usłyszały głos Sylwany dobiegający od strony wodospadu.

— Gdzie ryby? Zaraz zacznie padać. ,

— Odpoczywałyśmy — krzyknęła Patty. Zerknęła na Suzy.

— Jutro — szepnęła Suzy kiwając głową.

Niechętnie podniosły się z ziemi i poszły w kierunku ścieżki między skałami. Idąc za SyWaną, Suzy była wesoła i pełna nadziei.

Zapomniała o strachu na te jedyne pół godziny. Z każdym krokiem ulegała wrażeniu, że zakochuje się coraz mocniej w Patty.

Idąca za nią Patty, rozmawiając po cichu z własnym sumieniem, próbowała uzasadnić to, co się przed chwilą stało. To nie takie straszne — mówiła sobie. A co uważasz, robią ze sobajeńcy w obozach? Myślisz, że zdrowi, normalni, znudzeni, nieszczęśliwi młodzi mężczyźni potrafią całymi latami powściągać zmysły? Wszyscy?

Ale ty zrobiłaś to celowo — mówił jej głos wewnętrzny. Jesteś lesbijką!

Naprawdę? — zastanawiała się. Czy można być lesbijką i mężatką jednocześnie?

J e s t e ś l e s b i j k ą — oskarżało ją sumienie.

Niech mnie diabli wezmą, jeśli stanę się homoseksualistką — cicho odpowiedziała samej sobie. Przecież to Suzy zaczęła, z całą pewnością ona.

Gdy wróciły do obozu, przeraziła się tym, co uczyniła. Bała się, że Suzy może powiedzieć innym o tym, co się stało na plaży. Myśl, że Suzy jest tak blisko napawała ją obrzydzeniem.

Gdy kucnęły przy ogniu, by zjeść kolację, widać było, że Patty unika Suzy. Dziewczyna z półuśmiechem na twarzy przysunęła się, by usiąść obok niej Patty natychmiast podskoczyła i przeniosła się na drugą stronę ogniska. Nie zwracała uwagi na Suzy, gdy ta mówiła coś do niej.

— Byłaś taka cudowna — szeptała Suzy po kolacji. — Dlaczego teraz tak mnie traktujesz? .

Patty patrzyła na nią w milczeniu, jakby spotkały się po raz pierwszy, jakby żądała od niej, by nigdy jej nie przypominała o zbliżeniu na plaży. Tej nocy Patty opuściła swoje łóżko i przeniosła się do drugiej chatki, gdzie spała na łóżku Jonathana pomiędzy Anną i Carey.

Typowe męskie zachowanie po wspólnej nocy — myślała rozgoryczona

Suzy, przypominając sobie inne namiętne noce, po których doznawała podobnego chłodu i braku zainteresowania. To z kolei przypomniło jej jak wiele zawdzięcza Brettowi, którego właśnie zdradziła. Wylewała teraz gorzkie łzy.

Sylvana słyszała jak Suzy pociąga nosem w ciemnościach. Nie trudno było zgadnąć dlaczego. Ucztowały z panterami. Trzy pozostałe kobiety zauważyły ów nowy, zmysłowy prąd przepływający między Suzy i Patty.

Sylvana przypomniała sobie, że kiedy po południu zeszła w dół na plażę by poszukać ryb, obie wyglądały na podniecone i miały zarumienione policzki. Po^edziały jej, że odpoczywają na plaży, ale przecież było tam goręcej niż w cieniu dżungli. Żadna z kobiet nigdy nie odpoczywała na plaży. Ucztowały z panterami — myślała, przypominając sobie jak Oskar Wilde opisywał stosunki homoseksualne. W drugiej chatce Carey myślała to samo. Według niej, stosunek zwykłych kobiet do lesbijek jest różny — od nieokreślonego zagrożenia do wyraźnego przerażenia, że też tego pragną. Myśląc o ciepłej Suzy, przyszło jej do głowy że być może lesbijki lubią kobiety z tych samych przyczyn, co mężczyźni. Ona sama nie miałaby nic przeciwko temu by spróbować, pod warunkiem, że nikt by się o tym nie dowiedział, n i g d y .

Anna, przebudzona, leżała w ciemnościach na łóżku. Jakby nie było innych problemów — pomyślała ze zniecierpliwieniem. Próbowwała zrozumieć sytuację. Oczywiście, że brutalnie pozbawiono je mężów i rodzin. Otaczała je zewsząd przemoc. Czuły się tak jakby ktoś wsadził je do kojca, z którego nie ma wyjścia. Żyły w ciągłym strachu. Wszystkie potrzebowały matczynego wsparcia, pieśszoty i ochrony. Naiwna Anna przypuszczała, że właśnie dlatego to się stało. Z brutalnego, ostrego i ostentacyjnego odrzucenia Suzy przez Patty wynikało jasno, że więcej się to nie powtórzy. Przypuśćmy, że zdarzy się to komuś innemu.

## ***WTOREK; U GRUDNIA 1984***

**22**

Po dwóch tygodniach wyczerpującej opieki nad Jonathanem Anna znów zjawiała się u jego boku. Kucnęła w płóciennym namiocie — chciała nakarmić go przygotowaną wcześniej

zupą rybną. — Cześć Aniu — powitał ją. Otworzył oczy.

Anna zamrugnęła ze zdziwienia. Przyszyczała się, że mówiłdo niej „Luiza” Szybko dotknęła dłonią jego czoła. Było suche i chłodne.

Uśmiechnęła się do Jonathana szeroko.

—Dzień dobry. Witamy z powrotem.



Pospiesznie wybiegła z namiotu by podzielić się dobrą nowiną z innymi, ale w obozie zastała tylko Carey.

W drugim tygodniu mieli kolejne dwa przypadki choroby — Suzy i Carey. Suzy, która zawsze marudziła, gdy musiała zamiatać liście w szałasie, stanęła na ukrytym pod liściem skorpionie. —

Carey miała całe nogi pokryte wrzodami. Rozdrapała przez sen ugryzienia mrówek i to stało się przyczyną infekcji. Wszystkie wiedziały, że takie wrzody mogą przejść w gangrenę i doprowadzić do amputacji, a w końcu do śmierci. Dzień po tym jak Suzy ukąsił skorpion, spuchła w pachwinach i nie mogła się ruszać.

Jonathan powiedział jej, że tubylcy używają do oczyszczania ran czerw, ale Carey nie zgodziła się na ten zabieg. Jednak po nocy spędzonej na walce z bólem gotowa już była na wszystko. Anna przyniosła jej stertę zepsutych ryb. Carey zebrała czerw, przełknęła ślinę, i rzuciła go na jedną z ran. Czerw zjada tylko martwą tkankę — mówił Jonathan — więc wyssie tylko ropę. I rzeczywiście. Gdy zobaczyła, że rany są czyste, strząsnęła robaki i odkryła chore miejsca, by wyschły. Mimo to każde kolejne ugryzienie zmieniało się w

nowe

wrzody.

— Jonathanowi się polepszyło! Gdzie one są? — Anna krzyczała do Carey.

— Deszcz przestał nagle padać, więc poszły zanurzyć się w basenie przy wodospadzie, by zdążyć przed popołudniową ulewą.

— To znaczy, że nie mamy nikogo na warcie — Anna rzuciła się do drzewa eukaliptusowego.

Po południu jednak nie padało. Patty poszła sprawdzić ile ryb złapało się w sieć zastawioną w strumieniu, lecz pływała tam tylko jedna, duża krewetka. Gdy zobaczyła, że żyłki wciąż jeszcze są naprężone, wróciła do obozu po przybory rybackie.

Trzymając mocno sprzęt w dłoniach chronionych przez rękawiczki, samotna i przygnębiona zastanawiała się, czy wszystkie umrą na malarię albo gangrenę. Osunęła się za szybko po stromej ścieżce między skałami. Potknęła się i omal nie upadła. Udało jej się odzyskać równowagę nie wypuszczając z rąk ciężkiego pudła z przyborami do łowienia ryb, ale jej kapelusz spadł w dół i wylądował na skale przy samym wodospadzie. Wydostanie go stamtąd zajęłoby jej sporo czasu. Postanowiła, że podniesie go później, gdy będzie już miała wolne ręce.

Nie warto zatrzymywać się teraz, by wykonać pracę, która zajmie dwadzieścia minut. .

Brodząc po łące w wodzie, Patty nie miała szczęścia. Raz za razem zarzucała nad głowę ciężką przynętę i ciskała ją w niewielkie fale.

Nadal zawzięcie łowiła ryby. Dotyk żyłki w dłoni sprawiał jej przyjemność i zajęcie to pochłonęło ją całkowicie. Nie przeszkadzał jej południowy skwar i pot spływający między piersiami.

W końcu postanowiła zarzucić łowienie na dzisiaj. Spróbuje szczęścia później. Zazwyczaj pierwszą rzeczą, którą robiły rano i ostatnią, którą robiły wieczorem było łowienie. Wtedy ryby wypływały na żer — wtedy też pojawiały się owady. Zdecydowała, że skoro teraz nie ma szczęścia, to wróci na plażę później, przy świetle księżyca.

Brodząc po brzegu plaży, zerknęła na złowieszcze ciemnopurpurowe obłoki. Patrzyła w niebo i nie zauważyła ostrego kamienia, potknęła się i zachwiała. Gdy odzyskała równowagę poczuła na plecach chłodny podmuch wiatru i usłyszała jak woda bębni o liście palm. Firana deszczu zalewała lagunę, krople uderzały ze złością w wodę, tworząc w niej jakby wgłębienia. Prawie nie mogła utrzymać się na nogach, gdy szła gładką plażą, nie mówiąc już

o wspinaniu się między skałami, które zmieniły się nagle w potok błota. Anna będzie musiała poczekać na dostawę żywności — dobrze jej tak! W każdym razie w taką ulewę nikt nie zaatakuje obozu.

Ociekając wodą i drżąc, Patty przykucnęła na końcu plaży powyżej miejsca, do którego sięgały fale. Deszcz zmusił ją, by pozostała tam przez dwie godziny, przez cały czas nic nie widziała. Wyglądało tak, jakby plażę spowiła jasnoszara mgła górską.

Przestało padać tak nagle, jak zaczęło, choć wciąż jeszcze wiał silny wiatr. Patty przywiązała swoje narzędzia do pnia jednej z pochylonych palm. Musi mieć obie ręce wolne, jeśli ma wspiąć się w górę po śliskiej ścieżce, a poza tym

1 tak będą jej potrzebne dziś wieczorem — przecież tu wróci.

Z trudem dojrzała na szczyt skały. Wydawało jej się, że w miarę jak wspina się wyżej, skały przesuwają się coraz dalej.

Wciąż miała przed sobą spory kawałek do przejścia, wydawało jej się, że to jakiś olbrzym ciągnie wierzchołek góry w niebo, coraz bardziej oddalając go od niej.

Gdy wśliznęła się bokiem do obozu, wciąż lekko oszołomiona, ujrzała Annę biegnącą w jej stronę. Wydawało jej się, że widzi ją jakoś dziwnie, w dwóch wymiarach.

— Co się stało? Ugryzł cię wąż morski czy jasega?

— Nie mam kapelusza — mruzczała Patty i ugięły się pod nią kolana. Upadła w błoto, zwymiotowała i zemdląła.

Praez koszulę prześwitywały jej szyja i plecy, całe pokryte pęcherzami.

Miejsca, w których skóra nie była jasnoróżowa, miała kolor wścieklej czerwieni — Ojej, spójrzcie na te pęcherze! — wykrzyknęła Suzy, siadając na łóżku.

Anna przykucnęła na piętach i znużonym gestem otarła wierzchem dłoni czoło.

— Przetrwaliśmy cztery tygodnie nie chorując poważnie, z wyjątkiem biegunki i gorączki Jonathana. Teraz nagle, w ciągu dwóch dni, jest tu cały szpital. Co się stało?

**ŚRODA, 12 GRUDNIA 1984**

**23**

Następnego dnia rano Anna sprawdziła sieci zastawione w rzece, lecz nie miała szczęścia. Wycieńczony Jonathan z wychudzoną twarzą, szczuplejszy o cztery i pół kilograma szeptem dawał jej wskazówki. Musi wziąć maczetę i poszukać jedzenia w okolicy szybu prowadzącego do jaskini, czyli na południowy wschód od obozu. Rosła tam niższa warstwa lasu, więc kiedyś na pewno w pobliżu była jakaś osada i być może jest tam zboże, choć teraz już pewno zdziczałe.

Anna ponad godzinę torowała sobie drogę przez dżunglę, tnąc liany maczetą, by oczyścić przejście.

Posuwała się bardzo wolno naprzód. W końcu wycofała się i obeszła ścieżkę w niższej części dżungli. Postanowiła, że skoro nie może znaleźć nic do jedzenia na obrzeżach gęstej roślinności, poszuka strumienia. Zawsze zakładano osady przy wodzie — może uda się tam coś znaleźć.

Zobaczyła drzewo papai, na nieszczęście kiście żółtych owoców rosły przy samym czubku. Pień drzewa przypominał palmę kokosową — nie miał gałęzi, które sięgałyby nisko.

Anna — podrapana i spocona, obawiając się spojrzeć w dół, dotarła w końcu do owoców. Ścięła je nożem do sprawiania ryb i do przytroczonej do pleców torby załadowała tyle, ile mogła unieść.

Będąc już na ziemi, Anna rozcięła jeden z zielonych owoców, zanurzyła palce w mlecznym soku i spróbowała.

Oganiając się od much, przetarła twarz i ruszyła z powrotem.

Nagle poczuła nieznośne pieczenie w oczach.

— Musiała zatrzeć oko sokiem niedojrzałej papai — powiedział potem Jonathan.

Anna z trudem wróciła do obozu i przez cały czas zwijała się ze straszliwego bólu. Teraz oślepla, a oni nie mieli nic, co mogłoby złagodzić jej cierpienia.

Krzyczała tak, że trzeba było ją zakneblować. Rozumiała dlaczego to robią i nie stawiała oporu.

Jonathan wysłał Sylwanę, by zebrała kokosy. Miała nie narażać się na żadne ryzyko.

Wody było pod dostatkiem i nie bali się głodu. Sylwana powinna odpoczywać najwięcej jak tylko możliwe, uważać na siebie, bo tylko ona i Suzy były ostatnio na chodzie.

Nikomnie wolno opuszczać obozu, z wyjątkiem wypraw po kokosy i wodę, dopóki nie stanę na nogi — oznajmił Jonathan stanowczo, zanim upadł wycieńczony z powrotem na bambusowe łóżko.

Następnego dnia Anna leżała na stosie liści. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przejrzy. Zdziwiło ją, że nie wpadła w panikę. Zawsze przerażała ją ślepotą, lecz teraz kiedy stało się to w tak śmieszny sposób, była po prostu

zrezygnowana. Chciała tylko by ustąpił ból. Czuła się tak, jakby ktoś przytykali jej do oczu zapalone zapalki. Trzy dni po wypadku Jonathan zauważył, że Anna cicho łka. Kucnął przyl niej i w milczeniu wziął ją za rękę.

— Zupełnie jakby los i przyroda sprzyściły się przeciwko nam i po kolei gniołą każdą, aż w końcu całkiem nas zmiażdżą — szlochała.

— Nie, nie zmiażdżą. Los sprzyja nam tak samo jak w zeszłym tygodniu. Przyroda nie interesuje się tobą, dżungla jest obojętna.

Anna i Patty leżały przykute do łóżek. Sylvana poszła do gaju bambusowego i zebrała młode pędy. Obrala je ^kroiła jak marchewki, potem ugotowała i podała z kilkoma krewetkami złowionymi w czystej wodzie strumienia.

Po południu Jonathan zabrał Sylvanę do opuszczonej osady zarośniętej krzewami, tam gdzie Anna natknęła się na papaję. Odnalazł banany i drzewo chlebowe z pierwszorzędnymi kulistymi owocami.

— Nie możemy ich zjeść — zawołała przerażona Sylvana — przecież są pokryte skórą z zielonymi kolcami.

— Łatwo je obrać, gdy będzie się piekło owoc przez pół godziny w zgliszczach.

Wskazał palcem.

— Widzisz tę winną latorośl? Te ciemnoróżowe okrągłe kuleczki? To słodkie pataty. Och, według mnie szykuje nam się niezła kolacja.

Tej nocy, pierwszy raz od czasu gdy znaleźli się w dżungli, jedli do woli. Czwartego dnia ślepoty Anny, Sylvana przyniosła jej do szałaszu śniadanie.

Anna spojrzała na nią mętnie i ziewnęła.

— Cześć Sylvano.

Sylvana natychmiast upuściła łupinę orzecha kokosowego pełną startych na miazgę owoców drzewa chlebowego i objęła Annę z afektem jakiego nikomu nie okazała od czasu, gdy ostatni raz widziała córkę. Płakała, dziękując po włosku wszystkim świętym.

Po raz pierwszy od trzech tygodni nikt na nic nie cierpiał.

Tego wieczoru, gdy wszystkie poszły spać, Jonathan i Patty przykucnęli przy świetle księżycy. Mieli przygotowane proce.

Jonathan trafił pierwszego szczura, potem drugiego — odrobinę za mocno.

— Jutro będzie gulasz z królików — powiedziała Patty, przyglądając się padłym zwierzętom.

Dziesięć minut później zauważyła następnego szczura. Rozradowana wyciągnęła rękę, w której trzymała procę, umieściła kamień w naciągniętej gumce i pociągnęła ją do tyłu.

Gładki, ciemny szczur zaskowyczał, podskoczył do góry i upadł na ziemię. Leżał nieruchomo.

— Dobra dziewczyna — pochwalił ją Jonathan. Ubrany w rybackie

rękawiczki, by chronić dłonie, wsunął wiotkie ciało zwierzęcia do bambusowej klatki, którą zrobił tego popołudnia.

— Trzymaj się z daleka od niego — ostrzegł. — Szczury mogą podrapać i pogryźć. Nikomu nie wolno litować się nad tym bękartem ani się z nim zaprzyjaźnić. Wpychajcie jedzenie przez pręty długim kijem. Nalewajcie wodę do picia przez pusty w środku bambus.

— Pewien jesteś, że nie przegryzie prętów?

\_ Nie wiem. Jeśli to zrobi, złapiemy drugiego.

— Nazwijmy go Sinatra.

## ***NIEDZIELA, 16 GRUDNIA 1984***

### **24**

Po trzech tygodniach cyklonów kobiety przezwyciężyły początkowe przygnębienie i frustrację. W czasie deszczu grały w warcaby na planszy, którą Carey namalowała węglem na płótnie. Anna ćwiczyła grę na flecie a Sylvana akompaniowała jej na całym zestawie fujarek, które zrobiła z krótkich kijków bambusowych. Carey strugała nożem figurkę Madonny dla Anny do gaiku. Suzy robiła biżuterię z muszli, a Patty uczyła je wszystkie jogi. Przygotowywały też warzywa i przynętę na ryby.

Gdy nie padało polowały i łowiły ryby, zawsze według wskazówek Jonathana. Polegały na nim we wszystkim, ufały jego sile i skrywanej życzliwości. Wszystkie wiedziały, że jest dobrym człowiekiem. Czuły wdzięczność i miłość do niego i słuchały go we wszystkim.

Odrzucona przez wszystkie Suzy czuła do niego coś więcej. Pewnej nocy ześliznęła się z drzewa, na którym trzymała wartę. Przeciągnęła się i ziewnęła. Wtedy zauważyła, że Jonathan nie poszedł jeszcze spać, lecz siedzi samotnie, przygarbiony nad żarzącymi się węglami. Zdziwiło ją to, zwykle wszyscy się kładli zaraz po zachodzie słońca.

Pod wpływem impulsu ściągnęła niezgrabnie spodnie, które Anna uszyła dla niej z pleców koszuli. Zbliżyła się do ogniska. Zamiast kucnąć, rozłożyła spodnie na ziemi i usiadła na nich, obciągając na kolanach dużą, podartą koszulę.

— Czasem czuję się taka samotna — odezwała się z żalnością.

— To nie jest dobry pomysł, Suzy — Jonathan patrzył w ogień.

— Nikt się nie dowie.

— Nie przestaje się kogoś kochać tylko dlatego, że nie żyje.

— Oszaleję, jeśli nie znajdę się wkrótce w czyichś ramionach. Przynęła się bliżej ognia i mężczyzny.

— Nie brakuje ci tego? Mnie brakuje, przez cały czas. Westchnęła.

— Takie już mam ciało. Nic na to nie poradzę. Wyciągniętym palcem dotknęła jasnych włosów na jego przegubie.

— Ja po prostu... nic na to nie poradzę.

Jej palec wskazujący wspinał się po jego przedramieniu, czuła siłę jego ukrytych pod skórą mięśni.

Jonathan zwrócił swe niebieskie oczy na Suzy. Wyglądała tak niewinnie i bezbrinnie z tymi małymi, delikatnymi uszami odstającymi od ostrzyżonej głowy. W pewnym sensie była teraz piękniejsza i bardziej pociągająca niż przedtem. Wtem pomyślał o Luizie i potrząsnął przecząco głową.

— Nie. To nie jest dobry pomysł. Odwrócił się, gdy Suzy wybuchnęła płaczem.

### **PONIEDZIAŁEK, 17GRUDNIA 1984**

**25**

Zostało im jeszcze kilka zapalek. Nikt dotąd nie próbował rozniecić bez nich ognia. Wszyscy kiedyś czytali, że pocieranie patyka o patyk powoduje tarcie, ale nikt tak naprawdę nie wiedział jak się to robi, a Jonathan słyszał, że to cholernie trudne w praktyce. Pewnego wieczoru kucnęli przy coraz cenniejszym ogniu. Płomienie oświetlały od dołu twarz Jonathana, rzucając czarne cienie na jego zapadnięte policzki. Rozejrzał się po twarzach siedzących wokół kobiet.

— Przypuszczam, że żadna z was nie ma przy sobie szkła powiększające-

Zaprzeczyły ruchem głowy.

— Miałem na „Luizie” lornetkę, ale nie mogliśmy przecież zabrać wszystkiego... Żadna z was nie nosi szkielec do czytania?

Wszystkie zaprzeczyły w milczeniu.

— Ja mam okulary przeciwsłoneczne — odezwała się Syvana.

— To musi być gruby, wypukły kawałek szkła.

Wszystkie, z wyjątkiem Carey, po raz kolejny potrząsnęły głowami.

— Pamiętacie ten szkielec na dnie jaskini? Pamiętacie jej aparat fotograficzny?

— Jutro rano go przyniesiemy— zdecydował Jonathan.

O świcie następnego dnia Patty przybiegła prędko z basenu przy wodospadzie — naga, z wyjątkiem okładu z błota na twarzy, który przyłożyła popree-dniej nocy, by odstraszyć komary.

— Jonathanie! Jakież duże stworzenia ruszają się po plaży. Są trzy! Wydaje mi się, że to żółwie!

Jonathan chwycił oszczep i siekiere i pobiegł w kierunku ścieżki między skałami.

Poruszał się cicho i wolno po piasku plaży, wreszcie podszedł do trzech, brązowych, zaokrąglonych skorup. Odwrócił się i nakazał Patty gestem dłoni by odeszła i wróciła do obozu. Ona jednak, bojąc się, że coś straci, poszła za nim.

Ponieważ skorupa żółwia jest zbyt twarda i nie można jej przebić, Jonathan zabił zwierzę przewracając je na plecy, tak by nie dotknąć niebezpiecznych pazurów. Pancierz na piersi rozłupał na pół siekierą. Pod spodem wiło się fiołkowo-różowe ciało. Pozbawiony skorupy żółw wyglądał jak martwe, tłuste niemowlę. Potem odrąbał siekierą głowę zwierzaka, rozciął mięso i umiejętnie wyłuskał flaki. Gdy wyjął kiszki, wyciągnął spod mostka serce i wątrobę.

— Mówiłem ci, żebyś odeszła — krzyknął, patrząc na Patty. — Teraz chcę go pociąć na kawałki i umyć w morzu zanim one go zobaczą. Smakuje jak mięsisty kurczak, trochę jak kura z fermi karmiona rybami. Potrzebujemy białka. A Sylvana może używać skorupy jako garnka.

— Chyba zwymiotuję — za krztusiła się Patty.

— Nie patrz na to. Rób co innego. Tam gdzie są żółwie, mogą też być jajka. Weź oszczep i poszukaj.

Patty szła po plaży. Mdlilo ją. W pobliżu żółwich śladów wbijała oszczep — długi kij z niebezpiecznym hakiem na końcu, którego używały do wyciągania z morza dużych ryb. W końcu wyjęła oszczep umoczony w śluzie. Uklękła i delikatnie rozgrzebała piasek. Odkryła aż osiemnaście jaj.

Cień Jonathana wszystko przykrył. Patty odwróciła wzrok, gdy postawił na piasku skorupę wypełnioną surowym mięsem i ostrożnie ułożył na nim jajka.

— A jak myślisz, skąd pochodzi mięso, które leży w supermarkecie, zanim opakują je w plastik? — spytał ze złością.

Anna stała nad krawędzią szachtu prowadzącego do jaskini, a Carey ześliznęła się po linie w dół, z przypiętą do koszuli latarką. Bateria powoli zaczęła się wyczerpywać, więc dla oszczędności korzystali z niej coraz rzadziej.

Gdy dotknęła dna szachtu, pociągnęła za sznur dwa razy na znak, że jest bezpieczna, włączyła latarkę i pokuśtykała w stronę szarego szkieletu. Wszyscy uważali, że miał prawo tam być i że to oni byli intruzami w grobie tamtej kobiety. Raz tylko Patty zaproponowała, by przenieść szkielet za komin. Nikt jednak nie chciał naruszać spokoju zmarłej.

Carey kucnęła i oświetlała przyciemnionym światłem latarki okolice mostka szkieletu. Ostrożnie wyciągnęła dłoń i szperała w szarym pyłe, który pozostał na brzuchu kobiety.

Latarka zgasła i Carey została w ciemnościach. Otrzeptyjąc się z obrzydzeniem, szukała po omacku wśród kości. Wreszcie natknęła się na aparat fotograficzny. "Wyciągnęła go ostrożnie i umieściła w torbie z siatki przeciw komarom, którą miała zawieszoną w talii.

Coś, co wydawało się prostym, choć nieprzyjemnym zadaniem, nagle stało się niebezpieczne. Dzięki Bogu, Anna wiedziała, że ona jest na dole. Gdyby potknęła się o skałę, złamała nogę czy straciła przytomność, Ania potrafiłaby ją znaleźć — pomyślała, gdy zawładnęła nią klaustrofobia i zaczęła trząść się ze strachu, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Upłynęło około dziesięciu minut zanim ustąpiły dreszcze i znów mogła oddychać. Wiedziała, że musi działać szybko, zanim nadejdzie kolejny atak.

Kucając przy ognisku Jonathan ostrożnie otrzepał stary, pognieciony K2 „Pentax” z kurzu. Duże grube soczewki były najlepszej jakości. Zerknął przez nie na szkarłatno-żółte płomienie ognia.

— W porządku, umyjemy je — powiedział.

Suzy przytrzymała połówkę skorupy orzecha kokosowego pełną ciepłej wody i podała mu ręcznik. Jonathan ostrożnie wyczyścił i osuszył soczewki.

W ostrym popołudniowym słońcu odwrócił pokarbowane szkło tak, by powstała wewnętrzna szczelina, a promienie słoneczne bez przeszkód przeniknęły szkło.

Ponad sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od ziemi, na powierzchni słońca dochodzi bezustannie do wybuchów nuklearnych. Minuta tej energii przedostała się przez jałową przestrzeń kosmiczną. Cały żar równikowego słońca skupił się na soczewce i sprawił, że kilkanaście centymetrów pod nią, w wierzch dłoni Jonathana, uderzył silnie biały strumień ciepła.

Podskoczył, odczuwając natychmiast bolesne ukłucie.

— Działa na mnie! Spróbujmy teraz co zrobi z hubką. Skupił światło na zwiniętych w trąbkę kartkach papieru wyrwanych z cennego notesu Carey.

Wszyscy wstrzymali oddech. Krążek na papierze zaczął się tlić, aż wreszcie zapalił się. Mieli ogień. Poczuli się bezpiecznie. Mieli coś na czym będą mogli gotować i sterylizować bandaże, mieli także broń.

Wyglądało to na cud, większy niż pierwsze zapalenie żarówki elektrycznej.

## ***ŚRODA, 19 GRUDNIA 1984***

### **26**

Zbliżało się Boże Narodzenie. Wszyscy ze smutkiem myśleli o domu. Zamiast rozpamiętywać straszliwy los swych mężów kobiety cały czas były myślami ze swoimi rodzinami w Pittsburgu. Patty miała nadzieję, że jej matka nie zabierze ze sobą Stefana do Silver City na święta. Z pewnością nie będzie mu dobrze wśród dobrotliwych staruszków ubranych w papierowe kapelusze. Miała nadzieję, że polecą do Pittsburga i spędzi ze Stefanem spokojne święta w domu. Suzy szczerze ulżyło, że nie musi robić dobrej miny do złej gry. Wśród arystokratycznych krewnych, których na święta gromadziła wokół niej teściowa.



Carey miała nadzieję, że Ingrid nie cierpi na ból gardła. Pocąc się w dżungli, trudno było sobie wyobrazić, że w Pittsburgu leży śnieg. W zeszłym roku Ingrid przez trzy miesiące chorowała na zapalenie migdałów. Pierwszy specjalista, do którego się zwrócili był przeciwny operacji, podobnie drugi, więc postanowili czekać.

Gdy Anna pomyślała o Bożym Narodzeniu, stała się jeszcze bardziej cicha i zmartwiona. Oczywiście Fred wszystko zorganizuje. Dodatnią stroną wysportowanej rodziny było to, że zawsze coś się działo, coś co odrywało od złych myśli. Ale kłopot polegał na tym, że chłopcy nigdy naprawdę ze sobą nie rozmawiali. Rozmowy, to było kilka słów w porządku następującym: o której zaczyna się mecz? Sylvana, szykując jedzenie, przypominała sobie wyszukane przygotowania do świąt, zaczynające się w jej domu na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem.

Gdy łyzy zaczęły kapać do amerykańskiej potrawy, którą przyrządzała powiedziała sobie stanowczo, że ma szczęście, że przecież Lorenza wyszła za mąż zanim to się stało, i to za tak miłego i odpowiedniego chłopca.

### ***PONIEDZIAŁEK, 24 GRUDNIA 1984***

***27***

Przedzierając się za Jonathanem przez dżunglę, Patty pomyślała, że nigdy nie wyobrażała sobie, że właśnie właśnie tak spędzi Boże Narodzenie. Przez chwilę zamyśliła się, lecz zaraz stanowczo odepchnęła od siebie wszelkie wspomnienia z Pittsburga. Nie "odważyła się myśleć o domu. Nie śmiała myśleć o dniu wczorajszym. Skupiła się na tym co działo się teraz na szlaku," którym podążała. Poszli zapolować, bo Jonathan uparł się, że muszą zjeść na święta coś lepszego niż pieczony szczur. 'Mężczyzna szedł wolno i bezszelestnie.

Patty podążała za nim. Po dziesięciu krokach pomyślała: jeśli nie będzie uważał, przekroczy Williama Penna.

Po kilku minutach, ku swemu przerażeniu, usłyszała, że ktoś idzie po lewej stronie — ktoś w butach żołnierskich, ktoś kto nie stara się iść cicho.

Patty uskokczyła w bok, by schować się za drzewem sandałowym i zastygła w bezruchu. W polu jej widzenia pojawił się samotny, ciemnoskóry żołnierz w mundurze.

Patty czekała. Jeśli ktoś za nim szedł, nadejdzie za chwilę. Odliczyła trzydzieści sekund i zaczęła iść równoległe do ścieżki, po której kroczył żołnierz. Gdy tak szła, osłoniętą krzewami, do głowy cisnęło jej się naraz kilka możliwości. Czy Jonathan był na szlaku wcześniej? Czy się ukrył? Gdziekolwiek był, pewnie myślał tylko o polowaniu, a nie o swoim bezpieczeństwie —

to należało do Patty. Jeśli ten mały, wyglądający podle, człowieczek zobaczy Jonathana, to co zrobi ? Czy będzie chciał go złapać ? Czy może... ?

Dowiedziała się, gdy zobaczyła, że żołnierz zatrzymał się nagle, szybko obejrzał za siebie, potem na boki. Upewnił się i podniósł do góry strzelbę.

Patty wyciągnęła zza paska nóż, wiedziała, że zostało jej tylko kilka sekund na działanie. Gdy zeszła na ścieżkę, dzieliła ją od obcego odległość niecałych trzech metrów.

Czy powinna tylko odwrócić jego uwagę czy raczej chwycić nóż i wbić go w plecy wroga? Ale przecież miał plecak. W każdym razie, przypuścmy, że nie trafi.

Była teraz tak blisko, że mogłaby łatwo skoczyć na niego z drzewa'od tyłu, dałoby to pewność, że wtedy nie strzeli. Miał na głowie kapelusz, jaki nosi się w dżungli, a nie kask i dzięki Bogu, był praworęczny. Przechylił głowę w prawo by wycelować i odsłonił lewy bok szyi.

Serce znajduje się pośrodku i jest lekko przesunięte w lewo. Jeśli wbije lewą ręką nóż z dwudziestocentymetrową klingą aż po rękojęć we wgłębienie przy lewym obojczyku, to nóż nie znajdując żadnej przeszkody dotrze wprost do serca.

Patty nie myślała ani o niebezpieczeństwie ani o konsekwencjach. To pozycja numer osiem. Raz, dwa, uderzaj ! — myślała. Z nożem w lewej ręce, unosząc w górę ramię, skoczyła na plecy mężczyzny.

Gdy wbiła się w jego szyję, z rany trysnęła krew i oblała jej rękę. Mężczyzna krzyknął, zachłysnął się, zatoczył i upuścił strzelbę. Ugiął się pod ciężarem Patty. Przerazona, raz za razem dźgała go nożem.

Słyszając hałas Jonathan przybiegł na ścieżkę.

Znalazł Patty, rozciągniętą na osłabłym, krwawiącym ciele ubranym w mundur. Szybko kopnął w bok strzelbę żołnierza, szarpnął Patty i odciągnął ją od trupa. Odwrócił go na plecy i poderżnął mu gardło. Potem, trzymając w dłoni swój M-16, stanął na drodze rozglądając się na boki i wsłuchując w ciszę dżungli.

— W porządku, Patty?

— Myślę, że tak.

Dżungla była nieruchoma. Jonathan wyrwał nóż Patty z ciała żołnierza, szybko wytarł o trawę i oddał dziewczynie.

— Myślę, że był sam. Zdejmijmy mu plecak, ściągniemy go ze ścieżki i zakopimy. Ty weźmiesz go za jedną nogę, ja za drugą. Potem wrócimy i wszystko uprzątniemy.

Patty nie poruszyła się, patrząc wciąż na mężczyznę. Myślała tylko o tym, że przed chwilą zabiła człowieka.

Jonathan widział tylko strzelbę AK 47, mundur khaki, czapkę z miękkim daszkiem, koszulę z długimi rękawami, podkoszulkę pod spodem i kurtkę z kieszeniami na suwaki oraz butelkę, która wisiała przytroczone do paska z taśmy.

— Buty! — szepnął Jonathan, dotykając ramienia Patty, Zaciągnęli ciało do dżungli. Potem oczyścili ścieżkę, choć Jonathan wiedział, że każdy tubylec domyśli się natychmiast, że kogoś tu niedawno zabito.

Rozebrali trupa, wsunęli pod porastające dżunglę rośliny i przykryli śmieciami leżącymi na ziemi. Jonathan zdał sobie sprawę, że ktokolwiek będzie szukał żołnierza, prędko odnajdzie ciało.

Usiadł na piętach.

— Jeśli chciał mnie zastrzelić, to znaczy, że te sukinsyny jeszcze się miotają jak szaleńcy.

Sprawdził, co było w plecaku. Znalazł dwadzieścia pięć naboí, dwie paczki z dzienną racją żywnościową, cztery paczki miejscowych papierosów, sześć pudełek zapalek, małą buteleczkę olejku miętowego i kupon różowej bawełny w kwiatki.

— Wygląda na to, że wybrał się z prezentami świątecznymi do Katangi. Och, tak, przecież na Paui obchodzi się Boże Narodzenie. Tubylcy nie powinni nas napaść dopóki trzymamy się Złotego Trójkąta i nie damy się zaskoczyć przy Williamie Pennie. Jeśli terroryści przyplyną morzem, zdążymy ukryć się w jaskini. Lecz gdyby przybyli od strony Zatoki Rajskiej," będą musieli przejść przez most Burma. Będziemy wtedy musieli przeciąć dwie liny na górze, to zajmie tylko trzydzieści sekund. Nie wolno tego zrobić pochopnie — tylko w razie niebezpieczeństwa i tylko wtedy, gdy będziemy pewni, że przyszli nas szukać, bo kiedy już to zrobimy, dowiedzą się, że tu jesteśmy.

## ***PONIEDZIAŁEK, 24 GRUDNIA 1984***

**28**

29 listopada zniechęcony Hary odleciał z powrotem do Port Moresby. Wieczorem, w poniedziałek 3 grudnia, złapał samolot Quantas do Honolulu, stamtąd do San Francisco. Rano, we wtorek 4 grudnia, bardzo zmęczony z powodu zmiany czasu, wjechał windą na trzydzieste szóste piętro wieży „Nexus”. Siedząc wygodnie w obrotowym fotelu przy szerokim konferencyjnym stole, zdawał sprawozdanie przed zebraniem kierownictwem.

Gdy skończył, Jerry Pearce pochylił się do przodu i strzepnął popiół z cygara.

— Działamy teraz na podstawie dwóch założeń: pierwsze — nasi ludzie zjawią się, drugie — nie zjawią się wcale.

Rola głównego szefa bardzo odpowiadała Jerry'emu Pearce. Jego oczy za szklami bez oprawek były czujne, lecz odprężone. Ubrał się w świetnie skrojony ciemnoszary garnitur, wyglądał przystojnie i świeżo, choć w jakimś sensie przypominał męski model, który odgrywa dla celów reklamowych rolę prezesa korporacji. Spotka go jeszcze niespodzianka — pomyślał

Harry. Być może, mimo wszystko, będzie musiał oddać to pierwsze miejsce przy stole.

— Jak wiesz, Harry, utrzymujemy bliskie stosunki z Departamentem Stanu. Robimy wszystko, co w naszej mocy i oni również bez wątplenia, ale chcemy, by widziano, że przywiązujemy do tego najwyższą wagę, i że zajmuje się tym jeden z naszych szefów. Jak tylko będziesz mógł, Harry, wróć na Paui. Prowadź dalej poszukiwania. Niech ci to zajmie nawet miesiąc, jeśli trzeba.

Harry mrugał oczami ze zdziwienia. Gdy był na Paui, Jerry kazał mu wyjechać stamtąd.

— Już wyjaśniłem, że to wy macie władzę, dzięki której można zorganizować prawdziwe poszukiwania. Tego nie da się załatwić siedząc na Paui.

— Bzdura ! Nie ograniczaj wydatków, jeśli istnieje taka konieczność, Harry. Oczywiście w granicach rozsądku. Jeśli nie żyją, musimy zdobyć dowód ich śmierci. Tutaj w Stanach, prawnie nie można stwierdzić zgonu zanim nie minie siedem lat od chwili zaginięcia. Więc firmy ubezpieczeniowe nie będą przez ten czas płacić, chyba że znajdziemy jakiś ślad.

— Do tego czasu pieniądze mogą stracić na wartości o około pięćdziesiąt procent przy średnim poziomie inflacji sięgającym dziewięciu procent rocznie — ktoś dodał.

— Charley i Patty ubezpieczyli się na życie na więcej niż wynosi całe ubezpieczenie pasażerów Boeinga 747 — powiedział mężczyzna siedzący po lewej stronie Harry'ego.

— Dodajmy jeszcze obowiązkowe pokrycie kosztów oferowane przez „Nexusa” kierownikom — dodał Jerry. — Mąż Izabeli, dzięki naszej polityce socjalnej, też dostawał niezłe pieniądze od firmy.

— Cała suma ubezpieczenia będzie miała prawdopodobnie osiem cyfr. Jeśli nie wrócą, ich krewni staną się nagle milionerami — mówił mężczyzna po lewej stronie Jerry'ego.

— Wydaje mi się, że woleliby nimi nie być — odparł Harry. Jerry zmienił temat.

— Kiedy wrócisz na Paui, to jak najszybciej sfinalizuj kontrakt z Rakim.

— On wciąż jeszcze jest obrażony.

— Opłaty za ochronę naszych praw zostały mu wypłacone aż po dzień dzisiejszy. Dostał także te zdziercze odsetki, tak jak chciał.

— Raki jest chciwy. Słyszałem, że jeszcze nie zapłacił żołdu swojemu wojsku. Według niego poniżyliśmy jego osobę. Mogą być problemy.

— Jakie? — ktoś spytał.

— Umówi się, a potem nie zechce się ze mną spotkać. Będzie bawił się w kotka i myszkę. Zażąda jakiejś określonej sumy i gdy tylko zgodzę się na nią, zaraz ją podwyższy. Podejrzewam, że chce dostać więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przyszło nam na myśl.

— To twój rejon, Harry i ty jesteś odpowiedzialny. Zaprzyjżnij się z Ra kim i jak najprędzej podpisz kontrakt.

— To wygórowane żądania.

— Dobrze Harry...

— Lepiej powiem ci, ile teraz zażądał.

Gdy wymienił sumę, wokół stołu zapadła głucha cisza.

— Mówi, że jak już wydobędziemy tyle, ile chcemy wydobyć to nic dla nich nie zostanie. I prosił mnie, żeby wam przypomnieć, że „Nexus” nie kopie bogactw naturalnych dla dobra Paui.

— Męczy mnie słuchanie jak kraje Trzeciego Świata skrzeczą, że międzynarodowe giganty bezceremonialnie pożerają ich surowce i wykorzystują je — i do tego jeszcze te specjalne ustalenia...

Harry przyjrzał się zaciętym twarzom ludzi siedzących wokół stołu. Zawsze można znaleźć cywilizowaną wymówkę, by wytłumaczyć działania niezgodne z prawem — pomyślał.

— Czy ta nowa cena Rakiego da nam gwarancję, że umowa będzie zawarta? Całkowite prawo do wydobycia wszystkich bogactw na Paui przez następne dziesięć lat?

Harry potrząsnął głową przecząco.

— Ten sam układ co poprzednio — tyle tylko, że będzie was kosztował więcej.

— Musimy nalegać na podpisanie umowy na wydobycie wszystkiego. A Więc Jerry dowiedział się o zasobach kobaltu i chromu.

Powiedział to później, po lunchu, w mahoniowym zaciszu Klubu „Nexus”.

Rozmawiali o Paui. Harry opowiedział Jerry'emu o śmierci Bretta i o swoich wątpliwościach co do prawdy o eksplozji łodzi. Poszukał w kieszeni zegarka Artura. Jerry rozpoznał go natychmiast.

— Zawiadomiłeś Waszyngton?

— Jeśli powiemy im o tym, to niczego więcej nie da się ujawnić. Rakiemu odpowiada pomysł, by tłumaczyć zaginięcie naszych ludzi zwykłą przypadkową eksplozją jachtu. Postanowił upierać się przy tym, że „Luiza” była już wysłużona. Nie chce, by ktokolwiek podawał w wątpliwość jego odkrycia. Wtedy torpedowałby wszelkie dalsze poszukiwania.

— A co spodziewasz się znaleźć?

— Nie wiem. Wszystko. Może jeszcze jakieś rzeczy osobiste, coś czego nie da się wytłumaczyć.

— Daj mi ten zegarek. Spróbuję ustalić, czy był w morzu. Nie wygląda na to.

— Wolałbym go zatrzymać — odparł Harry, umieszczając przedmiot z powrotem w kieszeni.

— Wolałbym, żebyś mi go przekazał. U mnie będzie bezpieczniejszy.

— Wolałbym go zatrzymać przez pewien czas, Jerry.

— Daj mi ten zegarek, Harry.

Zdziwiony Harry znieruchomiał.

— Nie, chcę spytać matkę Artura.

Zakłopotany Harry zastanawiał się dlaczego Jerry tak bardzo nalega, by zegarek znalazł się u niego.

— Dobrze, przypuszczam, że... W porządku, Harry, ale potem idź do sejfu biurowego. Ten zegarek to nasz jedyny dowód.

— Pewnie. — Harry zmienił temat. — Możesz przysłać mi listę ubezpieczeniową cennych przedmiotów osobistych, także biżuterii kobiet. Na wypadek, gdyby coś wróciło do rąk pani Chang.

Rano, w środę 5 grudnia, Jerry Pearce, wesoło pogwizdując wyszedł z domu. Ubrany w uniform kierowca zasalutował i odwrócił się, by otworzyć drzwi stojącego obok czarnego lincolna, który czekał na Jerry'ego.

Jerry skinął aprobowując głową i wszedł do środka. Wziął gazetę przygotowaną dla niego.

W żaden sposób nie może dopuścić do utraty tego wszystkiego — powiedział sobie.

Miał powody, by sądzić, iż każdy nowo wybrany i działający w zastępstwie wiceprezes w tymczasowej Radzie, czuje dokładnie to samo co on, zajmując swoją nową pozycję. Naturalnie nic jeszcze nie zostało powiedziane. Wczorajsze zebranie Rady było sprawdzianem.

Jerry z całą pewnością wiedział, że wszyscy obecni udzielą mu solidnego poparcia. Trzeba było zacząć poszukiwania na szeroką skalę, ale Jerry wyczuł, iż wszyscy ufają mu, że nie przyniosą one nic.

Do diabła — myślał. Istniała 99,9 procentowa pewność, że i tak są już martwi, z zegarkiem czy bez zegarka.

— Bądź rozsądny, Harry—powtórzył, bębniąc palcami w stół, przy którym odbywały się zebrania. Zostali sami w sali posiedzeń, personel biura poszedł już dawno do domu.

— Mogę powiedzieć ci tylko to samo — odparł Harry. Jerry Pearce wzruszył ramionami.

— Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, ale teraz musimy pomyśleć o prowadzeniu firmy. To od nas zależy, czy będzie miało pracę mnóstwo ludzi, czy nie. Akcjonariusze nie zniosą tego, że wiecznie siedzimy z założonymi rękami. To smutne, ciężkie do przeżycia, ale trudno, stało się. Musimy to zaakceptować, Harry.

— Ty nie chcesz, żebym skłonił Waszyngton do działania, prawda? Tobie, Jerry, odpowiadałoby najbardziej urządzić długotrwałe, mało efektywne poszukiwania. Przez ten czas utwierdzisz wszystkich w przekonaniu, że możesz kierować firmą. Im dłużej pełnisz obowiązki prezesa, tym większe masz szanse na to, by pokazać, że potrafisz nim być i powinieneś zachować tę posadę skoro nie można odnaleźć zaginionych szefów. A Rada nie będzie krytkować

sposobu poszukiwań, bo odnalezienie tych ludzi nie leży wcale w ich interesie. Wszyscy ci tymczasowi wiceprezesi chcą zostać stałymi wiceprezesami, prawda?

Jerry spojrział na Harry'ego stojącego z rękami w kieszeniach przy ogromnym oknie bez zasłon, na tle zimowego, usianego gwiazdami nieba.

— Twoje wysiłki zrobiły na wszystkich duże wrażenie, ale wiemy, że nic już więcej zrobić się nie da. Zapomnij o tym bzdurnym harcerstwie i zabierz się za biznes. Przerwij tę wyprawę z motyką na słońce i skup się na zawarciu umowy z Rakim — możliwie jak najszybciej. Wszyscy wiemy, że to sukinsyn, ale taka jest większość ludzi, a ty masz sposoby by z nimi sobie poradzić. Dobrze, że nie dałem mu zegarka Artura. Okazałoby się, że nie należał do Artura, a potem jakoś dziwnie by zniknął i wreszcie zginąłby na zawsze, a to byłoby im na rękę — pomyślał Harry.

•— Może to trochę zbyt przedwczesne, ale wokół panuje mocne przekonanie, że ty też zasiądziesz w Radzie. Pomyśl, co się z tym łączy, Harry. Możliwości handlowe, prestiż, pieniądze. Najwyższy czas pomyśleć o karierze. To będzie dla ciebie ogromna szansa.

Harry miał ochotę wbić okulary Jerry'ego w jego czaszkę. Czyżby Jeny brał go za aż tak głupiego i mógł pomyśleć, że się nie zorientuję w tej grze? W tym momencie zrozumiał, że najważniejsza w jego życiu jest Anna. Jeśli jeszcze żyje, nigdy już nie pozwoli jej odejść. Do licha, zawsze mógł znaleźć inną pracę.

— Oczywiście, że wrócę na Paui, gdy tylko będę mógł—i zamierzam dalej ich szukać. A ty, Jerry nie możesz mnie powstrzymać. Mam przecież zegarek! I jest to dowód, że mam czego szukać.

Wychodząc, trzasnął drzwiami. Sprawilo mu to przyjemność.

## ***ŚRODA, 26 GRUDNIA 1984***

**29**

— To nic było wcale gorsze niż zabicie koźlęcia z hotelu — powiedziała Patty i nie chciała mówić już nic więcej.

— Nigdy nic myślałam, że ta siksa, którą dręczy poczucie winy, ma to w sobie — Carey i Anna rozmawiały, zbierając drzewo do ogniska. — To nie była ta bezduszna, słaba kobieta, którą pamiętały z Pittsburga.

— Nie była taka Zła.

— Zawsze robiła z igły widły — przypomniała Carey.

— Tylko czasami.

— Zawsze znajdowała jakąś dobrą wymówkę, by nikomu nie pomóc — zbyt zajęta!

Wiązka drewna, którą Zebrała Ania zaczęła się rozsypywać.

— Jeśli zwiążemy dwie wiązki pośrodku to będzie można przerzucić linę przez kark i nieść we dwie. Daj, pokażę ci jak to zrobić.

— A co sądzisz o tym, jak się zmieniła Sylvana? Dawniej była do niczego.

— Obóz byłby o wiele mniej wygodny, gdyby nie ona.

— Pamiętasz jaką była snobką? Teraz sama jest służącą i kucharką — i to naprawdę dobrą.

Carey podniosła się i przewiesiła dwie wiązki drewna przez szyję Anny.

— Może wszystkie zawsze byliśmy bardziej wytrzymałe i mądrzejsze niż myślałyśmy — odrzekła Anna.

Tej nocy Carey nie mogła zasnąć. Ugryzł ją w powiekę komar i nie spała, bo dokuczało jej podrażnione oko. Z jednej strony łóżka Sylvana mamrotała coś przez sen, z drugiej — Suzy miłosiernie leżała cicho.

Gdy Jonathan miał gorączkę spał pod zadaszeniem, a Patty na jego łóżku bambusowym. Gdy wyzdrowiał, Patty, która wciąż traktowała Suzy jak zarazę, nie zgodziła się wprowadzić do szałas, w którym ona spała, więc Carey zamieszkała z Suzy i Sylvaną.

Nagle Suzy zaczęła pojękiwać. Carey westchnęła. Wiedziała co nastąpi po tym. Suzy, która przecież nie widziała jak Patty zabiła żołnierza, wydawała się tym najbardziej poruszona.

Krzyknęła.

Carey sturlała się z łóżka i potrząsnęła nią.

— W porządku, to tylko sen. — Kołysała ją w ramionach i głaskała. — No, no, dziecinko, już po wszystkim — szeptała.

— Nie mogę... nie mogę znieść przemocy — łkała Suzy.

— To w takim razie przyszedł do złego Klubu Medów.

Suzy nadal płakała — także dlatego, że ogarnęła ją wściekłość na samą siebie. Zawsze była dumna z tego, że ulica nauczyła ją twardego życia, ale gdy Jonathan i Patty pojawili się nagle pokrwawieni i dowiedziała się co się stało, przypomniała sobie dziecięcy strach, który czuła gdy usłyszała szuranie ciężkich butów ojca, wchodzącego po schodach. Od chwili zabójstwa dręczyły ją koszmary nocne pełne szurających butów, noży i krwi.

Teraz, tuląc się do Carey, przypomniała sobie jak się tuliła do matki w ich mieszkaniu, na samej górze chwiejącego się i rozsypującego domu w Shadysie. W dzień ojciec pracował w dziale urzędniczym jednego z dużych stalowych młynów, w nocy się upijał.

Nie bił Suzy tak bardzo jak bił jej matkę. Nie bił ich co wieczór, ale wystarczająco często, by pełne lęku oczekiwanie zdominowało jej dzieciństwo. Nie zasypiała nigdy od razu. Gdy tylko matka otuliła ją i pocałowała na dobranoc, Suzy w piżamce z Myszka Mickey, podskakiwała i stawała w dziecięcym łóżeczku. Przytykała ucho do ściany pokoju stołowego i cichła w przerażającej ciemności by usłyszeć dźwięki, które przerażały ją jeszcze bardziej. Nigdy nie słyszała tego co mówi li jej rodzice, ale po tonie głosów — ojca rosnącym, matki — błagalnym — mogła osądzić, czy przerwanie im może



coś pomóc. Gdy bardziej bała się zostać niż iść, wbiegała do pokoju stołowego prosząc o szklanę wody, o cokolwiek. Czasami skutkowało.

Oczekiwanie było o wiele gorsze niż pobicie. Gdy miała pięć lat była już dobrze oswojona z bólem Fizycznym i lekko zobojętniała. Gdy ojciec ją bił myślała po prostu o czymś innym.

W ich domu nigdy nie było żadnych rozmów. Im mniej mówiła, tym bardziej było prawdopodobne, że nie powie czegoś nie tak, cokolwiek by to było, czegoś co zezłości ojca. Nauczyła się odgadywać jego nastrój po sposobie, w jaki szedł po schodach. Nauczyła się pragnąć, by stać się niewidzialną, chować się i kłamać. Umiała już żyć ze świadomością poniżenia, niemożności i winy za to, że nie może nic zrobić dla matki, że musi poddać się wściekłości ojca, a potem naprawić szkodę, gdy ta już się stanie — wytrzeć krew, pocałować siniaki, ostrożnie dotknąć złamanego nosa i zdecydować, czy iść na pogotowie, gdzie matka kłamała, że weszła po ciemku na drzwi do łazienki. Nigdy jednak ze wstydu nie przyznała się publicznie do tego, co się naprawdę wydarzyło, bo poniżenie przed ludźmi było najgorsze.

Suzy nie mogła zrozumieć, dlaczego zastraszona matka nie opuściła ojca, nie zażądała rozwodu. Nie rozumiała tego, gdy pędziły ulicą na posterunek policji i nikt nie zrobił nic oprócz podrapania się w głowę i powiedzenia: „rodzinna kłótnia”. Nie zrozumiała też dlaczego, tego dnia, kiedy matka w końcu zebrała się na odwagę by odejść, ojciec załamał się i płakał, błagał by nie odchodziła, mówił, że ją kocha. Matka Suzy, bardziej przestraszona odejściem niż perspektywą pozostania przy nim, rzuciła się w jego ramiona i została. Po czym, w ciągu tygodnia, powtórzył się ten sam stary cykl.

Suzy nigdy tak naprawdę nie była dzieckiem. Gdy tylko nauczyła się chodzić, nauczyła się także łączyć słowo mężczyzna z tyranią, przemocą i strachem. Nigdy z żadnym nie związała się całkowicie, nawet z dobrodusznym, oglupionym Brettem. Jeśli miało się w ogóle jakąś władzę — rozumowała — to należało jej użyć dla ochrony samego siebie i nigdy nie przestawać być w pogotowiu. Potem dostawało się to, co niezbędne, dopiero potem to, co było luksusem. Gdy mogła już wydobyć się z tego piekła, zrobiła to, pomimo wstydu, jaki czuła opuszczając własną matkę. Choć ciągle miała przed oczami jej twarz pełną niewypowiedzianych wyrzutów, nigdy, ani razu, nie zadzwoniła do niej. Chciała tylko uciec od wspomnienia tej ostatniej sceny, wymazać ją z pamięci.

W ciemnościach Carey gładziła ją po głowie.

— Biedna dziecina. Gdzie jest teraz twoja mama, Suzy?

— Kilka miesięcy po tym jak uciekłam, spadła ze schodów i uderzyła się w głowę. Osiem dni przeleżała nieprzytomna i umarła. Nie widziałam go od czasu pogrzebu. Nie mogłabym z nim rozmawiać.

Wytarła nos wierzchem dłoni.

— Nie chcę nigdy więcej oglądać tego podłego sukinsyna — łkała.

— Biedna dziecina — pocieszała ją Carey.

## ***CZWARTEK, 27 GRUDNIA 1984***

**30**

Siedziały przy ognisku, czekając aż wszędzie księżyc. — Nie wyjadę z PacySku — powiedziała Sylvana. — Pojadę na Fidzi i spróbuję zrobić tam coś pożytecznego. Gdy łowiliśmy

tam dwa lata temu ryby, upadłam i skręciłam nogę w kostce. Codziennie, aż do wyjazdu, odwiedzała mnie w hotelu rejonowa pielęgniarka. Utrzymywała kontakt ze wszystkimi dziećmi, których porody odbierała. Przyglądała się jak dorastają. Pamiętam, że pomyślałam jakie to cudowne, spędzić życie na pomaganiu ludziom — na tym, że naprawdę jest się potrzebnym. Więc wczoraj w nocy postanowiłam, że gdy wrócimy, polecę na Fidzi i odszukam tę pielęgniarkę, i zobaczę, czy mogę jej w czymś pomóc. Będzie wiedziała, czego tam potrzeba. Może wybuduję mały szpital dla dzieci.

— A co z Lorenzą?

—Lorenza , przecież nie jest już moim niemowlęciem, jest mężatką. Z Fidzi prawie tak samo łatwo wykręcić numer do Nowego Jorku jak z Pittsburga.

— Ale co z twoim pięknym domem? Sylvana wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie czułam się tam dobrze. Nie chcę więcej tych wymyślnych, towarzyskich spotkań z urzędu, chcę mieć nareszcie prawdziwe życie.

Suzy była zaszokowana.

— A te wszystkie twoje śliczne rzeczy...

— Im więcej się ma, tym więcej chce się mieć. Podejrzewam, że człowiek jest najbardziej zadowolony, gdy ograniczy się do tego, co niezbędne.

— Ale to są miejsca bez cywilizacji.

— Zaczynam wierzyć ludziom, którzy mówią, że strach to choroba cywilizacji. Nigdy nie mogłabym żyć tak jak przedtem. Chcę sama decydować o moim życiu i spędzać je tak, żeby być szczęśliwą. Kiedy człowiek sam wybiera, staje się silny, ja takie właśnie życie wybrałam.

W końcu wtrącił się Jonathan.

— Najpierw muszę dostarczyć was z powrotem do Pittsburga.

## ***WTOREK, 26 LUTEGO 1985***

**31**

Deszcz przestał padać tak nagle jak zaczął. Słońce świeciło przez cały dzień.

— A więc Long Wet skończył się dwa dni wcześniej. Poczekajmy jeszcze ze dwa dni, by mieć pewność. Wtedy spuścimy tratwę na wodę. To będzie pierwszego marca, godzinę przed wysoką falą przyływu, o dziesiątej wieczorem.

— Dlaczego nie możemy wypłynąć w morze o zmierzchu, jak poprzednio? Nie będziemy przecież pakować się po ciemku? Możemy pośliznąć się na tej stromej ścieżce, która schodzi na plażę.

Jonathan nie odpowiedział od razu. Gdy się w końcu odezwał, mówił tonem upewniającym je, że wszystko będzie dobrze. Zdążyły już się zorientować, że znaczy to „uwaga kłopoty”.

— Musimy założyć, że ci tubylcy w wiosce na dole są wrogo do nas nastawieni, skazaliśmy przecież ich święte miejsce. Nie spodziewali się, że wyjedziemy wcześniej, ale wiedzą, że wyruszymy, gdy tylko skończy się Long Wet. Ani w lagunie, ani w pobliżu skał nie może dojść do walki. Gdy będziemy na morzu... cóż, mamy broń.

### ***PIĄTEK, 1 MARCA 1985***

**32**

Godziny do zapadnięcia nocy mijały bardzo powoli. Dziesięciometrowa bambusowa tratwa czekała ukryta pomiędzy drzewami na szczycie wzgórza, gotowa, by puścić ją na rolkach zrobionych z okrągłych bali w dół zbocza skały. Przez cały dzień kobiety po cichu pracowały w powolnym, lecz miarowym tempie.

Po raz kolejny zapakowały rzeczy do toreb przywieszonych do pasków. Znów naostrzyły noże rybackie, napełniły bambusowe pojemniki, sprawdziły kubelki z suszonymi rybami, ułożyły owoce i kokosy i umieściły wszystko w plecionych z lian workach.

Starannie ustawiły zapasy w idealnej kolejności, takiej w jakiej będą je zabierały na tratwę.

Od zmroku czekały ostrożnie i czujnie. Nikt nie przysłuchiwał się nocnej symfonii.

O godzinie dziewiątej wieczorem Jonathan odezwał się miękkim głosem.

— W porządku. Chodźmy. Wejdz na drzewo, Suzy. Reszta zanieś zapasy na plażę.

O dziesiątej wieczorem zajęły przygotowane wcześniej stanowiska do spuszczenia tratwy. Suzy siedziała na warcie na drzewie, wokół pnia zawiązała linę na węzeł. Poniżej, Carey przygotowywała się do powolnego popuszczania sznura.

Lina Patty była przymocowana do rosnącego na skałach eukaliptusa. Stojąca na skatach Anna pełniła rolę wartownika Carey, Sylvana dawała sygnały Patty.

Jonathan sprawdził kłody, po których mieli spuszczać tratwę.

— W porządku, przygotujcie się do działania.

Zszedł po ścieżce między skatami i zajął miejsce przy brzegu, tuż przy wodospadzie. Był przypyływ, stał więc o wiele bliżej skały niż poprzednio, przy

pierwszym wodowaniu, i trudniej mu było dostrzec kobiety. Widział tylko srebrnoczarne sylwetki Sylvany i Anny na szczycie skał. Anna zobaczyła, że Jonathan unosi w górę obie ręce. Podniosła więc swoje lewe ramię, Carey popuściła linę na około trzydzieści centymetrów.

W tym samym czasie Sylvana podniosła prawe ramię i Patty popuściła swoją linę na tę samą długość. Tratwa ześliznęła się do przodu i szarpnąwszy, zatrzymała się.

Minutę później Jonathan znów uniósł w górę ramiona. Znowu tratwa posunęła się do przodu i zatrzymała gwałtownie. Spuszczali ją powoli, ale zbocze było strome i było ważne, żeby zwalniać obie liny jednocześnie i to równo, w przeciwnym razie tratwa kołysałaby się na boki.

Po czternastu minutach napięcia po raz kolejny podniósł w górę ręce. Nagle usłyszał szcęk przypominający uderzenie metalu o metal. Był nagi i wystawiony na niebezpieczeństwo, pojął nagle, że w świetle księżyca stanowi wyraźny cel.

Opuścił ramiona.

Stojąca nad nim Alma i Sylvana też opuściły ramiona. Carey i Patty posłusznie przestały popuszczać linę.

Na drzewie, gdzie Suzy trzymała wartę coś zaszeleściło.

— O co chodzi? — szepnęła Suzy.

— Nie wiem.

Kobiety czekały przestraszone.

Gdy minęły dwie minuty i nic się nie stało, Jonathan uniósł w górę ramiona. Tratwa, której nie mógł dostrzec, potoczyła się do przodu, ostrożnie opuszczana przez Patty i Carey.

Suzy wierciła się na drzewie, by lepiej się przyjrzeć.

Była tak podekscytowana, że bezmyślnie cofnęła się na gałąź, której wcześniej nie sprawdziła.

Z trzaskiem, przypominającym wystrzał, gałąź przełamała się nagle. Obie, gałąź i Suzy, spadły z hukiem na ziemię.

Suzy upadła na Carey, która podskoczyła, krzyknęła — i wypuściła linę z rąk.

Gdy jej lina rozplątała się, tratwa przechyliła się do przodu i zakreśliła, kołysząc się całym ciężarem na linie Patty. Wtedy sznur wysliznął się Patty z rąk, parząc obie jej dłonie. Ból spowodował, że wypuściła linę.

Tratwa zakołysała się w przeciwnym kierunku, potem na łeb na szyję ześlizgiwała się z trzaskiem po zboczu, pędząc niby śmiercionośne sanie w stronę brzegu skały.

Annie udało się uskoczyć zanim tratwa wywróciła się obok niej. Lżejsza niż poprzednia, nabierała coraz większej prędkości tocząc się w dół po stromym zboczu.

Dobiwszy do brzegu skały, z okropnym hałasem zakołysała się na szczycie wzgórza.

Niżej, na plaży, Jonathan usłyszał krzyk i zobaczył, że Anna zniknęła. Zaatakowano nas! — pomyślał. Potem zobaczył jak tratwa pędzi po zboczu zasłaniając gwiazdy. Nie dowierzając własnym oczom widział jak sunie w stronę wodospadu. Uderzyła o skały przy basenie i lecąc w powietrzu, kierowała się prosto na niego. Rozbije się na kawałki jeśli czegoś nie zrobię — pomyślał. W tej samej chwili ostry kant tratwy uderzył go w prawą skroń. Tratwa zwała go z nóg do tyłu, upadł głową na leżący za nim głaz. Jego czaszka pękła u podstawy. Zmarł natychmiast. Carey niebezpiecznie szybko rzuciła się do brzegu skały. Za nią pędziła Suzy. Poniżej, tratwa, która spadła na wodę i skręciła z prądem w stronę pogrążonej w ciemnościach laguny. Podrapana i zakrwawiona Carey dotarła do piasku, popędziła przez plażę i rzuciła się w morze. Postanowiła, że uratuje tratwę — ich jedyną nadzieję na ucieczkę, zanim prąd zabierze ją w morze. Do tratwy przymocowali sześć lin z winorośli. Gdyby udało się jej złapać choćby jedną, wciągnęłyby się po niej na pokład. Biegła przez mieliznę, wzięła głęboki oddech i nurkowała. Wdech przy czwartym skoku, wdech przy szóstym skoku... Płynęła szybciej niż kiedykolwiek. Gdy Suzy dobrnęła do plaży, Carey była w połowie drogi do tratwy. Zbliżała się do przerwy w skałach, gdzie rozciągała się ostra jak brzytwa rafa koralowa. — Wracaj, Carey! Przy rafie są rekiny! — krzyknęła przerażona Suzy, stojąc przy brzegu wody. Nawet gdyby Carey udało się wciągnąć na tratwę, bez wiosł byłaby zdana na łaskę prądu, a bez jedzenia i wody, wkrótce i tak musiałaby zginąć. Carey z głową pod wodą, nie słyszała wołania Suzy, płynęła w stronę tratwy.

## NIEBEZPIECZEŃSTWO

### 33

Carey nagle zrozumiała jak wielkie niebezpieczeństwo jej grozi. Próbowała wydostać się z prądu wodospadu, który znosił ją coraz bliżej wąskiego tunelu, za którym rozciągał się ocean.

Wiedziała, że nie zdoła płynąć pod prąd, zawróciła więc na południe i skupiła na tym, by płynąć równoległe do plaży. Wreszcie wypłynęła na spokojną wodę. Znowu skręciła w prawo i skierowała się z powrotem w kierunku plaży.

Gdy Carey oświetlona światłem księżyca, walczyła o życie, Anna i Sylvana ześlizgiwały się ze zbocza — zbyt szybko i niebezpiecznie. Razem wyciągnęły Jonathana z wody, wiedząc przez cały czas, że nie tylko jest nieprzytomny, ale że jest martwy. Patty przez pół godziny robiła mu sztuczne oddychanie. Carey leżała wycieńczona dysząc, z głową na kolanach Suzy. Światło księżyca rzucało srebrną poświatę.

Patty w końcu powiedziała.

— Nie ma sensu. Wy buchnęła płaczem.

Wszystkie, nie dbając o własne bezpieczeństwo, zgromadziły się wokół chudego ciała leżącego na piasku. Łkały, trzymając jeszcze ciepłe dłonie Jonathana i całując je. Głaskały go po włosach, całowały po twarzy i błagały, by ich nie opuszczał. Były w rozpacz, wreszcie Suzy, odrzuciwszy w tył głowę, zaczęła krzyczeć do nieba, przysięgając Bogu, że nigdy już w niego nic uwierzy i teraz jest już pewna, że Go nie ma. Tam w górze była tylko pustka.

W takim razie do kogo Suzy, myśli, że krzyczy? — zastanawiała się Anna.

— Musimy zabrać go z plaży, inaczej ci z wioski dowiedzą się, że zostałyśmy same.

— Jak możesz być tak cholernie przytomna i praktyczna, skoro on przed chwilą umarł?

— Bo on nie chciałby, żeby ktoś jeszcze zginął — odparła Anna.

Z trudem zarzuciły ciało Jonathana na plecy Carey. Jego ramiona zwisały

bezwładnie z jej barków. Z siłą, o której nie miała dotąd pojęcia wciągnęła go na skały. Sylvana przytrzymała ciało od tyłu. Zabrały go do jego szałas i położyły na bambusowym łóżku.

Jego niebieskie oczy patrzyły przed siebie — nie można było mu zamknąć powiek.

Gdy tylko rozjaśniło się na tyle, by mogły coś dostrzec, zawlokły z powrotem zapasy na skały, potem zebrały żółte orchidee i ułożyły wokół ciała Jonathana, ostrożnie syjąc kwiaty na muskularne, opalone ramiona, które teraz złożyły na krzyż na jego piersi.

W końcu Anna otarła nos wierzchem dłoni.

— Musimy prędko go pochować. Wiecie, jak cuchnie mięso, gdy zostawimy je tylko przez jeden dzień. Poza tym dobiorą się do niego szczury.

— Chciał, by go pochowano w morzu.

— Ale nie ma w czym. Myślę, że zaszywa się ciało w jakiś worek i obciąża, bo inaczej wypływa na powierzchnię. Laguna jest zbyt płytka i ci z wioski zobaczą, że to zrobiłyśmy. Wrócimy później i pogrzebiemy go w morzu, tak jak trzeba.

— Pogrzeb Wikinga.

Rozważały, czy nie spalić ciała na stosie pogrzebowym, ale żadna nie miała odwagi by to zrobić. Bały się, że ogień zgaśnie i trzeba będzie jeszcze raz rozpalać, czując prochy Jonathana roznoszone przez wiatr. Postanowiły więc wykopać grób i zakopać go.

Wybrały niewielki gaik zawsze zielonych drzew manga, bo było to blisko tego miejsca, gdzie Anna się modliła a Jonathan uwielbiał silny zapach żółtych kwiatów o wąskich, długich płatkach, które kwitły tu niemal przez cały rok.

Anna uklękła przy grobie i przeżegnała się. Próbowwała zapanować nad smutkiem i goryczą, która znów wezbrała w jej sercu, gdy przypomniała sobie ostatnich kilka dni.

Opróżniła kieszenie Jonathana. Podała Suzy kółko na klucze z zakrzywionym zębem rekina i mały kompas na rzemyku, który nosił na szyi. Sylvana otrzymała nóż do sprawiania ryb. Zegarek wodoszczelny znalazł się w rękach Carey.

— Ja wezmę jego nóż z armii szwajcarskiej. Patty dostanie w spadku zapalniczkę i sztucer.

Potem złożyły ciało do grobu.

Po pogrzebie, powlokły się do obozu. Dopiero teraz zrozumiały, że od tej chwili mogą liczyć tylko na siebie.

Dwa dni po śmierci Jonathana, Anna obudziła się czując, że coś ciężkiego leży jej na piersiach. Zaspana pomyślała, że rzeczywiście emocje odczuwa się namacalnie, w okolicy serca.

Ciężar podniósł się nieznacznie. Anna poczuła przez koszulę ciepłe, pokryte futrem ciało i coś mocno wgrzyzło się w lewą pierś.

Drapnęły ją pazury, usłyszała pisk i owłosiony ciężar — pięciokilogramowy — szczur leżał bezwładnie na jej brzuchu.

Anna krzyknęła i skoczyła na równe nogi.

— Mam go! — wykrzyknęła Patty z triumfalną miną.

— Mogłaś trafić we mnie tym kamieniem.

— Teraz nie chybiam — odparła Patty, zadowolona z siebie.

— Gdzie są wszystkie? — spytała Anna. Słońce już wstało. Zaspiała.

— Carey stoi na warcie, Suzy płacze przy ognisku, a Sylvana poszła zebrać kraby i ostrygi po przyptywie.

Na północ od laguny, morze cofnęło się od linii czarnych korzeni na morzy nów odkrywając czarny, pianisty śluz, z którego niewielkie kraby uciekały pospiesznie do cofającej się fali, gdzie były bezpieczne. Na południe od laguny, opromieniona porannym słońcem Sylvana brodziła w wodzie. Poruszała się powoli wokół błyszczących skał, zarzucając swą zakończoną drewnem metrową sieć. Była to najlepsza pora na złapanie krewetek.

Idąc razem z odpływem, Sylvana wepchnęła sieć poniżej zanurzonej w wodzie masy wodorostów oplatających skały. Krótkimi ruchami, jak przy smażeniu omletu, wyciągała sieć z wody, sprawdzała jej zawartość i przekładała krewetki do przewieszanej przez jedno ramię płóciennej torby.

Była zmęczona podnoszeniem ciężkiej sieci, więc skierowała się z powrotem na brzeg i położyła ją na plaży. Wyjęła nóż Jonathana z krótkim i szerokim ostrzem i zaczęła zeszkrobywać skorupiaki z podwodnych skał.

Gdy jej torba była już prawie pełna, przyptyw zaczął zmieniać kierunek. Stała prosto, przeciągnęła się i postanowiła przerwać.

Wtedy zauważyła ogromną muszlę pod powierzchnią wody, ukrytą w czarnych wodorostach. Wystarczy na cały posiłek — pomyślała.

Uklękła i wbiła w muszlę koniec ostrza noża. Po kilku minutach stwierdziła, że nigdy nie widziała tak upartego skorupiaka.

Nagle się otworzyła. Lewą dłonią Sylvana pochwyciła górną powłokę, by oderwać ją od skały. Z zaskakującą szybkością muszla zamknęła się i zacisnęła na jej palcu wskazującym.

Sylvana podskoczyła i upuściła nóż. Zatoczył łuk w powietrzu zanim z pluskiem wpadł do wody. Schyliła się i próbowała go dosięgnąć, ale leżał w odległości piętnastu centymetrów.

Muszla poraniła jej palec. Santa Madonna! Prawą ręką grzebała w torbie, szukając skorupiaka po omacku próbowała podważyć skorupę muszli. Bez powodzenia.

Spojrzała w morze. Odpływ zdążył już zakreślić i pędził z powrotem do laguny. Głowa Sylwany wystawała jakieś siedemdziesiąt sześć centymetrów nad wodą, ponieważ ciągle klęczała, próbując wsunąć nóż pod ogromną muszlę. Szybko obliczyła. Przyptyw wznosi się i opada w lagunie na wysokość około dziewięćdziesięciu centymetrów. Gdy poziom wody się podniesie, znajdzie się z głową pod wodą i utonie zanim zdąży się oswobodzić.

Schyliła się i jeszcze raz spróbowała dosięgnąć noża. Widziała jak srebrzył



się pod wodą, ale był za daleko. Spróbowała jeszcze raz — lecz ciągle bezskutecznie. Zaczęła krzyczeć.

Nie było żadnej odpowiedzi i uświadomiła sobie, że jest za daleko na plaży, by którakolwiek z kobiet mogła ją usłyszeć. Woda sięgała jej już do obojczyków i delikatnie opływała szyję. Była zaskoczona bezlitosną wytrzymałością skorupiaka, który od blisko dwóch godzin trzymał mocno jej palec.

Krzyczała z przerwami, by oszczędzać głos. Teraz, charcząc zawołała jeszcze raz. Machała prawą dłonią, bez większej nadziei.

— Sylvana...? — zawołała zdziwiona Patty. Nie słyszała jej, ale dojrzała ze skały dłoń machającą w morzu.

Nagle zrozumiała, że Sylvana dostała się w pułapkę. Rzuciła się w dół po ścieżce między skałami. Proszę cię Boże, żeby to nie była ośmiornica — myślała.

Gdy dotarła do SyWany woda sięgała już jej do brody.

— Upuściłam nóż. Nie mogę wydostać stąd palca... Na litość boską, nie czekaj!

Patty wpatrywała się w dno morza.

— Pójdę po młotek.

— Nie ma czasu. Mój nóż leży tam — trochę w prawo. Weź go! Patty brodząc w wodzie, wyciągnęła nóż.

— Nie jestem w tym dobra, ale spróbuję. Może otworzę tę muszlę. Usiłowała przeciąć mięsień, który zamykał mocno skorupę mięczaka.

Sylvana krzyczała z bólu i przerażenia. Patty po raz kolejny zaatakowała muszlę. Przecież powinna ją otworzyć, ma przecież taki nóż. A jednak nie mogła.

— Obetnij palec, prędko — powiedziała nagle SyWana spokojnym głosem. Patty zrobiło się niedobrze.

— Nie mogę.

— Już wiem jak. Jeśli nie chcesz tego zrobić, to daj mi nóż, ja to zrobię. W przeciwnym razie utonę.

— Nie mogę — odrzekła żalosnym głosem Patty.

— Latami bawiłaś się w pielęgniarce w Pittsburgu. Teraz to naprawdę, Patty. Nie możesz teraz stchórzyć, bo inaczej umrę.

Obetnij go, Patty!

Lecz Patty nie mogła się na to zdobyć.

— Ty pieprzona Florence Nightingale — krzyczała SyWarta. — Daj mi ten nóż!

Patty podała jej nóż i uciekła.

SyWana odrąbywała palec, poszarpała ciało i zaczęła się łać krew. Ponieważ stała w niewygodnej pozycji, kuczając wtedy, gdy uwięziła ją muszla, nie mogła utrzymać równowagi. Smugi krwi zabarwiły wodę na czerwono. Łkała z bólu.

Usłyszała krzyki i podniosła wzrok. Nie umrze samotnie. Po piasku biegł do niej Anna i Patty.

Sylvana pośliznęła się i przez chwilę jej twarz zanurzyła się w wodzie. Gdy ponownie odzyskała równowagę Anna wzięła nóż. Trzeba to czysto obciąć, tętnica zagoi się, jeśli rana będzie czysta. Będzie mnóstwo krwi i Sylvana poczuje okropny ból, ale Anna wiedziała, że musi skoncentrować! się na odcięciu palca szybko i dobrze, powyżej pierwszej kostki. Nóż był brudny, ranę trzeba będzie później wypalić. Miała nadzieję, że Sylvana zemdleje.

Anna pochyliła się i schwyciła przegub Sylvany pod wodą. Kilka razy! nacięła nożem to miejsce na palcu, w którym miała go przeciąć. Przeczekała aż uspokoi się wzburzona woda, by mogła trafić tam, gdzie zamierzała.

Uniosła nóż. Powoli, skupiona i wpatrzona w krwawiącą ranę, Anna uderzyła z całej siły.

Tego wieczoru wyniosły bambusowe łóżko Sylvany z chatki i ustawiły jej przy ognisku. Sylvana była blada i pokryta kroplistym potem. Oddychała ciężko. Zabandażowały jej amputowany palec kawałkami szmat, wysterylizowanymi w wodzie morskiej. Minęły już największe męczarnie, była i słaba i wycieńczona, ale ból nie ustawał, nie pozwalał jej zasnąć.

Dwie godziny później wciąż jeszcze kłóciły się o to, co mają teraz zrobić. Suzy bała się wyruszyć w morze bez Jonathana. Myślała, że warto poświęcić i jedną z grupy, by sprawdzić, czy uda się przekupić szefa wioski Katanga.

Którą?

Będą ciągnęły losy.

— Nawet gdybym wyciągnęła najkrótszą słomkę to i tak nie pójdę. To szaleństwo myśleć, że spokojnie wejdzie się do wioski kanibali po tym jak harcowałyśmy po ich świętym miejscu i poprosi o kilka czółen wydrążonych w pniu w zamian za nóż do rozcinania kopert.

— Ale oni chcą, żebyśmy wyjechały — nalegała Suzy.

— W porządku, w takim razie ty pójdziesz.

Sylvana powiedziała słabym głosem, że dobrze się już urządziły w dżungli. Tylko wtedy, gdy były nieostrożne, narażały się natychmiast na niebezpieczeństwo. Oczywiście, że miały kłopoty, ale niech pomyślą o tych wszystkich kłopotach, których nie miały.

— Jonathan nauczył nas jak przetrwać w dżungli.

— W takim razie dlaczego nie możemy tu zostać do czasu, gdy terroryści przestaną walczyć? Nie mogą przecież walczyć bez końca.

Dlaczego nie poczekamy, może przepłynie tędy jakiś stateczek z turystami i zacumuje na piknik, tak jak my? Wtedy poprosimy kapitana, by zabrał nas z powrotem do Queenstown. Mogłybyśmy zadzwonić do biura w Sidney i znaleźć się w Australii w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Nie wiem, co chcę zrobić — powiedziała żałośnie Patty.

— Nie powinnyśmy tu siedzieć i czekać na księcia z bajki, aż przyplynie.

Trzeba zbudować nową tratwę. Udało nam się przedtem, więc możemy zrobić to znowu.

— Pewnie. W tym stałyśmy się ekspertami. Mogłybyśmy wygrywać nagrody za robienie takich tratw.

— Zgadzam się z Anną. Powinnyśmy zbudować nową tratwę, i to jak najszybciej. Sylvana może pełnić wartę przez cały czas, bo nie może robić nic innego.

Kucając przy ognisku, nie wyglądały już jak kobiety, ale jak wychudłe strachy na wróble. Ich poorane, brązowe twarze okalały potargane włosy. Oczy Iskrzyły się w głębokich, zapadniętych oczodołach. Żadna nie miała nawet grama tłuszczu. Jedyne Sylvana i Suzy wciąż miały wydatny bi ust, choć każdej zwiotczała skóra. Były czujne, lecz było w nich coś, jakby odprężenie.

Metamorfoza jaką przeszły owe kobiety ubrane w kolorowe stroje plażowe, które kiedyś wspięły się na nieskazitelnie czysty pokład „Luizy”, dotyczyła nie tylko ich ciał. Prawie cztery miesiące życia na granicy przetrwania zmieniło ich wygląd, ale także psychikę — żadna z nich nigdy już nie będzie taka sama jak przedtem — myślała patrząc na nie Anna.

Jeszcze cztery miesiące temu, nieśmiała, trzymająca się na uboczu Ania nie miała nigdy nic do powiedzenia, podobnie bierna i wiecznie przygnębiona Sylvana. Patty musiała teraz pogodzić się z myślą, że gdy przyszło co do czego stchórzyła i Sylvana o mały włos nie przypłaciła tego życiem. Duża, spokojna Carey zachowywała się teraz bardzo opiekuńczo wobec Suzy i gotowa była rzucić się na Patty, gdy tamta przysparzała jeszcze jakichś kłopotów.

Wszystkie dopiero teraz zrozumiały, że pozorne samolubstwo Suzy było jej bronią. Patrząc na jej wynędzniałą, brudną twarz, Anna wątpiła, czy Suzy jeszcze kiedykolwiek będzie przywiązywała takie znaczenie do swego wyglądu jak przedtem.

Ich uczucia stały się teraz głębokie i gwałtowne. Dawno zniknęła powierzchowna przyjacielskość z czasów Pittsburga. Sylvana, Carey i Suzy trzymały się od Patty z daleka, ta udawała, że nic ją to nie obchodzi. Próbowwała być miła dla Anny, pomagała jej w drobnych pracach, proponowała, że zastąpi ją na warcie. Anna roztropnie odmawiała. Nie chciała, by emocje podzieliły je na dwa obozy, gdy będą najbardziej zagrożone. Nie miały przecież mężczyzny, który by im pomógł, na którym mogłyby się oprzeć i oskarżyć o niepowodzenia.

Ogień powoli wygasł. Anna powiedziała:

— Możemy zostać tutaj, możemy pójść do Katangi albo zbudować nową tratwę i odpłynąć. To trudna decyzja, bo każda z tych możliwości ma wiele zalet i wad. Zróbmy głosowanie.

Patty, Carey i Anna były za zbudowaniem drugiej tratwy. Przewidywały, że zajmie im to sześć dni.

— W porządku, Niedźwiedzia Mamo — odparła Suzy. Popatrzyła ponurym wzrokiem na swoje porozcinane, stwardniałe dłonie.

— Przysięgam, że nigdy nie będę miała takich dłoni jak miała moja mama, bo będę inaczej żyła, nie będę szorować szpitalnych podłóg — tak jak ona — ledwo skończyła, trzeba było zaczynać do nowa. A teraz... mam gorszą pracę, niż ona kiedykolwiek.

— Od dwóch dni nie ćwiczyliśmy wspinania się do jaskini i samoobrony. Możesz się tym jutro zająć, Patty? Sylvana zostanie na warcie, ja zajmę się gotowaniem, Carey jest odpowiedzialna za zdobywanie jedzenia a Suzy będzie nadal dostarczać wodę.

— Dlaczego ktoś nie może wynaleźć koła młyńskiego? — spytała Suzy z goryczą.

— Jeszcze jedno. Czy pamiętacie, że Jonathan chciał, żebyśmy uczyły się samotności? Skinęły głową. Nikt wcześniej nie widział potrzeby spędzania samotnych nocy pod zadaszeniem. To was zahartuje — powiedział kiedyś Jonathan, ale kiedy wszystkie sprzeciwiły się, nie forsował już tego pomysłu. Jonathan był przekonany, że nie wszyscy przetrwają. Dlatego chciał, by nauczyły się być same.

### ***PONIEDZIAŁEK, 4 MARCA 1985***

**34**

Następnego dnia wszystkie kobiety z wyjątkiem Suzy poszły za Anną i Sylvaną do miejsca modlitw.

Każda czerpała pociechę z posiadania pamiątek po Jonathanie. Anna dotykała scyzoryka z armii szwajcarskiej. Carey delikatnie muskała wodoszczelny zegarek. Sylvana głaskała rękojeść noża do sprawiania ryb. Patty pocierała o policzek pustą, zniszczoną aluminiową zapalniczkę. Pocieszały je te przedmioty. Czuły, że Jonathan jest wciąż z nimi.

Późnym popołudniem, Carey i Suzy wyruszyły, by sprawdzić trzy pułapki na zwierzynę, które zastawił kiedyś Jonathan na wschód od ich obozu.

Zanim dotarły do pierwszej pułapki, Suzy o mały włos nie przebiła sobie stopy ostrym pniakiem. Po sprawdzeniu drugiej pułapki, omal się nie uduśliła, zaczepiając szyją o wiszącą winorośl, kiedy osunęła się jej pod stopami zmurszała kłoda.

Obie pułapki były puste. Po drodze do trzeciej, poszły śladem wyjątkowo dużych odcisków zwierzęcych łap, które pozostały na brzegu błotnistego miejsca porośniętego jasnozieloną trawą. Niespodziewanie, znalazły się po kolana w błocie.

Suzy potknęła się i omal nie upadła.

— Co się z tobą dzisiaj dzieje, ty potykadło?

Suzy wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w dłoniach ubrudzonych błotem.

— Jestem w ciąży — powiedziała cichym głosem. Carey popatrzyła na nią z niesmakiem.

— Nie, to nie dziecko Jonathana. To ja chciałam, ale on nie chciał. Już po raz czwarty nie mam miesiączki. To dziecko Bretta. Jezu, jak się boję!

Cóż, tylko tego nam trzeba — pomyślała Carey.

— Nie boję się tego, że będę miała dziecko. Tylko, jak ja się będę nim opiekować w tym straszliwym miejscu. To mnie przeraża i wpadam w panikę.

Carey położyła jej dłoń na ramieniu.

— Nie będziesz się tak czuć jak już je urodzisz. W każdym razie, prawdopodobnie wcale nie urodzisz tutaj, Suzy. Mamy pięć miesięcy na to, by dostarczyć cię do lekarza. — Zawahała się i dodała: a poza tym, pewnie w ogóle nie jesteś w ciąży.

Wszystkim nam zatrzymał się okres. Myślałam, że o tym wiesz. Carey odwróciła się i brodziła przed siebie, chcąc wydostać się z trzęsawiska i przejść na ledwo widoczną ścieżkę pomiędzy trawami. Suzy przeskakiwała z nogi na nogę.

— Boże! Ręce i ramiona kłują mnie jak diabli! I cała twarz!

— Nie dotykaj oczu — ostrzegła Carey. — Widziałam aloes na tej ścieżce za nami. Przyniosę ci trochę, poczekaj tutaj.

Carey przeszła z trudem na ścieżkę. Wyraźnie przypominała sobie, że wcześniej dostrzegła gdzieś tutaj kępę zwężających się liści. Nie często je widziały, ale jeśli już zauważyły, Anna zawsze chciała wiedzieć, gdzie to było. Rzadkie liście miały magiczne właściwości łagodzące i kojące.

Carey odnalazła kępę aloesu i zerwała całą garść trzydziestocentymetro-wych, zwężających się ku końcom, liści. Potem wróciła do Suzy.

Słyszała jej zduszone krzyki.

Musiała się nieźle poparzyć— pomyślała.

Zatrzymała się. Usłyszała coś dziwnego.

Szła szybko, przeskakując z drzewa do drzewa, do miejsca gdzie wcześniej zostawiła Suzy.

Przed sobą ujrzała leżącą na ścieżce Suzy, która walczyła z dwoma, prawie nagimi, ciemnoskórymi mężczyznami. Obaj klęczeli. Ten, który klęczał plecami do Carey przytrzymał Suzy za ramiona, drugi położył jej dłoń na ustach. Carey zobaczyła jak podskoczył i odrzucił w tył jej głowę. Suzy ugryzła go w rękę. Przez jedną chwilę, Carey dostrzegła czarną, spoconą twarz, jasnopomarańczowe włosy, żółty krzyż wymalowany na czole i zielone pióro wetknięte poziomo przez chrząstkę między nozdrzami. Carey patrzyła przerażona jak Suzy kopnęła stojącego przed nią mężczyznę.

Nie robili hałasu. Ten, stojący plecami do Carey przygniótł kolanami ramiona Suzy i podniósł je w górę a potem do tyłu. Suzy leżała odwrócona tyłem głowy do Carey. Mężczyzna nadal działał bezszelestnie. Intencje tego z zielonym piórkiem były jasne.

Carey zauważyła leżące w trawie z boku ścieżki dwa łuki i kołczany strzał. Tylko dlatego odłożyli broń. Nie można przecież nikogo zgwałcić z łukiem w ręku.

Wiedziała, że musi czekać na właściwy moment. Upuściła torbę myśl iwską i poszła naprzód, wciąż kryjąc się za drzewami. Prawą dłonią wyciągnęła nóż. Przypomniała sobie: zdecyduj kiedy i patrz nieustannie w miejsce, w które zamierzasz uderzyć. Wsłuchując się w instrukcje Jonathana, Carey zadała cios mężczyźnie, który klęczał plecami do niej. Pierwszy etap — pomyślała. Skocz naprzód, lewa ręka nad jego ustami i szarpnij do tyłu głowę; jednocześnie ] przesun prawą rękę z nożem całkowicie w lewo, do jego szyi. Drugi etap. Pociągnij z powrotem nóż w prawo do siebie jednym ruchem, najmocniej jak możesz i poderżnij mu gardło.

Gdy Carey zaatakowała, mężczyzna z zielonym piórkiem uniósł głowę. Był zaskoczony. Suzy, mając obie ręce wolne, rzuciła się na niego z wyciągniętymi i ramionami. Przewróciła go i udało jej się podnieść w górę nogę, przyciskając kolano do jego brzucha. Prędko z całej siły kopnęła go piętą w krocze. Szybko powtórzyła cios, nie jak oszołomiona kobieta, ale jak ktoś kto precyzyjnie wybrał cel. Mężczyzna zwinął się z bólu.

Ten, którego zaatakowała Carey, wydał zdławiony okrzyk i upadł na twarz. Carey przewróciła się na niego. Oswobodziła prawe ramię i dźgnęła nożem kark ofiary, aż poczuła, że ciało pod nią poddało się i osłabło.

Podnosząc się, zobaczyła, że mężczyzna z zielonym piórkiem zwija się z bólu, zgięty w jej stronę. Widziała jego kudłatą, czarną głowę. Wiedziała, nie powinna atakować go od przodu, bo może się bronić ramionami i nogami. Wystawił do niej nieosłonięte plecy. Nie mogła sobie przypomnieć, co należy zrobić — takiej sytuacji nigdy nie ćwiczyli.

Trzymała zakrwawiony nóż w zaciśniętej kurczowo pięści, uniosła i skoczyła, spadając na głowę przeciwnika. Nie wolno jej wpychać noża prosto w plecy, bo może się pośliznąć na kości. Zamiast tego uderzyła więc poniżej żeber, ciągnąc z powrotem nóż do siebie.

Poczuła pod sobą konwulsje i usłyszała skowyt z bólu.

Wyciągnęła nóż, stoczyła się z płataniny ciał, wygrzebała się i kucnęła. Wbiła zakrwawiony nóż najmocniej jak mogła w szyję tubylca, mając nadzieję, że uszkodzi w ten sposób główną tętnicę i porazi nerwy z prawej strony. Jonathan nazywał ten cios uderzeniem rzeźnika owiec.

Ciemnoczerwona krew żylna wybuchnęła, zalewając Carey twarz, ramiona i klatkę piersiową. Wycie przeszło w krzyk i zakończyło się krótkim bulgotaniem.

Carey jak oszalała zepchnęła drgające jeszcze ciało z oszołomionej i umazanej krwią Suzy.

Sztywne z przerażenia dwie kobiety wpatrywały się w zakrwawione zwłoki. Wtem Suzy chwyciła Carey za rękę i obje rzuciły się do ucieczki w stronę obozu.

— Nie miałam wyboru — łkała poplamiona krwią Carey, oszołomiona i zaszokowana. Stała przed ogniskiem, wciąż jeszcze półprzytomna.

— Tak, miałaś wybór. Mogłaś nic nie zrobić. Postąpiłaś właściwie. Party i ja zatrzymamy ślady, a Suzy będzie musiała tylko zaprowadzić nas do tego miejsca.

Suzy uparcie kręciła głową.

— Powiem wam gdzie to jest. Obie już tam byłyście. Ale ja tam nigdy nie wrócę.

Przeszedł ją dreszcz zgrozy.

— Dobrze, dobrze. Same znajdziemy drogę. — Anna zwróciła się do Sylvany: .

— Lepiej wracaj na drzewo, na wartę. Chcesz, żeby ci pomóc? Sylvana zaprzeczyła ruchem głowy.

— Dobrze. W przyszłości nikt nie wychodzi z obozu sam i bez strzelby.

— Bez której?

— M-16 Jonathana.

— Wszystko stało się tak szybko — trzęsąc się szlochała Carey.

— Jutro poczujesz się lepiej. Ja już przez to przeszłam — pocieszała ją Patty.

- Ale ty zabiłaś terrorystę — i miał na sobie ubranie. Ci mężczyźni byli nadzy. Czulałam ich ciała, ich zapach. Anna podniosła się z ziemi.

— Zdejmijcie z siebie ubrania i namoczcie je w wodzie, żeby zmyć krew. Myjcie się poniżej basenu przy wodospadzie, ale tak, żebyście nie zabrudziły" wody, potem idźcie spać. Zwróciła się do Patty: — Weź M-16 i kilka skorup kokosowych.

Potem powiedziała do Carey:!

— Musieliśmy się pomylić co do granic Złotego Trójkąta. To nie przy Williamie Pennie biegnie granica z wioską przy drugiej zatoce.

— Może ci tubylcy wyszli poza swój teren. Może dowiedzieli się jakoś, że Jonathan umarł i jesteśmy teraz same i ...

— Może i wiedzą o Jonathanie, ale sądzę, że nie ważą się stąpać po ziemi tabu. Inaczej byłiby tu już wcześniej — całymi hordami! Chodźmy.

— W porządku. Pokażę wam to miejsce — odezwała się z niechęcią Suzy.

Patty i Anna zaciągnęły zwłoki do mokradła. Przywiązały do ciał kamienie i zatopiły je w bagnie.

Gdy wróciły do obozu, Carey kucnęła przy ogniu. Podniosła głowę i spojrzała na Patty.

— Jak się czułaś, gdy zabijałaś?

— Było mi niedobrze. Ten smród. A potem poczułam... ponurą satysfakcję.

## **WTOREK, 5 MARCA 1985**

Strach popchnął kobiety do pracy nad trzecią tratwą. Następnego dnia pracowały ze zdwojonym wysiłkiem. Anna nalegała, by Carey przyłączyła się do nich zamiast rozmyślać o tym co zrobiła, ale Carey nie zgodziła się opuścić obozu.

Została przy ogniu i ostrzyła kije bambusowe, które Sylvana i Patty

wyciągały z gaju bambusowego, gdzie Anna i Suzy cięły bambus. Prawie już nic zostało — pomyślała Anna, rozejrzawszy się wokół. Otarła

pot z oczu i zwróciła się do Suzy, zmęczona, lecz dumna.

— Do zachodu słońca uzbieramy tyle, że już wystarczy. Suzy skinęła głową.

Wtem usłyszały strzał.

Anna skoczyła po strzelbę opartą o pobliskie drzewo.

— Schowaj się.

— Strzał dochodzi od strony obozu — szeptała Suzy za jej plecami.

— Myślałam, że od Williama Penna.

— Jeśli zaatakowano obóz, to lepiej chodźmy tam prędko.

Ostrożnie zbliżały się do obozu. Wołały nie iść po wydeptanej ścieżce wychodzącej z gaiku, biegły od pnia jednego drzewa do drugiego i w ten sposób posuwały się do przodu.

— Zeszły na dół kominem do jaskini — szeptała Anna. Poruszając się nadal ukradkiem, dotarły do świetnie ukrytego szczytu szach tu.

Suzy ześliznęła się w dół pierwsza, za nią podążyła Anna i dokładnie zakryła roślinami dziurę komina, zanim zjechała w dół po linie.

Trzy pozostałe kobiety czekały już w ciemnościach na dnie szachtu. Patty ścisnęła AK-47, Sylvana i Carey trzymały drewniane maczugi.

— Co się stało? — szepnęła Patty.

— Z nami nic się nie stało. A co z wami?

— Nic Po prostu usłyszałyśmy strzał i wgramoliłyśmy się tu, myśląc, że to wy strzelałyście.

Wszystkie zgodnie twierdziły, że słyszały strzał.

— Jonathan mówił, że odgłos strzelby może nieść na odległość wielu kilometrów, nawet w dżungli. Ten strzał mógł być zupełnie przypadkowy. Jakiś tubylec zastrzelił kilka kilometrów stąd świnię albo coś w tym rodzaju.

— Tylko przywódcom plemienia wolno używać broni palnej.

— Poczekamy do wpół do czwartej, potem Patty wypłynie z jaskini i sprawdzi plażę, a Carey wdrapie się na górę i sprawdzi okolice obozu.

O wpół do czwartej Anna podała Carey M-16.

— W porządku Carey, możesz iść.

Poszła potem ostrożnie razem z Patty do wlotu jaskini, gdzie przekazała jej latarkę. Patty zdjęła zegarek z podświetlanym cyferblatem i podała go Annie.

— Jeśli nie wrócę za dwadzieścia minut, Aniu, będziesz wiedziała, że stało



się coś złego i będziesz musiała po omacku wrócić do nich. Patty zawahała się, potem pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła zniszczoną zapalniczkę Jonathana.

— Zaopiekuj się tym, Aniu.

Podeszła do brzegu ciemnej wody i odwróciła się

— Oddaj mi zapalniczkę. Chyba wezmę ją na szczęście.

Anna stała samotnie w ciemnościach, osłaniając jedną ręką oczy, w drugiej ścisnęła bezcenny, mały krążek podświetlonej jasnej zieleni

— zegarek firmy Swatch.

Wydawało jej się, że upłynęło więcej czasu. Po czternastu minutach od odejścia Patty usłyszała plusk i odgłosy łapania powietrza.

\_To ty, Patty? — szepnęła w ciemnościach, choć nie było ku temu powodu.

Patty wydostała się z wody.

\_Na plaży nie ma nikogo. Żywej duszy. Chodźmy z powrotem do szachtu, powiedzmy im o tym.

Gdy doszły do słabo oświetlonego miejsca, które oznaczało dno komina, Carey jeszcze nie wróciła.

— Ale nie słyszałyśmy strzału — przypomniała Sylvana, gdy w milczeniu niecierpliwie oczekiwały Carey.

Zaraz przed piętą, gdy Patty po raz kolejny zerknęła na zegarek, usłyszały trzy krótkie gwizdy — „teren czysty”.

Usłyszały jak Carey zjeżdża po linie i stęka, wreszcie dotarta.

— W obozie nic się nie stało. Ale jeśli tam nie pójdziemy natychmiast, zgaśnie ogień.

Stwierdziły, że strzał musiał paść o wiele dalej niż myślały. Wróciły do obozu przed wpół do szóstej. Z początku wszystkie poruszały się ostrożnie, ale wkrótce nabrały pewności. Widać było, że nikt niczego tu nie ruszał.

— Nagle Suzy przypomniała sobie maczetę.

— Hej, Aniu, upuściłam w gaju bambusowym maczetę, kiedy skoczyłaś po strzelbę. Obie kobiety popatrzyły na siebie i przez moment skusiła je myśl, by już tam nie wracać.

Anna westchnęła.

— Dobrze, chodźmy po nią.

Zdenerwowana Anna prowadziła. Szły po wydeptanej równolegle do brzegu rzeki ścieżce, która biegła do gaju bambusowego. Nagle stanęła jak wryta.

— Och, Boże! — Suzy zobaczyła to samo.

Przed nimi, odwrócony plecami, siedł ubrany w mundur koloru khaki jakiś człowiek. Niósł strzelbę i poruszał się ukradkiem. Anna zostawiła swoją strzelbę w obozie.

— Idź za nim jak cień, z prawej strony — szepnęła do Suzy. Sama ukryła się między drzewami po lewej stronie ścieżki. Gdy mężczyzna dotarł do Williama Penna, obie przekonały się, że nie zna dżungli i jest sam.

Anna spojrzała na Suzy i prawą ręką wykonała dwa ruchy, jakby dźgała wyobrażonym nożem. Żołnierz musiał zauważyć ich obóz i szedł po jedzenie. Suzy skinęła głową.

Gdy dobiegły do lin przy moście Burma, mężczyzna w mundurze przeszedł most do połowy.

Anna skinęła do Suzy.

Obie wyciągnęły noże zza pasa i cicho przesunęły się do przodu.

Mężczyzna czuł, że lina drży pod jego stopami, zakołysał się i omal nie stracił równowagi. Trzymał się kurczowo uchwytów i odwrócił głowę, prędko zerkając za siebie. Zobaczył dwie brudne, brązowe dzikuski. Przecinały nożem końce lin, które miał pod pachami.

Krzyknął ze zgrozy i pochwycił liny.

Po trzydziestu sekundach kobiety uszkodziły górne wzmocnienie. Liny zwisały bezwładnie.

Mężczyzna zachwiał się na napiętej jeszcze dolnej linie. Osiemnaście metrów niżej, między głazami narzutowymi, pędziła rzeka w stronę wodospadu.

Krzyknął spadając w parów.

— To działa! To działa! Tak jak mówił Jonathan — szeptała podekscytowana Suzy.

Anna zagryzła wargi, bo jednak nie zupełnie działało tak jak przewidywał Jonathan.

Mężczyzna nie upadł prosto w dół i nie roztrzaskał się na skałach. Stracił równowagę, ale gdy spadał przytrzymał się mocno lin, które służyły za poręcz. Kołysał się teraz na nich w górę i w dół. Potem rzuciło go w krzewy na przeciwległy brzeg parowu, odbił się w mniejsze, bardziej poszarpane krzaki. Leżał teraz w zaroślach, blisko dna parowu i krzyczał z bólu.

— Robi strasznie dużo hałasu. Trzeba go uciszyć.

— Jak?

— Przypuszczam, że nożem — odparła niechętnie Suzy.

— Ty to zrobisz.

— Nie mogę, nie mogę.

— Ja też nie mogę.

Suzy zaklęła i wzruszyła ramionami.

— Musimy zrobić to razem. I lepiej się pospieszmy.

— Może to tylko my go słyszymy, bo jesteśmy blisko. Może dalej nic nie słyhać.

Suzy zdenerwowała się.

— Aniu, wiesz, że musimy tam zejść i to skończyć. Chodźmy teraz! Ostrożnie schodziły po stromym i krętym zboczu parowu. Suzy pierwsza

dobrnęła do brzegu rzeki. Zadarła głowę do góry.

Cztery i pół metra wyżej Anna przywarła kurczowo do skały i zastygła w bezruchu.

— Ja... nie... mogę... się ruszyć.

Oddychanie było dla niej wysiłkiem, nie mówiąc już o mówieniu. Tkwiła sztywno uwieszona skały, sparaliżowana strachem. Suzy nie była w stanie nakłonić jej, by zeszła na dół.

Spojrzała na drugi brzeg rzeki. Będzie musiała przedostać się przez tę cholerną wodę zanim mężczyzna dojdzie do siebie na tyle, by sięgnąć po broń. Przeszła wzdłuż strumienia w górę, jakieś sześć metrów, by sprawdzić kierunek prądu. Usiadła na brzegu i zanurzyła nogi w wodzie. Już miała ześliznąć się do rzeki, gdy nagle zapanowała cisza.

— Proszę cię, Boże, proszę, pozwól mu umrzeć — modliła się. Wspięła się z powrotem na brzeg i wróciła do miejsca, gdzie wyżej, ponad nią, Anna wciąż tkwiła przywarta do ściany skalnej.

— Idę do ciebie — zawołała łagodnie i zaczęła się wdrapywać w górę. Gdy dotarła do Ani, powiedziała:

— Połóż prawą dłoń na moim ramieniu.

— Nie mogę. Boję się, że spadnę.

— W porządku, poczekam. Ale na pewno ci się uda, jeśli tylko spróbujesz. Suzy nie miała ochoty wyjaśniać Annie, że i tak kiedyś spadnie.

Nie może przecież trzymać się wiecznie skały.

— Musisz zejść na dół zanim zapadnie noc — mówiła Suzy myśląc o tym, że potem i tak Anna spadnie.

Ania powoli odciągnęła sztywne prawe ramię od ściany i uchwyciła się lewego ramienia Suzy.

— Teraz postaw prawą stopę na mojej, jak na stopniu — zachęciła Suzy. Tym razem czekała tylko dwie minuty, wreszcie Anna poruszyła prawą nogą. Powoli zeszły ze wzgórza i dotarły do dna wąwozu.

Suzy spojrzała na drugi brzeg rzeki, gdzie leżało bezwładne ciało w mundurze khaki.

— Jeśli będziemy miały odrobinę szczęścia, nie będziemy musiały się nim martwić. I zdobędziemy jeszcze jedną strzelbę. Chodź, przepłyniemy szybko, musimy przecież wrócić przed zmrokiem.

Gdy wydostały się z wody i szły przez gęstwinę, Anna zawahała się.

— Nie mogę wspiąć się na górę do niego.

Suzy wiedziała, że nie ma sensu się kłócić. Wspięła się zwinnie jak małpka na ścianę skalną. Znalazła się w odległości około sześćdziesięciu centymetrów poniżej leżącego mężczyzny.

Suzy złapała za strzelbę, udało się jej wyciągnąć ją spod bezwładnego ciała. Był to kolejny AK-47.

Przystawiła broń do twarzy mężczyzny. Tak, wciąż oddychał.

— Sukinsyn żyje, ale stracił przytomność — zawołała cicho do Anny. Podciągając się w górę, wspięła się wyżej. Zawieszając się na obu rękach,

mocno kopnęła ciało lewą stopą, próbując poruszyć je i zepchnąć w dół. Mężczyzna ani drgnął.

Kopnęła go jeszcze raz w podbródek. Ześliznął się o kilkadziesiąt centymetrów w dół przepaści, ale nie w stronę dna parowu. Zeszła niżej i kopnęła jeszcze raz, potem znowu. Było to trudniejsze niż się spodziewała. Przez cały czas natrafiła palcami obu nóg na bezwładne, powolne ciało.

Nagle ześliznął się w dół po skałach i wylądował u stóp Ani. Suzy prędko zeszła za nim.

— Zastrzelmy go. Jego własną strzelbą.

Anna patrzyła na niego. Miał ciemną, bardzo młodą twarz, leciała mu krew z nosa i pooranych o skały policzków.

— Wygląda na tyle lat co mój Fred.

— Kurczę, Aniu, to nie jest moment na sentymenty.

— Nie mogę go zabić, Suzy.

— W takim razie ja to zrobię — warknęła.

Suzy pochwyliła strzelbę i przytknęła lufę do głowy jeńca. Anna czekała, bojąc się tego, co nastąpi. Ta głowa eksploduje na kawałki i zrobi się z niej czerwony, ociekający krwią, straszliwy strzęp. Suzy odłożyła strzelbę.

— Ja też nie mogę tego zrobić.

Patrzyły na siebie. Tchórze. Żadna z nich nie mogła się na to zdobyć.

— Mam pomysł. Weźmy go jako więźnia do obozu i każmy mu pracować przy budowie tratwy, niech zastąpi Sylvanę. Nawet z chorą ręką, Sylvana może przecież trzymać go na muszce.

Suzy wyraźnie ulżyło.

Związały go mocno. Do czapki z daszkiem Suzy nabrała trochę wody z rzeki i oblała nieprzytomną twarz żołnierza!

W końcu mężczyzna westchnął głęboko, kaszlnął i otworzył oczy. Wpatrywał się w jedno miejsce. Zobaczył nad sobą dwie kobiety .

Uśmiechnął się szeroko.

— Zmaż ten uśmiech z gęby i wstawaj.

— W porządku, w porządku, wszystko jest w porządku — odparł pospiesznie jeniec.

— He, ten sukinsyn mówi po angielsku! Podnoś się. Więzień próbował wstać, ale widać było, że nie może się ruszyć. Suzy zachęciła go kopniakiem, wreszcie niezgrabnie udało mu się stanąć na nogach.

— Co robiłeś w tej części lasu? — spytała Anna. Więzień wzruszył ramionami.

— Ja iść na spacer. Ja się zgubić.

— Myślałby kto, wymyślił sobie wymówkę. — Suzy była wściekła. Więzień znów wzruszył ramionami.

— To prawda.

— Nie zbliżaj się do niego — ostrzegła Suzy Annę. Wskazała palcem ścieżkę na brzegu rzeki, która prowadziła prosto do morza.

— Ruszaj się, panie.

— Dobrze, dobrze, wszystko świetnie — mamrotał więzień. Zaczął kuśtykać powoli po ścieżce, potykając się o kamyki i mniejsze głazy.

Zatrzymał się i odwrócił do kobiet.

— Zraniłem się w nogę.

— To źle. Ruszaj się!

Mężczyzna spróbował przejść kilka kroków, upadł na kolana i zwałił się u ich stóp.

— Czy to nie jest niesprawiedliwe? Właśnie wtedy, gdy byłam naprawdę nieubłagana? — mruknęła Suzy.

— Obawiam się, że nie poradzimy sobie same. Trzymaj go na muszce, ja pójdę po Patty i Carey.

Anna wróciła do obozu i przyprowadziła je. Cztery kobiety na pół niosły, na pół wlokły więźnia w dół rzeki do miejsca, gdzie strumień rozszerzał się, ale brzegi nie sięgały nawet metra.

Po przeciwnej stronie rzeki oczyściły kiedyś kawałek gruntu z zarośli przy brzegu, by Suzy mogła stamtąd czerpać wodę. W tym miejscu przepłynęły na drugą stronę. Carey płynęła na plecach wlokąc przerażonego mężczyznę na sobie, lewą ręką przytrzymywała jego brodę.

W obozie szybko opowiedziały Sylvanie, co się stało. Wciąż jeszcze tkwiła na warcie.

Anna zdjęła z jeńca buty i podciągnęła do góry nogawkę u spodni. Po delikatnym zbadaniu posiniaczonej stopy stwierdziła:

— Nic mu się nie stało, mógł tylko doznać lekkiego wstrząsu.

— Wspaniale! Teraz mamy jeszcze jedną gębę do wyżywienia, inwalidę do opieki i więźnia do pilnowania — narzekła Patty.

— Powinnaś go zastrzelić — Carey powiedziała wściekle do Anny. — Żaden mężczyzna nie brałby w takiej sytuacji jeńców.

— W porządku, zabijemy go teraz — nalegała Patty.

— Nie — zaprotestowała Anna. — Niech pracuje dla nas przy budowie tratwy. Jest silny.

— Co z nim zrobimy jak odpłyniemy? — spytała Carey.

— Przywiążmy go do drzewa. Albo ucieknie, albo umrze. Ale nas już tu nie będzie. Teraz mamy za darmo siłę roboczą.

— Przypuśćmy, że nie będzie się przepracowywał?

— Wiemy jak szybko szło Jonathanowi. Jeśli ten facet będzie coś kombinować, nie damy mu jeść.

— Ale wtedy nie będzie miał sił do pracy.

— Obetniemy mu ucho albo wpuścimy mrówki do spodni, zobaczy, że nie żartujemy.

— Gdzie będzie spał?

— Nie z nami — odparła ostro Patty.

— Jeśli dostanie własne łóżko może się uwolnić, może przeciąć lianę o krawędź bambusa.

— Możemy spętać mu na dzień jedną nogę sznurem, a na noc obydwie, rozciągając go między dwoma drzewami.

— W każdym razie co on tu robił?

— Sukinsyn strzelał do rajskich ptaków. Miał przy sobie torbę myśliwską. Te pióra kosztują majątek. Kupiłam na zesze Boże Narodzenie dwa niebieskie do przepaski na czoło, kosztowało to Bretta kilkaset dolarów.

— Skąd mamy wiedzieć, że nie przyjdą go tu szukać?— spytała Palty.

— Był sam, więc prawdopodobnie wymknął się, by zarobić sobie na boku kilka baksów. Popatrz na jego koszulę, jest tylko szeregowcem, a nie generałem. Nie będą przeczesywać dżungli" dla jednego brakującego człowieka.

— Jeśli będziemy miały szczęście, pomyślą, że znów ktoś zdezerterował, albo ugryzł go wąż, albo złapali tubylcy. Jonathan mówił, że nikt się tutaj nie dziwi, gdy ktoś znika bez śladu.

— Na wypadek gdyby ktoś go szukał, lepiej go zakneblować, żeby nie mógł krzyżeć.

— Krzyknie choć raz i dostanie kulę w brzuch. Sylvana z pośpiechem zeszła z drzewa.

— Czy ktoś wreszcie mnie zmieni? Siedzę na tym drzewie od kilku godzin.

Gdy Syl vana pochylała się, by przyrzeć się jeńcowi, mężczyzna zaskowyczał i otworzył oczy.

Pod prostymi, gęstymi brwiami miał mokre, brązowe oczy pełne wyrzutu, jak szczeniak, domagający się resztek jedzenia. Jest taki młody — pomyślała Sylvana, ma pewnie dwadzieścia kilka lat i jest bardzo przystojny. Miał czuprynę błyszczących, czarnych włosów, prosty nos, wysokie kości policzkowe i szerokie, zmysłowe usta.

— Skąd jesteś? — spytała uprzejmie. Nie wyglądał na wyspiarza.

— Manila, proszę pani.

Dalsze przesłuchanie prowadzone przez Sylvanę ujawniło, że nazywa się Carlos Vergana i jest najstarszym synem urzędnika z zarządu kopalni. Mieszkał z ośmiorgiem rodzeństwa w starej dzielnicy Manili i chodził do katolickiej szkoły. Matka chciała by został księdzem, ale on, mając czternaście lat, opuścił szkołę i zaczął pracować w kuchni restauracji „Niebieska Kakadu", gdzie w końcu został kelnerem. W zeszłym roku, w październiku, w barze w Manili spotkał grupę starszych od siebie, silnych żołnierzy najemnych, którym wyraźnie nie brakowało pieniędzy. Następnego ranka obudził się w koszarach wojskowych. Gdy doszedł do siebie po kacu, odkrył, że podpisał się na liście najemników do armii generała Raki i zdążył już wydać wyłacony mu z góry żołd miesięczny.

- W jego kieszeni nie pozostał nawet jeden peso.

Gdy wyjaśniał kobietom, w jaki sposób zaplątał się koło ich obozu, próbował dać im do zrozumienia, że wciągnięto go do wojska wbrew jego woli,

że nie mógł sobie poradzić wśród starszych żołnierzy zbuntowanego wojska, że ze strachu wykonywał jedynie rozkazy.

Sylvana współczuła mu, ale Patty warknęła opryskliwie:

— Zapytaj, czy pomógł zastrzelić naszych mężów? Więzień spojrzał na nie smutnymi, brązowymi oczami.

— Carlos nikogo nie zastrzelić. Pracować w kuchni.

— Patty, nie zrażaj go. Niech mówi. Musimy się przecież dowiedzieć, co się dzieje na wyspie.

Pół godziny potem wiedziały już, co się wydarzyło. Carlos powiedział im o przewrocie wojskowym i o tym, co potem nastąpiło. W ciągu jednej nocy generał Raki odzyskał władzę. Stał się teraz prezydentem Paui i krajem rządzi jego sztab wojskowy.

Prezydent Raki nie życzy sobie więcej kłopotów, pragnie każdemu zapewnić szczęście. Już wkrótce południowego wybrzeża Paui nie będą strzec wojskowe posterunki, więc pluton więźnia czeka na rozkazy w hotelu nad Zatoką Rajską, przekształconym w tymczasowe koszary.

Jeniec błagał, by go puścili.

Musiał wrócić do swojej jednostki. Nie chciał tam iść, ale gdyby złapano go z kobietami w dżungli czekała go kula. Albo wszyscy niech lepiej, całą grupą, wrócą do hotelu, nie?

Patty zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie!

Był zdziwiony.

— Dlaczego wy, amerykańskie kobiety chować się tutaj? Dlaczego wy nie wracać ze mną? Mój sierżant zaopiekować się przecież wami, zabrać was do Cjueenstown. To nie dobrze, żeby amerykańskie kobiety żyć tak jak żyjecie!

Wskazał głową w stronę szałasów pokrytych słomą.

— Pamiętacie, jak zaopiekowali się Izabelą — powiedziała Patty, której na sam widok więźnia robiło się niedobrze.

Sylvana pomyślała, że było coś chłopięcego i budzącego zaufanie w jego zdziwionych, dużych, brązowych oczach.

— Wygląda na to, że nie może tego pojąć — powiedziała Sylvana.

— Popatrzcie na to — Suzy właśnie przed chwilą sprawdziła zawartość jego kieszeni.

Podniosła w górę puszkę po cytrynowych dropsach, w której Jonathan trzymał ich zegarki. Po tym jak Sylvana straciła szmaragdowy pierścionek, kobiety złożyły do puszek także i swoje pierścionki, myśląc, że mogą wykorzystać kiedyś biżuterię do handlu, a poza tym i tak ich palce były teraz tak chude, że pierścionki się ześlizgiwały.

— Ta puszka była razem z zapasami przechowywanymi pod zadaszeniem, w jednym z koszy bambusowych — powiedziała Sylvana.

— Ten sukinsyn naprawdę znalazł nasz obóz dzisiaj po południu, kiedy

byliśmy w jaskini. Teraz, czy zakładamy, że jest pospolitym złodziejem? Czy też mamy rozumieć, że zabrał ze sobą dowód, że żyjemy i mieszkamy w dżungli?

— Powinnaś go była zastrzelić. — Carey spojrzała na Patty.

Nigdy o tym nie rozmawiały, już raz zabiły, więc złamały tabu kobiecości. Kobieta ma dawać życie, a nie odbierać je, bez względu na to, jak to nazwać — działanie w obronie własnej, zabójstwo czy morderstwo— zabiły człowieka.

— Wiem, że powinnyśmy go zastrzelić— powiedziała Anna. Zrozumiała dokładnie, co Patty ma na myśli.

— Ale nie zrobiłyśmy tego. Podjęłam złą decyzję.

Patrzyła na dwie zacięte i bezlitosna twarze przed sobą i dodała.

— Obiecuję, że następnym razem nie zawaham się. Patty wybuchnęła złością.

— Liczy się to, co jest teraz! Następnego razu może już nie być.

— Wszystkie popełniałyśmy głupie błędy. Nie jesteśmy superkobietami, ani też automatami. Może to ty zrobisz następny błąd, Patty.

— Pokażcie mi co jeszcze ukradł ten sukinsyn.

Trzymała więźnia na muszce M-16. Anna rozwiązała mu rękę.

— W porządku. Zdejmij to z siebie. Rozbieraj się! Nie wstydz się, wcześniej już to widziałyśmy.

Mężczyzna był oszołomiony.

— Co chcecie, żeby zrobić?

— Zdejmuj z siebie ubranie. Powoli — rozkazała Patty. Zaczął rozpinać guziki podartej, brudnej koszuli.

— Może mieć jeszcze jakąś broń. Może ukryty nóż.

— Trzymam palec na spuście i bezpiecznik jest odblokowany.

— Teraz spodnie — warknęła.

Więzień rozpiął suwak. Jego zakrzywiony penis zwisał w gęstwinie ciemnych włosów.

Żadna z nich nawet nie zwróciła uwagi. Stał przed nimi nago.

Jego oliwkowa skóra błyszczała młodością. Miał muksularną budowę i wąskie biodra, mocne, naprężone pośladki jak torreador.

Stał normalnie, nie wydawał się ani agresywny, ani skruszony, ani też świadomy tego, że jest podniecający. Stał przed nimi zupełnie nagi, obracając w palcach srebrny znak tożsamości żołnierza zawieszony na szyi.

Oczy kobiet skupiły się w jednym miejscu.

Czarno-czerwony wąż oplatał jego prawe ramię, zwijając się w górę aż do nadgarstka.

Głowa węża spoczywała na gładkim, brązowym bicepsie a wytatuowane jadowite zęby sięgały do gardła mężczyzny.



**ŚRODA, 6 MARCA 1985**

37

Nad głową więźnia, który leżał teraz przywiązany do dwóch płomiennych drzew, udając, że śpi, wisiały — niby duży, jaskrawy parasol — gęste kiście czerwonych i pomarańczowych kwiatów. Gdy ciemne niebo zmieniło kolor na perłowy, zdecydował która z nich stanie się jego ofiarą. Spróbuje jeszcze raz ukraść puszkę z biżuterią. Nie miał cienia wątpliwości, że ucieknie. Jego specjalnością — studiowaną od lat — były niemłode Amerykanki.

Gdy usłyszał kroki, ostrożnie otworzył jedno oko. Dobrze, że to ta cicha z zabandażowaną ręką. Zajęczał.

— Carlosie, przyniosłam ci śniadanie. — Sylwana kucnęła przed nim i dotknęła jego czoła. Potem nakarmiła go ciepłą, rozgniecioną na papkę rybą, podając mu po odrobinie.

Po śniadaniu, Anna sprawdziła stopy więźnia i posypała je węglem drzewnym. Patty przyglądała się tej operacji z szyderczą miną, trzymając wycelowany w Carlosa M-16.

Pokazały mu jak wiązać liny wokół bambusowych palików tratwy.

Sylvana ostrożnie stanęła za jego plecami z jego własnym AK-47 wycelowanym prosto w niego.

Pracował tak ciężko jak mógł, chciał wydać się człowiekiem potulnym i uległym.

Gdy przerwali pracę w południe, kobiety zgodnie stwierdziły, że pracował dobrze.

— Nie ufam temu sukinsynowi. Ma coś w oczach. Przypomina mi taką kelnerkę z baru koktajlowego, którą kiedyś znałam. Wylali ją z pracy za to, że kradła napiwki z pudełka dla personelu — rzekła Suzy.

— Nie będzie miał Szansy, by próbować swoich sztuczek i poza tym będzie tak cholernie zmęczony; że wieczorem nie będzie mógł się ruszyć.

Suzy skinęła głową, myśląc, że Carey nie wygląda już jak księżniczka Diana. Z ponurym uśmiechem przypominała teraz trochę młodego Clinta Eastwooda. Sylwana rozdała im pieczoną rybę i powiedziała do Patty:

— Sinatra znowu zdechł. Proszę, upoluj mi drugiego.

Sinatra I zjadł pomarańczowy owoc wielkości czereśni, potem znalazły go sztywnego w klatce. Sinatra II przegryzł pewnej nocy bambusowe pręty i Uciekł. Sinatra III i IV zdechły po zjedzeniu owoców. Na widok tych pokrytych futrem zwłok kobiety przebiegał zimny dreszcz, gdy uświadamiały sobie jak bliskie były śmierci.

Sylvana złożyła resztki ryby do przypominającego słoik naczynia z bambusa i podniosła swoje zniszczone rękawice rybackie.

— Zakopię go. Pchły powinny już do tej pory uciec.

— Pozwól mi go zakopać — zaproponował Carlos.

— Nie odzywaj się nie pytany.

— On tylko zaproponował swoją pomoc w zrobieniu brudnej roboty — odezwała się łagodnie Sylvana.

— Pewnie, prawdziwy harcerz — odparła Patty.

Anna była wyraźnie zaniepokojona, ale nic nie powiedziała. Ten niepokój zaczął się wczoraj, prawie dokładnie w chwili, gdy Carlos zjawił się w ich obozie. Gdyby tylko umarł, gdyby spadł z mostu.

Przez całe popołudnie wszyscy, z wyjątkiem Sylvany, pracowali w pocie czoła nad tratwą.

Po wieczornym posiłku przywiązały Carlosa za ręce do dwóch drzew w pobliżu szałasów, w których spały. Zanim Sylvana poszła spać przyniosła mu wodę w skorupie orzecha kokosowego. Patrzył na nią smutnymi oczami. Nie powiedział nic.

Trudno jej było uważać go za wroga. Przecież szedł sobie tylko przez dżunglę... Oczywiście wziął przedtem ich biżuterię, ale... może myślał, że opuścili obóz.

To przecież niemożliwe. Ich sprzęt leżał porozrzucany wokół i paliło się ognisko. Po prostu ukradł. Był bez wątpienia złodziejem. Ale trzymając go na muszce przez cały dzień, obserwowała go uważnie. Pracował ciężko przy tratwie, widziała jak pot spływał po nim strumieniami.

To tylko chłopiec — mówiła sobie.

Sylvana wiedziała, że kiedy będą opuszczać wyspę, nie pozwoli kobietom, by zostawiły go przywiązanego do drzewa. Będą musiały zabrać go ze sobą. Gdy to zaproponowała w obozie zapanowała konsternacja.

— Nie mi mowy! — krzyknęła na koniec Patty.

W kortcu wwyilkc zgodziły się, by pozostawić Carlosa w dżungli. Sylvani patrzyła na twarze kobiet zgromadzonych wokół ogniska.

— To nieludzkie zostawiać go tutaj, chyba że go wypuścimy.

— Nie wypuścimy go! — krzyknęła Carey. — I jeśli nie przestaniesz się litować nad tym sukinsynem to zostawimy cię z nim razem.

Carlos słyszał ową kłótnię.

Później, gdy Sylvana przyniosła mu wodę, odezwał się miękko: — Dziękuję pani bardzo. .

Jego brązowe oczy spojrzały na nią z wdzięcznością. Następnego dnia Carlos też pracował dobrze.

Tego wieczoru, gdy Sylvana odeszła od ogniska niosąc więźniowi jedzenie, pomyślała, że jej współczucie dla Carlosa jest przecież naturalne. Czowała, że musi się nim opiekować, mógłby przecież być jej synem.

— Uważaj na Sylvanę. Carlos kopie pod nią dołek, w który ona już wpada. Nie odrywa od niego oczu — mówiła Suzy.

— Cóż, oczywiście, że nie odrywa — odparła Anna. — Jest jej więźniem. Pracuje za nią i do niej należy obserwowanie go i pilnowanie by nie uciekł. Sylvana mogłaby być jego matką.

— Więc?

- Wszystkie macie bzika na punkcie tego faceta. Sylvana tylko wykonuje swoje obowiązki. Jest jego strażniczką. Jednak, gdy Sylvana wróciła do obozu, Suzy zaczęła ją wypytywać.
- Dlaczego ten facet ma tak szczególną obsługę?
- A jak inaczej zjadłby mango? — broniła się Sylvana. — Nie rozumiem dlaczego mamy go traktować jak zwierzę. Jesteś rozdrażniona, Suzy, bo on nie patrzy na ciebie tak jak lubisz — odwarknęła Sylvana, widząc że Suzy uśmiecha się szyderczo.
- Oszalałaś? — krzyknęła.
- Może sobie nie zdajesz z tego sprawy, ale od dwóch dni chodzisz tak jak kiedyś. Kręcisz tyłkiem i biegasz, jakbyś miała nogi spętane w kolanach.
- A ja widziałam, jak sobie czyścisz paznokcie bambusową drzazgą.
- Przestańcie! Przestańcie obie! — powiedziała Anna. To szósta drobna sprzeczka w ciągu jednego dnia — pomyślała. Była wściekła.
- Wszystkie zachowujemy się dziwnie. I to tylko dlatego, że wśród nas pojawił się mężczyzna.

### ***PIĄTEK, 8 MARCA 1985***

**38**

Carlos był nie tylko młody, silny i dobrze odżywiony, ale przede wszystkim nie był w dżungli przez cztery miesiące. Nawet Suzy musiała przyznać, że pracował ciężko i tak szybko jak Jonathan. Żadna z kobiet nie wspominała o tym, ale gdy rąbał bambus wszystkie, zafascynowane, przyglądały się jak wytatuowany czerwono-czarny wąż drży i skacze po oliwkowej skórze ramienia, gdy silne bicepsy poruszają się w jednostajnym rytmie.

Trzeciego dnia, na prośbę Sylwany, pozwoliły Carlosowi jeść razem z nimi posiłek południowy. Anna dostrzegła, że drapie się po głowie.

— Sylwana, sprawdzisz mu głowę. Sam ich nie zabije.

— Obetnij mu włosy.

— Wtedy Carlos wyglądać jak mały chłopiec, jak ty.

Zerknął na Suzy powłóczystym spojrzeniem spod gęstych, czarnych rzęs. Suzy zachichotała.

Sylvana poczuła nagle ból w klatce piersiowej. Niestrawność — pomyślała, odkładając kawałek kokosa. Nie przeżuła go dokładnie. Ale ból nie ustawał. Czowała go, prawdziwy ból. Zastanawiała się, czy to nie atak serca. Czy była już w takim wieku? Popatrzyła na przeżuty kawałek kokosa, który trzymała w dłoni. W jakiś dziwny sposób, pomimo tego, że dbały jedynie o podstawową higienę, małe, brązowe dłonie Suzy zawsze były gładkie i błyszczące. A dłonie Sylwany — pomarszczone, i w dodatku pojawiły się na nich wystające żyły i piegi. Poza tym brakowało jej jednego palca.

Czuła się poniżona i brzydka. Była przygnębiona. Nie rozumiała jak to się stało, tak nagle z minuty na minutę. Po posiłku Carlos szedł wolno, ze spętanymi nogami — w stronę sterty bali. Sylvana uważnie trzymała go na muszce M-16. Potem żadna z nich nie mogła wyjaśnić, co się naprawdę stało, nawet Anna, która szła obok niego. Potknął się nagle, krzyknął z bólu i upadł na bale.

Zgrabny stos rozsypał się, kłody toczyły się i podskakiwały, pędząc po stromym zboczu prosto do wodospadu. Zaskoczone kobiety rzuciły się naprzód — ale za późno, kłody spadły ze skał i zniknęły im z oczu.

— Dziś jest przyływ — krzyknęła przenikliwie Suzy. — Ten sukinsyn zrobił to celowo.

Rzuciła się na Sylvanę i próbowała wyrwać jej strzelbę.

— Ja upaść bo wy związać moje nogi. To prawda — krzyczał.

— Ratujcie te bale — wrzasnęła Patty usiłując jak najszybciej zejść z drzewa, na którym trzymała wartę.

Następnego ranka, po raz kolejny, kobiety wróciły do gaju bambusowego. Nie wszystkie bale spadły ze skał. Carey obliczyła, że Carlos mógłby ściąć w półtora dnia wystarczającą ilość bambusa, by skończyć zbudowaną już w połowie tratwę.

Znużone i wytracone z równowagi pracowały nadal w pocie czoła.

Czujniej obserwowały Carlosa, gdy pracował. Żadna nie podchodziła zbyt blisko. Obawiały się, że mógłby pochwycić którąś by zabrać jej nóż, albo użyć jako tarczy umożliwiającej ucieczkę. Gdyby tak się stało, postanowiły już wcześniej, że ta którą pochwyci natychmiast przesunie obie nogi w bok, by wartowniczką mogła strzelać w nogi Carlosa.

Sylvana przez cały dzień cierpiała z powodu bólu w klatce piersiowej. Od lat nie doświadczyła tak gwałtownych emocji. Nie mogła już dłużej wmawiać sobie, że żywi do Carlosa jedynie uczucia macierzyńskie.

Obserwowała go z nową, ukrytą czujnością. Za każdym razem, gdy oglądał się za Suzy, odczuwała nagłe ukłucie bólu. To normalne — myślała ponuro. Suzy jest młoda i atrakcyjna. Gdy byłam w jej wieku też byłam atrakcyjna. To niesprawiedliwe! — przyszło jej na myśl.

Dzięki Bogu, jako strażniczka Carlosa, miała powód by nie odrywać od niego oczu. Pragnęła dotykać tej gładkiej, błyszczącej skóry, przysunąć się bliżej i wdychać piznowy zapach spod ramion, otrzeć z potu jego nagie plecy, powoli gładzić mięśnie po Zewnętrznej stronie ud. Prawie czuła ciepło jego ciała pod swoją dłonią.

Carlos widział co się dzieje z Sylvaną. Wiedział także, że wkrótce ukończą tratwę.

Następnej nocy, gdy Sylvana przywiązywała rozciągnięte na boki ramiona więźnia do dwóch drzew, obserwowana przez stojącą ze strzelbą Patty, Carlos szepnął:

— Kiedy opuścicie tę wyspę, kiedy odjedziecie... błagam cię zostaw nóż, żeby biedny Carlos mógł się oswobodzić, żeby nie gryzły go mrówki, aż Carlos umrze.

— Obiecuję, że nie zostawię cię tu na pastwę losu.

— Zostawisz nóż? Sylvana zawahała się.

Carlos patrzył na nią dużymi, brązowymi oczami, okolonymi czarnymi rzęsami.

— Proszę. Błagam.

— Tak — usłyszała swój własny szept. Carlos przyglądał się jej płomiennym wzrokiem-

Sylvana, jak zaczarowana, powoli zbliżyła ku niemu twarz. Musi być szalona, przecież obserwuje ich Patty.

Może przecież powiedzieć, że zacieśnia mu więzienia — pomyślała, dotykając delikatnie jego czoła wargami. Carlos nie poruszył się.

Sylvana —jak w transie— wolno przyłożyła czubek drżącego palca wskazującego do jego policzka i wodziła nim po linii szczęki. Od lat nie dotykała mężczyzny z miłością i teraz ta długa tęsknota zawładnęła jej ciałem, jakby ktoś rzucił na nią urok.

Zamierzasz tkwić tu całą noc? — spytała wściekła Patty. — Chcę wejść na drzewo, póki je jeszcze widzę.

— Wszystko w porządku. Związuję mu mocniej ręce. Możesz iść. Sylvana nie mogła się powstrzymać. Jak zahipnotyzowana powoli zbliżyła

ku niemu twarz. Poczula, jak wkłada jej do ust natrętny, wilgotny czubek Języka. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego prawego ramienia.

Opuszkami palców powoli i delikatnie wodziła po konturach węża w górę, zbliżając się do mocnego ciepłego karku.

Serce kołatało jej w piersi. Rozciągnięty i przywiązany do drzewa Carlos nic mógł jej dotykać dłońmi. Sylvana chwyciła oddech, kiedy poczuła, że jego pierś wznosi się i opada pod nią, gdy ona ustami wpija się w jego wargi. Miała wrażenie, że tonie, że opuściła ją własna wola i że jest niezdolna do samodzielnego myślenia. Carlos z wolna wsysał jej dolną wargę do swoich ust.

— Coś nie tak, Sylvano? — zawołała Carey z szałas.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała jej z trudem.

— Ty wrócić później. Kiedy one spać, my się całować.

— Nie — szepnęła Sylvana ze smutkiem. Znow zapragnęła go pieścić/lecz zabrakło jej odwagi. Z ogromnym wysiłkiem odwróciła się i powlokła w stronę wygasającego ogniska.

Tak, wybrał tę właściwą. Mimo że obiecywała, nie wierzył, że zostawi mu nóż. Nawet gdyby to zrobiła wiedział, że albo Patty albo

Carey jeszcze raz sprawdzą jego więzy zanim opuszczą wyspę. Teraz liczyło się tylko to, by ją dostać.

Ziewnął sennie. Lepiej teraz się zdrzemnie, bo ona wróci.

Sylvana leżała na łóżku, słuchając jak Patty oddycha lekko i regularnie.

Zazwyczaj lubiła noc, wdychała zapach suchych liści okapu i słuchała symfonii w dżungli. Dziś wieczorem nie mogła znaleźć ukojenia. Nie spała, je rozgrzane, napięte ciało, drżało na bambusowej leżance. Bolała ją tęsknota, opuścił rozsądek, jej mózg przestał sprawować kontrolę nad ciałem. Wyśliznęła się z łóżka.

Carlos spał oddychając miarowo. Sylvana kucnęła przy nim, przyglądając się w przydymionym świetle jego twarzy. Rozkoszowała się tą chwilą, nie wiedziała co przyniesie następna.

Palcem wskazującym dotknęła jego policzka. Carlos odwrócił się przez sen i pieścił go ciepłymi wargami. Jego język ślizgał się po czubku jej palca, potem jego wargi delikatnie wessały go do ust. Ssał coraz mocniej i mocniej, aż uwięził go w swoich ustach.

Proszę, nie przestawaj. Sylvana klęczała przy nim trzymając w dłoniach i lekko kołysząc jego głowę, jej zarys widziała jak przez mgłę. Czuła jednak; wyraźnie zapach jego ciała, który zmieszał się z zapachem ziemi.

Gdy szukała ustami jego ust, słyszała jak oddycha i jak mocno tłucze mu się serce w nagiej piersi. Ich pot mieszał się ze sobą, ich bijące serca prawie się! stykały. Powoli całował jej wargi, potem podbródek. Drżącym językiem przesunął w dół po szyi.

Sylvana trzęsącymi się dłońmi rozerwała koszulę i poczuła jak jego miękkie wargi dotykają jej sutka.

Wreszcie ogarnęło ją uczucie ulgi.

Carlos zajął się całkowicie jej piersią, ocierając się delikatnie wargami o miękkie spód mięsistego wzniesienia. Sylvana straciła oddech, gdy poczuł jak dotyka ją lekko zębami, a potem językiem.

Nagle zatrzymał się. Jej ciało krzyczało protestując.

Lecz on tylko przesunął się do drugiej piersi. Znow schował twarz w miękkim wzniesieniu. Wargami zaczął ciągnąć sutek miarowo... Znow przestał.

— Proszę, nie przerywaj. Proszę. Proszę, nie.

— Rozwiąż mi ręce, żebym mógł cię pokochać — szepnął łagodnie.

— Nie, nie mogę.

— Mówisz, że dasz roi ten nóż jak odpłyniecie, więc dlaczego nie możesz rozwiązać tylko jednej ręki już teraz?

— Nie wolno mi.

Wilgotny czubek języka prześliznął się po jej sutku, poruszał wolno wokół niego, znow pieszcząc stwardniały czubek. Wstrząsnęła nią rozkosz. Nagle przestał. Chciał by go uwolniła.

Obiecałam mu nóż — pomyślała. No i przecież wie na pewno jak niebezpieczna jest nocą dżungla.

Sylvana ześliznęła się z młodego, szczupłego ciała. Podczołgała się do drzewa z prawej strony i rozplątała lianę. Znając cenę ryzyka, lecz już o nim nie pamiętając, uwolniła więźnia.

Szybko jak kot, Carlos rozerwał drugą lianę, którą przywiązały do drzewa jego drugą rękę.

Sylvana słuchała jak się uwalnia. Była głupia i wiedziała o tym.

W ciemnościach poczuła niewidoczną dłoń z tyłu głowy, potem czubki palców delikatnie gładziły jej kark. Poczwała czubek jego języka na ucho, a potem wilgotne, drżące i ciepłe ciało.

Zamknęła oczy i cicho jęczała, czując jego dłoń na obnażonej piersi. Opadli razem na ziemię. Jego dłoń ześlizgiwała się wolno w dół po jej ciele.

Przebiegł ją ciepły dreszcz rozkoszy aż po opuszki palców, w których poczuła mrowienie.

Carlos był profesjonalistą.

### **PONIEDZIAŁEK, 11 MARCA 1985**

#### **39**

Strzał ze strzelby M-16 narobił sporo hałasu. Patty omal nie spadła z drzewa celując do nagiego mężczyzny w wysokich butach, który biegł przed siebie, by skryć się w dżungli. Uskoczył w bok, ale biegł dalej. Nie trafiła. Ześliznęła się po pniu w dół. Ze strzelbą w dłoni, rzuciła się w kierunku drzewa, do którego przywiązały Carlosa. W strasznej porannej mgle dostrzegła nagą postać leżącą twarzą do ziemi. Zabił ją!

— Co to było?

— Co się stało?

Naga, oszołomiona i na pół śpiąca Sylvana usiadła.

— Co ci zrobił ten sukinsyn? — dyszała Carey. Wtem, zrozumiawszy co się stało, stanęła jak wryta.

— Ty głupia dziwko! — wykrzyknęła.

Podniosła strzelbę, by wymierzyć w Sylvanę. Anna skoczyła do przodu i pochwyciła ją za ramię.

— Nie trać na nią czasu. Trzeba go złapać. Anna wetknęła Sylvanie strzelbę do rąk.

— Zostań tutaj. Pilnuj obozu, pilnuj tratwy. Strzelaj jak się tylko pokaże i strzelaj tak, by go zabić. Jeśli wróci, to go zastrzel. Jeśli tego nie zrobisz, obiecuję, zastrzelimy ciebie.

Zwróciła się do pozostałych kobiet.

— Nie będzie biegł w stronę mostu Burma, bo wie, że tamtędy nie przejdzie. Ty Suzy weź moją strzelbę i przetnij dżunglę do Williama Penna jak najdalej na południe, by odciąć mu drogę do wioski Katanga. Reszta ustawi się wachlarzem w jednej linii. Ruszymy w stronę Williama Penna, może uda się go zepchnąć z powrotem na ścieżkę. Potem, przy odrobinie szczęścia, Suzy może dobiec ścieżką w górę i złapać go.

Gdy zniknęły w buszu, do Sylvany dotarła ich pogarda i złość. Rozumiała to. Czuli się poniżona i wykorzystana. W środku lasu tropikalnego, w jego półmroku, poszukiwania spowolniały. Kobiety zbliżyły się do Williama Penna i do granicy tabu. W oddali usłyszały strzał.

Może to była Suzy ze swoim AK-47 —nie znały jeszcze głosu tej strzelby, równie dobrze mogła to być jakaś inna broń... albo ktoś wyrwał Suzy jej strzelbę.

Dobrnęły wreszcie do Williama Penna. Nie zobaczyły nikogo.

Jednocześnie, wszystkie trzy, odwróciły gwałtownie głowy w prawo. Usłyszały kogoś przedzierającego się przez zarośla. Zobaczyły nagiego Carlosa — biegł wprost na nie.

Stanął jak wryty gdy je zobaczył i w jednej chwili rzucił się w dżunglę. Stało się to tak szybko, że żadna z nich nie zdążyła strzelić zanim zniknął.

Kobiety ruszyły za nim. Coraz bardziej oddalały się od bezpiecznego terenu tabu.

Patty spojrzała na zegarek. Dała znak Annie, która przywołała pozostałe kobiety. Wszystkie cztery zebrały się w jednym miejscu.

- Jest już dziewiąta, więc od trzech godzin chodzimy po dżungli. Chyba go zgubiłyśmy.
- Przynajmniej wiemy mniej więcej, gdzie jest. Wie, że go szukamy, mógł się schować.
- Gdybyśmy wróciły teraz do obozu, mogłybyśmy pracować przez cały dzień i noc. Mogłybyśmy skończyć tratwę i wyruszyć już jutro.
- Skoro już go zgubiłyśmy, powinnyśmy odpłynąć jak najszybciej.
- W porządku — Anna otarła pot z twarzy wierzchem dłoni. — Robimy pięciominutową przerwę i wracamy do obozu.

Podczas odpoczynku nie odzywały się do siebie, wreszcie pierwsza wstała Patty i przeciągnęła się ze znużeniem. Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

- Nie, to dalej po lewej stronie — powiedziała Anna.
- Tędy przyszłyśmy — odparła Patty w połowie odwrócona w jej stronę.
- Nie, to było tam po twojej prawej ręce, Aniu.
- Czy któraś ma kompas? Gdzie masz ten, który nosisz na szyi, Suzy? — spytała Carey.
- Zdjęłam go na noc do spania.

O jedenastej, gdy znowu się zatrzymały, nie miały już pojęcia gdzie są.

- Gdziekolwiek będziemy o czwartej po południu, zatrzymujemy się na noc przy strumieniu — postanowiła Ania. — Patty i Carey będą łowić ryby, Suzy zbierze ze mną kije na łóżka.
- Może powinnyśmy pójść wzdłuż jednego z tych strumieni do miejsca, w którym wpadnie do rzeki. Woda musi płynąć w dół, więc przynajmniej będziemy wiedziały, że nie wspinamy się znowu na to wzgórze.



— Ale nie wspinałyśmy się przecież na wzgórze.

— Och, nie zaczynaj od nowa. Carey ma rację. Gdy pójdziemy wzdłuż strumienia zyskamy przynajmniej tyle, że będziemy szły szybciej.

— Byłoby łatwiej, gdybyśmy spróbowały po zachodzie słońca. Wiedziałybyśmy wtedy, którądy iść — mówiła Carey.

— Ale jak zejdziesz na dół to w pięć minut stracisz poczucie orientacji — protestowała Suzy.

— Głosuję za tym, żeby iść wzdłuż strumienia. Zawsze spływają w dół po zboczach. Mogłybyśmy nawet iść wodą.

— Pijawki — przypomniała Anna.

— Pieprzę pijawki. I tak to nie boli. Możemy się ich pozbyć po powrocie do obozu. Strumienie wpadają do rzek a rzeki do morza — mówiła Carey.

— Czasem rzeki prowadzą do mokradeł — ostrzegła Patty.

— Jeśli pójdziemy wzdłuż strumienia, będzie to rozsądniejsze niż kręcenie się w kółko. Więc chodźmy. Od tej chwili będziemy odpoczywać co godzinę. Każda z nas ma nóż. Przeżyjemy tutaj, jeśli nie będziemy iść za szybko i nie wpadniemy w panikę. Były już jednak przerażone. Odgłosy dżungli różniły się od tych, które znały. Jaskrawo upierzone ptaki przelatujące jak błyskawice nad ich głowami zdawały się drwić z nich.

— Chcę się znowu zatrzymać — powiedziała Patty, wyciągając z kieszeni zapalniczkę Jonathana. — Powinniśmy wszystkie zadać sobie pytanie, co by zrobił Jonathan w takiej sytuacji.

Nerwowo głaskała zapalniczkę. Anna szukała pocieszenia w kieszeni, dotykając ciężkiego szwajcarskiego scyzoryka.

— Zdajecie sobie chyba sprawę z tego, co robicie, prawda? Traktujecie rzeczy Jonathana jak fetysze.

— Myślałam, że to tylko skórzane pejczy i czarne podwiązki.

— Nie, to jest każdy przedmiot otaczany kultem.

O trzeciej po południu doszły do miejsca, gdzie brzegi rzeki były głębsze i uformowały z kamieni coś na kształt ziejącej gardzieli. Zatrzymały się, by odpocząć.

— Nie chcę was łudzić nadzieją, ale czy to się nie wydaje znajome? — spytała Anna.

— Zastanawiałam się nad tym. Naprawdę sądzisz, że to Allegheny?

— Myślisz o naszej rzece? Myślisz, że jesteśmy teraz nad mostem Burma? Jak to możliwe, że przedostałyśmy się na drugą stronę, nie przechodząc przez wodę, jeśli to nasza rzeka?

— Jonathan mówił, że te rzeki czasami, przez jakiś krótki odcinek, płyną pod ziemią. Jeśli tak jest, to być może przeszłyśmy już przez taki odcinek.

— Albo przeszłyśmy nad źródłem — rozważała Anna. Carey westchnęła.

— Może przeszliśmy już kilometry, a może kręcimy się w kółko na niewielkim obszarze, kto wie? Ale to z pewnością przypomina naszą rzekę. Podnosić się, dziewczyny.

Z nowymi siłami, zmęczone i spragnione kobiety szły znów przed siebie. Nagle Anna, która prowadziła grupę, uniosła gwałtownie głowę i wyciągnęła w górę prawe ramię.

Zatrzymały się natychmiast. Żadna z nich nic nie mówiła, stały bez ruchu. Był to sygnał, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Anna odwróciła się i kiwnęła dłonią do kobiet. Podbiegły.

— Słyszałam szczekanie psa. Posłuchajcie.

— Wygląda na to, że szczeka ich kilka.

— To znaczy, że jest tam jakaś wioska.

— To też znaczy, że to nie jest nasza rzeka — powiedziała Suzy.

— Siedź cicho. Słyszę coś jeszcze.— Carey wyteżyła słuch i uśmiechnęła się ponuro. Była zmęczona. — To brzmi jak łomot bębnow.

— Fale przy brzegu — rozchmurzyła się Suzy. — Morze!

Znów ruszyły do przodu, choć nadal ostrożnie. Znowu obudziła się w nich nadzieja. Jednak Carey słyszała naprawdę odgłos bicia w bębny. Gdy znalazły się bliżej, dobiegły je śpiewy i podekscytowane okrzyki dzieci.

— Robią piekielnie dużo hałasu.

— Chyba świętują czyjeś urodziny. Bądźcie cicho, musimy sprawdzić co to jest.

— Pamiętajcie, jeśli podejdzie tu jakiś pies, czy będzie szczekał czy nawet ugryzie, stójcie absolutnie bez ruchu — ostrzegła Carey.

Kobiety zbliżyły się do wioski. W końcu Anna dostrzegła przed sobą polanę. Mężczyźni śpiewali, ich szczupłe czarne ciała błyszczały wysmarowane słoniną. Gdy tańczyli, pobrzękiwały muszelki z ich naszyjników. Twarze mieli wymalowane białą i żółtą ochrą. Żółte i szkarłatne pióropusze kołysały się, gdy szurając nogami chodzili w kółko. Śpiewający i tańczący chór potrząsał głowami i tupał przy akompaniamencie fletu i bicia w puste, natłuszczone bębny.

Wszyscy ucichli, gdy zjawił się na brzegu polanki potężny mężczyzna w średnim wieku. Miał ogoloną głowę, biały pióropusz czarownika i twarz pomalowaną w białe poprzeczne pasy. Z jego szyi zwisała sztuczna szczeka, zaczepiona na skórzanym rzemyku. Niósł coś.

Czarownik zbliżał się do prowizorycznego ołtarza, który stał z lewej strony palmy otoczony kolorową mgłą pióropuszy. Nagle muzyka ucichła. Mężczyzna pokłonił się przed ołtarzem i wystąpił kilka kroków naprzód. Ostrożnie umieścił swój ciężar na ołtarzu. Cofnął się i skłonił z szacunkiem.

— Och, mój Boże — Suzy zabrakło powietrza. — Tatuaz węża! To ramię Carl osa!

## ITAMBU

### *PONIEDZIAŁEK, U MARCA 1985*

40

Im głębiej zanurzali się pontonem w gęstwinę, tym węższa stawała się rzeka. Po pięciu godzinach w ciasnej łódce Harry czuł, że dusi go ciemnozielony, wąski tunel, wywołując uczucie klaustrofobii, gdy nieubłagane obniżał się tuż nad jego głową. W myślach przypominał sobie wypadki ostatnich dziesięciu dni.

Pierwszego marca, dzień po oficjalnym ogłoszeniu, że skończyła się pora cyklonów, Harry poleciał na lotnisko w Queenstown.

Kerry już czekał na niego. Na tylnym siedzeniu jeepa zobaczył dwóch uzbrojonych strażników.

— Naprawdę są konieczni? — Harry skinął głową w kierunku żołnierzy.

— Tak i zobaczysz dlaczego, jeśli naprawdę chcesz zatrzymać się w Queenstown.

Rozmawiając wysiedli z jeepa, szli pasem startowym w kierunku helikoptera.

— Czy przylecieli już John i piloci?

— Spóźnili się wczoraj z Moresby. Samoloty Piper Cherokee będą startowały z pasa w Queenstown, bo na Mount Ida nie ma żadnej fortyfikacji.

— Dlaczego musimy latać na tych helikopterach? Chyba można wynająć samoloty Obrony Powietrznej Paui? Z pewnością znają lepiej teren niż ośmiu australijskich pilotów z Moresby?

Kerry zaśmiał się.

— Obrona przeciwlotnicza Paui jest wciąż minimalna. Mają wszystkiego dwa Ottersy.

Helikopter zniżał się nad gęstą, zieloną roślinnością i leciał wzdłuż linii wybrzeża. Harry zadawał zwyczajowe pytania biznesmana.

— W kopalni wszystko w porządku. Produkcja idzie planowo, nie ma kłopotu z załogą. Wszystko jest pod kontrolą spółki, a gdyby coś się miało dziać — jesteśmy przygotowani.

— A jeśli będą kłopoty, co zrobisz z naszym personelem?

— Pamiętaj, mówiłem ci, że Mindo awansował? Teraz on kieruje tubylcami. Gdybyśmy musieli się ewakuować, to jego zadaniem będzie zaprowadzić każdego z wyspiarzy do jego rodzinnej wioski albo zabrać wszystkich ze sobą w góry do Masywu Centralnego. Jego ojciec jest ważnym szefem plemienia górskiego, więc wszyscy będą bezpieczni do czasu, aż się tutaj uspokoi.

— A co poza tym słysząc?

— Niewiele, z wyjątkiem tego, że jest tu coraz gorzej od czasu, gdy Raki został wybrany dożywotnim prezydentem.

Johno i ośmiu australijskich pilotów czekali w wygodnym biurze Kerry'ego. Był tam też Mindo, który, gdyby nie złamany nos, wyglądałby jak tradycyjny wizerunek Jezusa. Miał ten sam litościwy, choć stanowczy wyraz twarzy, długie włosy i brodę. Emanował władzą. Nie dziwiło to u mężczyzny, który był synem przywódcy plemienia górskiego, otrzymał wykształcenie w kolegium jezuickim w Port Moresby i przekroczył granicę między byciem przywódcą związkowym a członkiem kierownictwa.

Podczas poprzedniej podróży Harry'ego na Paui, Mindo odwiedzał swoje plemię, więc teraz widzieli się po raz pierwszy. Ze względu na jego znajomość wyspy poproszono go, by był obecny przy odprawie, podczas której miano omówić plany poszukiwań. Plany te zatwierdzono na kilka tygodni przed ich wykonaniem.

— Co pana zdaniem mogło się stać z zaginionymi? Mindo nie owijał w bawełnę tego, co myślał.

— Jeśli usłyszeli strzelaninę mogli się ukryć w dżungli. Biali nie przeżyją w lesie. Pewnie umarli.

— Czy pan uważa, że nie żyją?

— Być może. Ale Zatoka Rajska była kiedyś ogromnym obszarem polowań na krokodyle. Dzisiaj nikt nie kupuje tych skór, więc łowcy nie mają pieniędzy. Mogli złapać tych białych dla okupu. Wtedy może pan mieć nadzieję.

— W takim razie dlaczego do tej pory nie zażądano okupu?

— To nic niezwykłego, mogą czekać. Dla wyspiarzy kilka miesięcy nic nie znaczy. Ci myśliwi, jeśli się dowiedzieli jakich ważnych mają więźniów, pewnie się przerazili. Może ukryli ich daleko od Zatoki Rajskiej.

— W takim razie co możemy zrobić?

— Szukać. I czekać. Moi ludzie poradzą sobie z poszukiwaniami na lądzie. Ludzie z Zachodu nie mogą tego zrobić.

— W takim razie zaczynajmy.

Kilka miesięcy wcześniej wynajęto z dwóch firm czarterowych w Port Moresby cztery dwusilnikowe Cherokeeesy. Harry wolałby samoloty przystosowane do lądowania na wodzie, ale takich nie było. Mimo wszystko Cherokeeesy były nowe. Obszar podzielono na sektory, które każdy z poszukujących miał oblatywać, ciągnąc za sobą trzydziestometrową flagę z napisem: ROZPALCIE OGIEŃ. HARRY. NEXUS.

Poszukiwania miały się zacząć następnego dnia rano, 2 marca, a skończyć wieczorem 9 marca. Piloci wrócą do Port Moresby rano 10 marca. Po odprawie Kerry i Harry polecili do Oueenstown Bellem.

— Schudłeś, Harry, Dobrze się czujesz?

Harry skinął głową. Nie tylko był chudy jak patyk, ale skóra na jego wysokich kościach policzkowych napinała się mocno. Wyglądał na spiętego i zmęczonego.

Kerry zauważył coś jeszcze.

— Masz inną broń. Czy nie jest trochę za mały?

— Używają go amerykańscy gliniarze. Jeśli dla nich jest wystarczająco duży, to dla mnie też powinien być dobry. Wystarczy, by zatrzymać faceta, nie tylko go zadrasnąć.

— A propos zatrzymania. Strażnicy przy blokadach dróg lubią się upijać i mniej więcej od późnego popołudnia stają się groźni. Spróbuj nie wychodzić sam i zawsze zabieraj ze sobą dużo papierosów. Noś przy sobie paszport, masz oczywiście wizę stałego pobytu?

— Nie jestem dzieckiem.

— W kopalni podwoiliśmy strażę, tak samo przy budynkach mieszkalnych.

— Martwisz się, że coś się może stać?

— Ja się nie martwię, Harry. Ja się boję. Przez ostatnie cztery miesiące wiele się zmieniło.

Z lotniska w Oueenstown do miasta jechali drogą brukowaną kocimi łbami.

Bolały ich kręgosłupy.

— Raki nie zgodził się jak dotąd na negocjacje.

— Nie martw się. On wie, że koncesja, na wydobywanie surowców nie wygaśnie przed końcem czerwca i wie, że gotowi jesteśmy rozmawiać, gdy on tylko zechce.

— Jerry Pearce twierdzi, że umowę wstępną powinno się podpisać najpóźniej do pierwszego kwietnia.

— Zostały nam w takim razie trzy tygodnie na podjęcie rozmów, Harry.

— No to co? Raki zawsze zwlekał do ostatniej chwili.

Widzieli teraz przed sobą opuszczone baraki Shanty Town, kryte pokarbowaną blachą.

— Nigdy nic widziałem tyłu żołnierzy w Oueenstown.

— Są tu tacy, którzy pamiętaj jeszcze czasy przed 1975 rokiem, gdy na wyspie nie było wojska i Paui miała naprawdę sprawną policję. Teraz nie mamy już policji tylko nowe, tak zwane Siły Zbrojne, powiększone o wojowników filipińskich i bardzo młodych tubylców, których udało się Rakiemu zaciągnąć do armii.

Gdy zbliżyli się do hotelu pani Chang, Harry zauważył nową, jasnozieloną tabliczkę nad drzwiami wejściowymi. Jasnoniebieskie litery składały się na napis: Hotel Prezydencki.

W foyer hotelu, nad biurkiem recepcjonistki wisiał ogromny, retuszowany portret prezydenta Rakiego.

Harry poczuł obezwładniający zapach magnolii.

— Witamy z powrotem, panie Scott — pani Chang podniosła głowę znad planszy Monopolu, właśnie Freddy niechętnie sprzedawał Broadway.

— Coś nowego, pani Chang?

— Otrzymałam Iisę ubezpieczeniową cennych rzeczy, które należały do zaginionych, zegarków też. Bardzo mnie zainteresowało, gdy zobaczyłam wartość zegarka pana Grahama. Popatrzmy, dziesięć procent zwraca firma ubezpieczeniowa, czy tak? Odjąć oczy wiście sto siedemdziesiąt dolarów, które mi pan już zapłacił.

— Czy udało się pani odnaleźć inne zegarki?

— Jeszcze nie. Ale wszyscy już wiedzą, że mój Ronnie płaci więcej niż zwykle za dobry, używany zegarek.

Bar wyglądał jak zawsze, jakby przed chwilą skończyła się tu olbrzymia, pijacka burda. Jedyнным klientem był Bill, plantator na emeryturze, który uważał, że Robert Louis Stevenson zrujnował mu życie obiecując wspaniałości i uroki tropiku.

— A więc wróciłeś. Czy to prawda, że zamierzasz znów szukać i sam penetrować wybrzeże?

Harry skinął głową.

— Bądź ostrożny. Szczególnie w okolicach południowego zakątka Paui. Są tam krwiożercze sukinsyny, które mają nieprzyjemne zwyczaje.

— Dzięki za ostrzeżenie. Napijesz się piwa?

— Dziękuję, kolego. Wiem, że to nie mój interes, ale czy rzeczywiście myślisz, że są jakieś szanse by ich jeszcze, po czterech miesiącach, znaleźć? Bo nikt inny nie ma złudzeń, przyjacielu.

„Nexus” nie daje za wygraną. Muszę mieć prawny dowód, że oni nie żyją. W przeciwnym razie krewni będą czekać z roszczeniami ubezpieczeniowymi siedem lat.

Bill skinął głową.

— Ale dlaczego ty to robisz?

— To mój obszar, jestem za niego odpowiedzialny. To należy do moich obowiązków — odparł Harry myśląc o Annie.

Następnego dnia rano, 2 marca, Harry rozpoczął poszukiwania wzdłuż wybrzeża helikopterem „Nexusa”. Z Zatoki Rajskiej zamierzał skierować się na północ i w gumowym pontonie przeczesać obrzeża wyspy.

Gdy czarna łódź Harry'ego penetrowała okolicę Zatoki Wodospadu, zrozpaczone kobiety chowały Jonathana. Podczas pogrzebu nie było w obozie wartownika.

3 marca, Harry, wycieńczony i pogryziony przez owady, wrócił po dwóch dniach poszukiwań, by się dowiedzieć, że prezydent Raki łaskawie udzieli mu dziesięciominutowej audiencji, punktualnie o siódmej wieczorem tego samego dnia.

Gdy przybył do pałacu został przeszukany i pod eskortą odprowadzony do gabinetu prezydenta.

Raki był ubrany w wymyślny biały mundur, przypominający uniform admirała Floty Brytyjskiej na wodach równikowych. Prezydent, udając zmartwionego, spytał o postępy w prowadzonych przez Harry'ego poszukiwaniach grupy z „Nexusa”. Nie mówił o niczym innym i stanowczo unikał dyskusji na temat odnowienia koncesji na wydobycie surowców na Paui, nie ustalił nawet ostatecznej daty, kiedy będzie można podjąć te rozmowy.

Harry wyszedł wściekły.

7 marca, po kolejnych bezowocnych dniach poszukiwań ponownie wezwano go do pałacu.

Prezydent i tym razem odmówił rozmów o przedłużeniu koncesji na wydobycie surowców mineralnych. Starał się pokazać Harry'emu, że jest rzeczywiście zaniepokojony.

— Najpilniejszą rzeczą jest znalezienie tych pana przyjaciół, panie Scott. Z pewnością to jest ważniejsze niż interesy? Nie tylko pańscy przyjaciele Zginęli. Nasi ludzie cały czas kontaktują się z konsulatami japońskim i brytyjskim w Port Moresby, bo wygląda na to, że w Zatoce Rajskiej przepadli także czterej inni turyści i jeden z członków personelu hotelowego. Rzucił fotografie zaginionych na blat wykwintnego biurka w stylu Ludwika XVI i z roztargnieniem zaczął wydłubywać sztyletem kawałki mozaiki z blatu.

— Czy w ogóle nie miał pan żadnych wiadomości, sir?

— Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny. Jak panu wiadomo, nasze dochodzenie nie ujawniło nic. Miałem nadzieję, że to pan ma dla mnie jakieś wiadomości, panie Scott.

Harry potrząsnął głową.

W głosie prezydenta pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

— W takim razie życie musi toczyć się dalej, panie Scott, nie sądzi pan? Minister turystyki — pamięta pan mojego brata Envo? — poważnie obawia się tego, że pańskie poszukiwania interesują coraz bardziej zagranicznych dziennikarzy.

— Nie należy się temu dziwić, sir.

Oczy Rakiego, o niemal żółtych błękitach, patrzyły szyderczo na Harry'ego.

— Przykro mi, ale minister uważa — i ja muszę przyznać, że zgadzam się z nim — iż należy wyznaczyć jakąś konkretną datę zakończenia poszukiwań. Proponuję pierwszego kwietnia. I tak będzie pan miał dużo czasu.

Nagle spokojny głos Rakiego zmienił się. Krzyknął:

— A potem nie będzie pan już więcej szukał! Po tej dacie, panie Scott, pańska gorliwość zostanie odczytana jako irytująca i napastliwa próba sabotowania naszych wysiłków, by przyciągnąć gości zagranicznych na Paui, tak w celach służbowych jak i turystycznych.

Prezydent podniósł się z miejsca i pochylając się do przodu oparł mocno dłońmi o blat biurka.

— Jeśli chodzi o nasze negocjacje, to nie rozpoczną się one zanim nie skończy pan poszukiwań. Ponieważ chciałbym dostać dla mojego kraju

najlepszą cenę, zamierzam rozmawiać o koncesji z innymi zainteresowanymi. Sądzę, że zna pan pana Jaime Ongpin, prezesa konglomeracji kopalń Bequet? Dobranoc, panie Scott.

Rano, 10 marca, ośmiu pilotów Cherokeeów z prawdziwą przykrością zawiadomiło wszystkich o fiasku poszukiwań, „bo rzeczywiście jest to cholerny wstyd”, i odlecieli z powrotem do Port Moresby.

Tego wieczoru przygnębiony Harry wrócił później niż zwykle do hotelu pan Chang. Gdy wszedł do hallu wyskoczył na niego Freddy. — Panie! Panie! Pani Chang chce natychmiast porozmawiać.

Zjawiała się z triumfalną miną. Bez słowa zanurzyła dłoń zwiniętą w pięć głęboko w kieszeń, wyjęła i otworzyła Harry'emu przed nosem. Na małej spoconej dłoni leżał zniszczony, stalowy zegarek.

Harry zatelefonował do Kerry'ego i poprosił, by przyleciał następnego dnia rano. Później czekał, by połączono go z Jerrym Pearcem w Pittsburgu. Je pełnił teraz obowiązki prezesa „Nexusa” i szefa finansów firmy.

Siedząc na starodawnym krześle obrotowym pani Chang, Harry mimo woli wdychał piżmowy zapach potu i drzewa sandałowego, magnolii i kurzu. W słuchawce, którą trzymał w ręku usłyszał trzask, ciszę i nagle wyraźnie — tak jakby była w pokoju obok — głos uprzejmej telefonistki.

— Łączę pana, sir. Życzę panu przyjemnego dnia.

Harry powiedział Jeny'emu, że pani Chang znalazła już drugi zegarek -stary Rolex Oyster z nierdzewnej stali, wodoszczelny, automatyczny ze stałym datownikiem — z tyłu miał napis: „Roderick Douglas, 7 grudnia 1965”.

— Wygląda na to, że Roddy dostał go na osiemnaste urodziny. Wyczyszczono go, ale wciąż jest na nim plama, jakby z krwi, pomiędzy ogniwami bransolety... Nie, nie wiem jaką miał grupę, ale doktor Roddy'ego na pewno' będzie nam mógł powiedzieć.

W Pittsburgu, Jeny skrzywił się i złapał za brzuch. Niech to diabli, jeszcze się nabawi wrzodów przez całą tę sprawę.

— Wiesz skąd się wziął ten zegarek, Harry?

— Dokładnie nie wiem. Jeszcze nie. Miejskowy — cóż, przypuszczam, że można go nazwać lekarzem — zdjął go z martwego żołnierza w pobliżu wioski nad rzeką zwaną Malong. To jest jakieś sześćdziesiąt cztery kilometry na południe od Queenstown... Tak, jadę tam z tłumaczem jutro, łądzia... Nie, to tylko dwadzieścia cztery kilometry w górę rzeki, ale tam może być nieprzejezdna dżungla albo mokradła, więc nie można tam dotrzeć helikopterem. Gdyby udało mi się ustalić, gdzie są inne rzeczy tego żołnierza — książeczka wypłat albo coś w tym rodzaju — mogłoby to nas zaprowadzić do miejsca, skąd pochodził. Może zakwaterowano go w pobliskiej wiosce, może był jednym z wojskowych szpiegów Rakiego... Pewnie, jak tylko zdobędę jakieś dane, zwrócimy się z oficjalną prośbą do ministra obrony o informację, gdzie ten facet stacjonował.

Nie było najmniejszego sensu wyjaśniać Jerry'emu, co się naprawdę stało.



Zegarek Roddy'ego miał filipiński żołnierz, który zastrzelił prosiaka w buszu i upiekł go. Okoliczni wieśniacy, którzy byli właścicielami zwierzaka, nie zażądali nawet okupu za martwą swnię. Gdy żołnierz opuścił okolice wioski, wódz plemienia po prostu zawołał by podano mu łuk i strzelił mu w plecy. To był szybki odwet.

Mieszkańcy wioski Malong mieli już telefon, pistolet kaliber dwanaście i zegarek z Myszką Mickey. Brakowało im tylko tranzystorowego radia. Czarownik z wioski zabrał martwemu żołnierzowi pieniądze i zegarek i popłynął kajakiem sześćdziesiąt pięć kilometrów do Queenstown.

Gdy tylko czarownik sprzedał Rolexa, sprzedawca odbiorników radiowych popędził do sklepu Ronalda Changa—wszyscy wiedzieli, że Ronald daje dużo za zegarki. Sprzedawca tranzystorów nie wiedział, co się stało z martwym żołnierzem, ale wieśniacy na pewno nie zmarnowali okazji, na pewno go upiekli.

Z odległego Pittsburga Jeny zapytał o postępy w negocjacjach o przedłużenie koncesji.

Harry starał się nie wdychać wyziewów magnolii, zawieszanej nad słuchawką.

— Raki nie chce o tym rozmawiać dopóki nie skończymy poszukiwań, że niby przeszkadzamy w rozwoju turystyki. Przy okazji, wygląda na to, że mamy konkurencję, jakiej się spodziewaliśmy. — Tak, Beguet.

— Raki negocjuje z Beguetem a ty zajmujesz się tylko tymi bezsensownymi poszukiwaniami. Kur... przez cały tydzień otrzymuję tylko najgorsze wiadomości. Powinieneś zająć się umową zamiast wybierać się na przejażdżki łodzią. Posłuchaj, Harry, przerwij natychmiast poszukiwania. Zrobiliśmy co można, ale na tym koniec, Harry.

— Ale, Jerry... — zaczął Harry.

— Zapomnij o tym. To polecenie służbowe, Harry. Jerry rzucił słuchawkę.

Jerry jest szefem od czterech miesięcy. Udowodnił, że nadaje się do tego. Jest pewny siebie i swojej pozycji. Myśli, że jest bezpieczny. I byłby, gdybym nie znalazł tych zegarków — myślał Harry.

Byłbym głupi, gdybym się poddał.

Następnego dnia rano, zaraz po wschodzie słońca, stary Duck zabrał Harry'ego do ujścia rzeki Malong. Był dziesiąty dzień poszukiwań. Harry napompował czarny ponton. Tłumacz załadował trzy puszki specjalnego paliwa, dwudziestotrzylitrową bańkę wody pi mej, maść przeciw komarom i konserwy. Harry rozpostarł mapę na magazynku i włączył silnik.

Mała łódź odpływała od piaszczystej plaży i lagun wyznaczających linię brzegową. Rozpoczęli podróż w górę szerokiej, błotnistej rzeki. Po wielogodzinnym przedzieraniu się przez coraz mniej przypominające rzekę mokradła, dotarli do wioski. W powietrzu unosił się dym z ognisk, przy

których przygotowywano jedzenie. Wyłobione w drzewie kajaki przywiązano do pali ustawionych w pobliżu chat. Świnie, psy i dzieci bawiły się w cieniu domostw. Kobiety rozbijały na miazgę owoce palmy sagowej, używając patyków wielkości kijów baseballowych. Kilku mężczyzn z wielkim zainteresowaniem skupiło się wokół jakiegoś niewidocznego dla Harry'ego przedmiotu. Kłócili się o radio tranzystorowe.

Harry i tłumacz, wychodząc z pontonu, znaleźli się po pachy w błocie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Był to jak najbardziej udany początek.

Harry niezwłocznie zajął się rozdawaniem papierosów. Tłumacz szukał, na wyraźnie nowo nabytym radiu tranzystorowym, fali odbierającej radio Pauli.

W cieniu chaty zjedli smażoną rybę i naleśniki ze zmielonej na miazgę palmy sagowej. Ten niesmaczny posiłek jadło się szybko i w absolutnej ciszy. Później przeszli do sedna sprawy. Tłumacz wyjaśnił, że biały człowiek dobrze zapłacił za jakąkolwiek rzecz należącą do żołnierza filipińskiego, który zastrzelił świnie.

Nikt się nie poruszył. Atmosfera z przyjaznej zmieniła się na wręcz wrogą.

Tłumacz dodał, że ani on, ani Harry nie są krewnymi zabitego żołnierza i że biały mężczyzna nabył w Queenstown ów zegarek i teraz chciałby kupić także inne rzeczy.

Wódz Luluai wstał i kiwnął na dwóch gości, by poszli za nim. Uczynili to, wspinając się po rozklekotanej drabinie do chaty. W jej dusznej i ciemnej przestrzeni oparto o ścianę konieczne do pracy przyrządy i toporki. Maski do różnych ceremonii, pomalowane w białe, rdzawe i czarne paski wisiały u powały. Usiedli po turecku na drewnianej podłodze. Za nimi do chaty weszli mężczyźni.

Gdy Luluai przemawiał, wokół rbszedł się odór niemytych ciał. Tłumacz zerkał nerwowo na Harry'ego.

— Ten facet mówić ty ja iść do jego miejsce, więc oni zatrzymać łódź. Harry już wcześniej był zdziwiony, że do tej pory nie zabrano mu jeszcze niczego.

— Powiedz im, że jeśli dadzą rzeczy osobiste tego żołnierza kanaka, to my подарujemy im jeszcze dwie łodzie.

Tłumacz był przerażony.

— Panie, ten facet mówić cały czas trzymać ty mnie to miejsce, aż przybyć dwie łodzie, on iść w górę.

A więc zostali więźniami w zamian za okup wynoszący jeszcze dwie łodzie.

Zanim Harry zdążył sięgnąć pod kurtkę safari po rewolwer obaj zostali pochwyceni od tyłu. Zwabiono ich do ciasnego, zamkniętego pomieszczenia — byli obezwładnieni przewagą liczebną tubylców. Harry wiedział, że każda próba wyzwolenia czy nawet szybszy ruch byłyby szaleństwem.

Gdy już ich rozebrano ze wszystkiego, łącznie z zegarkami i rewolwerem

Harry'ego, związano im ręce i nogi lianami, potem przywiązano ich za szyję do krokwi tak, by stali daleko od siebie. Nie przyglądając się więcej żadnemu z więźniów, wieśniacy spuścili w dół drabinę, zeszli po niej i zabrali ze sobą. Sznur wokół szyi Harry'ego nieprzyjemnie go uwierał. Pomyślał, że gdyby próbował się poruszyć albo stracił równowagę, czy zemdlał — powiesiłby się.

Powtarzał sobie, że martwy na nic się nie przyda tym ludziom i że oni o tym wiedzą. Traktowali go tak tylko dlatego, że chcieli pokazać mu, że nie żartują.

— Czy to się często dzieje?

— Kissim okup — odparł smutno tłumacz.

— Sądziś, że tylko o pieniądze im chodzi?

— Tak, panie. Przypuśćmy, że ten facet chce zabić go, ciebie — mnie. Oni zabić ciebie — mnie szybko.

— Ale jeśli nas zabiją, sami nie uruchomią silnika łodzi. Tłumacz skinął głową.

— Ten facet kapować. Zaczął łkać.

— „Nexus” wkrótce zacznie nas szukać. Powiedziałem pilotowi, że płyniemy do wioski Malong.

— Nie, panie — tłumacz łkał coraz głośniej. — Ta nazwa nie należy do tej wioski.

„Malong” — wyjaśnił — to rodzaj gleby i na „malongu”, który oznacza bagna jest mnóstwo wiosek.

— My zgubieni, panie.

41

Przerażone kobiety uciekały byle jak najdalej od odrąbanego ramienia ze strasznym tatuażem węża, od kalejdoskopowych kolorów i hałasu świętujących tubylców.

Gdy cofnęły się na odległość około dziewięćdziesięciu metrów, Anna, która teraz osłaniała grupę, zagwizdała. Zatrzymały się.

— Przynajmniej wiemy, gdzie jesteśmy. To była wioska Katanga, więc jeśli ją okrążymy od wschodu, wrócimy do Williama Penna.

— Nie za daleko na wschód. Nie oddalajmy się lepiej od wioski, bo tam jest nasz punkt orientacyjny.

Ruszyły naprzód. Każdy trzask gałęzi, każdy szelest i wołanie ptaka sprawiał, że przechodziły je ciarki ze strachu. Brakowało im tchu, wpadały w panikę.

Gdy tylko dostrzegły most Burma skrzyły w lewo wchodzącą na obszar tabu. Pędziły na złamanie karku przez busz. Przerażone papugi piszczały, ptaki rozpierzchły się.

— Zatrzymaj się! Patty! — krzyczała Anna, ale biegnące szybko, obszarpane postacie przyspieszyły, aż w końcu stanęły, drżąc na całym ciele, na brzegu obozu.

Sylvana przez cały dzień przechodziła czyściec bycia sam na sam ze sobą. Nieustannie zadawała sobie pytanie jak mogła narażać życie wszystkich? Jak mogła narażać swoje życie? Jak wybredna pani Graham mogła wic się namiętnie, pełna nadziei i wdzięczności pod brudnym, wyrachowanym małym żigolo, którego znała zaledwie kilka dni?

Ze wściekłością zadawała sobie to pytanie. Wiedziała, że to nie głowa ją zdradziła.

Zwyciężyło jej wygłodzone libido.

Gdy usłyszała kobiety, które przybiegły z hałasem do obozu, w pierwszej chwili się przestraszyła, potem odetchnęła z ulgą, że nareszcie coś przerwało jej rozmyślenia. Zarzuciła strzelbę na plecy i szybko ześliznęła się z drzewa.

— Co się stało? — zawołała cicho. Łkając, kobiety mówiły bezładnie.

— Wody! — Suzy podbiegła do kubła z wodą.

Wszystkie rzuciły się do zbiornika, nabierając dłońmi wodę, chciały teraz tylko ugasić pragnienie.

— Nie żyje — powiedziała Anna, widząc pytanie w twarzy Sylvany. Oczy Sylvany napełniły się łzami. Wiedziała, że powinna się cieszyć. Ta

wiadomość oznaczała, że nie grozi im na razie niebezpieczeństwo. Poczula się jednak tak, jakby ktoś ścisnął dłonią jej serce.

— Był złodziejem, Sylvano. Ukradł nasze zegarki. Tobie też coś ukradł. Gdy Anna spokojnym głosem opowiedziała Sylvanie co widziały, Suzy zaczęła krzyczeć.

— Nie zniosę już dłużej tego pieprzonego.okropnego miejsca. Myślicie, że kiedykolwiek się stąd wydostaniemy? Myślicie, że stąd uciekniemy?

— Przestań Suzy. Teraz nic możemy się poddać. Musimy dokończyć tratwę! Dziś wieczorem odpoczniemy, ale jutro od rana pracujemy bez przerwy, aż skończymy.

— Może mogłybyśmy zbudować mniejszą tratwę i wyruszyć jutro wieczorem?

— Nie — zaprzeczyła pstro Carey. — Jaki byłby sens po przejściu tego wszystkiego, wyruszać w morze na złej tratwie? Jak tylko dotarłybyśmy do wzburzonej wody, wszystkie byśmy się potopiły. To tylko dwa dni, żeby ją porządnie skończyć.

Przetrwałyśmy tutaj już cztery miesiące. Przetrwamy jeszcze kilka dni — dodała Patty.

— Będziemy pracować, dopóki nic opuścimy tego miejsca. Syiyano, będziesz musiała zostać na warcie tak długo, jak to możliwe. My musimy się przespać.

**WTOREK, 12 MARCA 1985**

**42**

Sylvana dotrwała na warcie aż do rana. Gdy tylko mogła już zobaczyć drzewa wokół obozu, obudziła kobiety. Wygrzebały się z łóżek, sztywne i wyczerpane. Myślały tylko o tratwie, gdy jadły zimne kawałki ryby poukładane na liściach palmy taro, które służyły im za talerze. Zdecydowały się pracować nawet w męczącym upale południowym.

Nie rozmawiały w czasie pracy. Panował niepokój i zdenerwowanie, gdy szybkimi ruchami wiązały bambusowe paliki splecioną winoroślą. Ich podarte rękawice rybackie cuchnęły wilgocią i zgnilizną. Anna przypuszczała, że nie posłużą im już długo.

Podczas pięciominutowej przerwy, Suzy zwróciła się do Patty prosząc ją wyjątkowo nieśmiało:

— Mogłabyś przypadkiem zerknąć na zegarek, jaki jest dzisiaj dzień?

— Kogo to do cholery obchodzi? — zajęczała Patty, ale spojrzała na Zegarek. — Dwunasty marca.

Suzy wybuchnęła płaczem.

— Czy to czyjeś urodziny? Zalana łzami Suzy skinęła głową.

— Bretta. Jutro.

— Przestań! Jeśli chcesz sobie popłakać, to idź stąd. Znasz przecież reguły. Wszystkie wiedziały, że depresja jest zaraźliwa bardziej niż świnka. Patty nagle przestała ścinać winorośl. Uniosła głowę.

— Co to za hałas?

— To motorówka. Czy to możliwe?

— Pracujcie. Patty, idź zobacz, co to za hałas. Patty wróciła po paru minutach.

— Do laguny właśnie wpłynął nieduży ponton z trzema mężczyznami na pokładzie. Wyglądają na żołnierzy.

Kobiety zerwały się na równe nogi.

— Tylko trzech mężczyzn? Nas jest pięć i mamy dwie strzelby. Patty skinęła głową.

— Trzech mężczyzn.

— Widzicie co się dzieje, kiedy nie ma nikogo na warcie? — dyszała Carey, gdy biegły do brzegu skały.

Rzuciły się w ostrą, wysoką po kolana trawę, podczołgały do brzegu skarpy i powoli uniosły głowy.

Na środku laguny, niewielki ponton zbliżał się do plaży. Mężczyźni wyłączyli nagle silnik i przeczucili na bok kotwicę.

— Jak wysoko sięga fala przypływu?

— Wraca. O ósmej była niska. Przyptyw będzie dziś wieczorem, około ósmej.

Suzy ostrożnie podniosła wyżej głowę.

— Wygląda na to, że nie są wojowniczo usposobieni. I z całą pewnością nie szukają nas, dzięki Bogu.

Trzy postacie odziane w mundury khaki śmiały się w łodzi. Żartując: ściągnęli buty, podwinęli nogawki spodni i wyskoczyli na brzeg.

Gdy ostatni mężczyzna opuścił łódź, ta drgnęła i okręciła się w kółko. Na białej belce wymalowano czarnymi literami napis: Hotel Rajski.

Mężczyźni brodząc w wodzie, dotarli do brzegu. Nieśli ze sobą butelk<sup>1</sup> i jasnopomarańczowe ręczniki.

— Wyglądają na hotelowe ręczniki kąpielowe.

— Czy mają strzelby?

— Nawet jeśli mają, to zostawili je w łodzi. Schowaj głowę Suzy szepnęła Carey.

— Byliby szaleni, gdyby ruszali się gdziekolwiek bez broni, więc załóżmy, że są uzbrojeni.

Żołnierze rozebrali się na brzegu morza. Nadzy nie stanowili już większe zagrożenia. Ich czarna skóra połyskiwała w słońcu, gdy chlapali się w wodzie pokrzykując, śmiejąc się i siłując się na piasku. Wyglądali chłopięco i niewinnie.

— To faceci z miasta — szepnęła Carey. — Rybacy nie przyszliby na plażę by się zabawić.

Dwóch poszło skryć się przed upałem w cieniu drzew na końcu plaży i tam. kobiety nie mogły ich dostrzec. Trzeci mężczyzna brodząc w wodzie wrócił do pontonu. Przez cały czas pociągał z butelki. Gdy wrócił z powrotem — niósł trzy strzelby.

Ukryci pod palmami, strzelali celując w muszelki i skały. Spokojna zatoka trzęsła się od hałasu. Patty była zaszokowana.

— Co za strata amunicji! Chyba wystrzelili ze dwadzieścia naboju. Tylko spójrzcie na tę piękną łódź.

Biała łódź z włókna szklanego miała ponad trzy i pół metra długości i schówek pod dziobem. Kobiety były jednak zbyt daleko, by dostrzec więcej szczegółów.

— Może spróbować ukraść łódź? Nie wiemy, czy ta tratwa w ogóle popłynie — szeptała Anna.

— Nawet jeśli popłynie, to przecież może zatonać. A poza tym któraś z nas może w nocy wypaść za burtę. — Zamyślona Carey skinęła głową.

— Ma silnik, zbiornik paliwa, ster i kotwicę. Popłyniemy do Irian Jaya łodzią, którą same będziemy sterować.

— Oni nie usiądą sobie z boku i nie będą patrzyli jak my zabieramy ich łódź — odezwała się Suzy.

— Nie — zgodziła się Anna.

— Może mogłybyśmy jakoś ich odciągnąć i upozorować wypadek — zaproponowała Patty.

— Możesz wymyślić jakiś sposób? Bo ja nie — powiedziała Suzy.

— A co by zrobił mężczyzna?

— Jak by postąpił Jonathan?

— Atak zniecka byłby lepszy niż kradzież pontonu. Najbezpieczniej byłoby zaatakować szybko, już zaraz — zanim zechcą dla zabawy wdrapać się na górę po ścieżce obok wodospadu. Jak zobaczą nasz obóz, to po nas,

— Znosi się na to, że chyba będą przez jakiś czas na plaży. Chodźmy do obozu. Gdy Suzy wspinała się na drzewo, kobiety przykucnęły wokół pnia eukaliptusa. Carey przedstawiła im z grubsza plan.

Nie były zadowolone.

— Pewnie, że są uzbrojeni, przecież my też — i to my zaatakujemy. Wiemy gdzie oni są, a oni nie wiedzą, gdzie my jesteśmy — nie wiedzą nawet, że istniejemy.

— Oni będą się spodziewać, że zachowamy się jak kobiety, dlatego powinniśmy zachować się jak mężczyźni — stwierdziła Anna.

— Przecież możemy zastrzelić ich po prostu z góry, ze skał — zaproponowała Suzy.

— Ale ich nie trafimy, głuptasie! — odparła Patty.

— W porządku, co proponujesz? — odszczeknęła Suzy z drzewa eukaliptusowego.

— Jonathan mówił zawsze, że zanim zaatakujesz trzeba postawić się w sytuacji wroga — mówiła wolno Anna. — Obserwować jego nawyki i zwyczaje. Wszystko to trzeba oprzeć na obserwacjach.

\_No więc już zauważyliśmy, że są tam na dole i że mają w zwyczaju picie przed lunchem — mówiła Suzy. — Wyjechali, żeby się zabawić. Czy nam to w czymś pomoże?

— Żeby się zabawić — Patty powtórzyła w zamyśleniu słowa Suzy. — Więc my, żeby ich odciągnąć, zabrać strzelby i potem łódź, musimy zapewnić im dobrą zabawę.

— Co masz na myśli? — spytała Anna.

— Suzy — powiedziała Patty.

Z eukaliptusa rozległ się okrzyk oburzenia.

— Możemy wysłać Suzy na plażę jako przynętę. Możemy ich zwabić na ruchome piaski.

— Dlaczego nie SyWanę? — syknęła Suzy. — Prawdopodobnie ucieszyłyby się, gdyby ją złapali i zgwałcili.

\_Dosyć — przerwała jej Anna. — Musimy wysłać na przynętę tę, która najlepiej wygląda.

— Nie, tę z największymi cyckami — zawołała Suzy. — Sylvanę.

Z wyjątkiem wrzodów na nogach wszystkie były w świetnej kondycji. Opalone i gładkie. Żadna nie miała zbędnych kilogramów, poruszały się z gracją i zwinnie. Sporo też ćwiczyły. Sylvana jednak bez wątpienia miała największe piersi.

Sylvana zastanawiała się: czy to będzie kara czy odkupienie winy.

— W porządku, zrobię to.

— Nie, nie Sylvana — powiedziała Anna. — Nasza przynęta musi wyglądać kusząco z tyłu, bo będzie przed nimi uciekała w stronę ruchomych piasków.

— Kur... — Na ziemię spadł deszcz liści eukaliptusowych.

— Poważnie, dziewczyny, co się stanie jak mnie złapią?

— Carey będzie cię osłaniała ze szczytu skały M-16. Ma najlepszy wzrok.

— Przypuśćmy, że zastrzela mnie przez przypadek?

— Musisz się z tym liczyć.

— Przypuśćmy, że tylko jeden z nich pójdzie za mną?

— Suzy, kochanie, pamiętasz jak kiedyś przeszedłeś się ubrana w białą suknię na przyjęciu u Sylvany? Przejdź się tak samo i wszyscy za tobą pójda.

Z drzewa spadło więcej liści.

— Dobrze, dobrze, postaram się. A jeśli są pedziami? Albo są leniwi? Przypuśćmy, że dla jakiejś cholernej przyczyny jeden z nich zostanie przy łodzi? Co wtedy?

— Wtedy ktoś go oczywiście zabije. — Czym?

— Na litość boską, mamy dwie strzelby, siekiere, pięć noży do sprawiania ryb, dwa łuki i strzały i dużo sznurów z lian. Nie będziemy przecież rzucały w niego kamieniami, Suzy!

Słońce przypiekało, palmy kokosowe szeleściły kołysząc się w lekkiej bryzie. Już prawie opróżnili butelkę z rumem. Pomimo upału jeden z nagich mężczyzn nadal nie spał. Ziewnął, podrapał się pod pachami, wygrzebał koralowe ziarenka piasku z pępka i rozejrzał się od niechcienia po plaży.

Od strony jej północnego zakrętu powoli szła w jego stronę Suzy. Brązowe ciało błyszczało posmarowane olejem kokosowym, za lewe ucho zatknęła czerwony hibiskus. Oczy, podkreślone kawałkiem węgla, wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Choć szminki już dawno się rozpuściły, Suzy wygrzebała jakąś resztkę i posmarowała nią policzki i usta. Kupon różowej bawełny w kwiaty, przewiązany poniżej talii, zakrywał ukryty nóż.

Nagi mężczyzna usiadł, i wpatrywał się w nią. Kołysząc się prowokująco Suzy zbliżała się wolno..

Mężczyzna zamrugał powiekami, wyszczerzył zęby w uśmiechu, pochylił się i potrząsnął drugiego za ramię.

Tamten otworzył oczy i ziewnął, z wolna odwrócił głowę, usiadł.

Suzy spojrzała w stronę morza i rozpostarła ramiona.

— Poczekajcie, niech zobaczą jak biegnie — szepnęła Anna obserwując tę scenę.

Mężczyzna krzyknął coś na powitanie.

Suzy podskoczyła niby to zdziwiona. Odwróciła się do niego. Przytknęła dłoń do ust i zachichotała.

Zerwał się natychmiast i powłóczęg nogami ruszył przed siebie.



W gorącym, oślepiającym blasku słońca, Suzy jeszcze raz zachichotała i nieśmiało się cofnęła.

Drugi z mężczyzn wstał i zawołał coś, co brzmiało jak ciepłe i zachęcające zaproszenie.

Suzy zakryła dłońmi piersi i wyglądała na niezdecydowaną.

Trzeci mężczyzna usiadł, domagając się wyraźnie wyjaśnień dlaczego nikt mu nie powiedział, co się dzieje.

Suzy odwróciła się. Zachęcająco poruszała małymi, okrągłymi pośladkami, gdy powoli wycofywała się w kierunku, z którego przyszła.

Dla żartu, oglądała się przez ramię kilka razy. Kwiat hibiskusa wypadł jej zza ucha.

Trzeci mężczyzna podniósł się z ziemi.

Suzy zaczęła biec, ale powoli, w zwolnionym tempie, jakby miała kolana związane gumką.

Zachwycony jej zachęcającym spojrzeniem, pierwszy mężczyzna biegł za nią. Gdy znalazł czerwony kwiat, który wysunął się zza ucha

Suzy, podniósł go i popędził dalej.

Suzy pisnęła z uciechy i przyspieszyła tempo.

Beztroscy i hałaśliwi jak uczniacy na wycieczce, trzej mężczyźni biegli rozpryskując wodę w kanale, który łączył wodospad z laguną.

Gdy tak pędzili do niej, Suzy zaczęła poruszać się szybciej. Nie biegła w prostej linii, robiła duże koło z tyłu plaży i wracała w stronę morza. Biegła teraz prędko — prędzej niż zamierzała wcześniej. Zbyt prędko.

Przy jednym, płynnym i wdzięcznym ruchu różowy sarong w kwiaty nagle rozwiązał się i spadł na piasek. W jego zagłębieniu leżał ukryty nóż. Była bezbronna.

Mężczyźni chrząkali, byli zachwyceni nagim ciałem Suzy. Nagle pierwszy z nich potknął się i omal nie przewrócił. Machał ramionami, by odzyskać równowagę, ale piasek jakby przywarł do jego stóp. Brnął do przodu, próbując wyciągnąć nogi z błota. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, gdy upadł w połowie odwrócony, chcąc krzyknąć, by ostrzec przyjaciół.

Drugi mężczyzna zatrzymał się, by pochwycić różowy, bawełniany sarong Suzy. Zdziwił się widząc ostry, dwudziestocentymetrowy nóż, który wypadł / . fałd materiału, lecz podniósł go także, zanim pobiegł za przyjacielem.

Ponieważ się zatrzymał, nie był już tak blisko pierwszego jak przedtem. Gdy zobaczył, że kolega leży na piasku i gdy usłyszał, że krzyczy z daleka, a jego cała twarz jest w błocie, udało mu się zatrzymać na granicy ruchomych piasków.

Przez chwilę wyglądało, że i jego wessie piaszczyste bagno, ale w ostatniej chwili zdołał rzucić się na plecy do tyłu z rozpostartymi na boki ramionami.

Gdy wyzwolił się ze zdradliwego piasku, Carey, stojąc na szczycie skały, wzięła go na cel. Chybiła.

Znów wymierzyła i delikatnie pociągnęła za spust.

Nic się nie stało.

Pociągnęła silniej. I jeszcze raz. Ciągnęła raz za razem najmocniej jak mogła.

Nic się nie działo.

M-16 — wspaniały przykład doskonałej inżynierii, zablokował się, dowo dząc w ten sposób, że trzeba go wyczyścić, jeśli chce się z niego strzelać.

Słyszając wyraźnie wystrzał trzeci mężczyzna, który został daleko w tyle gwałtownie się zatrzymał. Zboczył z drogi i popędził w stronę pomarańcz wych ręczników i strzelb, które leżały w cieniu palm.

Zza drzew wyszły dwie ponure, obdarte postacie.

Anna podniosła swoje AK-47 i wystrzeliła. Nie trafiła.

Patty, która porwała strzelbę z pomarańczowego ręcznika, pobiegła szybko w kierunku łodzi.

Gdy usłyszał, że Anna strzela, zmienił drogę, ale biegł zbyt prędko, by m natychmiast się zatrzymać. Rzucił okiem na łódź, spokojnie kołyszącą się akwamarynowej wodzie. Zakotwiczyli ją jednak dobre dziesięć metrów morzu i kobieta ze strzelbą już dobiegła do brzegu. Nie miał szans, by dos się do łodzi.

Zmienił kierunek i zaczął uciekać zygzakiem w jedyną stronę jaka mu pozostała. Kierował się do niewielkiej ścieżki biegnącej w górę wodospadu. Zamierzał wspiać się na skały i ukryć w dżungli.

Anna znów wystrzeliła i znów nie trafiła.

Łapiąc oddech, mężczyzna rzucił się na ścieżkę między skałami, kamieni osuwały się z łoskotem. Wzniecał kurz, w miejscach gdzie stawał stopy; wdrapując się na skały.

Leżąca na brzuchu, ukryta za czarnymi skałami przy basenie wodospadu, Sylvana oparła strzelbę o kamień i obserwowała jak nagi mężczyzna wdrapuje się do niej. Była spokojniejszym strzelcem niż Anna. Poczekała aż będzie bliżej i delikatnie pociągnęła za cyngiel.

Krzyknął i chwycił się za lewy bark. Dłoń natychmiast pokryła się krwią. W połowie spadł, w połowie stoczył się na dół ze skały.

Rozejrzał się dziko wokół siebie. Pod nim stała Anna. Patty, która biegła po plaży od brzegu morza, zatrzymała się i wzięła Tgo na cel. Z tyłu za nim stała na ścieżce Sylvana i mierzyła mu w plecy.

Zrozumiawszy, że znalazł się w pułapce, stanął nieruchomo i podniósł ręce do góry.

— Tym razem żadnych więźniów — krzyknęła Anna. — Strzelajcie! Bez wahania wszystkie trzy kobiety nacisnęły spusty.

— Gdzie jest drugi? — spytała zaniepokojona Patty. Odwróciły się, by spojrzeć na północną część plaży.

Carey powinna z łatwością, stojąc na szczycie skały, go zastrzelić, ale wrzeszczała:

— Ta pieprzona rzecz nie działa! Nie wiem jak ją naprawić!

— Nie idź za nim, Carey. Nie masz broni a on ma nóż. Zejdź tu na dół i weź

jedną z ich strzelb — odkrzyknęła Anna i odwróciła się do Sylvany. — Ty i Suzy macie pilnować pontonu i broni, a ja i Patty pójdziemy za nim.

Sylvana skinęła głową. Gdy tylko pierwszy z mężczyzn dotarł do ruchomych piasków, Suzy rzuciła się w morze i popłynęła najszybciej jak mogła w stronę łodzi.

Patty pobiegła sprintem, by przynieść trzecią strzelbę i popędziła z nią do Carey. Ściskając w dłoniach broń, Carey, Patty i Anna rzuciły się "w kierunku północnej części plaży, gdzie drugi mężczyzna biegł szybko, lecz bezładnie. Prawie już dobiegł do lasów mangowych w północnym zaułku laguny.

Drzewa lśniły w słońcu splecione niby zielone kępy, niektóre z nich sięgały ponad trzydziestu metrów.

Dzienny spadek przyływu na niecały metr odkrył ich sękaty korzenie, wystarczająco mocne, by wytrzymać nieustanną walkę fal i siłę wiatru, który je rozrywał. Mężczyzna mógł się przedostać tylko w jeden sposób — wspiąć się nad grubymi, powykręcanyimi korzeniami, gdzie słona woda morska wysypała poplątane odrośle.

— Szkoda, że nie ma wysokiej fali — dyszała Patty. Zerknęła na zegarek. Była dopiero dziesiąta czterdzieści. Przyływ nie zjawi się wcześniej niż

O ósmej wieczorem.

Zbliżył się do mangowców. Patty uklękła na jedno kolano, uniosła strzelbę i czekała aż zwolni. Gdy poruszał się wolniej, wzięła go na cel i wystrzeliła.

Nie trafiła.

— Mam nadzieję, że pożre go krokodyl.

— Nie możemy na to liczyć — odparła Anna zagryzając wargę. Mężczyzna przeskoczył pierwsze korzenie drzew i zniknął im z oczu.

Kobiety spotkały się przy pontonie. Suzy i Carey kucnęły w środku na stercie ubrań koloru khaki.

Anna z powątpiewaniem przyjrzała się łodzi.

— Za duża to nie jest.

— Wystarczająco duża — powiedziała stanowczo Suzy. — Była dobra dla nich trzech, więc dla nas pięciu też wystarczy. No to zabierajmy się stąd do cholery! Każda z nas ma strzelbę plus jedna dodatkowo, dużo ubrań i butów. Nabierzmy wody, załadujmy resztę i płynmy! Nie ma znaczenia, czy ludzie z Katangi nas zobaczą. Mamy silnik — wyprzedzimy wszystkie kajaki, które czyhają na nas za skarżą. No i są przecież strzelby.

— Nigdy nie uda nam się przepłynąć stu dwunastu kilometrów do Irian Jaya przed nocą. Jeśli ten żołnierz wróci do koszar przed zmierzchem będziemy tu miały helikopter. Łatwo będzie dostrzec białą łódź na niebieskim oceanie. Zrobią z nas tarcze i będą strzelać jak do kaczek na jarmarku.

— Anno, zadałyśmy sobie tyle trudu, by zdobyć łódź, kazałaś nam zrobić te wszystkie straszne rzeczy i teraz nie chcesz, żebyśmy to wykorzystały! Dlaczego nie? — krzyczała Suzy.

— Jonathan zawsze planował ucieczkę po zmroku — przypomniała Carey.

— Im szybciej wyruszymy tym będziemy bezpieczniejsze. Ten facet nigdy, nie wróci do tego ich obozu. Głosuję za tym, żebyśmy zaryzykowały i wyru-; szyły już teraz, w biały dzień.

— Kto jest za, ręka do góry.

Suzy wyrzuciła gwałtownie ramię w górę, lecz była jedyną. Rozejrzała się wokół.

— W porządku. Więc co zrobimy?

— Jeśli ukryjemy łódź i nie zjawi się żaden helikopter, wyruszymy o zmie rzchu.

— Jak ją ukryjemy? Nie ma gdzie jej schować. I ciągle jest odp Niedługo ugrzęźnie w piasku.

— Może powinniśmy poczekać kilka nocy zanim wyruszymy— zawaha się Anna. Całymi miesiącami czekałyśmy na tę chwilę. Teraz jesteśmy najlepszej sytuacji. Nie spalmy jej. Jeśli temu facetowi nie Uda się wrócić : bazy, kilka dni czekania nie zaszkodzi. Prawda? Niechętnie skinęły głowami.

— Ale jeśli się ukryjemy, to kiedy tu przybędą na poszukiwania pomyśl że już odpłynęłyśmy i zaczną przetrząsać morze a nie ziemię. Usłyszym samoloty i zobaczymy jak rozwija się sytuacja.

— Możemy załadować prowiant już teraz, a potem zabrać łódź na południ okrażając skarpe. Ukryjemy ją w jakiejś szczelinie albo może za opadającym korzeniami po drugiej stronie — zaproponowała Patty.

Anna skinęła głową.

— Możemy zamaskować łódź, wrócić przez łąd i zejść do jaskini. Nikt n; tam nie znajdzie.

— A więc ustalone. Podzielimy się na dwie grupy. Patty i Carey wezn łódź na drugą stronę za skarpe, tylko ją załadujemy. Carey, pożycz mi zegare' Jonathana, my też musimy wiedzieć, która jest godzina. Weź ze sobą komp Suzy, będzie potrzebny w powrotnej drodze. Ty Suzy wejdiesz do jaskini Sylvana wróci ze mną do obozu i podamy ci przez komin sprzęt.

— Nie przekonałyście mnie, no, ale dobrze.

Do jedenastej omówiły szczegółowy plan działania. Carey liczyła głośno.

— Zakładając, że facet dobrnie do ścieżki w dżungli i będzie biegł z szyb-J kością ponad cztery i pół kilometra na godzinę, wróci do hotelu pięć godzin później od chwili, gdy widziałyśmy go po raz ostatni. To znaczy około trzeciej czterdzieści. Damy im dwadzieścia minut na zorganizowanie oddziału, który wyślą na poszukiwania, przy założeniu, że mają sprawny helikopter na miejscu — i kolejne piętnaście minut, by dotarli tutaj. Powinnyśmy się ukryć najpóźniej do czwartej piętnaście dziś po południu.

— Szesnastej piętnaście — poprawiła ją Patty. Suzy uniosła w górę oczy.

— Dlaczego przeszłyśmy nagle na czas wojskowy? Następną rzeczą jaką każecie nam zrobić będzie zsynchronizowanie zegarków.

— Patty i ja już to zrobiliśmy — odparła Carey. — Będziecie w jaskini, a tam jest przez cały czas ciemno, więc musicie wiedzieć czy jest czwarta po południu, czy czwarta rano.

— Jest jedenasta trzydzieści. Każda z nas zrobi trzy rundy, by załadować łódź, a Sylvana będzie pilnować obozu. Dajmy na to, że każda runda zajmie nam trzydzieści minut. Łódź wyruszy o dwunastej pięćdziesiąt, przy odrobinie szczęścia okrążycie skarpe zaraz po godzinie pierwszej, Carey. Nie muszę wam przypominać, byście nie pokazywały się ludziom z Katangi. Gdy już będziecie po drugiej stronie, dajcie sobie godzinę na znalezienie kryjówki i zamaskujcie łódź.

Carey skinęła głową.

— Mamy już, powiedzmy drugą piętnaście po popołudniu. Jeśli zobaczymy tubylców to Patty zostanie na pokładzie ze strzelbą. Jeśli nie, obie spróbujemy wrócić łądem do jaskini. Mam nadzieję, że uda nam się to w godzinę.

Patty i Carey dźwignęły w górę kotwicę L przeciągnęły łódź na głębszą wodę. Przyływ zmienił kierunek o ósmej tego ranka i w takim razie najlepiej byłoby załadować łódź zaraz przed odpływem, lecz fala wciąż się cofała, za co Patty była wdzięczna losowi. Mimo iż miały silnik, wciąż jeszcze mogło być trudno wypłynąć z laguny przy niesprzyjającym prądzie morskim.

Patty sprawdziła silnik. Nacisnęła przycisk i ku jej zdziwieniu motor zaczął się obracać. Carey ucieszyła się. Rozczarowała się dopiero, gdy podniosła do góry zbiornik z paliwem i potrząsnęła nim.

— Cholera, prawie pusty.

Anna i Sylvana zaciągnęły nagie ciało trzeciego żołnierza na koniec plaży. Myślały o tym, by rzucić je na ruchome piaski, ale nie odważyły się tam iść. Gdy go zakopywały były tak przygnębione, że wykonywały wszystko jakby w zwolnionym tempie.

— Musimy przestać myśleć o nim jak o osobie — mówiła Anna. — Gdybyśmy zostawiły zwłoki na plaży same kuśłybyśmy los.

Wróciła na miejsce, gdzie zostały plamy z krwi i jednym kopnięciem nogi zasypała je piaskiem. Poczula się lepiej, gdy zatarła wszelkie ślady po żołnierzu.

Z wyjątkiem Suzy, która siedziała na drzewie, wszystkie kobiety, jedna za drugą schodziły po ścieżce obok wodospadu obładowane jedzeniem, wodą, sprzętem, wśród którego leżał zablokowany M-16.

— Wyczyszczę go później, spróbuję wystrzelić kilka naboju już na morzu. Zamiast postrzępionych ubrań miały teraz na sobie żołnierskie mundury

robocze. Każda miała strzelbę przewieszoną przez plecy.

Złożyły bambusowe pojemniki z wodą i jedzeniem do schowka na przodzie, najbezpieczniejszego miejsca na łodzi. Trzymały tam również kompas, rakiety ogniowe i maczetę. Nie chciały, by niebezpieczne ostrze poniewierało się po pokładzie. Na środku ułożyły przybory rybackie, strzelby, dwie kusze z oszczepami i sprzęt do nurkowania. Na rufie, w jednym miejscu, umieściły żółte kamizelki ratunkowe, trzy kubły, pudełko z narzędziami, cienką linkę z lian i zwój grubego sznura oraz kotwicę.

Skończyły dwadzieścia po dwunastej.

Carey przyjrzała się z powątpiewaniem wyładowanej po brzegi łodzi.

— Nie sądzisz, że zabieramy za dużo, Patty? Chodzi mi o to, że ta balia jest pełna!

— Zawsze możemy wyrzucić coś za burtę. Lepsze to, niż zostawienie tutaj przyrządów Jonathana.

— Czy jest sens zabierać ze sobą sekstans czy chronometr, nie mamy przecież pojęcia jak się nimi posługiwać?

— Załuję tylko, że nie mamy płóciennej płachty, usmażymy się na morzu.

— Mogłybyśmy przywiązać kilka naszych łóżek bambusowych i ciągnąć za łodzią jak tratwy. Może dałoby się przełożyć na nie część ładunku. Byłyby jak przyczepy do samochodu.

— Chodzi tylko o to, by wyruszyć. Dzięki Bogu mamy silnik — Patty poklepała błyszczący, czarny motor i zaraz pożałowała tego, bo metal rozgrzał się do czerwoności. — W porządku, ruszamy.

Ku własnemu zdumieniu, te które miały zostać na lądzie, pochwyciły w ramiona Patty i Carey i ścisnęły je na pożegnanie.

— Uważajcie na siebie — ostrzegała je przez łzy Anna. — I wracajcie jak najszybciej.

Wyładowana łódź kołysała się na boki, gdy Patty przełożyła szczupłą, brązową nogę przez burtę. Ostrożnie wspięła się do środka i usiadła na ławce zrobionej ze skrzyżowanych belek. W akwamarynowej, przezroczystej wodzie laguny dostrzegła, może po raz ostatni, kolorowe rybki przepływające szybko obok łodzi, niby jakieś jaskrawe zabawki.

Carey. zajęła miejsce na środku, przodem do siedzącej na rufie Patty. Przymocowała gumowe uchwyty drewnianych wiosel do burty i zaczęła ostrożnie wiosłować. Gdy rosła w niej ufność we własne siły wiosłowała coraz mocniej.

— Wiosła są w porządku — zameldowała.

Patty pociągnęła za sznur i natychmiast uruchomiła silnik.

— Trzymaj kaptur — powiedziała. — Przygotuj się na ratowanie łodzi, gdyby rzuciło nas o rafę.

Gdy dotarły do rafy, mały ponton przemknął/razem z falą przez wąski przesmyk w koralowcu. Znalazły się na morzu.

Patty pchnęła rączkę steru i ruszyły całą parą naprzód na południe w kierunku lądu.

— Roztrzaskasz te tratwy na kawałki, jeśli nie zwolnisz.

Dwa bambusowe łózka-tratwy skakały na wzburzonej fali, którą zostawiała za sobą łódź.

— Chcę wyłączyć silnik, gdy tylko będziemy przy zakręcie — robi za dużo hałasu, więc przygotuj się do wiosłowania.

Gdy zbliżały się do ładu, Patty wiedziała, że musi manewrować łódką najbliższej poszarpanych skał, na tyle na ile się da. Okrążyła skały prawie się z nimi stykając i po raz kolejny odetchnęła z ulgą. Nie widać było wioski Katanga.

Wokół panowała cisza. Tylko fale uderzały o skałę. Paliło ostre słońce.

— Nigdy nie uda nam się wspiąć na te potwory.

— Wpływam w pierwszą małą zatokę, która wygląda przyzwoicie. Musimy trzymać się jak najdalej od Katangi.

Pierwsza zatoka nie miała plaży, był to jedynie przesmyk pomiędzy skałami. Druga wydawała się bezpieczniejsza, ale kiedy Patty podплыnęła bliżej, ujrzała ciemne występy skalne, ostre jak zęby. Prędko się wycofała.

— Jeśli nie wejdziemy w następny otwór, to przyjdzie twoja kolej na wiosłowanie — dyszała Carey.

Odrobinę dalej, całkiem niespodziewanie, zobaczyły przerwę między skałami. W tle owej zatoczki las opadał w dół do morza.

— To już lepiej wygląda. Co myślisz?

Znużona Carey odłożyła wiosła i odwróciła się, by spojrzeć przez ramię. Jej twarz ociekała potem.

— Ale nie ma tam gdzie ukryć łodzi, chyba że wyładujemy z niej rzeczy, odczepimy silnik i zatopimy ją.

— Nie mamy na to czasu i nie wiem, czy byśmy umiały to zrobić. Za duże ryzyko — stwierdziła Patty. — Dobrze, teraz ja wezmę wiosła.

Gdy okrążyły następną skałę, Carey zwęziła powieki. Nieopodal rozpadliny skalnej ujrzała małą, ponurą zatoczkę. W tle ciemnozielone wzgórza spadało nierówno do morza.

— To wcale nie przypomina plaży.

— I bardzo dobrze — odparła Carey.

W Patty wstąpiły nowe siły. Gdy łódź wpłynęła do szczeliny w kształcie litery V, jaskrawe promienie słoneczne przedarły się przez zieloną roślinność, pokrywającą strome zbocze.

— Tutaj jest strumień. Może uda nam się wspiąć do góry po jego brzegach. Gdy łódź się zbliżyła, Carey sięgnęła, by pochwycić jedną z winorośli, która

wisiała nad wodą. Wrzuciła do wody kotwicę i pociągnęła za linę.

— Nie wygląda na to, że dotyka dna.

— To tylko krótka lina do przycumowania na plaży. Tutaj jest głęboko. Musimy przywiązać cumę do pnia drzewa.

Patty odłożyła wiosła. Obie kobiety wciągnęły łódź pod rozhuśtane, mocne poszycie lasu, które opadało do morza. Wyciągając liście z włosów kucaly, by nie uderzyć się o gałęzie.

— Mogłybyśmy trochę tego naciąć i rozłożyć wokół łodzi tak, żeby nie było widać białej farby.

— Najpierw przywiążemy tę bestię.

Patty zarzuciła cumę i przywiązała ją do grubej, powykręcanej gałęzi, która zwisała im nad głowami.

— Bóg raczy wiedzieć, czy to się będzie trzymać. Przywiążmy wiosła i dulki do siedzeń w łodzi.

— Oj, oj, panie szyper — drwiła z niej Carey. Pochyliła się, by wciągnąć dwa łózka bambusowe na pokład.

— To szaleństwo myśleć, że możemy ją tu zostawić. Może zabrać ją fala. Może padać deszcz i trzeba będzie wylewać wodę. Ktoś ją może ukraść. Zostanę tu i popilnuję.

Carey skinęła głową.

— Też o rym myślałam. Powinnyśmy to wcześniej zaplanować. Pilnowanie łodzi to lekkie zajęcie, ciągnijmy losy.

Carey przegrała.

— Mam kompas Suzy. Ale będzie mi potrzebna strzelba i maczeta.

— Zjedzmy coś, zanim wyruszysz — zaproponowała Patty. — Kamuflaż zostaw mnie. Daj mi na chwilę maczetę, chcę naciąć trochę zielonki zanim pójdziesz.

Zaraz potem Carey wciągnęła się na gałąź pochylonego drzewa. Ostrożnie schyliła się, by wziąć od Patty strzelbę i przewiesiła broń przez ramię. Przeczolgała się ostrożnie z powrotem po gałęzi, wreszcie udało jej się oprzeć lufę bezpiecznie o pień drzewa. Wróciła z powrotem i schyliła się po maczetę.

— Trzymaj się, Patty — powiedziała. — Wrócę najszybciej jak będę mogła.

— Do zobaczenia.

Nagle omal się nie rozpląkały. Po raz pierwszy, od 13 listopada, jedna z nich miała zostać zupełnie sama.

Carey powoli wspięła się na skały. Na szczycie zatrzymała się, by zatknąć szorstką trawę za rondo npwo zdobytej czapki khaki, za dużej na jej głowę. Potem ruszyła przez dżungłę.

Korzystając ostrożnie z kompasu, przeszła cały przyrządek w półtorej godziny. Zajęło jej to pół godziny więcej niż planowała, ale spóźniła się tylko dwadzieścia minut w stosunku do ustalonego wcześniej rozkładu. Była zadowolona z siebie, z tego, że udało jej się dotrzeć do celu: znalazła się na szczycie czarnych skał w południowej części Zatoki Wodospadu.

Ruszyła wzdłuż brzegu skał, nie opuszczając jednak kryjówek z drzew i starając się patrzeć na niebiański błękit morza i tęcze krople rozpryskujące się o rafę. Powiała lekka bryza. Szła mijając potężne pnie drzew, szarobeżowe jak skóra słonia; szukała drogi między rosnącymi tu obficie zielonymi paprociami. Przyroda milczała z wyjątkiem wody, która



dudniąc rozbijała się na rafach i wysokiego, czystego śpiewu ptaków, przemykających nad jej głową.

Poprzez ptasie trele, Carey usłyszała jeszcze inny hałas.

Zatrzymała się gwałtownie i sprawdziła która godzina. Była za pięć czwarta. Dwadzieścia minut wcześniej niż wyliczyły. Nie miała wątpliwości — helikopter.

W pierwszym odruchu chciała popędzić z powrotem do łodzi — tak jak ustaliły wcześniej, ale zrozumiała, że kobiety w jaskini nie będą wiedziały, gdzie ją znaleźć. Jak mogły dopuścić do tak oczywistego błędu w sztuce?

Obliczyła prędko. Zanim helikopter wyląduje upłyną dwie minuty, ktokolwiek nim przyleciał nie dotrze do obozu szybciej niż w dziesięć minut. Gdyby pobiegła może udałoby jej się dostać do komina jaskini wcześniej.

Poruszając się najszybciej jak mogła, nie zważając na to, że hałasuje budząc chór głośnych protestów ze strony stada białych kakadu, Carey przedzierała się przez poszycie lasu w kierunku obozu.

Huey-Cobra krążył nad Zatoką kierując się prosto w stronę wodospadu. Choć odpływ zmienił kierunek widać było jeszcze spore połączenie plaży.

Amerykańskiej kanonierce, wysłanej by oczyścić teren gdy zajdzie potrzeba, towarzyszył helikopter Sikorski o potężnym kadłubie. Na brzeg wyskoczyło dwudziestu mężczyzn w oliwkowych mundurach roboczych i kaskach. Rozległy się strzały, gdy rozstawiali się wzdłuż plaży z oczywistym zamiarem wdrapania się na skały.

Jednostajny hałas przerażał biegnącą Carey. Miała poranioną twarz, w boku jej tkwił cierń a serce tłukło się w piersi.

Oddziały natychmiast znalazły obóz. Widać było od razu, że ktoś go opuścił.

Sierżant zgłosił się do kierującego nimi oficera. Podał mu zapleśniałą, czarną torebkę damską z lakierowanej skóry, w której znalazł zardzewiałe opakowanie prasowanego pudru i roztopioną szminkę Suzy.

— Ilu ludzi tu było, sierżancie?

— Tropiciele śladów zameldował, że w obozie były cztery bambusowe łóżka, sir, i paliki, na których opierały się jeszcze dwa. Zgłosił też, że odnalazł pięć rodzajów śladów kobiecych stóp prowadzących do laguny. Każda z kobiet przechodziła kilka razy tam i z powrotem z obozu — założyliśmy, że chciały załadować łódź, którą ukradły. Między skałami na ścieżce znaleźliśmy pojemnik pełen świeżo wędzonej ryby, sir.

— Kiedy kobiety odpłynęły, sierżancie?

— Nie mogę dać głowy, sir, kiedy, ale tropiciel śladów mówi, że odciski stóp pozostawiły około południa, ognisko zgasiły niemal w tym samym czasie, sir.

— Mamy dwie godziny na przeszukanie morza, sierżancie. Podpalcie obóz. Zostawcie dwóch ludzi na warcie i kilku żołnierzy na plaży. Zabierzemy ich jutro.

Sierżant zasalutował.

— I przypomnij im, żeby nie lekceważyli tego, że są to kobiety. Mają co najmniej trzy nasze strzelby — dodał oficer.

Carey przycupnęła w poszyciu, nie miała odwagi zbliżyć się do komina, którego szczyt widziała po swojej lewej stronie. Słyszała głosy mężczyzn, łamanie gałęzi i głośniejsze trzaski. Poczowała dym.

Ponad drzewami dostrzegła złotawy poblask. Złoty kolor wkrótce zamienił się w czerwony i zmieszał z gęstym dymem. W górę wystrzelił słup ognia i wysokie drzewo stanęło w płomieniach. Potem zapalił się cały suchy i rozgrzany las, wokół zrobiło się jaśniej. Carey podskoczyła na dźwięk strzału, lecz widząc cień, który padł na złowieszczy czerwony blask przed nią, zrozumiała, że musiał to być hałas upadającego drzewa.

Nie mogła się zdecydować co robić. A gdyby cofnęła się, albo odbiegła wystarczająco daleko i wystarczająco prędko, by oddalić się od ognia? Czy może powinna próbować dostać się do komina? Gdyby las się spalił, kobiety być może będą musiały zostać w jaskini przez kilka dni. Jeśli spali się pokrywa z roślin wokół wejścia do komina, otwór będzie widoczny. Żołnierze zobaczą zwisającą do dołu linę, która już na pierwszy rzut oka wygląda na to, że zrobił ją człowiek.

Już zamierzała podczołgać się do komina, gdy zobaczyła idącego wolnym krokiem żołnierza. Szedł prosto na nią. Prawie nastąpił na szacht komina. Zatrzymał się gwałtownie. Carey wstrzymała oddech. Czyżby coś zobaczył?

Rozpiął suwak i ulżył sobie. Ściągnął z głowy miękki kapelusz safari i otarł pot z grubego karku i małej, ogolonej głowy. Gdy zakładał go z powrotem, nagle zaczął rozglądać się nerwowo na boki. Coś wyraźnie przyciągało jego uwagę.

Ostrożnie zbliżył się do ukrytej wśród roślin liny leżącej na ściółce leśnej. Kucnął, podniósł sznur, sprawdził w dłoni, spojrzął w lewo i poszedł za liną do drzewa, wokół którego była przywiązana. Potem poszukał drogi do komina jaskini.

Carey zdjęła strzelbę z ramienia, ale nie, nie odważyła się strzelać, hałas mógłby przyciągnąć żołnierzy.

Przykucnął plecami do Carey, rozchylił kamuflaż z winorośli nad szachtem i sprawdził w dłoni ciężar sznura, jakby próbował zgadnąć dokąd sięgał.

Trzy metry dalej Carey trzymała strzelbę za lufę i przygotowywała się do użycia kolby jako pałki. Podczołgała się do przodu.

Gdy znalazła się tuż za plecami żołnierza odgięła się i splotła ramiona — uderzenie będzie szybsze i silniejsze.

Zamachnęła się. Poszło o wiele łatwiej niż myślała. W jednej chwili facet kucnął przed nią, w następnej zwałił się na ziemię. Drżąc z emocji, ale jednocześnie czując ogarniające ją dumę i ulgę, Carey zaciągnęła bezwładne ciało kilkanaście centymetrów bliżej brzegu komina. Nie był aż tak ciężki jak się obawiała.

Dobrnęła do szachtu i wsadziła głowę do środka.

— Aniu! To ja, Carey! — zawołała przynaglająco.

Głośny krzyk był obliczonym ryzykiem. Miała nadzieję, że zagłuszy ją trzask ognia. Innym wyjściem byłoby liczyć na to, że nikt nie stoi na dnie komina i nikomu nie skręci karku. Jednak uważała, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że któraś będzie czekała tam a nią, więc nie mogła ryzykować.

W szachcie jakiś głos rozległ się echem.

— Schodzisz na dół, Carey?

— Odsuńcie się i siedźcie cicho. Rzucę coś a potem sama zejdem. Popchnęła martwe ciało.

Czując się zaskakująco swobodnie, Carey cisnęła miękki kapeluszyk na dół przez szacht. Potem, najszybciej jak mogła, wciągnęła na górę linę z lian. Choć pracowała szybko, wydawało jej się, że trwa to wieczność. Czerwona poświata zbliżała się nieubłaganie przez las w jej stronę.

Z ulgą wzięła do ręki torbę ze sznurków, którą wcześniej przymocowała na stałe do końca sznura. Włożyła do niej dwie strzelby, przyczepiając dla bezpieczeństwa lufy do sznura lianą. Nie chciała, by przeszkadzały jej w utrzymaniu równowagi, gdy będzie schodziła na dół.

Odcięła prędko maczetą sznur od pnia drzewa. Przywiązała najmocniej jak mogła maczetę do strzelb i ohniżyła wolno ciężki ładunek przez komin. Trzęsąc się ze strachu, usłyszała w myślach głos Jonathana: kiedy się spieszysz, rób wszystko powoli. Na koniec drżącymi rękami zakryła dokładnie szczyt komina.

Z powodu wysokiego wzrostu, Carey mogła zrobić coś, co przychodziło z trudem innym kobietom: mogła zaprzeć się łokciami na zewnątrz szachtu na ziemi, opierając się jednocześnie stopami o przeciwległą ścianę. To najniebezpieczniejsza rzecz jaką kiedykolwiek robiłam w swoim życiu!—pomyślała, przyjmując ową pozycję. Zawiodły ją nerwy i zastygła, przerażona.

Przez pięć miesięcy wszystkie starały się, by nie myśleć o swoich rodzinach w Pittsburgu, bo myśli te pogrążyły je natychmiast w depresji. Teraz, by dodać sobie otuchy, Carey z rozmysłem przypominała sobie swoje córki. Zawsze była przekonana, że narazi się dla nich na każde niebezpieczeństwo. Teraz więc surowo przypominała sobie, że Ingrid i Berta potrzebują matki bardziej niż czegokolwiek na świecie.

W niczym jej to nie pomogło.

Pomyślała znów o tym, by biec do Patty i do bezpiecznej wody, ale płomień sięgając coraz wyżej nieuchronnie zbliżał się do niej. Dziwne, ale pachniało to równie przyjemnie jak kominek w miejskim mieszkaniu.

Nagle Carey zdała sobie sprawę, że jeśli nie ruszy się natychmiast, to spali się żywcem. Nie prześcignęłaby rozprzestrzeniającego się ognia.

Zaczęła ostrożnie opuszczać się kominem w dół.

Gdy oddziały wojskowe opuszczały spalony obóz, sierżant zorientował się, że brakuje jednego człowieka. Przesłuchał żołnierzy. Nikt nic nie wiedział, ale

nie zdziwili się, że zniknął. Jego wioska była zaledwie dwadzieścia parę kilometrów na południe. Od tygodni narzekał na życie w koszarach i dyscyplinę, tęskniąc wyraźnie do spokojnego życia i łowienia ryb. Co tydzień ktoś dezercerował z koszar, podobnie jak z kopalni miedzi, gdy pracujący tam ludzie przekonali się, że ich praca jest dobrze płatna, ale nie warta tego, by stracić całkowicie wolność.

Sierżant musiał zdecydować, czy zatrzymać się i zająć się zbiegiem, czy kontynuować poszukiwania kobiet na morzu. Do zachodu słońca pozostała mniej niż godzina.

Gdyby został zraniony, słyszeliby jego krzyk. Bardziej prawdopodobne było to, że ustala właśnie w tej chwili ile kina weźmie za strzelbę i co będzie robił dziś wieczorem ze swoją dziewczyną.

Otrzymał i jasne rozkazy.

— Wartownik Narak zaginął, podejrzewa się go o dezercję — powiedział sierżant. Mogli wrócić i poszukać go jutro, ale do tego czasu Narak dotrze już do rodzinnej wioski.

Patty niecierpliwie patrzyła przed siebie. Poniżej zakrzywionej rozpadliny w skale widziała jedynie morze i niebo. Dwa przezroczyste odcienie błękitu przedzielone cienką, ciemnoniebieską linią zmieniły się w dwa paski szarego koloru z czarną dzielącą je kreską. Półtorej godziny przedtem, Patty zobaczyła duży, oliwkowy helikopter lecący na południe wzdłuż linii brzegowej. Wrócił później z północy, ale skierował się daleko w morze.

Patty badawczo zerknęła jeszcze raz w niebo. Było w nim coś dziwnego. Niskie, ciemne chmury skłębiły się, gdy przeleciał helikopter. Morze miało teraz kolor purpurowej dachówki, a wzburzone fale mieniły się czernią. Niewidoczne słońce, które wśliznęło się za przylądek wciąż świeciło jasno i ostro, choć z oddali. Światło było mocne i złowieszcze.

Patty sprawdziła cumy i pociągnęła za sznury dwa bambusowe łóżka. Gdy nad jej głową rozległ się grzmot położyła jedno z łóżek na rufie i przywiązała do pokładnika.

Z nagłą wściekłością burza dotarła do brzegu morza.

Patty natychmiast przemokła do suchej nitki, jakby stała pod wodospadem. Szkwał szalał nad jej głową, przygniatał ją ulewny deszcz — ledwo mogła złapać oddech w tym potopie. Desperacko próbowała opróżnić łódź z wody, wreszcie zdała sobie sprawę, że jest to równie bezskuteczne, jak próby powstrzymania fal podejmowane przez Knuta Wielkiego.

Drżąc na całym ciele, przywiązała liną drugie łóżko i wsunęła nad siebie tak, że dwie trzecie łodzi przykrył bambusowy dach. Łóżka jednak nie były wodoszczelne, deszcz lał się pomiędzy palikami jak strumień górski.

Gdy zapadła noc, Patty by zmarznięta i przemoczona jakby pływała w morzu, a nie po morzu. Zastanawiała się, czy burza potrwa przez całą noc.

Wydawało się to bardzo prawdopodobne. Myślała o tym, co by się stało, gdyby zasnęła. Nie wiedziałyby wtedy czy cumy łodzi się nie zerwały. Co powinna zrobić? Czy lepiej opuścić łódź — podskoczyła, by złapać nad głową gałęzie — wspiąć się po konarze i z powrotem na dół po pniu drzewa? Czy powinna raczej zostać tutaj i ryzykować tym, że wyrzuci ją na morze, zaleje woda i utonie. Z niechęcią przypominała sobie, że w łodzi złożyły cały sprzęt potrzebny do ucieczki. Leżąc na wznak, włożyła na siebie kamizelkę ratunkową.

## **ŚRODA, 13 MARCA**

### **44**

Patty otworzyła oczy. Pierwszą jej reakcją było zdziwienie, >y yy gdy się zorientowała, że jest cała mokra i słyszy dziwne ^# chlupanie. Potem ogarnęło ją uczucie ulgi. Jeszcze żyła i siedziała w łodzi do połowy wypełnionej wodą. Burza minęła. Słyszała jak woda lekko uderza o kadłub, przyniosło jej to pocieszenie. Czuła kojące lekkie kołysanie morza. Poruszyła z trudem lewym ramieniem, zastanawiała się ile trzeba mieć lat, by cierpieć na reumatyzm. Zerknęła na zegarek. Ósma rano.

Dawno nie była tak głodna. Sztywnymi palcami rozplątała zawiązaną na węzeł linę, podniosła zniszczone łóżko i rozejrzała się. Morze było jeszcze ponure a niebo wyglądało przygnębiająco. Skąły i drzewa błyszcząły od kropel wody. Szczel i na pozostawała wciąż w cieni u, ale dostrzegła jak słońce rozjaśnia rośliny u wejścia do zatoki, a widoczny poza nim skrawek nieba ma kolor niebieski.

Miała nadzieję, że, do licha, kobiety są już w drodze.

Wioska Katanga rozciągała się na północnym brzegu rzeki Katanga. Kryte słomą dachy, w których tylko sypiano, stały na dwu i półmetrowych palach. Wchodziło się do nich po rozklekotanych drewnianych drabinach: Jak sięgali pamięcią mieszkańcy wioski, przyływ nigdy nie wzniósł się tak wysoko by dotrzeć do chat. Wieśniacy mieszkali i pracowali w ich cieniu.

O godzinie dziesiątej rano, 13 marca, większość kobiet z wioski albo zapędzała świnie do chlewa albo była zajęta ogrodami warzywnymi, które zniszczyła burza. W wiosce panował spokój, tylko dzieci sprzeczały się ze sobą pod chatami. Od czasu do czasu włączały się staruszki. Naprawiały sieci, gotowały na parze warzywa w dużych drewnianych kadziach i garnkach albo skręcały cienkie liany.

Wesołe okrzyki dzieci nie przeszkadzały mężczyznom. Drzemali w cieniu pod chatami w towarzystwie kundli i wychudzonych kurczaków. Młoda kobieta leniwie karmiła piersią prosiaka. Luluai ospale uniósł się z ocienionego

skrawka ziemi. Po burzy wiele rzeczy trzeba było naprawić. Nie zdecydował jeszcze od czego zacząć. Płot w zagrodzie dla świń z całą pewnością wymagał natychmiastowego działania, lecz zrobienie takiego płotu było ciężką pracą. Z drugiej strony jeśli nie naprawią go niezwłocznie, świny dostaną się do ogrodów warzywnych i narobią jeszcze większych szkód. Ziewnął i powoli podrapał się w ucho. Ciszę zakłócił niski szum dochodzący z daleka — brzęczenie podobne do brzęczenia komara. Gdy szum stał się głośniejszy wszystkie głowy uniosły się do góry.

Czerwony helikopter Bell 206 pojawił się nad przylądkiem i kierował się prosto do wioski.

Luluai zawołał ostro na mężczyzn, którzy podnieśli się z ziemi. Chłopcy rzucili się do chat i wybiegli z drewnianymi pałkami i dzidami, które wcisnęli ojcom do rąk. Dzieci i starsze kobiety popędziły przerażone za linię utworzoną przez mężczyzn stojących po obu stronach Luluai.

Helikopter zgrabnie wylądował. Trzech czarnych pasażerów ubranych było w wojskowe mundury. Jednym z nich okazał się pułkownik Borda.

Ściskając strzelbę, pułkownik wyskoczył z maszyny, gdy tylko śmigło przestało się obracać. Wymieniono pozdrowienia przez tłumacza i pułkownik Borda ogłosił, kto jest gościem wioski.

— Raki... Raki... Raki... — słowo to odbiło się echem wśród zebranych wieśniaków. Za mężczyznami stojącymi z łukami i strzałami, rozległ się podekscytowany gwar. Wojownicy nawet nie drgnęli i nie drgnęliby, dopóki nie kazałby im przywódca. Lecz jego oczy skupiły się na małej postaci, która wolno wychodziła z maszyny. Raki stanął w cieniu helikoptera, przetarł okulary przeciwsłoneczne, wcisnął je do kieszeni kurtki i ruszył w stronę przywódcy z majestatyczną godnością bez cienia arogancji ale też pokory.

Wewnątrz ciemnej, dusznej chaty dla gości, prezydent Raki stracił swą powagę. Prędko szczechnął do tłumacza. Kilka jego słów przetłumaczono na koniecznie długą i zawiłą przemowę.

Kiedy Rakiemu doniesiono, że niektóre z „Nexusa” jeszcze żyją, pojął natychmiast, że gdyby wróciły do Stanów znalazłby się w kłopotliwej politycznej sytuacji z Ameryką, Wielką Brytanią, Japonią, Australią i Korporacją Międzynarodowego Stowarzyszenia Kopalń „Nexus”, a także z Międzynarodową Federacją Kopalń, która zmuszona byłaby do ponownego zastanowienia się, czy na Paui można robić interesy. Inne wpływowe międzynarodowe firmy zajmujące się wydobywaniem bogactw naturalnych też nie odniosłyby się do niego przychylnie. Dopóki żyły te kobiety, jego pozycja prezydencka była zagrożona.

Trzeba je natychmiast odnaleźć i zabić zanim wiadomość o tym, że jednak żyją dotrze do Mount Ida albo do tego nadgorliwego Australijczyka. Inwazja poważnie nadszarpnęła jego konto bankowe, więc postanowił, że musi odzyskać każdy szwajcarski frank, jaki wydał na to przedsięwzięcie. Potrzebował

*też* gotówki, by zapłacić za rupiecie z Tajwanu, które sprowadził dla całej ludności Paui w ramach Kultu Materii. Wiedział, że najszybciej, najłatwiej i na najlepszych warunkach podpisze umowę właśnie z „Nexusem”. Niewątpliwie już zdecydowali do jakiej sumy będą się targować, i Raki postanowił to wykorzystać. Zamierzał przeciągać w nieskończoność termin rozmów o cenie. Teraz, wobec pojawienia się owych białych kobiet, żałował, że nie zawarł układu z „Nexusem” wcześniej.

W sennym upale chaty gościnnej tłumacz nerwowo powtórzył ostatnie pytanie przywódcy wioski:

— Panie Prezydencie, Luluai chciałby wiedzieć, dlaczego wczoraj wojska wkroczyły na obszar nad wodospadem, który jest itambu? Prezydent odparł bez zająknięcia.

— To były oddziały Filipińczyków, a oni nie wiedzieli, że są w miejscu świętym. Poszukiwali białych kobiet, które już wcześniej zbezczęściły ten teren i wywołały gniew zmarłych.

Niecałą godzinę temu, prezydent Raki sam stanął na ziemi zakazanej. Popatrzył pogardliwie na kawałek blachy przybity gwoździem do drzewa, na którym namalowano znak czarnej dłoni nad niezdarnie wykaligrafowanymi literami: I T A M B U .

Prezydent obejrzał rozbite i wypalone szałas. Czubkiem buta poturłał bambusowy garnek do porozrzucanych resztek, które pozostały po ognisku i odwrócił się do pułkownika Bordy.

— Czy informacje tropiciela śladów zgadzają się z tym, co opowiadał żołnierz, który uciekł tym kobietom?

Pułkownik Borda skinął głową.

— Ten bohater, który pozwolił, by kobiety ukradły mu ubranie musi zostać surowo ukarany. Nie chcemy, by rozpowiadał już więcej o kobietach. Chodzi o ochronę państwa. Wyjmijcie mu język.

— Zajmę się tym, Ekscelencjo.

— Kobiety nie mogły odpłynąć za daleko, pułkowniku.

— Przeszukujemy całe wybrzeże, Ekscelencjo, na wypadek gdyby nie skierowały się w stronę Irian Jaya, ale płynęły w górę linią brzegową. Jeśli tak, to wkrótce o nich usłyszymy.

— A więc istnieje pewność, że je znajdziemy. Pułkownik zawahał się.

— Niełatwo jest dostrzec z powietrza trzy i półmetrową łódź, sir. Oczywiście, zrobimy co w naszej mocy, Ekscelencjo. Postaramy się! Teraz siedział po turecku w upalnej chacie gościnnej, było mu ciężko oddychać.

— Wódz chciałby wiedzieć, kiedy wyjadą żołnierze, którzy strzegą obszaru itambu — powiedział tłumacz.

Prezydent nachylił się do pułkownika Bordy.

— Nie ma sensu zostawiać tu żołnierzy na warcie, prawda? Pułkowniku?

— Wartownicy muszą zostać, aż znajdziemy kobiety, Ekscencjo. Mogą wrócić same albo coś je zmusi do powrotu w okolice obozu. Znają przecież ten teren. Z pełnym szacunkiem proponuję byśmy urządzili w tej wiosce ucztę ofiarną jako zadośćuczynienie:

— Chcieliby także byśmy naprawili im most wiszący. Prawdopodobnie to one go zniszczyły.

— Tak, tak, powiedz im tak, na litość boską! Potem zapytaj co wiedzą

o tych kobietach.

Wiedział, że przywódca wioski ma nieograniczoną władzę i że za informacje trzeba płacić, bo w przeciwnym razie przywódca straci twarz i pozycję.

— Wódz mówi, że pięć kobiet i jeden mężczyzna byli w miejscu świętym przez cały sezon cyklonów, ale mężczyzna zmarł. Czasami łowiły ryby

i pływały w lagunie. Tylko tyle wiedzą. Wieśniacy nie chodzą tam, gdzie ziemia jest itambu.

Prezydent podniósł głos.

— Powiedz im, że nie odwiedziłem tego miejsca po to, by nie dowiedzieć się niczego.

Pułkownik Borda szybko nachylił się do prezydenta i upewnił go:

— Sir, jestem przekonany, że znajdziemy kobiety.

— Nie chcę żebyście znaleźli kobiety, pułkowniku. Chcę, żebyście znaleźli ich ciała.

Sylvana i Anna na zmianę pływały przez podwodny korytarz, by sprawdzić, czy wartownicy zabrali się już z plaży. Kobiety nie wiedziały, że w nocy przeszła burza dopóki nie zobaczyły plaży następnego dnia o świcie. Na linii oznaczającej granicę wysokiej fali leżało sporo śmieci, lecz weszło już szafranowe słońce, malując niebo na kolor siarki i róży.

— Wygląda na to, że przeszła szalona burza — powiedziała Anna kobietom w jaskini. — Martwię się o Patty.

— A ja się martwię o łódź — odparła Suzy.

— Spróbujmy tam dotrzeć dziś wieczorem — zaproponowała Carey. Prawdopodobnie każda pora będzie równie niedobra. Nie zniosę już dłużej tego miejsca.

— Jeśli wyjdziemy stąd po południu, zaraz po godzinie trzeciej, możemy dotrzeć do łodzi przed zachodem słońca.

— Trzy godziny powinny nam wystarczyć — zgodziła się Carey. — Mnie to zajęło tylko dwie. Pójdziemy wzdłuż brzegu, skrajem dżungli, potem na ostatnim odcinku przetniemy łąd na przełaj. Nie mogłam w ciemnościach odnaleźć drogi, więc nie powinniśmy wyruszać później niż o trzeciej. I przez te plecy będę się dłużej wdrapywać na górę.

Plecy Carey były starte do żywego i krwawiły. Mimo to postanowiła, że to ona wdrapie się na górę, by zanieść tam sznur.

Wszystkie kobiety były podenerwowane, napięte i nie potrafiły myśleć



rozsądnie — tym bardziej, że leżały obok nich zwłoki. Zaciągnęły martwego żołnierza do dna szachtu i rozebrały przy świetle szesnastu pochodni, zrobionych z wysuszonego włókna orzecha kokosowego. Zapaliły je jedną z nowo zdobytych wojskowych zapalniczek. W wilgotnym i dusznym powietrzu zwłoki rozkładały się bardzo szybko. Odór przypominał zepsute mięso, był tylko silniejszy, mdły i słodkawy. Z początku zapach nie był przykry, ale gdy ciało zaczęło gnić, fetor doprowadzał je do mdłości. Carey zawsze zastanawiała się dlaczego trzeba myć ciała nieboszczyków. Teraz już wiedziała.

Z gnijącego ciała, w miarę jak postępował jego rozkład, ulatniały się nagromadzone gazy we wnętrznościach rozdymając potężnie czarny brzuch i czarne połyskujące paskudztwo, które kiedyś było głową, a teraz łąziły po nim robaki i brzęczące muchy. Śmierć ma odrażający, dziwny zapach — myślała Carey, przesuwając ciało, by wspiąć się przez komin na górę. Jakie to dziwne bać się trupa, nie mógł już przecież zagrazać.

Zacząła iść w górę szachtem.

Gdy w końcu wytknęła głowę nad ziemię nie zobaczyła nic, co mogłoby ją zaniepokoić. Z trudem rzuciła się w bok, by wydostać się z otworu. Teraz gdy minęło już napięcie wspinaczki, rozluźniła się, zaczęła drzeć na całym ciele. Minęło co najmniej dziesięć minut zanim udało jej się rozplątać lianę, którą była przewiązana w talii.

Podnosząc się ostrożnie z pozycji kucającej i przy każdym ruchu szukając kryjówki, przeskakiwała od drzewa do drzewa, świadoma, że nie ma żadnej broni z wyjątkiem noża.

Gdy spostrzegła wypalony teren, który kiedyś był ich obozem, zatrzymała się i czekała. Z początku nie widziała nikogo, potem pojawił się wartownik. Powoli wracał od strony szczytu wodospadu z powrotem do obozu. Jego odprężony i leniwy marsz zapewnił ją, że mężczyzna nie spodziewa się, że kogoś tu zobaczy. Przyglądała się jak idzie po wypalonej trawie i skręca w stronę Williama Penna. Zaraz potem wrócił tą samą drogą, skręcił przy wodospadzie i znów skierował się na wschód, z powrotem do Williama Penna.

Carey obserwowała go przez dziesięć minut, potem wróciła do szachtu jaskini.

Ogień zatrzymał się przed tą częścią lasu. Nie musiałam wtedy przejmować się tą cholerną liną — myślała ze złością, gdy przywiązywała ją z powrotem do tego samego drzewa i rzucała w dół. Poczekała na trzy szarpnięcia liny, potem sama odpowiedziała pociągając ją dwa razy, co oznaczało „w porządku, teraz wiem, że macie sznur”. Natychmiast otrzymała w odpowiedzi kolejne cztery pociągnięcia, które dały jej znać, że Anna wspina się na górę.

Opóźniły się przez Sylvanę, która miała trudności z wciąganiem się po linie, przeszkadzał jej amputowany palec. Gdy tylko wszystkie cztery wydostały się z szachtu, Suzy wręczyła Carey swoją strzelbę. Carey przykryła wejście do

jaskini i poprowadziła kobiety przez dżunglę, cały czas trzymając się linii brzegowej i wskazówek kompasu.

Nie odzywały się do siebie, szły w milczeniu. Wreszcie dobrnęły do przetartego przez nią wcześniej szlaku. Droga prowadziła nad pagórkowatym terenem do skał nad zatoczką, w której ukryły łódź.

Zmęczone, zatrzymały się, by złapać oddech zanim w końcu zejda w dół. Po prawej stronie zachodzące słońce zabarwiło niebo na żółto i szkarłatnie. Widziały już gruby półksiężyc. Za nimi las pogrążony w mroku, rozbrzmiewał wieczornymi hałasami, przynoszącymi ukojenie. Była to znajoma melodia dżungli. Carey na krótko przypomniała sobie, jakie były przerażone pierwszej nocy w lesie, kiedy każdy odgłos wydawał się groźny i złowieszczy.

— Dlaczego już się nie boję? — szepnęła Suzy, jakby w odpowiedzi na jej myśli.

— Nie ma czasu, by się bać — odparła Anna.

— Za dużo rzeczy dzieje się naraz.

— Później będziemy się bać — Carey rozprostowała sztywne ramiona. — W porządku, baby, podnosić się z ziemi. Schodzimy na pokład. Dziękuję, że pożyczyłaś mi kompas, Suzy.

Oddała go dziewczynie, która wrzuciła go do kieszeni.

Carey, za którą szły pozostałe kobiety, z Suzy na końcu, zaczęła ześlizgiwać się po zboczu góry. Gdy schodziły w dół, kamienie osuwały się z hałasem pod ich stopami.

— Hej, tu jest stromo! — pisnęła Suzy. Pięć sekund potem upadła. Anna odwróciła się i zmarszczyła brwi.

— Cicho!

— Przepraszam! — Suzy podniosła się, stanęła i popędziła dalej.

Nie zauważyła jednak, że rzemyk z kółkiem na klucze i kompas Jonathana wypadły jej z kieszeni na ziemię.

## CIEŃ ŚMIERCI

45

— Płynmy natychmiast na morze, Patty — powiedziała Anna, gdy tylko zapadł zmrok. — Zabierzmy się jak najdalej od tego miejsca, i to jak najszybciej.

Niewielka łódź, torując sobie drogę dziobem, wydostała się z wąskiej szczeliny na otwarte morze, dwie bambusowe tratwy kołysały się za nią na fali. Kobiety zapomniały już co to znaczy prędkość! Zapomniały, jaki to luksus być niesionym, zamiast nosić coś samemu.

Były szczęśliwe i dumne z siebie. Udało im się! Były wolne! Satysfakcja i poczucie wspólnoty, tak silnie teraz odczuwane, to były uczucia, którym poddały się bez reszty.

Dryfowanie po chłodnym morzu, po gorącym, burzowym dniu to prawdziwa ulga — pomyślała Anna, zanurzając dłoń i przyglądając się jak się przelewa woda iskrząc się srebrem, między jej palcami.

— Jak szybko płyniemy? — spytała Sylvana.

— Może z prędkością pięciu węzłów, czyli ponad osiem kilometrów na godzinę, dopłynięcie do Irian Jaya zajmie więc nam minimum czternaście godzin — wyjaśniała Patty. Nie chciała psuć nastroju, ale musiała dodać: — chociaż nie wiemy ile paliwa zostało w silniku. Szkoda, że zapasowy zbiornik jest pusty.

— Wszystko będzie w porządku, jeśli silnik jeszcze wytrzyma, byle dopłynąć do prądu morskiego. W dzień trzeba jeszcze raz spojrzeć na mapy i wykresy.

Od śmierci Jonathana głowiły się, jak je odczytać.

— Jonathan powiedział, że prąd morski ma prędkość jednego węzła, bez silnika najszybciej dopłyniemy do Irian Jaya w siedemdziesiąt godzin — czyli w trzy dni — odezwała się wesoło Patty.

— Ale może uratują nas wcześniej — zastanawiała się z nadzieją w głosie Suzy.

Patty była pewna siebie.

— Jasne. Nie utkniemy na środku Pacyfiku. Jesteśmy teraz w wąskim przesmyku pomiędzy Papuą Nową Gwineą a Australią.

— Jaka to piękna, bezpieczna łódź! — krzyczała szczęśliwa Carey.

— To nie nasycona wodą tratwa, która z trudem utrzymuje się na wodzie, i to bez steru — Suzy ogarnęła euforia. Kobiety w rodzi były zmęczone, lecz beztraskie. Gdy Anna przysłuchiwała się temu przekomarzaniu, trudno jej było przypomnieć sobie ich ponure twarze podczas wczorajszej walki o wolność z mężczyznami, którzy chcieli im ją odebrać. Gdy przypomniła sobie ich determinację, odczuła głęboką satysfakcję. Wolności nikt nikomu nie daje — zdała sobie sprawę. Trzeba ją samemu zdobyć. Ostrożnie, by nie przeważyc przeladowanej łodzi, Anna odwróciła się do tyłu, by usiąść przodem do Patty.

— Ciekawe, czy coś pamiętamy z tego, czego uczył nas Jonathan — teorię trzeba zastosować w praktyce.

— Mamy dwa kompasy — powiedziała zadowolona Patty. Wyciągnęła czarne plastikowe pudełeczko. — Ten i kieszonkowy kompas Suzy.

Anna odwróciła się.

— Twój kompas w porządku, Suzy?

— Ona śpi — szepnęła Sylvana.

— Powinniśmy trafić na prąd przybrzeżny, który płynie na południowy wschód i opływa południowe wybrzeże Paui. Potem pozostanie nam jeszcze sto dwanaście kilometrów oceanem do Irian Jaya.

— Musimy dotrzeć do tej wyspy, no tej, której nazwy nigdy nie mogłam zapamiętać.

— Pulan yos Sudarsa — mówiła Anna. — Jeśli ją przegapimy, po prostu odpłyniemy dalej, aż trafimy na północny brzeg Australii. Carey kiwnęła głową.

— W dzień będziemy sterować według słońca — trochę na północ, bo jesteśmy teraz o osiem stopni na południe od równika.

— Tak z grubsza — to trzeba ustawić zegarek ze wskazówką pokazującą godziny w stronę słońca. W połowie drogi między małą wskazówką a dwunastą jest północ.

A w pochmurne dni?

— Anka, mówisz jak harcmistrz! — przekomarzała się wesółą i pewną siebie Patty. — W bezchmurne dni, trzymam ołówkę Carey na środku tarczy tak, by słaby cień patyka padał na dużą wskazówkę. W połowie drogi między cieniem a godziną czwartą jest południe.

— A w nocy?

Patty wskazała głową ugwieżdżone niebo.

— W nocy możemy sterować według gwiazd. Trzeba trzymać się tak, by nad prawym ramieniem był Krzyż Południa, wtedy będziemy płynąć na południowy-wschód.

— Jeśli księżyc wszędzie zanim zajdzie słońce, krzywą będzie zwrócony na zachód. Jeśli wszędzie po zachodzie słońca, wtedy zwróci się krzywą na wschód.

— A jeśli księżyc wszędzie w tym samym czasie.

— Wtedy jest pełnia, ale nie wiem, zapomniałam co to znaczy.

— Kurczę, ja też — zakląła Anna. Była wściekła na siebie. — Wszystkie jesteśmy zmęczone. Przecież powinniśmy recytować to z pamięci... Hej —

Anna zakolysała się na boki, gdy Sylvana nagle zwała się na nią. Odzyskała równowagę.

— Ona śpi. Szczęście, że nie wypadła na drugą stronę, bo wyleciałaby za burtę.

Od dwóch godzin nie widziały już linii brzegowej. Fale burzyły się i choć łódź wciąż się poruszała, szybkość z jaką płynęły była bardzo mała.

Silnik zaczął się krztusić. Patty zamarło serce w piersi. Zatrzymał się. Nie ma sensu budzić wszystkie po to, by powiedzieć, że paliwo się skończyło — i pomyślała.

Było jej coraz trudniej sterować łodzią bez napędu. Morze wybrzuszało się coraz bardziej i uderzało o kadłub z coraz większą siłą. Nie mogła znieść owego bezruchu po każdym skoku w górę, zanim łódź z powrotem zanurzyła się w oleistej, czarnej fali. Wiedziała, że aby uniknąć choroby morskiej powinna nie patrzeć w morze, lecz na horyzont. Ale było ciemno i nic nie widziała przed sobą.

Carey jęknęła nagle, uchwyciła się brzegu łodzi i opadła nań gwałtownie. Łódź zachwiała się, potem wystrzeliła do przodu. Carey stęknęła i poszukała dłonią jakiegoś naczynia, by nabrać wody. Zanurzyła je w morzu i zaczęła oblewać sobie wodą twarz. Potem znów oparła głowę o burtę. Wydawało jej się, że gwiazdy przechyliły się nad nią.

Do dziewiątej wieczorem wszystkie kobiety nękała choroba morska. Anna zrozumiała teraz to, o czym kiedyś czytała: kiedy cierpisz na chorobę morską tracisz wolę życia. Chciało jej się wymiotować. Czuła się tak, jakby punkt równowagi wirował po spirali jej żołądka.

Pojawił się księżyc i kobiety mogły nawzajem zobaczyć swoje twarze, błyszczące i wilgotne na tle czarnego, wzburzonego morza.

Suzy zwieszała się bezwładnie, oparta o burtę. Miała na głowie czapkę z daszkiem. Nagle coś zerwało ją jej z głowy. W mglistym świetle księżyc próbowała ją pochwycić, ale czapka odplynęła poza zasięg ręki i zatrzymała się na powierzchni, kołysząc się na spienionych falach.

Wzmógł się wiatr i krople deszczu zaczęły bębnić o włókno szklane. Nagle falą załapała łódź. Kobiety natychmiast przemokły do suche nitki.

Fale stały się coraz wyższe i targały łodzią. Z początku woda morska wydawała się zimna, lecz gdy spadła na nie lodowata ulewa, miały wrażenie, że jest prawie letnia.

Osołomiona Carey pracowała wylewając wodę nocnikiem powolnymi, zmęczonymi ruchami. Sylvana robiła to już od dawna złożonymi dłońmi. Udawało jej się zaskakująco szybko opróżniać łódź.

— Wyjmij słoiki ze schowka, to wszystkie będziemy mogły pracować — krzychała Anna do Suzy.

Gdy deszcz zaczął na pokład, zmęczone kobiety znów walczyły z wodą. Najpierw robiły to ostrożnie, napełniając bambusowe pojemniki po brzegi zanim wylały je za burtę. Lecz w miarę jak burza stawała się coraz gwałtowniejsza działały jak w transie wylewając dwa razy więcej i ze zdwojoną siłą. Posiniaczone, z trudem łapiąc oddech, żeby się usłyszeć musiały krzyżeć. Jeśli nie krzyczały sobie prosto do zimnych, mokrych uszu, ich głosy ginęły w sztormie.

— Carey, w którą stronę musimy teraz skierować łódź? W fale? Bokiem do fal, czy przed nimi? — wrzeszczała Patty, przekrzykując wiatr.

— Nie mam pojęcia. Wypróbuj wszystkie sposoby! Prędko! Myślałam, że wiesz jak sobie radzić z łodziami. Potrafiłaś przecież włączyć silnik!

— Uprawiałam tylko narty wodne na spokojnym morzu.

Płynięcie bokiem do fali nie zdało egzaminu, a kiedy łódź płynęła przed falami wzburzona woda natychmiast wznosiła się nad sterem, a to groziło zatopieniem łodzi.— Najlepiej sterować prosto w fale, ale to strasznie trudno — pomyślała Patty.

Brutalny wiatr smagał im twarze, porywał oddech i wysysał ciepło z ich kości. Wyjąc wściekle, szarpał ich skulonymi ciałami i mroził je. Wydmuchiwał z nich siłę woli. Kobiety były tak przemoczone, zeszywniałe i zmarznęte, że każdy ruch okazywał się za dużym wysiłkiem.

Suzy doświadczyła paralizującego strachu, który pamiętała z dzieciństwa. Była znowu bezbronna i pozbawiona nadziei, bo znowu zawładnęła nią nieokreślona przemoc.

Nad łodzią przewaliła się fala, Suzy straciła równowagę i zatoczyła się na prawą burtę. Krzyknęła. Anna z przerażeniem zobaczyła, że na pokład wdarła się wzburzona fala i porwała dziewczynę.

Gdy Suzy wypadła za burtę Sylvanie udało się schwycić ją za jedną nogę. Trzymając Suzy pochyliła się, by uniknąć kopnięcia w głowę. Głowa i ramiona dziewczyny znalazły się pod wodą. Nagłe obciążenie łodzi z jednej strony zanurzyło ją na niecałe dziesięć centymetrów w morze.

Anna rzuciła się w przeciwnym kierunku, by zrównoważyć łódź. Znalazła się na dnie szalupy, leżąc płasko rozciągnięta w chlupoczącej wodzie. Odwróciła głowę i poprzez wycie wiatru usłyszała krzyk Sylvany. Bez zastanowienia podniosła się na kolana, pochwyciła ją w talii i pociągnęła do tyłu.

Patty była bezradna. Carey, która przykucnęła na rufie bała się ruszyć, by nie obciążyć łodzi jeszcze bardziej.

Powoli dwie kobiety wyciągnęły Suzy na pokład. Upadła bezwładnie na dno łodzi. Była mokra i oddychała z trudem. Nad nimi nadal szalała burza.

Anna po omacku szukała drogi na dziób łodzi. Miała zdrętwiałe, mokre palce, z trudem udało jej się otworzyć uchwyt od schowka. Niezdarnie, drżąc z zimna, chwyciła w garść ognie sztuczne i rakiety. Wcisnęła je do kieszeni. Potem czołgając się wróciła na rufę, przechodząc przez płataninę mokrych narzędzi i przemoczonych ciał.

Anna wcisnęła Carey ogień i rakietę. Wiatr porywał jej słowa, gdy krzyczała:

— Rozdaj... je... wszystkim!

Sylvana podczołgała się na dziób łodzi i poszukała dłonią pojemników na wodę. Udało jej się dać każdej po jednym. Schowały je pod kurtki.

Patty wcisnęła zmarzniętymi dłońmi kompas do kieszeni zapinanej na guzik, lecz miała zbyt sztywne palce, by go zapiąć.

Anna zdjęła swoje cenne buty, całkiem przemoczone, i związała je razem ze sznurowadłami. Potem, kawałkiem liny przywiązała buty wszystkich kobiet do środkowej ławy. Zajęło jej to więcej czasu niż przewidywała, gdyż palce miała skostniałe z zimna. Wszystkie miały dreszcze, nad którymi nie mogły zapanować. Anna przywiązała pusty nocnik do środkowej ławy, potem jedno z drewnianych wiosel do talii Sylwany, a drugie do talii Suzy. Teraz rozumiały, że być może będą musiały płynąć. Błyskawica rozcięła niebo jak wąż, odcinając się na moment rażącą bielą na tle ciemności. Za nią nastąpiła cała seria błyskawic. Za każdym razem, gdy oświetlały morze jak fleszem fotograficznym, kobiety widziały jakby czarno-białe, zastygłe w bezruchu zdjęcie ich samych, kurczowo trzymających się małej, białej łodzi.

— Ty i ja najlepiej pływamy. Może jak wyskoczymy za burtę i będziemy płynąć damy łodzi większe szanse. Nie będzie tak przeładowana i nie zatoni — krzyczała Carey do Patty.

Postrzeżona błyskawica oświetliła przerażoną twarz Patty.

— Będziemy miały większe szanse... jeśli będziemy trzymały się łodzi... jeśli się do niej przywiążemy. Mamy przecież kamizelki ratunkowe.

— A rekiny?

Carey była zbyt zachrypnięta, by krzyczeć.

— Myślę, że rekiny w taką pogodę zostały na dnie morza. Możemy płynąć po powierzchni. Zresztą zanosi się na to, że i tak będziemy musiały to zrobić. W ten sposób może uratujemy łódź.

— Oszalałaś? Może najpierw wyrzucimy silnik. Jest ciężki, to będzie spora różnica.

Obie kobiety z trudem odkręciły motor, podniosły go i wyrzuciły za burtę. Spadł do wody i zniknął.

Carey podczołgała się do Anny i krzyczała jej do ucha.

— Wyskakujemy. To może szaleństwo, ale jeśli uratujemy łódź, uratujemy i siebie.

Anna skinęła głową.

— Wzmocnijcie sznury podwójnymi linami zanim wyskoczycie, tylko prędko. . Dwie przerażone kobiety przerzuciły nogi przez rufę i natychmiast zmiotła je z łodzi fala. .

Od czasu do czasu Anna widziała podskakujące światełka na kamizelkach ratunkowych, świecące w zetknięciu z wodą morską. Mogła je dostrzec tylko

wtedy, gdy błyskawica rozświetlała oleistą, czarną wodę przez jeden sinopur-purowy moment, w którym wszystko zastygło w bezruchu. Świat stał się czarną, moką i bezgwiazdną pustką, w którą wciągnięto je przymocą.

Zastanawiała się, czy łódź z włókna szklanego może pęknąć. Lecz nawet gdyby nie pękła, któraś z nich może się przecież zranić albo wypaść za burzę przy gwałtowniejszej fali.

Łódź nagle uciekła jej spod stóp i wstrząsnęło nią silne uderzenie, gdy opadła na nią z hukiem.

Jest tylko jeden sposób na ratowanie łodzi, trzeba odwrócić ją do góry dnem, by nie zatonąła. Pod kadłubem zbierze się wtedy warstwa powietrza, łódź utrzyma się na wodzie. Możemy przytrzymać się jej od zewnątrz, potem postawić z powrotem na wodzie i opróżnić już po sztormie. Inaczej i tak stracimy łódź — pomyślała Anna.

Udało jej się przystawić usta do ucha Sylwany. Wiatr porywał jej słowa, gdy mówiła, a wysiłek z jakim krzyczała męczył ją. Błyskawica oświetliła twarz Sylwany — znieruchomiała ze zdziwienia, że Anna chce, by ona wyskoczyła za burzę.

Anna odwróciła głowę i krzycząc, dawała Suzy instrukcje do ucha. W świetle błyskawicy ujrzała panikę na jej twarzy.

— Skąd mamy wiedzieć, że łódź nie odpłynie bez nas? Skąd mamy wiedzieć, że się przewróci?

— Jeśli wszystkie oprzemy się z jednej strony o burzę, wtedy przekreśli się sama.

Sztywnymi palcami kobiety sprawdziły kamizelki ratunkowe i węzły sznurów, którymi przewięzały się w pasie, wreszcie przywiązały liny do koła na rufie. Sylwana i Suzy ścisnęły swoje śliskie, mokre wiosła. Wspięły się niezdarnie na osłonięty od wiatru brzeg łodzi.

Prawie natychmiast, zanim mogły pomyśleć, łódź wyrzuciła je na wzburzone fale a sama odwróciła się do góry dnem.

## ***CZWARTEK, 14 MARCA 1985***

### ***46***

Nad czarnym morzem, na linii horyzontu rozciągał się pas koloru prymulki. Anna widziała przed sobą twarz Patty, białą i wychudzoną jak na obrazach Edwarda Miincha. Patty trzymała się kurczowo białego jak kadłuba przewróconej łodzi. Kobiety wciąż były przyczepione linami do rufy.

Choć była zaledwie trzy metry od Patty, dopłynięcie do niej zajęło jej pięć minut. Była zmęczona.

Podniosła do ust gwizdek i dwa razy dmuchnęła.

— Tutaj! Jesteśmy tutaj! — oba głosy dochodziły z drugiej strony odwróconego kadłuba.



Patty i Anna okrążyły łódź. Sylvana i Carey podskakiwały w górę i w dół na wodzie w nadmuchanych, białych kamizelkach ratunkowych z odcisniętym na plecach napisem „Luiza”.

— Gdzie jest Suzy? — zawołała Anna.

Kobiety spojrzały jedna na drugą. Żadna z nich nie odezwała się.

— Opłynę łódź dookoła — obie z Anną wiedziały, że po drugiej stronie kadłuba nie ma nikogo.

Patty opłynęła łódź i wróciła kręcąc głową.

— Musiała się odwiązać jej lina.

Na powierzchni nie było żadnego znaku życia. Pod warstwą ciężkich, szarych obłoków rozciągało się morze — płaskie i czarne aż po cienką topazową linię horyzontu. Słońce za chmurami rzucało na wodę słabe promienie.

— Słońce nas wkrótce ogrzeje — odezwała się głucho Anna. Carey trzymając się na powierzchni zaczęła płakać.

— Patrzcie! — krzyknęła Patty jakieś dwadzieścia minut później.

Oczy kobiet zwróciły się w kierunku, który pokazywała palcem. Wszystkie zobaczyły promień światła poruszający się jednostajnie po linii horyzontu — z lewej na prawą.

W miarę jak migoczący punkt przesuwał się do przodu, stawał się coraz większy. Przypominał kształtem prostokąt świetlny mieniący się jak gwiazdy, które wciąż jeszcze wisiały na niebie.

— Statek pasażerski — szepnęła tęsknie Patty. Był to kontenerowiec.

— Możesz sięgnąć po swoją raketę, Patty? — spytała Anna — Czy myślisz, że będą jeszcze działać?

— Nie wiem — Patty dłubała sztywnymi palcami pod kamizelką ratunkową — Nie mogę do nich dosięgnąć, muszę zdjąć kamizelkę.

— Zdejmij jej kamizelkę — kazała Anna Sylvanie. — Jeżeli ją wypuścisz z rąk, to Patty weźmie twoją.

Patty zachowywała się nerwowo.

— Nie chcę upuścić rakiet.

— Przytrzymaj się Carey — poradziła Anna.

Carey podpłynęła do Patty i ujęła ją w pasie, podczas gdy Sylvana pomagała jej zdjąć kamizelkę ratunkową.

— W porządku. Ruszajcie się prędzej. Ten statek nie będzie czekał.

W oddali kontenerowiec przepłynął już trzecią część drogi wzdłuż linii horyzontu.

Patty podniosła do góry piętnastocentymetrowy biały cylinder. Palce miała sztywne. Odkręciła nakrętkę, która zakrywała czubek rakiety, potem podstawę i wyciągnęła zwinięty w środku sznurek. Odczepiła zawór bezpieczeństwa i, trzymając raketę w prawej ręce, okręciła sznurek wokół kości lewego palca dłoni. Podnosząc raketę najwyżej jak mogła nad wodą pociągnęła mocno lewą ręką linkę.

Nagle krzyknęła z bólu.

Rakieta uniosła się w górę i rozprysnęła jasnym światłem, od którego zależało ich życie.

Wszystkie kobiety patrzyły na biały łuk, który wystrzelił przez morze zniknął po czterdziestu sekundach.

Patty jęczała z bólu.

— Pieprzone, osławione fajerwerki!

Trzymała pod wodą spaloną na węgiel rękę. ; Statek dopływał już do środka linii horyzontu.

— Czy nie mają radaru? — spytała Carey. — Myślałam, że wszystkie statki] są monitorowane. Słyszałam, że radar wykryje nawet mewę.

— Prawdopodobnie płynie na włączonym, automatycznym biegu, a wszyscy śpią spokojnie w swoich kojach.

Statek oddalał się.

Patrzyły za nim, widząc w nim wszystkie dobrodziejstwa cywilizacji. Wyobrażały sobie stewardów przygotowujących śniadanie, kładących na tacach lniane serwetki, błyszczące sztućce, ochłodzony sok pomarańczowy, kawę

0 niebiańskim aromacie, rogaliki francuskie z marmoladą...

Wreszcie zmalął do niewielkiego promyka światła po ich prawej stronie. Żadna z kobiet nie odezwała się, gdy patrzyły jak znika ów punkcik.

— Płynął, tak szybko. Nie miałam pojęcia, że statki tak szybko płyną — powiedziała w końcu Patty.

Obłoki na horyzoncie zaróżowiły się. Nad zgaszoną purpurą morza wznosiło się jasne niebo.

— Włóż z powrotem kamizelkę ratunkową, Patty, a potem zabierzemy się za łódź.

Żadna nie mówiła o Suzy.

— Jak przewrócimy łódź z powrotem? — spytała znużona Carey. Wszystkie wpatrywały się w odwrócony biały kadłub, łagodnie kołyszący

się przed nimi na wodzie. Ze środka wystawał ostry kil, na wysokość dwudziestu pięciu centymetrów.

— Wczołgamy się na jeden bok, przytrzymamy tej wystającej rzeczy

1 pociągniemy łódź do siebie. Nasz ciężar powinien przeważać i postawić łódź na wodzie.

— Myślę, że nie... — zachłysnęła się Patty.

— Spaliła sobie rękę — przypomniała im Carey i pomogła Patty założyć kamizelkę ratunkową.

Sylvana patrzyła na łódź.

— Jak się na nią wdrapiemy?

Zastanawiały się nad różnymi sposobami i próbowały ich w praktyce, bez powodzenia.

W końcu Carey wcisnęła głowę między nogi Anny, tak, by ta usiadła nad wodą na jej ramionach. Lecz kiedy Anna oparła się o kadłub, jej ciężar odepchnął łódź.

Po kilku próbach, w końcu udało się Carey zaczepić o burzę, a Anna stanęła na jej barkach. Jeśli wspięła się na palce mogła dosięgnąć kila. Pośliznęła się i wpadła w wodę. Wyłynęła na powierzchnię.

— W porządku, spróbujmy jeszcze raz. \

— Niemożemy odpocząć przez kilka minut?

— Rekiny — przypomniała Anna.

To przynagliło je natychmiast do działania. Odzyskały energię. Anna znów usiadła na ramionach Carey, tym razem trudniej jej było zmienić pozycję, więc kuciała na jej barkach.

Cztery razy wpadła do wody.

Spróbowała jeszcze raz.

Nigdy nie dowiedziała się co zrobiły dobrze, gdy nagle po trzydziestu minutach nieudanych prób, Annie udało się chwycić kil w sztywne, mokre dłonie. Podciągnęła się w górę i przerzuciła jedną nogę.

Usiadła okrakiem na kilu i pomogła wdrapać się pozostałym.

— Zdejmijcie spodnie i zwiążcie razem nogawki. Możemy się po nich wspinać jak po drabinie.

Rzeczywiście udało się.

Gdy ściągnęły przylepione do ciała, ciężkie od wody spodnie, spróbowały postawić łódź na wodzie przy pomocy ciężaru własnych ciał.

Eksperymentowały z obciążeniem łodzi ze wszystkich stron, ale wciąż bez skutku.

— Będziemy musiały siedzieć na niej tak jak teraz i ujeżdżać ją jak młodego byczka.

— Aniu, kil jest ostry — zaprotestowała Carey.

- W porządku, spróbujmy jeszcze raz. Tym razem dajcie z siebie wszystko, dziewczyny.

Rozstawiły się na boki, dwie lżejsze z obu stron, dwie cięższe w środku. Tej kombinacji jeszcze nie wypróbowały.

Łódź powoli przewróciła się, a one wpadły do morza. Kołysząc się na powierzchni poczuły nagły przypływ energii.

— Udało nam się! Udało! — krzyczała Carey.

— Cześć, dziewczyny — usłyszały przenikliwy głos z drugiej strony łodzi. Wszystkie wykrzyknęły: — Suzy!

Głowa Suzy połyskiwała na wodzie jak gładkie zwierzę morskie.

— Kiedy łódź się przewróciła dostałam się pod nią. Paliło się światelko przy mojej kamizelce ratunkowej, więc widziałam gdzie jestem.

Po prostu wspięłam się do góry i zawiesiłam na środkowej ławie. W uszach mi szumiało, a fale robiły tyle hałasu i brzmiały tak złowieszczo.

Po chwili puściłam ławkę, ale nadal zostałam pod łodzią. Bałam się strasznie, że zabraknie mi powietrza i byłam przerażona, że zostałam sama.

Nie miałam pojęcia czy jest dzień czy noc i czy skończyła się burza i czy ktokolwiek oprócz mnie przeżył.

Wtem przestała paplać i rozplakała się ze szczęścia, że nie jest już sama.

— Czy mogli przeżyć? Choć była dopiero szósta rano prezydent już się ubrał w nieskazitelnie biały" mundur obrzeżony złotym warkoczem. Spojrzał na kalendarz stojący na biurku.: Czternasty marca. i Powtórzył pytanie.

— Czy mogli przeżyć dwie burze w ciągu dwóch dni, pułkowniku?

— Wątpię, Ekscelencjo — odparł Borda.

Prezydent w roztagnieniu wyłuskiwał z biurka sztyletem kawałki misternej mozaiki. Wstał, podszedł do okna i otworzył okiennice. Deszcz w dzikim podmuchu wiatru wdarł się do pokoju.

— Pogoda nieodpowiednia na tę porę roku, lecz mile widziana — odezwał się Raki. Odwrócił się i szarpnął gwałtownie dzwonkiem stojącym na biurku. Wszedł służący i mocował się z okiennicami, by je zamknąć.

Aż do pierwszej w nocy wiatr wiał gwałtownie.

O dach pałacu bębniły krople szarego deszczu. Okalające pałac trawniki były ogołoczone — nie pozostał ani jeden liść na gałęzi, a wiele konarów po prostu zatoneło.

— Wątpię, by ta mała łódź mogła przetrwać choćby pierwszy sztorm. Dwukrotnie przeszukano teren. A po tym wczorajszym już chyba nie ma czego szukać. Dajmy już z tym spokój.

Prezydent oddalił pułkownika i nacisnął guzik po sekretarza. Mężczyzna zjawił się natychmiast.

— Znajdź tego soppo z „Nexusa”, Harry'ego Scotta. Powiedz mu, że chcę z nim natychmiast negocjować. Śniadanie służbowe — jak mówią na Zachodzie.

Sekretarz skłonił się i wyszedł, a prezydent po raz kolejny zajął się kartoteką, która stała przed nim. Zawierała skargi z powodu brutalnego zachowania Sił Zbrojnych, kradzieży i terroryzmu. A niby jak wojsko ma się zachowywać? Mają powiedzieć: „Życzę miłego dnia” zanim nacisną spust?

Sekretarz zjawił się ponownie. Jak zawsze czuł sensacje żołądkowe, gdy miał przekazać prezydentowi złe wiadomości.

Raki podniósł wzrok.

— No?

— Pana Scotta nie ma w Oueenstown, Ekscelencjo. Nie widziano go od trzech dni, od poniedziałku. Grupa członków „Nexusa” ubiegała się o zezwolenie na przeszukanie obszaru Malong, ale minister spraw wewnętrznych nie zgodził się do tej pory.

— Prezydent raczy sobie przypomnieć, że w zeszłym roku, w grudniu wydał polecenie, że wszyscy mają być uprzejmi, lecz nie wolno pomagać w poszukiwaniach rozbitków z „Nexusa”.

Prezydent uderzył pięścią w stół.

— Powiedz ministrowi, że chcę Harry'ego Scotta. Znajdź go prędko!

Minęły trzy dni od czasu, gdy ich uwięziono. Po pierwszych kilku godzinach poszerzono więzy wokół ich szyi tak, by mogli się położyć, lecz ręce wciąż mieli związane na plecach i stopy spętane lianą. Spodnie Harry'ego były brudne, a on **sam** cuchnął.

Noce były gorsze niż dni. Na przemian było gorąco i **zimno**, gdy w duszny upał chaty wdzierało się wilgotne, nocne powietrze.

Codziennie rano karmiło ich dwóch młodych wojowników. Nigdy nie patrzyli im w oczy i nic nie mówili. Kładli na podłodze dwa liście bananowe, na których leżała smażona ryba i naleśniki sagowe. Więźniów traktowano jak spętane zwierzęta — z tą różnicą, że zwierzęta przynajmniej mogły strząsnąć z pysków komary i muchy.

Harry miotał się pomiędzy uczuciem, że dał z siebie zrobić głupka, że pozwolił się pojmać tak łatwo, a nadzieją, że być może ludzie z „Nexusa” znajdują się w podobnej sytuacji.

Nikt nie zadawał więźniom zbędnych pytań. Tłumacz powtarzał Harry'emu, że to dobry znak. Mówił, że im dłużej będą ich tu trzymać, tym szybciej zażądają okupu. Zawahał się, lecz dodał:

— Pan chce iść stąd szybko, pan nie jeść. Ci faceci myślą, że pan umiera, ci faceci chcą za pana pieniądze prędko.

Harry'emu podobał się ten pomysł.

Tłumacz przypuszczał, że za Harry'ego zażądają trzystu świń (największy posąg panny młodej), ale nie miał pojęcia, ile za niego i czy „Nexus” zapłaci.

— Nie martw się. Bez mojej pisemnej prośby do kierownika kopalni, nie dostaną od niego nawet pensa. Lecz jakkolwiek zapłacą za mnie sumę, będzie w nią wliczony okup za ciebie.

Harry wiedział, że posłaniec, który miał zażądać okupu nie został jeszcze wysłany. Musiałby najpierw płynąć czółnem, co zajęłoby mu dwa dni (z prądem), a potem maszerowałby sto cztery kilometry do Mount Ida. Droga powrotna zajęłaby mu dokładnie tyle samo czasu.

Przed więźniami rozciągała się więc perspektywa co najmniej jeszcze czterech dni niewoli.

Straci siedem dni! Wtedy będzie już 18 czerwca i pozostanie tylko trzynaście dni na poszukiwania.

Nad otworem w podłodze pojawiła się czapka z daszkiem koloru khaki. Ujrzał szczupłą, inteligentną, ciemnobrązową twarz.

Filipińczyk.

— Pan Harry Scott?

Skinął głową. Mężczyzna wspiał się wyżej po drabinie. Po czterech gwiazdkach na pagonach Harry zorientował się, że jest to wojskowy w stopniu kapitana.

— Prezydent Raki chce się z panem widzieć, panie Scott. Będę pana eskortował.

— Jestem zachwycony.

- Teraz kiedy już pana znalazłem, załatwię, by pana wypuścili.

Ustalono miejsce jego pobytu w ciągu dwóch godzin po telefonie. Obejmujący całą wyspę wojskowy system łączności Rakiego działał bezbłędnie

Kapitan zniknął. Tłumacz podczołgał się na brzuchu, zajrzał przez dziurę w podłodze i opowiadał Harry'emu co się dzieje na dole. Mężczyźni z wioski zbrali się wokół filipińskiego kapitana, który trzymał w dłoni krótkofalówkę. Towarzyszyło mu czterech uzbrojonych żołnierzy wyglądających na wyspiarzy. Czasami kilku ludzi mówiło naraz, czasami na długo zalegała absolutna cisza, od czasu do czasu słychać było kilka chrząknięć. Tłumacz nie słyszał co mówiono.

Po półgodzinnych negocjacjach ustalono, że Harry i tłumacz zostaną zwolnieni po przekazaniu wiosce dwóch tranzystorowych odbiorników i zaniechaniu dalszych poszukiwań zaginionego żołnierza filipińskiego.

Harry, który był od czterech dni związany, ledwo mógł ruszać ramionami i nogami. Trzeba było pomóc obu więźniom wsiąść do dwóch nadmuchiwanym pontonów, które czekały na brzegu morza.

— A co z naszą łodzią? — spytał Harry.

— Włączyli ją do okupu. Teraz jest ich własnością. Niech pan im pokaże jak uruchomić silnik. Oni nie wiedzą, że wkrótce skończy się paliwo. Niech pan im o tym nie mówi.

Nikt ich nie żegnał. Dwa pontony odpływały od brzegu, w tle grała głośna muzyka z trzech tranzystorów nastawionych na Radio Paui. Tina Turner wrzaskliwym głosem śpiewała *Subway Fix*.

Po dwudziestu minutach dotarli do małego jeziora, gdzie czekał na nich wojskowy helikopter.

Było już ciemno, gdy Harry dobrnął do hotelu pani Chang. Zmył z siebie odrażający brud i wyreucił brudne ubrania. Przebrał się w czystą koszulę i spodnie. Podczas gdy zamawiał rozmowę z Kerrym — nie mógł go złapać ani w domu, ani w kopalni — kapitan czekał u jego boku.

Wojskowa eskorta Harry'ego wepchnęła go do jeepa i zawiozła do Pałacu Prezydenckiego.

Zaraz po szóstej wieczorem Raki przyjął go w swoim biurze.

— Naprawdę się cieszę, że pana widzę, panie Scott.

Głos prezydenta był zatroskany, lecz wyraz jego oczu przeczył przyjacielskiemu powitaniu.

— Cieszę się, że jest pan bezpieczny. Nie chcę, by ktokolwiek jeszcze zaginął na Paui.

— Dziękuję za pomoc. Raki uśmiechnął się.

— Naprawdę nie wolno panu, zwłaszcza teraz, poruszać się po wyspie bez uzbrojonej eskorty. Nalegam na to.

Harry nie odzywał się.

— Przysłowiowy kurz nie osiadł jeszcze na Paui, więc potrzebna panu ochrona.

— Doceniam pana troskę, sir, ale nie potrzebuję eskorty. Będę ostrożniejszy w przyszłości.

Nie chciał, by chodził za nim szpieg Rakiego. Prezydent wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy. Ale proszę to przemyśleć. A teraz mam nadzieję, że zje pan ze mną obiad.

Na wspomnienie jedzenia, Harry uświadomił sobie, że burczy mu w brzuchu z głodu. .

Obiad był uroczysty. Widać było, że Harry jest honorowym gościem prezydenta. Spuszczone żaluzje przesączały nikłe światło do obszernej pałacowej jadalni. Sześciu kelnerów ubranych w białe przepaski na biodrach, obsługiwało mężczyznom. W pokoju wisiały różowo-złote zasłony. Stół, przykryty koronkową serwetą euru, przypomniiał Harry'emu niedzielne obiady u matki. Jedzenie podano na tacach Royal Doulton, z wzorkiem w kwitnące róże. .

Wszystko było z puszek: sardynki w sosie pomidorowym, zupa z dziczyzny, piersi indyka w sosie żurawinowym, ziemniaki i fasola. Na deser podano australijskie brzoskwinie w kremie. Cały ten kosztowny bankiet uświetniła butelka zielonego likieru miętowego, co było tu wyszukany napojem alkoholowym.

Harry przyglądał się, jak Raki wpycha sobie jedzenie do ust, czasami nożem i widelcem, czasami palcami. Nie odrywał oczu od talerza. Jest zachłanny — pomyślał Harry—prawdziwych chciwców trudno jest zadowolić. Zawsze chcą czegoś więcej — więcej jedzenia, więcej alkoholu, więcej kobiet, więcej dzieci, więcej pochlebców, więcej fanów, więcej władzy, więcej pieniędzy... Harry lepiej niż inni wiedział, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat Raki zgromadził ogromny kapitał. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by wyjechać z Paui i cieszyć się życiem w wygodniejszym miejscu — w Kalifornii, na Florydzie, w Szwajcarii albo na Rivierze. Lecz był na tyle bystry, by wiedzieć, że gdy opuści Paui będzie nikim, więc został na wyspie. Wolał być największą rybą w małym stawie.

Po posiłku zaproponowano Harry'emu cygaro hawajskie Romeo y Julicta, niewątpliwie prezent od jakiegoś kubańskiego dyplomaty.

— A teraz pomówmy o interesach. Zna pan moje warunki. Nie zamierzam ich zmienić. Chcę jutro znać pańską decyzję.

Harry wiedział, że przywódcy krajów Trzeciego Świata słynęli z uprawiania negocjacji na zasadzie zabawy w kotka i myszkę, znani byli z tego, że zmieniali zdanie i podejmowali sprytne decyzje, więc owo nagłe ultimatum wcale go nie zdziwiło. Bez trudu zastosował taktykę wymijającą.

— Nie mogę dać panu natychmiastowej odpowiedzi, sir. Muszę odwołać się do Pittsburga.

Raki popatrzył na Harry'ego z pogardą.

— Obaj wiemy, że jeśli nie podpiszemy umowy do pierwszego kwietnia,

stanie praca przy wydobyciu miedzi — pańskie przychody spadną, moje zresztą też.

Moja firma woli nie podpisywać umowy dopóki nie ustalimy, co się stało z naszymi ludźmi.

— Szkoda, że jest pan opętany tymi beznadziejnymi poszukiwaniami.

— Nie uważam, żeby były beznadziejne — odparł stanowczo Harry, myśląc o dwóch zegarkach w sejfie w banku Barclays.

— Pańscy konkurenci z Manili przybędą tu drugiego kwietnia, panie Scott, i Raki dmuchnął w sufit szare, mgliste kółko dymu.

— Im dłużej pan będzie szukał, tym mniej czasu zostanie panu na interesy, Wybór należy do pana, panie Scott.

Po powrocie do hotelu, Harry skierował się prosto do baru.

— Myśleliśmy, że cię już nie zobaczymy — zawołał Sandy, dziennikarz. W barze nie było nikogo, a Sandy siedział jak zwykle przy stoliku w ciemnym kącie.

Harry przysiadł się do niego.

— Słyszałem, że wpakowałaś się w tarapaty tam w górze rzeki. Harry skinął głową.

— Raki wysłał po mnie pielęgniarkę w mundurze khaki. Cieszyłem się jak cholera, gdy go zobaczyłem.

— Przegapiłeś nowy skandal na czarnym rynku. Uliczni sprzedawcy nagle zaczęli kupczyć tonami rodzyneków w drewnianych skrzynkach z napisem „Prezent od Amerykanów dla dzieci Paui”. Pojawił się też olej do smażenia i mleko w proszku.

— Cóż w tym dziwnego?

— Mnóstwo wyspiarzy wykształconych przez misjonarzy przeczytało ten napis. Jeden z naszych facetów z Mount Ida zwołał nawet w tej sprawie zebranie. Koleś imieniem Mindo.

— Całkiem przyzwoity gość.

— Spotkanie rozpędziło wojsko, a jego zamknęli. Bez procesu oczywiście. Oskarżono go o konspirację antyrządową, proszę bardzo.

Harry odstawił kufel.

— Lepiej zadzwonię do Kerry'ego.

— E, wypij do końca, kolego. Nic na to nie poradzisz.

Harry wysączył piwo i zatelefonował do Kerry'ego, który z ulgą znów usłyszał jego głos.

— Potrzebny mi będzie drugi pistolet—powiedział Harry przepraszającym tonem.

— Dostaniesz jutro — odparł Kerry, zastanawiając się, ile pistoletów Harry jeszcze zgubi zanim wystrzeli z któregoś.

Harry opowiedział, co się z nim działo.

— Czy to prawda, że wsadzili Mindo do więzienia?

— Tak — Kerry był wyraźnie wściekły i wyjątkowo niedyskretny przez



telefon. — Raki popełnił tu spory błąd. Nasi ludzie w kopalni już pokazali, że potrafią się zorganizować. W zeszłym roku podczas strajku byli wyjątkowo aktywni. To nie rozproszeni, nieświadomi niczego tubylcy. Ojciec Mindo jest wpływowym przywódcą plemiennym — ma mnóstwo wojowników. Podejrzewam, że kropla przepełniła już kielich. Rzeczywiście myślę o tym, żeby wysłać Betty do Sydney.

— Raki nie wyglądał na człowieka, który spodziewa się, że będą kłopoty.

— Nie, Raki chyba nic nie zauważył. No, ale przecież zajmuje się czym innym. Nie słyszałeś, ale niespodziewanie znów się ożenił. Ona nie skończyła jeszcze czternastu lat, taki gorący numer z jednego z plemion zamieszkujących wzgórze. Przedwczoraj był ślub. Mieliśmy sztuczne ognie, pieczone świnie, wino z palm, dekoracje. Na zauważyłeś, że wszyscy mają kaca?

— A co się stało z jego drugą młodą żoną?

— Ach, umarła tuż przed świętami na zatrucie krwi.

O jedenastej w nocy Harry dodzwonił się do Pittsburga. Przekazał swoje wiadomości.

— Jerry, myślę, że zniknięcie naszych ludzi jest w jakiś sposób związane z tą umową. Dlatego nie chcę jej jeszcze sfinalizować.

— Kur...! Masz zawrzeć tę umowę jak najszybciej. Nie daj Rakiemu znów ostygnąć! Co do cholery uważasz, że robisz, Harry? Trzy miesiące temu, przed Bożym Narodzeniem, może istniała jeszcze niewielka szansa na znalezienie jakichś śladów. Ale teraz dalsze szukanie to obsesja i marnotrawienie pieniędzy firmy! Jeśli od dziś za tydzień nie zjawisz się w Pittsburgu z wyjaśnieniami, które da się oczywiście przyjąć, jesteś skończony Harry.

W słuchawce zaległa głucha cisza, połączenie zostało przerwane. Harry postanowił napić się piwa.

Budząc się następnego ranka, zastanowił się najpierw dlaczego tak strasznie źle się czuje. Potem ku wielkiej radości, przypomniał sobie, że jest wolny! Próbował usiąść na łóżku, ale opadł z jękiem na plecy. Skrzywił się, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Do pokoju weszła chwiejnym krokiem pani Chang. Ubrana w niebieską bawełnianą piżamę rozglądała się niepewnie.

— Przykro mi, że pana krępię panie Scott, ale myślałam, że będzie lepiej, gdy nie powiem panu tego zeszłej nocy, ale teraz.

Usiadła wytwornie wyprostowana na odrapanym drewnianym krześle w nogach łóżka Harry'ego.

— Mam najlepszej jakości, za najwyższą cenę, informację, panie Scott. W zeszłą środę prezydent Raki pojechał do wioski położonej jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Zatoki Rajskiej. Dzień wcześniej w tamtej okolicy grupa białych kobiet zabiła jakichś żołnierzy. Ukradły też ich łódź, broń i mundury.

Harry uniósł się gwałtownie. Sprężyny łóżka zaprotestowały. Pani Chang,

jak dziewczynka, przykryła twarz dłońmi, by przesłonić widok nagiego torsu Harry'ego.

— Jak się nazywa ta wioska? Skąd pani to wie? Kiedy się pani o tym dowiedziała?

— Panie Scott, wiadomość jest z koszar. Szukano także owych kobiet z powietrza, ale ich nie znaleźli. Panie Scott!

Harry wyskoczył nago z łóżka. Chwył wytarty ręcznik i przewiązał nim biodra.

— Nie może pan sprawdzać czy to prawda, bo dowie się o tym prezydent. Mój informator zostanie wytropiony i obetną mu głowę.

Harry objął ramionami panią Chang ściskając ją mocno. Ręcznik spadł na ziemię.

— Panie Scott, pan mnie kompromituje — krzyknęła pani Chang.

Gdy helikopter powoli opuszczał się w dół, z tyłu dobiegało żalosne-kwiczenie dwóch skrępowanych prosiąt. Nad nieregularnymi plamami czerni, oliwki i szmaragdu rozciągającymi się po obu stronach rzeki, nad którą leżała wioska Katanga, opadał mglisty szary welon.

Wychodzącego z helikoptera Harry'ego przywitał Luluai. Odbyła się ceremonia obdzielania papierosami. Wręczono prosięta, jedno dla wioski, drugie jako ofiarę dla duchów wodospadu. Dar przyjęto z wdzięcznością.

Tłumacz Harry'ego potwierdził, że były tu białe kobiety. Zaproponował niezobowiązująco natychmiastowe zadośćuczynienie duchom zmarłych. Skonsultowano się z czarownikiem, ale ten zaprzeczył ruchem głowy. Takie ceremonie należy przygotowywać przez jakiś czas. Sztywny ze strachu Harry opanował zniecierpliwienie. Musiał sprawdzić, czy w Zatoce Wodospadu pozostały jakieś ślady grupy „Nexusa”. Trochę nerwowym głosem tłumacz wyjaśnił, że jego biały pan życzyłby sobie, zanim wyjedzie z Paui, sam osobiście uspokoić duchy z obszaru itambu.

Z helikoptera przyniesiono radio tranzystorowe — kartę atutową Harry'ego. Zademonstrował jak działa na przykładzie odpowiedniego huku piosenki *Banana Revolution*.

Czarownik delikatnie przekręcił gałkę i Madonnę zastąpił odrobinę bardziej melodyjny kawałek. Podrapał się w głowę i zgodził się, że to wystarczy, by biały człowiek mógł złożyć ofiarę. Potem z ogromną odwagą zdecydował się polecieć helikopterem, zajmując miejsce, które zwolniło się po prosiętach.

Dziesięć minut później Harry wyskoczył z helikoptera na piaszczyste zakole plaży. Potem, obładowany żółtymi orchideami, wspiął się ścieżką między skałami i szedł w górę rzeki. Wreszcie zauważył zdewastowany, wypalony obóz.

Rozejrzał się po cichej polanie i ostrożnie położył orchidee na ziemi, potem poruszając się wolno, obszedł szerniałą trawę i wypalone kikuty szałasów.

Podniósł pustą paczkę po papierosach i kilka zużytych naboju. Nie mógł odnaleźć żadnych śladów kobiet.

Gdy wracali, przerażony lecz triumfujący czarownik przykucnął z tyłu kabiny. Wychodził z helikoptera podziwiany przez całą wioskę z powolną godnością kogoś, kto właśnie odwiedził bogów.

Tłumacz, z polecenia Harry'ego, zapytał kiedy odplynęły białe kobiety.

Harry czekał na odpowiedź wstrzymując oddech. Czy coś wiedzą? Czy mu powiedzą?

Luluai mówił wskazując w stronę półwyspu.

— Kobiety odplynęły w małej łodzi. Wyruszyły z przesmyku między skałami przylądka zaraz przed wschodem księżyca, dwie noce temu — wyjaśniał tłumacz.

Harry spóźnił się o o mniej niż dwa dni. Jednocześnie upojony radością i rozczarowany spytał:

— Czy można to jakoś udowodnić?

Luluai mlasnął językiem, by wydać polecenie. Młody chłopiec popędził do jego chaty. Wrócił z niedużym kawałkiem czarnej koronki.

Luluai z triumfem na twarzy uniósł to w górę.

— Ta rzecz należy do białych kobiet.

Harry schwycił podartą czarną szmatkę. Odpiął plastikowy zegarek z tarczą cyfrową, który pani Chang sprzedała mu dziś rano.

— Oddam ten zegarek za jakąkolwiek rzecz, która należała do tych kobiet. Zegarek krążył z ręki do ręki między mężczyznami z wioski.

Najbardziej

podziwiano migoczące zielone cyfry. Wybuchnęła głośna kłótnia.

— Mężczyzna mieć coś magicznego, nie chce dać tobie mnie — mamrotał pod nosem tłumacz.

Harry poprosił o zwrot zegarka. Rozgorzała jeszcze bardziej zażarta dyskusja.

Harry pogrzebał w kieszeni i wyjął talię kart. Przerzucił karty z jednej dłoni do drugiej.

Wszyscy zamilkli. Czarownik wyciągnął rękę po karty.

Harry potrząsnął głową. Nie było żadnej dyskusji. Czarownik wydał polecenie i młodzian rzucił się pędem do szałasów. Kiedy wrócił, wręczył coś przywódcy plemienia, który z powagą wyciągnął dłoń, na której leżały dwa przedmioty.

Harry zobaczył zwykłe chromowe kółko do którego przyczepiony był ząb rekina i dwa zardzewiałe klucze. Jeden z nich był kluczem od drzwi, drugi — od stacyjki. Zwrócił uwagę na drugi przedmiot na dłoni Luluai. Był to kompas wiszący na skórzanym rzemyku. Mógł należeć do kogokolwiek.

Tłumacz wskazując na przylądek wyjaśnił, że kobiety zgubiły te rzeczy, kiedy odplywały.

— Zabierzmy się stąd jak najszybciej — powiedział zniecierpliwiony Harry. Helikopter wystartował zrzucając deszcz papierosów jak konfetti.

— W porządku — stwierdził uniesiony radością Harry, — Złap mi Mount Ida na radiu. Mogą zaraz przeszukać obszar, który kobiety przepłynęły w dwa dni. Leć prosto nad morze.

— Nie mogę tego zrobić, sir. Byłoby to złamanie przepisów ruchu powietrznego każdego kraju na świecie. Samolot z jednym silnikiem bez przymocowanych do kadłuba płetw nie może wylecieć poza obszar swobodnego ślizgania się w powietrzu z dala od lądu.

— Każę ci to zrobić!

— Przykro mi, sir. Wbrew przepisom.

— Zrozum, może to stanowić różnicę między życiem a śmiercią dla tych kobiet!

— Dla mnie też, sir. W morzu gęsto od rekinów.

— Daj mi Mount Ida!

Harry wziął słuchawki, by podzielić się wiadomościami z Kerryem. Kazał mu zawrócić samoloty Cherokee i natychmiast wznowić poszukiwania w powietrzu.

— Raki nie powiedział nam o tym. Wyraźnie nie chce byśmy odnaleźli naszych ludzi.

— Uważaj, co mówisz w powietrzu, Harry — ostrzegł go Kerry. — Nie ma powodu, by nasz przyjaciel powtarzał plotkę, która być może jest, a może nie jest prawdziwa.

— Do diabła z tym wszystkim. Bóg raczy wiedzieć jak długo mogą przeżyć w małej łodzi. Ale nie podpiszę żadnej umowy dopóki ich nie znajdziemy.

#### ***CZWARTEK, 14 MARCA 1985***

**48**

Wschodzące słońce ozłociło białą łódź. Śmiało się do ich ściągniętych z zimna twarzy, ogrzewało ich zmarznięte ciała, okryte nasiąkniętymi wilgocią mundurami. Milczały. — Zostało nam przynajmniej jeszcze trochę wody.

— Cztery kwarty nie wystarczą na długo — powiedziała Patty. Zerknęła na Sylvanę. W ciemnościach sztormu poprzedniej nocy, Sylvanie wypadł za burtę pojemnik z wodą. Podczołgała się do przodu, by wyciągnąć kolejny ze schowka na dziobie i nie zabezpieczyła dobrze zamka. Gdy wspięły się z powrotem na łódź, zobaczyły, że drzwi od schowka są otwarte i kołyszą się swobodnie. Wszystko przepadło z wyjątkiem małego lusterka, które kiedyś leżało w torbie Anny. Został też bambusowy kosz z płatami wędzonej ryby i jednym kokosem.

Anna natychmiast zrobiła spis ocalałego sprzętu. To, co przywiązały do ławki wiosłarza przetrwało burzę. Dwa wiotkie, bambusowe łóżka zniknęły bez śladu. Podobnie strzelby. Miały jeszcze swoje buty, uchwyty na wiosła i same

wiosła, blaszany nocnik, pusty kanister i kotwicę. Zgubiły czapki, zostały na szczęście mundury. Wszystko, co włożyły do kieszeni czy za pazuchę przetrwało, w tym wodoodporne rakiety ogniowe, choć w kieszeni na biodrach Patty stłukło się szkło kompasu.

— Prawdopodobnie wtedy, gdy wyskakiwałam z łodzi — przypominam sobie, że zahaczyłam o silnik — powiedziała ponuro Patty.

— To nie ma znaczenia, Suzy ma kompas na rzemyku na szyi. Lecz Suzy nie mogła go znaleźć.

Carey zerknęła na przegub dłoni. Zegarek Jonathana jeszcze tykał.

— Twój Swath jeszcze działa? Patt? Patty skinęła patrząc na tarczę.

— Czwartek, czternasty marca, pięć po szóstej.

Potrząsnęła prawą ręką. Pulsowała boleśnie poparzona rakieta świetlną.

— Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy.

— Możemy kierować łodzią według słońca, naszych zegarków i gwiazd.

— Nie możemy — odparła ze złością Patty. — Kiedy zatapiałyście silnik ster poszedł z nim razem na dno. Teraz dryfujemy. Jesteśmy bezbronne.

Dmuchała na poparzoną dłoń. Wydawało jej się, że to przynosi ulgę.

— Możemy przywiązać wiosło do tego kołka z tyłu łodzi i zrobić z niego ster — zaproponowała Anna.

Suzy wyciągnęła z kieszeni puszkę po cytrynowych dropsach i odkryła pokrywkę.

— Mamy też dwa złote zegarki, które nie chodzą, trzy zaręczynowe pierścionki i pięć obrączek ślubnych.

— Może wykorzystamy je jako przynętę.

— Po śniadaniu — zdecydowała Anna. — Sylvano, daj orzech, Suzy, zbierz mleko do nocnika.

Chciało im się bardzo pić — poprzedniej nocy nalykały się dużo wody morskiej. Prędko opróżniły jeden pojemnik, gdy jadły kokosa.

Wszystkie wiedziały, że skoro zostało niewiele wody trzeba ją natychmiast racjonować i przez pierwszy dzień nic nie pić, żeby organizm zużył wodę nagromadzoną w tkankach.

— Cztery kwarty nie wystarczą na długo — znów powtórzyła Patty. — Jonathan mówił, że zdrowy człowiek może przeżyć trzydzieści dni bez jedzenia, ale bez wody przetrwa najwyżej dziesięć dni i to w idealnych warunkach — czyli w tropikach z pewnością krócej.

— Po dwóch, trzech dniach bez wody dostaniemy silnych dreszczy i umrzemy — powiedziała obojętnie Patty.

— Czy Jonathan mówił też coś o jedzeniu? Suzy skinęła głową.

— Wodę zużywa się przy trawieniu, więc im więcej ma się wody pitnej, tym mniej należy jeść. Proporcja jest następująca: dwie części jedzenia na jedną część wody.

— To szalenie proste — odparła cierpko Carey.

Żadna z nich się nie śmiała. Nikt nie miał pretensji do Sylvany, że zostawiła niezamknięty schowek. Wszystkie pamiętały jak trudno było się poruszać w ciemnościach podczas szalejącego sztormu. Mimo to, każda miała wrażenie, że gdyby ona zamykała schowek, zamek by się nie otworzył. Pamiętały również, że z winy Sylvany uciekł Carlos. Dla wygody nie pamiętały o własnych błędach i złych decyzjach, jakie każda z nich popełniła i podjęła w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

— Nie wolno pić moczu — ciągnęła Suzy — bo przez to chce się jeszcze bardziej potem pić. Tak samo po wodzie morskiej. Woda morska zwiększa pragnienie i odwadnia organizm. Dostajesz silnych dreszczy i umierasz.

— Jeśli chce ci się pić to ssij guzik, pobudzisz wtedy wydzielanie śliny —: dodała Carey.

Siedziały w ponurym milczeniu.

— Dwugodzinne warty, kurs na południowy-wschód. Patty trzyma pierwszą wartę. Suzy i Carey, zacznijcie łowić ryby, prędko.

— Pudełko ze sprzątem wyleciało za burtę.

— Odwiążcie sznurowadła od butów. Zróbcie z nich linkę. Spróbujcie, czy wędzona ryba działa jak przynęta. Albo lepiej któryś z pierścionków zaręczynowych — może przyciągniemy coś iskrzącym się kamieniem.

— Hej, przecież jest nam potrzebna wędzona ryba.

— Nie, dopóki nie mamy dla każdej z nas kwarty wody. Więc lepiej użyć jej na przynętę — szybko, zanim będziemy zmuszone ją zjeść.

Suzy, siedząc na dziobie, zajęła się łowieniem ryb. Naprędce zrobiła dwa haczyki z ostrych drzazg wyluskanych z dna pustych bambusowych pojemników. Do jednego przyczepiła pierścionek zaręczynowy, drugi ukryła w kawałku wędzonej ryby.

Anna i Sylvana, które przykucnęły na środku łodzi, robiły nakrycia na głowę, by chronić się przed słońcem. Udało się zrobić kaptury z wyciętymi otworami na oczy.

— Wyglądamy jak Ku Klux Klan — powiedziała Suzy.

Gdy dzień stawał się coraz bardziej upalny, poblask od morza przyprawił je wszystkie o ból głowy, więc z wdzięcznością włożyły kaptury. Carey regularnie schlapywała wszystkie wodą morską. Była letnia, wcale nie odświeżająca i cuchnęła dziwnie stęchlizną.

Wilgotność przekroczyła 80 procent. Był bezwietrznie.

Łódź zawisła bezwolnie na zastygłym w bezruchu, cichym, niebieskim oceanie.

Około południa Carey zaczęły bardzo boleć oczy. Miała nudności a wrzody na jej nogach pulsowały z bólu bardziej niż zwykle, może dlatego, że podrażniła je woda morska.

--Chcecie ugryźć trochę — Suzy wyciągnęła na pokład dwudziestocentymetrowego, ciemnobrązowego węża morskiego.

— Uwważaj! — ostrzegala ją Patty. — One są niebezpieczne. W milczeniu przyglądały się odrażającej, wijącej się bestii.

— Zrobię z niego przynętę.

Patty pocięła go na kawałki nożem wędkarskim.

— Proszę, możesz sobie zabrać już swój pierścionek zaręczynowy, Carey. Wkrótce potem, Suzy naprowadziła sterującą Patty na kępę wodorostów.

Gdy dotarły do niej, wciągnęła ją całą na pokład.

— Będziecie sobie musiały wyobrazić, że jesteście w barze Sushi.

— Sprawdź, czy są świeże. Jeśli są śluzowate albo wiotkie albo cuchną rybą, nie powinniśmy ich jeść. Rozetrzyj odrobinę między palcami i sprawdź, czy nie czuć ich kwasem.

Suzy badawczo przyjrzała się wodorostom i wytrząsnęła z nich kilka małych stworzonek morskich.

— Więcej przynęty. Potnę ją na paski.

— Może da się złapać ptaka w pułapkę. Suzy odniosła się do tego sceptycznie.

— Myślisz, że jakiś ptak będzie na tyle szalony, by pozwolić zarzucić sobie na szyję pętlę?

Carey trzymała głowę w obu dłoniach.

— Boże, jak gorąco! Muszę się na chwilę położyć, Aniu, tylko na dziesięć minut. Wezmiesz ode mnie wędkę, Sylvano?

Carey ostrożnie rozłożyła się na całą długość łodzi, chowając ciało pod środkową ławą, a głowę w cieniu pod ławeczką na rufie, między stopami Patty. Sylvana i Anna siedziały zgarbione na środkowej ławce. Suzy oparła się o rząd schowków. Ubrania, buty i dziwaczne kaptury sprawiały, że było im jeszcze bardziej gorąco, choć dobrze chroniły przed żarem słonecznym i poblaskiem bijącym od wody. Anna nikomu nie pozwoliła zdjąć kamizelki ratunkowej.

Upał — myślała — przypomina uczucie jakiego się doświadcza, gdy trzyma się twarz za blisko drzwiczek otwartego pieca. Skuliły się w łodzi tęskniąc za zmierzchem, kiedy wreszcie bezlitosne słońce zniknie za horyzontem i wyzwoli je od męki znoszenia białego poblasku.

— Czy możecie sobie wyobrazić, że zeszłej nocy wylewałyśmy z łodzi wodę deszczową co sił. Myślicie, że dziś w nocy też będzie padać — spytała Suzy.

— Są jakieś szanse. W ciągu dwóch dni były dwa sztormy. Dlaczego ma być inaczej dzisiaj wieczorem?

Zasypiały niespokojne wczesnym rankiem, kiedy mogły na krótko uciec przed nieprzejednanym słońcem. Tego popołudnia Sylvana złapała trzy małe, płaskie, białe rybki. Zjadły je natychmiast na surowo razem z łuskami i śluzem. Zostawiły ości do ssania, oczy i wnętrzości — na przynętę.

Morze i niebo były puste.

O godzinie czwartej wypily po łyku wody. Carey nadal leżała na dnie łodzi, a Suzy regularnie oblewała ją wodą.

Sylvana podskoczyła na dziobie.

— *Filio diputana!* Właśnie przed chwilą rekin wyrwał mi linkę! Zupełnie niespodziewanie! I jak szybko — spojrzała ponuro na pałący znak we wnętrzu dłoni.

— Nie jest sam — Anna skinęła głową, wskazując morze za ich plecami. Trzy potężne, czarne, trójkątne płetwy wystawały z wody.

— Mamy eskortę — odezwała się Suzy.

Bezbronna łódź tkwiła bez ruchu na nieruchomym morzu. Wszystko zastygło w martwej ciszy. Nawet najmniejszy wiatr nie marszczył powierzchni oceanu, która lśniła jak lufa strzelby w poświacie. W zasięgu ich wzroku nie było nic, z wyjątkiem owego białego gorącego koła nad głowami, wędrującego powoli nad czarnym, martwym oceanem.

— Która godzina? — spytała Suzy.

— Ostatni raz pytałaś o to dziesięć minut temu — odwarknęła Patty. — Czy to ma do cholery jakieś znaczenie? Możesz sobie chyba obserwować słońce, prawda? Nie zajdzie szybciej, nawet jak będziesz wiedziała, która godzina.

— Carey, twoja kolej na warcie — powiedziała Anna. Zastanawiała się, czy nie zwolnić jej z tego obowiązku. Miała jednak paskudne przeczucie, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystkie mogą być już w takim stanie i nie chciała precedensów.

Carey z trudem podniosła się i popatrzyła w wodę.

— Czekaają na piknik — powiedziała niewyraźnie.

Łódź otaczało teraz siedem płetw grzbietowych, każda z nich płynęła w jednakowo powolnym, jednostajnym tempie.

— Ten z lewej musi mieć chyba ze sześć metrów długości, albo i więcej. Jest pewnie dwa razy dłuższy niż łódź.

— Nie ruszą nas, jeśli nic nie zrobimy. Są po prostu ciekawe. Nie zaatakują, chyba że je sprowokujemy albo poczują krew.

Łódź nagle podskoczyła w powietrze.

— Ten sukinsyn nas popchnął! — krzyknęła Carey.

Rufa podskoczyła ponownie. Gdy łódź przechyliła się na prawą burtę, Carey chwyciła koniec wiosła obiema rękami i z całej siły uderzyła w wodę.

— Ha! Uderzyłam sukinsyna!

— Carey, odłóż to wiosło! — krzyknęła ostro Anna. — Przestań, bo inaczej wszystkie zaczną nas popychać. Carey!... Suzy, zatrzymaj ją!

Suzy wdrapała się na rufę, chwyciła Carey w pasie i pociągnęła ją do tyłu. Gdy Carey zwała się na Suzy, wiosło przemknęło za jej głową, uderzyło Annę i wyleciało za burtę.

— Zostaw to! — krzyczała Anna, przyciskając jedną rękę do oka. Wiosła było przywiązane do łodzi.

Carey rozplakała się.

— Aniu, czy twoje oko...? — spytała Suzy.



— To nie ma tak naprawdę żadnego znaczenia.

— Och, przestań być wreszcie taka święta. Doprowadza mnie to do szału — odwarknęła Carey.

— W porządku, rozumiem.

— I przestań tak cholernie wszystko rozumieć.

— Uspokójcie się! — zawołała Sylvana tak głośno, że wszystkie odwróciły się zdziwione. — Wszystkie jesteśmy zdenerwowane, bo chce się nam pić, pali to straszne słońce i przypląnęły te *villiacos*.

Zakłęła znowu, gdy wskazała palcem błyszczące, czarne pletwy, zbliżające się do łodzi.

— Wiemy jak przetrwać w dżungli, ale nie wiemy nic o morzu. Więc musimy się nauczyć. Tak dużo już zrobiliśmy. Teraz musimy zrobić jeszcze więcej.

— Napijmy się wody — zdecydowała Anna — i spróbujmy wytrzymać — i zamknąć się — aż do zachodu słońca. Wtedy będzie łatwiej myśleć i postanowimy, co robić.

— Czy mamy w ogóle jakiś wybór? — spytała Patty.

— Wiesz, że zawsze istnieje wybór — odparła krótko Anna.

Po zachodzie słońca, kilka minut przed zapadnięciem ciemności, kobiety wypily jeszcze trochę wody.

Wszystkie wiedziały, co to znaczy być spragnionym, ale nigdy nie wyobrażały sobie fizycznego bólu, gdy umiera się z pragnienia. Było to straszne, oszałamiające pożądanie, które zżerało umysł. Ból głodu ustąpił, ale cierpienie z braku wody stawało się coraz silniejsze. Na tropikalnym morzu oddychały przecież gorącym powietrzem, a ponieważ twarze przykryły kapturami, wdychały jeszcze większy żar. Miały sucho w gardle, wargi zaczęły im pękać, a głos zachrypł. Bezlitosne słońce powoli odbierało im wolę i godność ludzką, pozostawiając jedynie wycieńczone i spragnione wody ciało. Co gorsze, otaczała je pokusa, ale wiedziały, że gdy jej ulegną, kara będzie całkowita i nieodwołalna. Gdy wypije się słoną wodę morską umiera się szybko i w okropnych męczarniach.

Anna przypilnowała, by piły swoje porcje wody bardzo wolno i tylko po to, by zwilżyć wargi, a potem, przed połknięciem, wypłukać gardło.

Zjadły trochę ryby i położyły się apatycznie w łodzi, patrząc w księżyc.

— Może powinniśmy czuwać w nocy tak długo jak się da — zaproponowała Sylvana. — Wtedy zaśniemy w dzień i unikniemy tortur słonecznych.

Uczyliły wysiłek, by oderwać się myślami od swego położenia i przypominały sobie ulubione zapachy. Zaczęło się to całkiem dobrze — od zapachu sosen, zroszonych wodą róż, skoszonej trawy, ale kiedy Anna z tęsknotą powiedziała „włoski niemowlęcia” — Sylvana rozplakała się.

Patty przerzuciła mocne ramię przez jej plecy i zaległa cisza przerywana tylko delikatnym uderzeniem fal. Z trudem wstrzymywały łzy. Wyruszyły

z takim świetnym sprzętem i tak wielkimi nadziejami. Teraz nie miały prawie nic — prawie żadnej nadziei. Kucając na rufie Carey zawstydzila się. — Jak to się mogło stać? Jak mogliśmy się tak rozsypać w ciągu dwudziestu czterech godzin?

## **PIĄTEK, 15 MARCA 1985**

**49**

O wschodzie słońca, drugiego dnia na morzu, zostały im tylko trzy kwarty słodkiej wody. Dzień minal podobnie jak poprzedni, tylko Anna rygorystycznie wydzielala im porcje wody.

Nagle Suzy zaczęła krzyczeć.

— Nie zniosę tego dłużej! Nie zniosę tego, że jesteście takie niby spokojne! Nie zdajecie sobie sprawy z tego, że tym razem naprawdę umrzemy! Zjedzą nas te cholerne krokodyle! — wskazała rozwścieczona palcem czarne płetwy, otaczające łódź.

— Ona ma rację—łkała Sylvana. —Ja też już nie zniosę tego dłużej! Chcę tylko zasnąć i nie obudzić się więcej!

Wzniosła pięści ku niebu i krzyczała przenikliwym głosem.

— Ile jeszcze mamy wytrzymać? Jak długo jeszcze mamy cierpieć? Dlaczego?

— Zamknij się! — gderała Carey. — Oszczędzaj siły. Oszczędzaj głos. Nie trać śliny.

— Carey ma rację. Każdy twój ruch skraca ci życie.

— Pomyślcie o waszych dzieciach — nalegała Anna. — Pomyślcie o rodzinach. Nie poddawajcie się!

Przez cały dzień omdlewały od żaru słonecznego. Gdy osłabły i odrętwiały, nękały je rozsadzające czaszkę bóle głowy i fale nudności. Zjadły resztki ryby i sporo wodorostów. Nie odważyły się łowić ryb w obawie, że przyciągną uwagę rekinów. Skupiły się razem, czekając tylko, by słońce zaszło za horyzont. Upał wysączył z nich resztę życia.

Poniżej łodzi morze wyglądało jak zielononiebieski, głęboki i chłodny, kuszący, kwietniowy strumień. Suzy wpatrywała się w głębie oceanu.

— Nie patrz w dół — Carey pociągnęła Suzy za spodnie. — Teraz twoja kolej na leżenie na wznak.

Suzy zajęła miejsce w łodzi i położyła się płasko na dnie, a Carey apatycznie zastąpiła Patty. Nie było potrzeby, by sterować łodzią.

Dryfowała posłusznie na gładkiej fali oceanu. Od czasu do czasu Carey popychała łódź wiosłem rufowym, by nieco drgnęła i zmieniła kurs na właściwy. Łódź ślizgała się na wodzie, psując swoje odbicie, które rozpadło się na tysiące kawałków.

Kobiety czekały na zachód słońca, ciemności i porcję wody.

Słońce zaszło za horyzont. Niebo było koloru krwistej pomarańczy. Po szklanej tafli morza, w kierunku łodzi, rozciągała się błyszcząca karmazynowa ścieżka.

Tego wieczoru trudniej im było mówić. Chciały rozmawiać, żeby nie zasnąć, ale miały wargi popękane do krwi, poza tym nie miały sobie nic do powiedzenia.

Rozmowy skończyły się pół godziny po zachodzie słońca.

— Cóż, Carey, teraz polegamy tylko na sobie. Jak ci się to podoba? — zagadnęła cierpko Patty.

— Wiesz, że nie o to mi chodziło.

— Mów, Carey — naigrywała się z niej Patty. — Powiedz nam jak to wewnętrzna siła i pewność siebie pomogą nam wyzwolić się z tego syfu.

— Pewność siebie to tylko wiedza o tym do czego byliśmy zdolne w przeszłości i przekonanie, że w przyszłości poradzimy sobie w podobnej sytuacji. To również gotowość, by wymagać od siebie więcej. Jeśli możesz przepłynąć dziewięćdziesiąt metrów, to prawdopodobnie przeplyniesz jeszcze dalej, a jeśli od tego zależy twoje życie, pewnie przeplyniesz i osiemset metrów.

— A sto dwadzieścia kilometrów? — pytała dalej Patty.

— Ile minut ma jeden dzień? — spytała Suzy.

— Tysiąc czterysta czterdzieści — odpowiedziała jej natychmiast Carey. O dziewiątej wieczorem Anna w desperacji zaproponowała rację wody tej,

która będzie czuć do północy. Wszystkie natychmiast się ożywiły.

— Musimy przez cały czas rozmawiać! Pomyślcie, ile godzin przespałyśmy rano, jak długo chroniłyśmy się przed słońcem!

Żadna się nie odezwała.

— Musimy być dobrej myśli i wszystkie o tym wiecie. Nie leżcie jak mazgaje! Nie poddawajcie się! Musimy rozmawiać, nie wolno nam zasnąć! Spróbujmy... spróbujmy zastanowić się, co zrobimy, jak wrócimy do domu.

Carey natychmiast się obudziła.

— Nigdy nie będę Mies van der Rohe, ale jestem architektem jak ogrodnik jest ogrodnikiem. — Zawsze po cichu dziwiła się, że płacą jej za to, co kochała robić.

— Chcę tylko wrócić do mojej pracy.

— I do rodziny — dodała cicho, bo rozmowy o rodzinach były zabronione.

— Jeśli uda mi się namówić Bretta, by spróbować...

To było przejęzyczenie, wszystkie kobiety się skrzywiły.

— Myślałam, że może założyłabym butik z modnymi ubraniami sportowymi. A ty, Aniu?

— Będziecie się śmiały, gdy wam powiem. Chciałabym postudiować odżywianie się... No, wiedziałam, że będziecie się śmiać. Ale poważnie, widziałam jaki wycisk dałyśmy naszym ciałom, gdy przestałyśmy traktować je jak dar boży. Jeszcze trzy dni temu byliśmy wszystkie w lepszej kondycji niż dawno temu, gdy byliśmy młodsze.

— Mów za siebie — odezwała się Patty.

— Ty zawsze byłeś w dobrej formie — zgodziła się Anna. — Ale to mnie zainteresowało — jak dbać o ciało.

— Chciałabym jakoś wykorzystać swoje zdolności sportowe — powiedziała Patty. Myślała o założeniu niedużej szkoły sportowej dla kalekich dzieci. Skoro Sylvana może otwierać szpital na Fidżi, dlaczego ona nie miałaby zrobić czegoś równie pożytecznego. Tyle, że bliżej domu.

— Jeśli wydostaniemy się stąd żywe to przysięgam, nikomu nie pozwolę zrobić z siebie ofiary. Artur zwykle powtarzał, że zależność niszczy człowieka i teraz rozumiem, co miał na myśli. Gdy zależy się od kogoś czy od czegoś, nie ma się własnego „ja”, jest się częścią czyjejś osobowości.

Carey usiadła wyprostowana.

— Wszystkie mamy nową osobowość. Czy nam się to podoba, czy nie. Gdy dowiedzą się w Pittsburgu, że zabijałyśmy, życie nie będzie dla nas takie proste. Wyobrażacie sobie jak się będą zachowywać wobec nas na przyjęciach? Na spotkaniach komitetu charytatywnego? Na zebraniach w kościele?

— Nikt się o tym nie dowie. Nigdy o tym nie powiemy. To będzie tak jak z Anonimowymi Alkoholikami. Nikt się nie może dowiedzieć.

— Suzy nikogo nie zabiła, ona nie ma się czego bać. Ale pozostałe — zawsze będziemy drżeć ze strachu, że ktoś powie. Zawsze już będziemy żyły z tą obawą! Nigdy od niej nie uciekniemy, przez całe nasze życie. Zawsze będziemy miały tę pętlę na szyi! — mówiła Patty.

— To się na pewno wyda — zgodziła się Carey słabym głosem. Wpatrywała się w niebo, w ogromne, tropikalne gwiazdy rozproszone jak stokrotki na czarnym polu.

— Na początek, co powiemy, że skąd są te mundury? Z magazynu odzieży wojskowej w Zatoce Wodospadu?

— Nie mogłyśmy tego uniknąć — przypomniała im Anna.

— Carey ma rację — łkała Sylvana. — Będą nas nienawidzić.

— Tylko dlatego, że jesteście żeńskim gangiem zabójców. Mężczyźni mogą zabijać ludzi — dodała gorzko Anna.

Patty usiadła wyprostowana.

— W porządku, więc zabiłyśmy kilku ludzi, którzy chcieli zabić nas. W samoobronie! Powinnyśmy się martwić tym, jak przetrwać, a nie tym, co o nas powiedzą na podwieczorkach w Pittsburgu.

— To już nie zależy od nas — odparła Suzy. — Co jeszcze możemy zrobić? Nie możemy wyprodukować jedzenia ani wody z powietrza.

— Co robią marynarze, gdy zatonię ich statek? — spytała Carey.

— Przynajmniej mamy łódź, a nie wisimy trzymając się jakiejś deski w wodzie.

— Czasami marynarze potrafią przetrwać w łodzi ratunkowej całymi tygodniami:

— A jak my to zrobimy? — zapytała Carey.

— Nie chcecie się dowiedzieć — odparła Patty.

— Nie bądź głupia, oczywiście, że chcemy.

— Przez kanibalizm.

—• Na litość boską, mów poważnie.

— Marynarze zawsze to robili. Na morzu jest to wciąż legalne. Pewnie przyzwyczaiacie się do tego prędko. Mały majtek pokładowy zawsze idzie na pierwszy ogień — nawet jeśli muszą go zabić — a potężny, umięśniony oficer okrętowy zawsze przetrwa jako ostatni.

— Nie mówisz poważnie? — spytała Carey, która ani przez chwilę nie uwierzyła, że Patty mówi poważnie.

— Skąd to wszystko wiesz? — spytała Suzy.

— Charley mi powiedział. „Nexus” miał kiedyś, kilka lat temu problem z grupą poszukiwaczy na jakiejś australijskiej pustyni... Gibson, chyba. Siedmiu facetów z „Nexusa” zgubiło się tam i odnaleziono tylko dwóch żywych.

— Pamiętam — odezwała się Carey.

— Ale nie wiecie, że ci, którzy ich szukali odnaleźli pięć ciał zakopanych w piasku. Mieli głowy, ręce i stopy — wszystkie kości. Charley musiał przyciszyć tę sprawę. Musiał przeczytać przez jeden weekend sporo materiałów prawnych. Była tam książka o jakichś brytyjskich marynarzach, którzy przeżyli zjadając siebie nawzajem. Charley był nią zafascynowany. Czytał mi na głos fragmenty. Wtedy wydawało mi się, że to odrażające.

— Bo to jest odrażające. I nie wierzę, że to jest legalne. Źle zrozumiałaś Charleya.

— Kanibalizm z pewnością jest dozwolony przez prawo. I nie tylko na morzu — tak mi powiedział.

— Tak — zgodziła się Sylvana. — Żołnierze Napoleona podczas wycofywania wojsk spod Moskwy w 1812 roku robili to na pewno, poza tym zawsze krążyły pogłoski o Stalingradzie.

— A zagrożenie głodem na wyprawach podbiegunowych? — dodała Patty.

— I poszukiwacze złota. W czasie gorączki złota jeden facet, którego nazywali Zjadaczem Ludzi z Kolorado zjadł podczas burzy śnieżnej pięciu swoich przyjaciół.

Suzy ziewnęła.

— Mam nadzieję, że cierpiał potem na niestrawność.

— Rzeczywiście — powiedziała Anna. — Pamiętacie tych pierwszych osadników, którzy szli na Zachód. Zasypał ich śnieg przy Donner Pass i żeby przetrwać zimę musieli jeść tych, którzy umarli.

— Suzy, usiądź prosto. Nie śpij, bo cię uszczypnę. Musimy spać w dzień, bo inaczej upał doprowadzi nas do szału.

— Pamiętacie jak samolot z południowoamerykańską drużyną sockera rozbił się w Andach? Ci, co przeżyli zjedli zwłoki swych przyjaciół.

Anna kiwnęła głową.

— Dostali komunię świętą, gdy ich uratowano.

- A cóż w tym strasznego, że nas jedzą skoro jesteśmy martwi? — spytała cicho Patty.  
— Ale żadna z nas nie jest martwa, więc dlaczego rozmawiamy o kanibalizmie? — ziewając, odezwała się w końcu Suzy.

## ***SOBOTA, 16 MARCA 1985***

### **50**

Słońce wyglądało zza czarnej linii horyzontu rzucając wątłe światło na białą łupinę kołyszącą się na ciemnej wodzie. Wciąż krążyły wokół sześciometrowe rekiny.

Anna podniosła się i ostrożnie usiadła, poruszała się z trudem. Suzy mówiła głośno przez sen, szczekając pojedyncze słowa bez ładu i składu.

Anna patrzyła w połyskującą wodę. Zostały im dwie kwarty wody pitnej i odrobina suszonej ryby. Nie miały pojęcia, gdzie się znajdują. Zgubiły się na środku oceanu. Pomyślała o godzinach, które im pozostały, a które ciągnęły się bez końca, o upale, który dusił je nie do zniesienia, o wilgoci tak dojmującej, że trudno było oddychać. Przez cały dzień cierpiały w nieubłaganej spiekocie. O zachodzie słońca cierpienie jedynie zmieniało oblicze. Żółty księżyc rozświetlił wodę, która świeciła teraz jak smuga czarnego oleju, ciągnąca się w nieskończoność w stronę horyzontu, w którąkolwiek nie spojrzwały stronę.

— Nie mogę już tego znieść — zachłysnęła się Sylvana.

— Jeszcze tylko trochę — nalegała Anna.— Do tej pory z pewnością odpłynęliśmy od południowego brzegu Paui. Musiałyśmy przepłynąć, powiedzmy pięćdziesiąt kilometrów w trzy dni.

Patty wiosłowała pogrążona w letargu.

— Musimy się stale czymś zajmować, bo inaczej po prostu umrzemy. Powinniśmy myśleć, co zrobimy jeśli... w porządku Aniu, kiedy wrócimy.

— Zemścimy się. Dopilnujemy, by ten sukinsyn Raki dostał karę za to, co zrobił.

— Ale nie mamy żadnego dowodu — odezwała się Sylvana. — Byłoby to nasze słowo przeciwko jego zeznaniom.

— Na pewno wysłuchają żon pięciu kierowników „Nexusa” — z których każda opowie to samo — stwierdziła Patty.

— Mass media już to za nas zrobią. Tylko poczekajcie, niech stanę przed tymi mikrofonami: ABC, CBS, NBS...

Sylvana nie była przekonana.

— Nawet jeśli cały świat się o tym dowie, nie będzie żadnej różnicy. Pewnie wybuchnie jakaś kłótnia polityczna, ale na Paui i tak nic się nie zmieni — przynajmniej jeśli chodzi o sprawy biznesu. „Nexus” będzie się nas tylko wstydził. Już nigdy nie będą mogli robić interesów na Paui.

— Do cholery z „Nexusem” — odezwała się Carey.

— Może „Nexus” już wie, co się stało — zawołała pełna optymizmu Suzy. W głębi duszy była przekonana, że Brett uciekł, ale nie chciała nic mówić kobietom, przecież na ich oczach brutalnie zamordowano im mężów. Teraz wynagrodzi wszystko Brettowi. Może nawet da mu dzieci. Tacy spokojni, nudni faceci, na których zawsze można polegać, chyba najlepiej nadają się na ojców...

— Gdyby „Nexus” wiedział co się stało, znaleźliby nas już do tej pory — powiedziała Patty.

Wszystkie zamilkły, przypomniały sobie w jakiej są sytuacji. Nie został im nawet kęs jedzenia. Miały jedną kwartę wody. Wystarczy tylko na jeden dzień.

— Umrzemy dziś wieczorem. Wszystkie. Czuję to. Ta łódź się przewróci kiedy zaśniemy.

Suzy zaczęła płakać.

— Nic mnie to nie obchodzi. Chcę umrzeć. Nie zniosę już dłużej tego pragnienia.

Carey była zbyt wycieńczona by płakać, ale myślała, że już dłużej nie zniesie bólu w nogach. Jej głębokie rany po wrzodach cuchnęły teraz ohydnie, okropnie bolały.

Nic już nie wydaje się dziać naprawdę — mówiła Sylvana. — Ani noc nie jest prawdziwa, ani słońce. Zupełnie jak w koszmarze nocnym. Żadna z was nie istnieje naprawdę. Skąd mam wiedzieć, że te rekiny są prawdziwe?

Ona również zaczęła łkać.

Pomimo wysiłków, krótko po północy wszystkie kobiety z wyjątkiem Anny zasnęły. Anna trzymała warty i sterowała łodzią. Ale czy miało to sens? Gdy szczypała się w ramię, by nie zasnąć, przeżywała taką samą desperacką rozpacz jak wszystkie. Nagle zrozumiała, że nie przeżyją.

W przyciemnionym świetle gwiazd widziała ciemniejszy zarys poruszającej się kobiety. Usłyszała odgłos, który nie mógł jej zmylić.

Ktoś pił wodę, chlepcząc jak pies.

Ktoś kradnie ostatni zbiornik z wodą.

— Obudź się! — szturchnęła Patty, śpiącą u jej stóp. Patty usiadła.

Idź sprawdzić zbiornik z wodą w schowku, Patty i przynieś mi go. Patty bez słowa podczołgała się do przodu. Dużo czasu jej to zajmuje.

Dlaczego? — pomyślała Anna. Znow usłyszała odgłos chleptania wody.

— Patty! — krzyknęła.

Patty podczołgała się z powrotem, ponad ciałami śpiących kobiet i wręczyła zbiornik Annie.

— Na litość boską, Aniu, trzymaj to. Nie ufam samej sobie.

— Słyszałam, że piłaś! — ostro skarciła ją, potrząsając pojemnikiem. Wydał się lżejszy niż powinien.

— Nie, nie piłam. Ale mogę zapytać, po co ci on?

— Pilnuję wody — odwarknęła Anna.

— Tylko nie budź mnie znowu. — Patty znalazła sobie wygodne miejsce. Bezwiednie lizała suche, popękane usta wysuszonym językiem. Gardło miała jakby wyłożone papierem ściernym, ostatni łyk wody dostała o zachodzie słońca.

Anna poczuła, że zaczyna się lekko wahać. Czy miałoby to jakieś znaczenie? Kto by się o tym dowiedział? Zasługiwała na to, prawda? To przecież ona trzymała wartę, podczas gdy one smacznie spały. W duszy usłyszała przyjacielski, pokrzepiający głos, który się z nią całkowicie zgadzał. Poczua się pewna siebie, odrobinę lekkomyślna — jakby niewidzialna moc łagodnie uspokajała jej sumienie, rozgrzeszając ze wszystkiego.

Anna ostrożnie odłożyła wiosło. Obiema dłońmi schwyciła bambusowy pojemnik przyciskając go do piersi. Ukradkiem podważyła pokrywkę i przechyliła naczynie do ust.

Tylko jeden łyk...

Nie mogła przestać pić. Dysząc, zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Znow podniosła pojemnik do palących warg. Powie, że do połowy był pusty. Uniosła gwałtownie głowę. Jeszcze ktoś oprócz niej nie spał. Ktoś się ruszał.

Ten ktoś może ją zobaczyć. Może zobaczyć, że pije wodę z pojemnika. Anna odczekała chwilę. Znow usłyszała odgłos chleptania wody. , Lecz tylko ona miała pojemnik... W takim razie ktoś musi pić wodę morską!

— Obudźcie się wszystkie! — zatrzasnęła wieczko pojemnika i kopnęła mocno Patty.

— Co się dzieje? — jęknęła zaspana.

— Rusz się i sprawdź, Patty! Ktoś pije wodę morską! Powstrzymaj ją! Szybko!

Patty przesunęła się do leżącej obok, skulonej na dnie łodzi kobiety. Odwróciła ją, a gdy dotknęła palcem jej policzka, wilgotne wargi były wyczuwalne pod dłonią.

Prędko szarpnęła ją za ramię.

— Suzy! Usiądź! Przestań to pić!

Suzy, zwinięta w pozycji płodowej, nawet nie drgnęła. Udawała, że śpi, gdy Patty ją kopnęła.

Patty podczołgała się z powrotem do Anny.

— To była Suzy. Anna oniemiała.

— Ale przecież ona wie, co to znaczy! Patty wzruszyła ramionami.

Obie kobiety znow usłyszały chleptanie.

— Postaw to na ziemi, Suzy! — wrzasnęła Patty.



— Nic nie mogłam na to poradzić, dziewczyny.

— Carey! Suzy pije wodę morską. I myślę, że Anna kradnie nasze porcje wody do picia. Obudź się!

Carey otworzyła oczy.

Łódź kołysała się. Obie, Anna i Suzy, płakały.

— Oddaj mi to, Anka! Bo wyrzucę cię za burtę.

Skamłając z poczucia winy, posłuszna jak dziecko, które przyłapano z ręką w puszcze z herbatnikami, Anna oddała zbiornik z wodą.

Carey po omacku szukała kawałka liny. Obwiązała nim pojemnik i ścisnęła mocno węzeł.

— Nikt tego sam nie otworzy. Anka, ty dziwko, jutro nie dostaniesz wcale wody.

Anna szlochała z upokorzenia. Pomyślała o złodziejach sklepowych w średnim wieku, którzy tłumaczą się mówiąc: „nie wiem, co mnie naszło”. Anna poznała to uczucie.

Wstydziała się samej siebie.

## ***NIEDZIELA, 17 MARCA 1985***

### ***51***

Pod koniec czwartego dnia, krwistoczerwone słońce powoli wznosiło się nad brzegiem czarnego morza. Wszystkie już się obudziły.

Żadna nie odzywała się do Anny.

Carey przez cały czas próbowała się dowiedzieć, ile wody morskiej wypila Suzy, lecz ta jęczała coś niezrozumiałego.

Po tej jednej nocy zniknęły tolerancja i przyjaźń. Teraz w ich zmęczonych, zapadniętych oczach widać było tylko nieufność i podejrzliwość.

Kobiety, dręczone przez pragnienie, cierpiąc z bólu otwartych ran, ściśnięte nieruchomo na niewielkiej przestrzeni, stawiały czoło powolnemu konaniu lub nagłej, choć strasznej śmierci, gdyby rekin przewrócił łódź.

Siedziały w ciszy, słuchając słabych dźwięków dobywających się ze szklanej tafli wody.

— Na litość boską, Carey, nie stukaj w bok łodzi, doprowadza mnie to do szału.

Carey nie zwróciła uwagi. Siedziała patrząc na Suzy martwym wzrokiem. Dziewczyna leżała jęcząc. Wszystkie były skazane na słuchanie jej monotonnego bełkotu.

...Musiała się sama o to prosić! Nie, nie, nie!... Jeśli jej się nie podoba, to może odejść... Nie, nie, nie! Wszyscy lubią trochę brutalne rzeczy... Co w tym podniecającego... Pęknięta wątroba... złamany nos...

— Carey, powstrzymaj ją, bo ją zaknebluję— chrypiała Patty. Carey spojrzała z nienawiścią na Patty.

— Wykopię cię z tej łodzi, jeśli tylko spróbujesz ją ruszyć. Patrzyły na siebie mierząc się wzrokiem, po czym Patty wycofała się.

— Przepraszam — mamrotała.

Anna spotkała wzrok Patty i zrozumiała, że ona też wie, że nie mają już szans na przeżycie.

Patty odwróciła od niej oczy. Każda celowo ignorowała Annę.

Mijał kolejny dzień upału i pragnienia.

W południe rozdały po łyku wody, Patty spojrzała na zwiniętą Suzy.

— Ci chłopcy w Andach? Jak oni to uzasadniali?

— Uważali, że przeżycie jest ich moralnym obowiązkiem, przy użyciu wszystkich możliwych środków—mówiła Anna. — Tłumaczyli to tym, że gdy ktoś zmarł, jego dusza opuściła ciało i połączyła się w niebie z Bogiem. Ciało, z którego uleciał duch, było już tylko padliną — zwykłym mięsem, jak stek w supermarkecie.

— A więc był to ich moralny obowiązek — skinęła głową znużona Patty.

— Wierzyli, że Bóg chce, żeby przetrwali — inaczej zginęliby już wcześniej, w wypadku. Ufali, że to On dał im szansę przeżycia — ciała ich martwych przyjaciół.

— Czy ksiądz nie mówił wtedy, że zgrzeszyli? Sylvana skinęła głową.

— Poszli do komunii bez spowiedzi, prawda? Kościół pozwala na to *in extremis*.

Sylvana znowu przytaknęła.

— Ale ja nie mogę.

— Gdybym umarła, chciałabym, żebyście mnie zjadły. Nie życzyłabym sobie, byście marnowały moje ciało na te rekiny — powiedziała Patty.

— Ja tego nie zrobię. A Carey ci nie pozwoli.

— Trzeba to zrobić szybko. Gdy tylko ktoś umrze, wypija się krew zanim ostygnie. Więc trzeba się zdecydować wcześniej.

Suzy bełkotała coś do siebie. Dręczyły ją gwałtowne wymioty, przez cały czas mamrotała i już nie rozumiała co się wokół niej dzieje.

Wszystkie były zdziwione, że pogorszenie jest tak gwałtowne.

Mijały godziny. Kobiety leżały na jasnym palącym słońcu.

Gdy Suzy jęczała i chwytiała oddech, Carey delikatnie, opiekuńczo głaskała jej czoło. Przyglądała się pozostałym. Wciąż ona była najsilniejsza.

Spuchnięte języki wystawały spomiędzy ich czarnych, popękanych ust, oczodoły zapadły się w straszliwych, wynędzniałych twarzach, dłonie pokryły się pęcherzami, a stopy i nogi były nabrzmiałe i czerwone.

Zmierzch przyniósł niewielką ulgę, lecz powietrze nadal było gorące i duszne. Łapały każdy oddech, jakby biegły na wyścigach.

O zachodzie słońca, gdy po raz ostatni zwilżyły usta, zamieniły kilka słów.

Nie podzieliły się ostatnim łykiem wody z Anną.

Gwiazdy zwieszały się nisko na czarnym, aksamitnym niebie tropików. Kobiety położyły się w łódce. Zajęte były ssaniem guzików od kurtek, by pobudzić wydzielanie śliny.

Przez cztery miesiące walczyły o przetrwanie. Okazało się, że mają niezłe pomysły i są odważne. Nauczyły się wykorzystywać swoją siłę i odnalazły w sobie nieznaną dotąd moc. Pomagały sobie i polegały jedna na drugiej, gdy stawiały czoło pospolitym zagrożeniom. Z cierpliwością znosiły głód, choroby i ciężką pracę fizyczną. Z uporem zwalczały przejawy paniki, lęku i stresu. Przeszły przez wszystkie te katusze, zachowując hart ducha i odporność.

Teraz każda myślała tylko o sobie. Trudno im było przewyciężyć ospałość i nieczułość. W ciągu kilku dni grupka rozsypała się.

Anna załamała się psychicznie. Nikt nie był pewny, czy propozycja Patty była rozsądna, zła czy szalona.

Suzy była już na granicy śmierci.

Gdy białe gwiazdy mrugały z czarnego nieba, wszystkie zdały sobie sprawę, że w jakiejś chwili zostanie w łodzi tylko jedna, zupełnie sama.

Patty czekała, aż się ściemni. Nie mogła powiedzieć tego w świetle dnia. Szeptła do ucha Sylvany, popękanymi, krwawiącymi ustami.

— Lepsze to, niż gdyby miały nas zjeść rekiny. W ten sposób jedna z nas będzie jeszcze miała szanse na przeżycie. Wkrótce tak osłabniemy, że nie będziemy mogły się ruszać. Musimy zdecydować się już teraz.

Sylvana spojrzała na Patty.

— Jak możesz?

— Przynajmniej nie mówię, żeby...

— Żeby czego nie zrobić? — syknęła Sylvana.

— Oni zazwyczaj... pomagali człowiekowi umrzeć. Jeśli jeden z marynarzy w łodzi ratunkowej wyraźnie... jeśli i tak miał umrzeć... wtedy mu w tym pomagali. Przerzywało to jego cierpienia i znaczyło życie dla pozostałych.

— A jeśli nikt nie zamierzał umrzeć?

— Wtedy ciągnęli losy. Jeden poświęcał się dla reszty.

— Nigdy nikogo nie zabiję, już nigdy więcej i nie chcę, by ktoś zabijał mnie.

— Skoro pozwala na to prawo, to jak to może być złe? Przyrzekam wam, że kanibalizm jest legalny — jeśli wszystkie się na to zgodzimy i zrobimy sprawiedliwe głosowanie. Ta, która wyciągnie najkrótszą słomkę umiera, która najdłuższą — zrobi to.

— Suzy jest w takim stanie, że nie może się na nic zgodzić, nie mówiąc już o wyciągnięciu losów.

Patty podskoczyła. Myślała, że Carey śpi. Nalegała jednak zrozpaczona.

— To prawie bezbolesne. W tym przypadku angielskim, który badał Charley, kapitan zrobił to scyzorykiem. Przeciął żyłę szyjną majtka i nałapał krwi. Choć krew jest słonawa, to właśnie ona ratuje człowieka od śmierci.

Zastępca kapitana miał zamiar przytrzymać chłopca za stopy, gdyby się wyrywał, ale ten się nie bronił, nawet nie krzyczał i chyba nie cierpiał. Zmarł po pięciu sekundach. A reszta przeżyła — Patty zamilkła i dodała spokojnym tonem — Suzy i tak wkrótce umrze.

## **PIĄTEK, 15 MARCA 1985**

**52**

— Do ciebie, Harry — powiedział pilot helikoptera i podał mu słuchawki.

Harry słyszał dziecinnie brzmiący głos Kerry'ego.

— Harry? Mamy gości. Raki chce się z tobą zobaczyć. Czeka tutaj kapitan, ma odprowadzić cię pod eskortą do pałacu. Jest dla ciebie list. Nie pozwala mi go otworzyć.

— Czy słyszy to, co mówisz Kerry?

— Nie, jest w moim biurze. Ja jestem w pokoju ze sprzętem radiowym.

— Nie wracam Kerry. Nie przerwę tych poszukiwań. Każda minuta jest cenna. Chcę, żeby pilot zabrał mnie z powrotem do Zatoki Rajskiej. Możesz tam wysłać Johna, żeby mnie odebrał. Powinienem o tym wcześniej pomyśleć.

— O co chodzi, Harry?

— Raki już wie o kobietach, ale nie chce żebyśmy też wiedzieli, nie sądzę, że zechce ze mną rozmawiać. Ja zamierzam je odnaleźć, zanim uczynię cokolwiek innego — bez względu na to, kto mi stanie na przeszkodzie.

— Będziesz miał kłopoty.

— Zrozum, właśnie znaleźliśmy dowód na to, że kobiety z „Nexusa” wyruszyły w morze w łódce dwa dni temu, w okolicy Zatoki Rajskiej, więc muszę tam wrócić.

— To cudowne wiadomości, Harry. Ale ty osobiście nie musisz uczestniczyć w poszukiwaniach. Nie jesteś pilotem. To, że ciebie nie będzie nie wstrzyma akcji.

— Zabraknie nam paliwa, by wrócić do Zatoki Rajskiej — odezwał się lakonicznie pilot. — Jesteśmy o siedem minut lotu od pasa startowego na Ida.

— Przy okazji, Kerry, proszę cię żebyś natychmiast ogłosił przez radio nagrodę stu tysięcy dolarów za odnalezienie kobiet — żywych. Są teraz na morzu, więc Raki nie może nas powstrzymać od wyznaczenia nagrody za ich uratowanie. Chcę, żebyście nadali komunikat jak najprędzej i żeby dotarł do jak największej ilości miejsc w obszarze poszukiwań, który wyznaczył John. Ogłoś to w stacjach komercyjnych, przez krótkofalówki na statkach i na lokalnej częstotliwości — wszędzie, po angielsku i w języku pidgin.

— Nie mogę tego zrobić! Jeny Pearce musi to zatwierdzić.

— W porządku. Zadzwoń do niego. Masz siedem minut, by otrzymać odpowiedź.

— Będziesz tam miał jeszcze jedną Dunkierkę — armię niewielkich łodzi z poszukiwaczami skarbów, rybakami i turystami.

— Właśnie na to liczę.

Gdy Bell wylądował na pasie startowym na Mount Ida, czekali tam Kerry i John. Gdy tylko zatrzymały się wirniki, pobiegli do helikoptera. Pilot wysiadł. Kerry i John wskoczyli do maszyny.

— Dlaczego Roger ma dziś taką kwaśną minę?

— Rezygnuję z niego, odmówił rozpoczęcia poszukiwań na morzu. Został nam już tylko jeden samolot.

— Musiał trzymać się przepisów — odparł Kerry.

— Rozmawiałeś o tym z Jerrym Pearcem?

— Tak. Powiedział mi kategorycznie, żeby nie ogłaszać nagrody pod żadnym pozorem. Tak brzmiały jego polecenia. Przykro mi.

— W porządku, Kerry. Zapłacę sam za nagrodę. Zadzwońię do Ala Kinsmana, szefa głównej linii Barclays w Sydney. To będzie trwało tylko dwie minuty. W tym czasie niech John zdecyduje, gdzie mamy szukać.

John rozpostarł wykres na kolanach i spojrział na Harry'ego.

— Szczerze mówiąc, nie sędzę, by istniała jakaś nadzieja na odnalezienie tych kobiet. Na tak dużym obszarze nie może się to udać. Jest to o wiele trudniejsze, niż nam się wydaje. Morze jest ruchome, więc pokratkowany teren, na którym szukamy wciąż się przesuwają i zmienia wielkość. Każdego dnia, ponieważ nie odnajdujemy zaginionych, trzeba powiększać powierzchnię obszaru, biorąc pod uwagę kierunek wiatru i prądy morskie, a także odległość jaką mogły przepłynąć w ciągu tego dnia.

Wskazał palcem na mapę.

— Przypuszczam, że nie odplęnęły dalej niż dwadzieścia cztery kilometry na Zachód od Zatoki Rajskiej, a to znaczy, że obszar poszukiwań będzie się rozciągał czterdzieści osiem kilometrów na zachód i sto sześćdziesiąt kilometrów na południe. Biorąc pod uwagę prądy morskie będzie to cztery tysiące osiemset kilometrów kwadratowych. To spory kawał morza i przez cały czas się rusza.

— Pamiętaj, że łódź ma tylko trzy i pół metra. Łatwo ją przegapić. Biała szalupa wygląda prawie jak grzbiety fal — dodał Kerry.

— Jesteś marynarzem, Harry, tak? Więc wiesz wszystko o prądach morskich — mówił John.

Harry skinął głową.

— Ale ja **nie** wiem. Co musimy o nich wiedzieć? — spytał Kerry. **John** wbił palec w wykres, pokazując obszar na południe od Zatoki Rajskiej.

— Dryfują z prądem południowo-wschodnim z prędkością jednego węzła, co znaczy, że przez dwadzieścia cztery godziny przepływają ponad czterdzieści kilometrów. Drugi sztorm prawdopodobnie odrzucił je od wybrzeża o dodatkowe szesnaście kilometrów, może więcej. Gdybym miał zgadywać, powie-

działbym, że w tej chwili przepłynęły osiemdziesiąt kilometrów na południowy-wschód od Zatoki Rajskiej. Chyba że z jakichś powodów celowo wiosłowały pod prąd albo trzymały się linii brzegowej.

Johno umieścił siatkę na swoim wykresie — kartkę przezroczystego plastyku podzielonego na mniejsze kwadraty.

— Ten wykres narysowany jest według kierunku południowo-wschodniego, a każdy z tych kwadracików przedstawia obszar, który przeszukuje się w godzinę — jest to w przybliżeniu minimum pięćdziesiąt pięć godzin w powietrzu. Lecz im więcej ludzi będzie szukać, tym jest większe prawdopodobieństwo, że je znajdziemy — nie ma co do tego wątpliwości.

Ponieważ Johno nie wiedział, że łódź miała silnik doczepiony do burty, nie wziął tego pod uwagę przy swoich obliczeniach. Dzięki silnikowi łódź popłynęła pięćdziesiąt osiem kilometrów na zachód od Zatoki Rajskiej — niecałe dziesięć kilometrów poza obszar przez niego zakreślony.

Zamierzał szukać kobiet w złym miejscu.

Słońce paliło mocno, gdy Harry i Kerry szli w stronę biur kopalni. Kapitan armii Rakiego czekał na Harry'ego, miał eskortować go do pałacu.

— Harry, przy okazji, mam coś, na co powinieneś zerknąć. Ten przywódca związkowy, Mindo, wydostał się zeszłej nocy z więzienia. Albo, ściślej rzecz biorąc, wypuścili go klawisze i zniknęli razem z nim.

— Dokąd poszli?

— Uważa się, że uciekli do Masywu Centralnego razem z dwudziestoma dziewięcioma uzbrojonymi mężczyznami. Pamiętasz, ojciec Mindo jest ważnym szefem, więc bez wątplenia czekał na syna ze swoimi wojownikami. Krążą plotki, że niektórzy niżsi rangą żołnierze z wojsk Rakiego również zdezerterowali.

— I bardzo dobrze. Mindo jest urodzonym przywódcą. Kerry podał Harry'emu wiotką kartkę papieru.

— To manifest Mindo, napisany w więzieniu. Chociaż Bóg wie, kto to przeczyta, skoro tylko czternaście procent ludności jest piśmienna.

— To po angielsku — zdziwił się Harry.

— Dobrze przemyślany ruch propagandowy dla Narodów Zjednoczonych i Australijczyków. Jest też oczywiście wersja w języku pidgin.

Harry szybko przeczytał odezwę Mindo.

— Większość tego jest sensowna, Kerry. Mindo jasno zdaje sobie sprawę, że żaden z zachodnich biznesmanów nie będzie inwestował swoich pieniędzy na Paui dopóki zagraniczni technicy są zbyt przerażeni, by się tu osiedlić. Cieszę się, że mówi dlaczego trzeba natychmiast położyć kres temu interesowi z braniem zakładników i żądaniem okupu.

— Trudniej będzie z wytrzebieniem zwyczaju porywania ludzi przez tubylców — odezwał się Kerry.

— Sądzisz, że to właśnie przytrafiło się naszym, Kerry?

— Nie są pierwszymi białymi, którzy zniknęli w jednym z krajów Trzeciej-

go Świata. Ale jeśli wzięli ich jako zakładników, to prawdopodobnie dla pieniędzy. Może potem coś się nie udało.

Harry zadzwonił do szefa banku w Sydney i wyjaśnił mu o co chodzi.

— Kerry nie ma uprawnień, by tym pokierować. Ale pamiętaj, Kerry jest solą ziemi.

— A więc jest solą ziemi? — powtórzył Al Kinsman.

— Tak, solą ziemi— odparł Harry — ale nie może tego zrobić. Al, dlatego proszę cię żebyś ty tym pokierował, dla mnie.

— Al Kinsman zadowolony, że ich hasło „sól ziemi” zostało wypowiedziane i powtórzone ponownie, natychmiast zgodził się, by bank ogłosił nagrodę za odnalezienie zaginionych.

Harry spojrział na zaniepokojoną twarz Kerry'ego.

— W porządku, nie mogą mnie wywalić z pracy. Dopóki mam zegarki Artura i Rody'ego, Jerry Pearce nie odważy się zawrzeć za moimi plecami potajemnej umowy z Ra kim — dodał w myślach.

Lecz od tej chwili było jasne, że Jerry stanie na czele „Nexusa” — i zawsze będzie patrzył na Harry'ego jak na faceta, który otwarcie kwestionował jego autorytet, a potem z niego szydził. Harry nie miał już czego szukać w „Nexusie”. Mimo to, wcześniej zdecydował, że nie chce „Nexusa” w przyszłości. Teraz pragnął jedynie Anny, reszta jego życia może poczekać.

Gdy przybył do pałacu zabrano go do ciemnego, przeładowanego meblami pokoju.

— Powinni wprowadzić pana do mojego gabinetu, panie Scott, nie tutaj — odezwał się Raki.

Podniósł ze stołu ciemne okulary. Harry zauważył, że z boku do oprawki przymocowane było miniaturowe radio tranzystorowe. Raki lubił swoje zabawki.

Gdy szli korytarzem po poplamionym, jaskrawopurpurowym dywanie, Harry zauważył, że buty ze skóry strusia ze sznurowadłami z diamentami miały podbite fleki.

Gdy znaleźli się w biurze, Raki usiadł za biurkiem i założył ręce. Nie prosił gościa by usiadł, więc Harry stał, wiedząc, że powinien czuć się jak mały chłopiec trzęsący się przed dyrektorem szkoły.

— Słyszałem, że odwiedził pan dziś rano wioskę Katanga. Harry skinął głową. Wiedział, że śledzą każdy jego krok.

— Czego się pan dowiedział?

— Powiedziano mi, że dwa dni temu pięć kobiet odpłynęło stamtąd łodzią, **panie** Prezydencie.

Harry starał się, by w jego głosie nie było sarkazmu ani gniewu. Mówił tonem pełnym szacunku. Wiedział jak szybko nastrój prezydenta może zmienić się z uprzejmości w irytację, ze snucia paranoicznych podejrzeń do gwałtownego napadu gniewu.

— Znaleźli tylko ślady obozu banitów w świętym miejscu. Nie było

żadnego dowodu, że były to kobiety, ani że byli to w ogóle biali. Fałszywe plotki przez cały czas krążą po tej wyspie. To rzecz straszna. Harry nie zapytał, jaki banita nosi czarny, koronkowy stanik.

— Wezwałem pana, by ustalić datę podpisania umowy wstępnej.

— Nie zgodziliśmy się jeszcze co do warunków kontraktu ani co do szczegółów owych specjalnych ustaleń. Jak panu wiadomo, moi koledzy w Pittsburgu nie są przyzwyczajeni do tego typu negocjacji. Zorganizowanie płatności zajmie im trochę czasu. Nasze prawo jest surowe.

Harry przez pół godziny odpowiadał wymijająco na pytania dotyczące negocjacji. Szło mu to niespodziewanie gładko. Na koniec ustalili, że spotkają się za dwa dni, czyli 17 marca, więc Pittsburg będzie miał sporo czasu do namysłu. Harry też będzie miał dużo czasu, by wymyślić inne powody i uchylić się od podpisania umowy, która prawnie związałaby „Nexusowi” ręce na następne dziesięć lat. Prezydent wstał, by dać znać, że audiencja skończona.

— Och, przy okazji, nie chcemy, panie Scott, by znów nam pan zaginął. Niech pan weźmie ze sobą wojskową eskortę.

— Dziękuję, ale mam dwóch uzbrojonych ludzi z ochrony „Nexusa”. Prezydent wiedział, że przecież i tak ten uparty, australijski idiota nie może

zrobić kroku bez jego wiedzy, więc wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy.

Zwrócono mu broń, gdy opuszczał pałac.

Skoro odmówił przyjęcia eskorty od Rakiego, zamiast zadzwonić po swoich goryli, by odprowadzili go do hotelu, postanowił iść pieszo. Był biały dzień i był uzbrojony.

Wlókł się noga za nogą w stronę miasta, aleją wysadzaną po obu stronach drzewami. Skręcił za róg ulicy i stanął oko w oko z grupą żołnierzy odzianych w mundury koloru khaki. W ich oczach malowała się brutalność i przerażająca obojętność. Była to blokada drogi dla uzyskania okupu.

Harry otoczony przez co najmniej tuzin młodych wyrostków, nie odważył się wyciągnąć broni.

Jeden z nich, wyższy niż pozostali, wystąpił do przodu.

— Pieniądze.

Harry przypomniał sobie, że wydał wszystko dziś rano na te dwa, cholernie drogie prosiaki; papierosy i zegarek dał ludziom z plemienia Katanga.

— Nie mam nic. Ale zaraz mogę mieć pieniądze. Chodźcie ze mną do hotelu. Dam wam szybko dużo pieniędzy.

— Ty nie mieć pieniędzy? Ty, biały człowiek, nie mieć oienędzy?

— Nie.

Harry poczuł gwałtowny ból w nerce. W skronie uderzono go kolbą strzelby.

Nie mógł otworzyć oczu. Przez spuchnięte powieki widział brudne kiedyś bielone wapnem cegły. Oczywiście zniknęła jego broń.

Odarto go z ubrania.



Gdy próbował dotknąć dłonią nosa, z którego kapła krew, miał wrażenie, że złamali mu palce.

Światło było nikłe, ale dojrzał wysmarowany ekstrementami beton tuż przed sobą. Postanowił, że jeszcze nie będzie się ruszał. Skupi się na oddychaniu. Spróbuje nie przejmować się obezwładniającym, intensywnym odorem ciasno ściśniętych obok siebie ciał i nieczystości.

Gdy zdołał zapanować nad oddechem, zrobił wysiłek, by usiąść. Było to trudne, bo w poprzek jego nóg leżało jakieś nagie ciało.

Dotykami i po zapachu poznał, że również pod nim ktoś leży.

Rozpoznał miejsce. Był w jednej z celklatek na policji w Queeestown. Spróbował po raz kolejny i wreszcie udało mu się usiąść.

Czołgając się na jednej ręce, przesunął się, aż dotarł do czarnych prętów, poza którymi widział biurko sierżanta policji. Na zewnątrz szybko zapadał zmierzch, więc musiało być już po szóstej po południu.

Dotknął nosa. Tak, złamali mu go. Usiadł bezsilnie z pochyloną głową. Nie chciał, by strażnicy zobaczyli, że odzyskał przytomność.

Przypuszczał, że na razie lepiej stać się na tyle niewidzialnym, na ile to możliwe. Chciało mu się okropnie pić, ale był zbyt poturbowany, by czuć głód.

Ponieważ na zewnątrz zapadł zmrok, Harry zorientował się, że zaginał przed trzema godzinami. Zastanawiał się, kiedy zauważą jego nieobecność. Prawdopodobnie nie wcześniej niż następnego dnia rano, bo wtedy Ron Chang miał zawieźć go na lotnisko.

W jednej z przyległych cel słyszał jęki i dziwne hałasy, jakby głuche uderzenia i stłumione krzyki. Kogoś systematycznie bito.

Zerkając ponad ramieniem naliczył poprzednio czterech żołnierzy, którzy poruszali się przed posterunkiem policji. Teraz widział tylko jednego, zgarbionego nad biurkiem, bębnił piętami buciorów w rozklekotane krzesło i absolutnie nie zwracał uwagi na to, co się za nim dzieje. Minęły dwie godziny.

Otworzyły się drzwi wejściowe. W świetle gołej żarówki Harry zobaczył znajomego kapitana. Tego, który czekał na niego w biurze na Mount Ida.

Schludnie ubrany oficer wystąpił do przodu, wskazał krótką pałeczką na mężczyznę za biurkiem i mówił coś ostro. Żołnierz nie podniósł się z miejsca, ale skinął głową w odpowiedzi, potem wskazał kciukiem celę Harry'ego.

Oficer podszedł do krat i zajrzał przez nie.

— Pan Scott? — spytał grzecznie.

— Cieszę się, że pana znów widzę — odparł spuchniętymi wargami Harry.

— Czy może pan wstać?

— Nie sądzę.

— Prezydent otrzymał informację, że aresztowano pana za to, że nie pokazał pan paszportu, gdy o to poproszono. Wysłał mnie, by zabrać pana z powrotem do hotelu. Mój samochód czeka na zewnątrz.

Dzięki Bogu, że Raki mnie śledził — pomyślał Harry. Powoli, w wielkim skupieniu, wchodził po drewnianych schodach werandy w stronę ciepłego blasku światła za oknami Hotelu Prezydenckiego. Kapitan nie szedł z nim, lecz stał, czekając aż Harry wtoczy się na górę.

— Panie Scott! — pani Chang zerwała się z miejsca i krzyknęła: — Bobbv' Freddy! Ręczniki!

— Myśli pani, że chłopcy mogą pomóc mi wziąć prysznic? Proszę zadzwonić do Mount Ida. I po doktora.

### ***SOBOTA, 16 MARCA 1985***

#### **53**

Ktoś zapukał i w drzwiach pokoju Harry'ego pojawił się sekretarz pani Chang, Freddy. Za nim do środka wdarły się pierwsze promienie porannego słońca. Odwracając głowę, Harry skrzywił się z bólu. Freddy podał mu czerwoną, plastikową tacę, na której stała mocna herbata lekarstwo przepisane przez doktora i rachunek. W zakłopotaniu pocierał duże palce u nóg jeden o drugi.

Skoro jesteście jedynym hotelem w mieście, nikt się z wami nie może targować, to wy stawiacie warunki — pomyślał Harry. Z trudem owinał ręcznik wokół bioder i poszedł do łazienki w korytarzu. Jego nos i lewą rękę włożono w gipsowe łupki, cierpiał z bólu.

Na werandzie o mały włos nie zderzył się z Billem, plantatorem na emeryturze. Bill ścisnął w rękach dwie otwarte puszki z piwem.

— Słuchaj stary, zgubiłeś piżamę? Dobry Boże, czyżbyś miał wypadek?

— Coś w tym rodzaju.

— Słyszałeś wiadomości? Po raz pierwszy w historii, staruszkę, ten hotel zostanie zamknięty! Nie wiem, dokąd pójdę. Ronald Chang już zamyka okiennice na ostatnim piętrze. Dziś rano nie podano żadnego śniadania. Chwyciłem tylko kilka piwek i trochę orzeszków ziemnych z baru. Mogę ci coś przynieść? Jesteś pewny, że dobrze się czujesz?

— Czuję się świetnie. Miałem drobny kłopot przy blokadzie drogi ale w szpitalu Św. Marii jest dobry chiński lekarz. Dlaczego tak nagle zamykają hotel?

— Z powodu wczorajszych rozruchów. Nie słyszałeś? Harry potrząsnął przecząco głową.

— Jacyś pijani żołnierze zastrzelili księdza w katedrze św. Marii. Ktoś krzyknął: „Żołnierze precz! Raki precz!”. I wtedy w ciągu kilku minut całe zgromadzenie podniosło zgiełk i tupało nogami. Z koszar wysłano do kościoła oddziały wojskowe, by opróżnić świątynię.

Wydaje się, że nie miały one wiele szacunku dla wiary.

— Zranili kogoś?

— Jedną czy dwie osoby. Wszyscy uciekli — albo prosto do buszu, albo do Masywu Centralnego.

Po błotnistej, ogrodowej ścieżce od strony rzeki biegł mały chłopiec krzycząc. Był podekscytowany.

— Pani Chang! Pani łódź należy do ciebie przyjechać z motorem i zabrać panią daleko do miejsca należy do pani na wzgórzu.

— Dobry Boże! Pani Chang ucieka do swojego domku w Masywie Centralnym. Ma tam plantację kawy.

W dole, na rzeczce, pod zwisającym smętnie tropikalnym pnączem i wijących się po ziemi roślinach, które otaczały wyłysiały czarny trawnik Hotelu Prezydenckiego, pojawiła się mała purpurowa motorówka. Zatrzymała się przy chwiejącym się, drewnianym pomoście w ogrodzie.

Przez tylne drzwi, poniżej werandy, wyszła majestatycznie pani Chang. Miała na sobie satynowy, purpurowy strój podobny do pizamy, ciemne okulary na sznureczku i wielki słomkowy kapelusz od słońca z zieloną, jedwabną kokardą. W ręce niosła czerwoną, skórzaną aktówkę.

Powoli, kaczkowatym krokiem, zeszła na pomost. Za nią, obładowani bagażem, podążali Freddy i Bobby.

Karmazynowa motorówka zniknęła za zakrętem rzeki.

— Mówiłeś mi chyba, że masz samolot — powiedział Bill. — Jest tam dla mnie miejsce? Wygląda na to, że zaraz zacnie się dzieć coś niedobrego.

— Albo się kończy — odparł Harry.

— To może być koniec dla Rakięgo.

— Albo początek dla Mindo i dla Paui.

— Zawsze znajdzie się drugi Raki.

— I zawsze będzie drugi Mindo.

— A jak dojdzie do was, na Mount Ida?

— Jeśli Mindo zrobi rewolucję, będziemy zachwyceni. On wie, czego chce. Wie, czego nam potrzeba i *vice versa*, powinniśmy więc zawrzeć z nim prostą, bezpośrednią umowę.

Ale tym razem nie będzie już specjalnych ustaleń. Harry wiedział, że Mindo nie zgodzi się na umowę o przekazanie wszystkich praw do wydobywania i będzie nalegał, by negocjacje z jego strony prowadził najlepszy australijski prawnik — specjalista od kopalń.

Tabliczka z nazwą hotelu, która dotąd wisiała na drzwiach frontowych, oparta była teraz o drewnianą balustradę na końcu werandy. Na niebieskim tle namalowano jabłkowiezieloną farbą: „Hotel Wolności”.

Nocny stróż zobaczył, że Harry patrzy na napis.

— Nowe imię należy hotel dzisiaj.

Obok tabliczki, na końcu werandy, zjawił się Ronald Chang. Zajął się nadzorowaniem kilku chłopców, którzy przymocowywali, najszybciej jak mogli, okiennice do okien. Stróż skinął głową w kierunku rzeki.

— Dobry czas, by odpłynąć.

**ŚRODA, 20 MARCA 1985**

**54**

Złowieszcza, krwistoczerwona smuga na horyzoncie zmieniała kolor na lekkoróżowy, potem na niebieski. Anna nie chciała otworzyć oczu. Nie chciała budzić się ze snu. Był to już ósmy dzień na morzu i od dwóch dni nie miały wody. Nie chciała patrzeć na Suzy zwiniętą w kłębek na dnie łodzi, mamroczącą coś niezrozumiałego i całkowicie bezbronną. Nie chciała też patrzeć w twarze innych kobiet. Ciągnęły losy i Anna wyciągnęła najdłuższy kawałek liny. Wiedziała że nie ma wyboru. Wcześniej wszystkie się zgodziły, że jeśli kat nie spełni swojej roli stanie się sam ofiarą. Przez całą bezsenną noc rozważała czy nie przyjąć wyroku śmierci, lecz przypomniła sobie swoich chłopców. Suzy nie miała dzieci. A poza tym i tak niewątpliwie nigdy nie dojdzie do siebie po wypiciu morskiej wody. Na swoich chudych plecach poczuła szturchanie czyjaś wychudzoną nogą.

— Aniu, jesteś przecież teraz cholernym przywódcą. Zrób to! Im prędzej to zrobisz, tym wcześniej będziesz miała to za sobą. Pomogę ci — chrypiała

Anna podciągnęła się do pozycji siedzącej i spojrzała na pozostałe kobiety oparte bezwolnie o brzegi łodzi. Zobaczyła otwarte rany i pęcherze na szponiastych dłoniach, w miejscach gdzie resztki ciała wystawione były na działanie przypiekającego słońca. Mundury wisiały na ich wysuszonych piersiach przykrywając pomarszczoną skórę i wystające kości miednicy

Patty związała ręce Suzy kawałkiem liny. Nie napotkała żadnego oporu. Gdy Suzy mruzczała coś do siebie, patrząca na to wszystko Carey zaczęła łkać

— Wyciągaj swój nóż wędkarski i skończ z tym — popędzała ją Patty kiedy Anna sięgnęła po nocnik.

— Skup się na tym, by wykonać szybkie proste cięcie — ona nic nie poczuje.

Przerażona Anna wyjęła swój nóż z długim ostrzem.

Mimo wszystko Suzy czuła, że coś z nią robią. Skuliła się i wydała wysoki przenikliwy krzyk.

Patty uklękła, by złapać ciemnoczerwoną krew, która wytrysnęła z szyi dziewczyny. Pragnienie było silniejsze niż głód i bardziej dotkliwe, więc trzeba je ugasić zanim zabiorą się za jedzenie.

Suzy leżała nieruchomo na dnie łodzi.

Patty zanurzyła twarz w naczyniu i piła chciwie. Odcięła linę, którą związała ręce Suzy. Ramiona opadły bezwładnie jak ręce lalki-szmacianki.

— Pomóż mi — wychrypiała do Sylvany.

Dwie kobiety rozebrały drżącymi rękami ciało, po czym Patty podniosła wzrok na Annę.

— Dalej. Szybko!

Anna spojrzała na trzy pozostałe kobiety, na ich twarze pomazane krwią. Wszystkie wiedziały jak bardzo cierpiała w tej chwili, ale przecież wyciągnęła najdłuższy kawałek liny. Nie miała wyboru. Jeśli będzie czekała, to będzie jeszcze trudniej. Sylvana próbowała jej pomóc.

— Zrób to tak jak obcięłaś mój palec.

Jak Suzy jest teraz przerażająca, gdy już nie żyje — pomyślała Anna. Podniosła w górę bezwładną rękę i wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

Zmuszając się, zanurzyła głęboko nóż w lewe udo Suzy. Gdy odcięła ośmiocentymetrowy kawałek żywego mięsa, krew przeciekła jej przez palce. Ze środkowej ławki zrobiła stół rzeźnicki, pocięła ów kawałek na cztery części, nabiła jedną z nich na stępiony czubek noża i podała Patty.

Patty wzięła mięso, lecz się zawahała.

— No, jedz! — Anna drżała z obrzydzenia.

W końcu Patty ugryzła kęs. Zanim zmusiła się do żucia, zwymiotowała. Pozostałe kobiety czekały.

Patty ugryzła jeszcze jeden kęs. Tym razem nie wypluła go.

Żując powoli, nie patrząc na siebie, kobiety zjadały mięso małymi kawałkami. Smakowało jak nieugotowana wieprzowina. Zjadły bardzo mało. Myśl o tym co zrobiły przerażała je prawie tak samo jak śmierć.

— Marynarze jedzą najpierw serce i wątrobę, gdy są jeszcze ciepłe. Potem sprawiają ciało tak, jak się to robi z jeleniem.

— Nie zamierzam jej rozpruwać wnętrzości — krzyknęła Anna ze wszystkich sił jakie jej pozostały. Odrzuciła nóż.

— Nie mogę znieść widoku jej oczu — szlochała Carey. Żadna z nich nie mogła tego znieść.

— Marynarze zazwyczaj odcinają głowę — mówiła Patty.

Anna zrobiła to dwie godziny później. Patty włożyła głowę do schowka na przodzie łodzi, bo gdyby wyrzuciła ją za burtę, oszalałe rekiny mogły w napadzie głodu przewrócić łódź do góry dnem.

— Włóżmy to wszystko do schowka, żeby na to nie patrzeć. Anna cięła ciało na kawałki, Patty wpychała każdą zakrwawioną część do szafki. Łódź wyglądała teraz odrażająco, pokryta połyskującą, czarną, cuchnącą krwią.

— Ani się ważcie myć teraz pokład. Rekiny — przypomniała im Patty. Później Annie przyszło do głowy najstraszniejsze: czy to ja będę ostatnim

rozbitkiem? Czy będę kołysać się na tej okropnej, zakrwawionej łodzi i umierać z gorąca, gdy wokół będą leżeć martwe, napuchnięte, rozkładające się ciała, cuchnące jak tamte zwłoki zabitego żołnierza, gnijącego na dnie szachtu jaskini?

Tego dnia prawie nie odzywały się do siebie. Anna dostrzegła, że są u kresu wytrzymałości. Bała się zasnąć. Suzy nie wiedziała, co się z nią stanie. O jej losie decydowały szepty w ciemnościach.

Czerwone słońce rzuciło promienie na małą, białą łódź poplamioną krwią.

W końcu wycieńczona Anna zasnęła. Jej głowa kiwała się na boki. Spała

— Obudź się! Obudź!

Ktoś szarpał ją za ramię. Otworzyła oczy.

Zobaczyła Carey, która w perłowym świetle poranka wskazywała coś palcem. Anna potrząsnęła głową, by się obudzić i usiadła.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

— Suzy! — wyszeptała z niedowierzaniem. Carey zerknęła na małą postać śpiącą na dziobie.

— Całkiem nieźle przespała noc. Nie chcę jej budzić. Weź drugie wiosło Aniu. Musimy złapać żółwia. Na litość boską, Aniu, rusz się.

W odległości dziewięćdziesięciu metrów wystawały z wody trzy głowy żółwi.

— Ale Suzy żyje — wydusiła Anna.

— Oczywiście, że żyje. Prędko, weź drugie wiosło i pomóż mi popłynąć do nich.

Patty i Sylvana, które przykucnęły na środku łodzi, wiązały pośpiesznie wszystkie pozostałe jeszcze kawałki lin w jeden sznur. Anna drżała na całym ciele. Jej sen był jak żywy!

— Złap wiosło. Pospiesz się! Patty ma plan — chrypiała Carey.

— Gdzie się podziały wszystkie rekiny?

— Nie wiem. Znalazły lepszy piknik. Wiosłuj mocno!

Gdy łódź płynęła równoległe do pierwszego żółwia, zwierzę odwróciło głowę i popatrzyło z pogardą na zaniepokojone, wynędzniałe twarze kobiet wyglądające zza burty. Żółwie są bardzo inteligentne, więc złapanie ich z łodzi było prawie niemożliwe. Zanim udało im się zarzucić pętlę lassa wokół tylnych płetw zwierzęcia, próbowały tylko dwa razy. Ciągnęły mocno linę.

Wychylając się niebezpiecznie za burtę Sylvana przyciągnęła żółwia, podczas gdy Patty zaczęła go okręcać sznurem. Działała najszybciej jak mogła.

Krzywiąc się z bólu, gdy słona woda dostała się na żywą ranę jaką była jej lewa dłoń, Patty pomagała Sylvanie powoli wciągnąć zwierzę na pokład unikając zębów, którymi próbowało gryźć. Carey starała się zrównoważyć łódź) opierając się o przeciwległą burtę.

Nareszcie wpadł do łodzi, a Patty i Sylvana zwały się na pokład z wyczerpania. Carey i Anna szybko odwróciły zwierzę na plecy. Gdy podcięły mu gardło, Anna zebrała krew do nocnika. Z przerażeniem przypomniała sobie nocny koszmar.

— Pierwsza Suzy — powiedziała Patty, ostrożnie nabierając trochę krwi w odwrócony bambusowy korek. Podała go Carey.

— Nie miej takiej miny jakbyś miała za chwilę zwymiotować. Pomyśl, że to nie ugotowany sos do pieczenia. Ta krew może uratować Suzy.

— Waży chyba z piętnaście kilogramów. Na szczęście nie jest cięższy, bo nie dałybyśmy rady wciągnąć go na pokład.

Sylvana i Carey kotwicą rozplątały pancierz na brzuchu żółwia.

Gdy zmuszały się do przełknięcia kęsów surowego mięsa, Patty powiedziała schrypniętym głosem:

— Nie rozumiem jak mogłam kiedykolwiek jeść tatar.

— To obrzydliwe — zgodziła się Sylvana.

— Ja nie narzekam. To pierwsze jedzenie od siedmiu dni.

Carey nie odzywała się. Klęcząc na dziobie, próbowała nakarmić Suzy.

— Trzeba pociąć mięso na kawałki i wysuszyć zanim się ściemni. Możemy je przechowywać w schowku.

Anna zadrżała.

Mięso natychmiast ożywiło kobiety, pobudziło je do myślenia. Przynajmniej coś się zmieniło na lepsze. Wystarczy im teraz jedzenia na wiele dni.

Zaraz po godzinie dwunastej w południe Anna trąciła Patty łokciem i wskazała palcem na horyzont z lewej strony.

— Czy to...? Czy to...?

— Tak!

Wszystkie wpatrywały się w mały, nisko zwieszający się kumulus. Anna ledwo odważyła się, by oddychać.

— Może to ziemia. Może jest tylko kilka kilometrów przed nami. Wiosłowały, kierując się na północ, w oślepiającym blasku popołudniowego słońca.

— Gdyby za tym cholernym obłokiem była jakaś wyspa, to już przecież byśmy ją zobaczyły.

— Nie marnuj oddechu, wiosłuj!

Był już prawie zmierzch, gdy przepłynąwszy prawie pięć kilometrów dotarły do niewielkiego obłoku. Wisiał nieruchomo nad nimi jakby namalowany na szkolnej tabliczce. Każda z kobiet przygotowała się na to, że chmura się przesunie. Nie miały odwagi mieć nadziei, że tak się stanie.

Sylvana głośno modliła się o deszcz.

Niewielka chmura prawie niewidocznie zaczęła płynąć po niebie na północ.

— Nie mogę jej dogonić, nie ma wiatru.

— Nie mogę już wiosłować. Naprawdę nie mogę — odezwała się Carey. Wnętrza jej dłoni błyszczały od potu, całe zakrwawione, a w plecach czuła taki ból, jakby ktoś wrywał jej żebra. Patrzyła rozpaczliwie na bezkresny ocean.

— Gdybyśmy tylko wiedziały, gdzie jesteśmy.

— Zboczyłyśmy tylko trochę z kursu — upewniła je Anna. — Płyniemy w dobrym kierunku.

— Lepiej poprawmy go teraz, z powrotem na południowywschód.

Źle zrobiły. **W** tym miejscu znajdowały się ponad czternaście kilometrów na południe od Tanjung Vals, najbardziej wysuniętego zakątka Pulau Yos Sudarsa, wyspy, którą Jonathan wybrał jako cel. Gdyby popłynęły kilka kilometrów dalej na północ, mogłyby dostrzec kajak tubylca na rzut kamieniem od lądu.

Anna poczuła w ciemności muchę na policzku... Nie, to nie mogła być mucha, nie tutaj... Poczuła drugą... Ale, skoro to nie mucha?

Z niedowierzaniem starła z policzka dwie duże krople.

— Deszcz! — wykrzyknęła zachrypniętym głosem.

Od wielu dni planowały co zrobić, gdy zacznie padać deszcz, lecz teraz przez pięć minut zlizywały wodę z dłoni. Nie wierzyły w to, co poczuły.

— Na litość boską, łapcie wodę!

— Och, Boże, mam nadzieję, że będzie padało przez całą noc. Mam nadzieję, że to kolejny sztorm — gorączkowo mówiła Patty.

Deszcz przestał padać tak niespodziewanie jak zaczął. Nadzieja zapłonęła w ich sercach jak ogień. Miały teraz trochę jedzenia i pół kanistra wody.

### ***PONIEDZIAŁEK, 25 MARCA 1985***

**55**

Trupioblady i osłabiony Harry siedział w gabinecie prezydenta Ra kiego.

— Już przedstawiłem jasno nasze warunki, panie Prezydencie. Nasi prawnicy w Pittsburgu powiedzieli nam, że muszą mieć pięć dni roboczych na przygotowanie dokumentacji, tak byśmy mogli otrzymać ją tutaj do podpisu — powtórzył. Raki zmarszczył czoło.

— Ponieważ dzisiaj mamy dwudziesty piąty marca to znaczy, że nie możemy podpisać umowy przed pierwszym kwietnia.

— Tak, sir.

— No, cóż — odparł Raki. — Pierwszy kwietnia to bardzo odpowiednia data, panie Scott. Prima Aprilis, prawda?

### ***WTOREK, 26 MARCA 1985***

**56**

- Co nowego? — zapytał jak zwykle Harry, gdy wyszedł z samolotu i oślepił go blask słońca. Johno zaprzeczył ruchem głowy.

— Znowu odpowiedź brzmi „nie”.

Gdy ogłosili przez radio o nagrodzie, Kerry otrzymał setki informacji od ludzi którzy rzekomo widzieli zaginioną łódź. Spędzał całe dni na ich sprawdzaniu" i porządkowaniu. Co wieczór przygotowywał listę zgłoszeń, a Johno sprawdzał każde z osobna. Często były błędne, jeśli nie zaprzeczały sobie nawzajem.

— Nie rozumiem tego! Ludzie nie znikają tak po prostu w dzisiejszych czasach! Przy nowoczesnej technice można znaleźć wszystko. Potrafią przecież wyłowić z dna Atlantyku podwozie niedużego samolotu! — wybuchnął Harry.



Johno spojrział na chudą, zmęczoną twarz Harry'ego.

— Główny pilot Cherokeesów jest w biurze Kerry'ego. Chce wiedzieć, czy mogą odlecieć jutro.

— Nie. Jutro zaczynamy od nowa.

— Masz na myśli, żeby znów przeczesać cały obszar?

— Tak. Biorąc pod uwagę prąd morski, oczywiście i przesuwając codziennie cały wykres.

— Naprawdę o to ci chodzi?

— Tak. Proszę, spróbujcie jeszcze raz.

Kerry siedział za biurkiem, sortując ogłoszenia. To jak z wypadkami drogowymi. W chwili, gdy ogłasza się wiadomość przez radio, każdy, kto akurat nie ma nic lepszego do roboty ma wiele do powiedzenia — zwłaszcza, gdy jest nagroda.

Kerry podniósł wzrok.

— Obawiam się, że to samo co zwykle. Jeden z amatorskich statków poszukujących kobiet zgłosił, że widział coś, co okazało się innym statkiem ratowniczym. Sześciu łodziom zabrakło paliwa, była jedna kolizja, pięciometrowa łódź odwróciła się do góry dnem, na szczęście nikt nie zginął. Jeden żołnierz z wojsk ochrony pogranicza Australii narzekał, że dokładamy im obowiązków, ale przyłączyli się do poszukiwań.

Kerry wskazał głową stertę papierów na biurku.

— Żeby było większe zamieszanie jest tam teraz mnóstwo gamoniowatych turystów — niekompetentnych idiotów, których nigdy nie powinno się wpuszczać na te tereny.

— Mamy dwudziesty szósty marca. Zostały cztery dni na poszukiwania.

— Wódz Katangi powiedział mi, że kobiety zabrały na pokład mnóstwo zapasów. Mogły do tej pory przeżyć. Może siedzą sobie gdzieś w łodzi ciesząc się, że mają wycieczkę.

Łódź cuchnęła zeschniętą krwią i zepsutym mięsem zółwia. Dzień wcześniej skończyła się woda.

Carey, która wiosłowała, spojrzała smutno na Suzy — opiekowała się nią, karmiła i strzegła jak oka w głowie.

Nawet po wypiciu wody deszczowej, Suzy nie odzyskała przytomności.

Nagle na jej twarzy pojawił się dziwny, szalony wyraz.

— Uratowałam się! — krzyknęła. Zaczęła wspinać się na brzeg pontonu.

Carcy precyzyjnie się przez małą łódkę i rzuciła na Suzy, przygniatając ją sobą.

— O co chodzi? — Anna podniosła głowę. Jej zmysły przytępił sen i letarg. Nie chciało jej się ruszyć.

— Będziemy musiały związać Suzy. Właśnie próbowała znów wyskoczyć za burtę.

Pozostałe dwie kobiety podniosły się. Sylvana i Anna powoli związały ręce dziewczyny, a potem przywiązały ją liną do środkowej ławki. Następnie skrepowały jej nogi w kostkach.

Sześć godzin później odezwała się Carey.— Chcę odwiązać Suzy. Jest zbyt słaba by się ruszać. Trzymając jej głowę jak w kołysce na swym łonie, Carey przypomniała sobie jak pielęgnowała swoje dzieci.

Gdy ciało Suzy konwulsyjnie drżało i dziewczyna rzucała się bezwiednie zrozumiały, że patrzą jak Suzy umiera.

### ***ŚRODA, 27 MARCA 1985***

**57**

O wschodzie słońca kuter rybacki „Anna” z udanym połowem na pokładzie był już spóźniony. Zły kurs i popsute pompy na dnie łodzi znaczyły, że nie zdążą na poranny targ w Merauke.

Załoga „Anny” przygotowała się już do ręcznego pompowania, by zawrócić łódź do zatoki, nagle spostrzegli coś, co okazało się pustą białą łodzią oddaloną o osiem kilometrów na zachód od ich położenia. Nawet patrząc przez lornetkę szyper nie był pewny, czy to przypadkiem nie pływające śmieci — widok przesłaniała lekko wzburzona fala, a mgła o świetle wywoływała różne złudzenia.

Z powodu własnych problemów załoga „Anny” nie mogła zająć się łódką. Nie mogli też zetelegrafować o pomoc, ponieważ radio było uszkodzone.

Gdy wreszcie dotarli do portu, szyper wyskoczył z łodzi i pobiegł do biura szefa zatoki, by domagać się nagrody.

Dyżurny roześmiał się.

— Jest pan trzysta siedemnastą osobą. Łut szczęścia!

Sylwetka pilota widniała na tle błękitnego nieba. Duck, po sprawdzeniu kolejnego fałszywego zgłoszenia, leciał na północny zachód z powrotem na Paui. Cóż, dał z siebie wszystko — powtarzał sobie. Johno odwrócił się bokiem.

— Masz Kerry'ego. Właśnie zgłoszono, że ochrona linii brzegowej widziała jeszcze jedną łódź.

— Czy było to dwadzieścia osiem kilometrów na wschód od Tanjung Vals’

— Tak jest, Harry.

— Ile czasu zajmie nam lot do tego miejsca?

— Jeśli zawrócimy zaraz, to około półtorej godziny. Powiem ci dokładnie za kilka minut.’

— W porządku, Johno, lećmy.

— Kerry chce z tobą rozmawiać, Harry. Harry wziął słuchawki.

— Wygląda na to, że wreszcie trafiliśmy na coś ciekawego. Teoretycznie mogą być w tym obszarze. Jeśli popłynęły z prądem przybrzeżnym i zniosło je na wschód, wokół czubka Pulou Yos Sudarsa, prosto do tej zatoki.

— Zaczniemy poszukiwania od południowego krańca wyspy, potem polecimy z prądem.

Przed nimi rozciągało się płaskie, puste morze.

— Trzymaj za nas kciuki, Kerry. Kerry zawahał się.

— Jeśli je znajdziesz, pamiętaj, były długo na morzu... Gdy zobaczysz jakieś, och, niezwykle resztki ludzkie...

— Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem?

Słońce, jak zawsze w południe, rozświetlało jasny błękit nieba. Oślepiający blask bił od wody, raniąc oczy gdy patrzyły w niebo.

— Jesteś pewna, że ona nie żyje? — chrypiała Carey, która dopiero co się obudziła.

Anna, przykucnięta nad bezwładną, bezkształtną kupką ubrań, skinęła głową. Twarz Sylvany pokrywała półprzezroczysta skóra, pod którą przestała krążyć krew. Jej martwe oczy skierowane były ku górze, prosto w niebo, nie mrugała powiekami.

— Myślę, że Sylvana nie żyje od kilku godzin — jęknęła Anna. Nigdy nie zapomni oczu Carey.

— Nie mogę w to uwierzyć — łkała Carey. — Wydawało mi się jakoś, że wszystkim nam się uda.

Anna delikatnie gładziła włosy Sylvany.

— Teraz, kiedy się to już stało, mam nadzieję, że wszystkie odejdziemy z tego świata szybko.

— Oczywiście — dodała stanowczo Anna.

— Staraliśmy się.

— Przez czternaście dni.

— Nie budź ich jeszcze — odezwała się Carey, odwracając wzrok od Sylvany.

Połykujące czarne płetwy okrążyły łódź. Teraz jest ich dziewięć tych sukinsynów. Nie pozwolimy, by ją dostały.

— Mam nadzieję, że nigdy nie dostaną żadnej z nas. Mam nadzieję, że będziemy dryfować tak długo, aż wyschniemy na kość.

Zduszone łkanie Anny obudziło Patty, która śniła odrażający sen, próbowała zjeść gałki oczu Suzy. Nie mogła ich ugryźć zębami, bo odskakiwały jak gumowe piłki. Miała zbyt sucho w ustach, by połknąć kule. Jedna tkwiła jej w przełyku. Nie mogła oddychać, dusiła się.

Mrugając oczami, usiadła wyprostowana. Nie mogła przełykać naprawdę! gardło było zbyt suche. Lecz, dzięki Bogu, nie miała nic w ustach.

— Sylvana nie żyje — łkała Anna.

— Dlaczego płaczesz? Przecież to znaczy, że my możemy przeżyć. Szybko poderżnij jej gardło. Gdzie nocnik?

— Nie możesz tego zrobić, Patty — przeraziła się Anna. Patty, klęcząc na kolanach, nie zwracała uwagi na Annę, pochyliła się, by drżącą dłonią podnieść do góry nocnik.

— Sylvana nie żyje, ale ja żyję — i mam zamiar przeżyć tak długo jak to możliwe.

Wyjęła nóż, twarz miała zaciętą i zdeterminowaną.

— Zabierz jej nóż — rozkazała Anna.

— Przecież ona mnie zasztyletuje — szeptała Carey. — Gdy się będę z nią mocować możemy przewrócić łódź.

— Nie rozumiecie? — syknęła dziko Patty. — Bóg dał nam ten prezent. Teraz nie musimy już robić nic okropnego, by przeżyć.

— Na litość boską! To kanibalizm! Czy nie nazywasz tego strasznym czynem?

— Chcesz, by zabiło cię prymitywne tabu? Nie możesz przyjąć daru bożego? To jedzenie i picie! Wiara w te bzdury zabije was w końcu. Ale mnie nie.

Carey spostrzegła przez chwilę błysk podniesionego w górę noża. Wtedy ujrzała owo coś.

— Patty! — zawołała chrapliwym głosem. — Spójrz tam za siebie, w lewo! Obie, Anna i Patty odwróciły się. Patty, z uniesionym nożem, zatrzymała się jak wryta.

— To samolot! — krzyknęła.

Ledwie widoczna kropka przesuwała się na wschód.

— Carey! Rakiety! — wyszeptała chrapliwie Anna.

Carey powoli, z wielkim bólem kucnęła, by otworzyć schowek i poszukać w nim rakiet.

Wnętrze obu jej dłoni pokryte było pękniętymi pęcherzami. Lewa ręka Patty wypalona do żywego mięsa była niesprawna, więc Carey podała rakiety Annie.

Anna podniosła trzęsącą się lewą dłonią raketę do góry, mając nadzieję, że nie spali ręki tak jak ostatnim razem Patty.

Gdy odkręcała gwint prawą ręką, jej palce poruszały się niezdarnie i wolno. Potem wyciągnęła sznurek z gwintu, okręciła go kilka razy wokół prawej ręki i pociągnęła mocno.

Łódź zakołysała się gwałtownie, ale nic się nie stało.

— Spróbuj drugą! — nalegała Patty.

Samolot zbliżał się, słyszały przytłumione buczenie silnika. Lecz ciągle kierował się na wschód, coraz dalej od łodzi.

Druga rakietka wystrzeliła z hukiem, zatoczyła łuk i spadła do wody z wysokości nie większej niż sześć metrów.

Żadna z kobiet nawet nie drgnęła, gdy Anna próbowała jeszcze raz. Była zbyt słaba, by stanąć prosto. Sygnał świetlny wzniósł się na dużą wysokość jak łuk na niebie i był widoczny przez dwadzieścia sekund. Samolot leciał dalej wytyczonym kursem.

— Nie zobaczył nas.

— Próbuj dalej — nalegała Patty. Prędko, póki jeszcze nie zniknął.

Gdy Carey podała Annie jeszcze jedną raketę, Patty krzyknęła przeraźliwie.

— Patrzcie!

Od jasnoniebieskich połyskujących skrzydeł Grummana Ducka odbiły się srebrne promienie białego światła słonecznego. Zmienił kurs i leciał wprost na łódź.

Zagubione kobiety w małej łupinie, patrzyły jak zahipnotyzowane na srebrnoniebieską kropkę, która stawała się coraz większa. Nie odważyły się mieć żadnej nadziei.

Samolot leciał z równą prędkością. Zbliżał się coraz bardziej. Minał łódź w odległości około czterdziestu pięciu metrów od prawej burty.

Patty ściągnęła kaptur i próbowała nim machać, była jednak zbyt słaba. Materiał sfrunął na dno łodzi.

Carey chciała krzyknąć popękanymi wargami, lecz nie mogła.

Anna zauważyła, że oddycha bardzo strożnie, jakby się czegoś bała.

Duck lądował na powierzchni morza, potem silnie uderzył w wodę, wzniesając za sobą diamentowy pióropusz kropel.

Samolot zmniejszył prędkość, lecz zanim przestał się ruszać, postać siedząca za pilotem rozsunała plastikową pokrywę. Mężczyzna machało nimb energicznie, zwinął dłonie wokół ust i krzyczał. Nie usłyszały, gdyż zagłuszał go szum silnika.

Kobiety patrzyły z niedowierzaniem, w absolutnej ciszy, jak wysoki, szczupły mężczyzna w białej koszuli i szortach czołga się w dół po kadłubie wimolotu do niższego płata lewego skrzydła.

Pilot podał mu czarny pakunek, mężczyzna przykucnął na skrzydle. Potem walał, przytrzymał się podpórki i wykonywał ruchy jakby tupał nogą. Pakunek pęczniał powoli.

— Ponton gumowy. Płynie po nas! — chrypiała Patty. Pilot zamachał kanistrem.

— Woda! — zachłysnęła się Carey.

— To Harry! — szepnęła Anna. Przez całe jej wiotkie ciało, które teraz przypominało worek z kośćmi, przepłynął słaby prąd. Była szczęśliwa.

— Nic bądź śmieszna! — skarciła ją Patty. — Jak to możliwe? — MM ta na wiała się, czy Anna nie ma przypadkiem halucynacji. Bała się, czy obie nie cierpią na to samo. Czy można zobaczyć fatamorganę na oceanie?

— Co to ma za znaczenie, kto to jest — Carey pochyliła się nad zwiniętą na dziobie łodzi Suzy.

— Suzy, uratują nas! Właśnie wylądował jakiś samolot. Słyszysz? Suzy nie drgnęła, nie ożywiła się ani trochę. Proszę cię, Boże — modliła się Carey — nie zabieraj też Suzy. Anna nie wierząc własnym oczom, chwyciła się burty wyschniętymi dłońmi i patrzyła jak pilot podaje mężczyźnie w łodzi mały silnik do ponton i prowiant. Brzydka sylwetka Ducka płynęła statecznie po wodzie, lekceważąc wściebne rekiny. Ponton ruszył w stronę kobiet. Silnik pracował głośno. Teraz Anna rozpoznała nie tylko sylwetkę, lecz także twarz Harry'ego. Próbowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła — jej wychudłą twarz pokrywała szorstka, sztywna skóra. Jestem pewna, że to Harry! — szepnęła. Patty szlochała bez łez. Carey znów pochyliła się nad wzruszającą, małą figurką zwiniętą w kłęb na dziobie. Dlaczego samolot nie zjawił się trochę wcześniej? Kilka godzin stanowiło dla Suzy różnicę między życiem a śmiercią. — Suzy, on tu jest. To naprawdę Harry! — chrypiała pozbawiona na Carey. Popadła w rozpacz, że Suzy jej nie słyszy. Rzęsy dziewczyny lekko zatrzepotały, gdy szepnęła popękanyimi wargami — Dlaczego, do cholery, zajęło mu to tyle czasu?